

# ZWIADOWCY



WCZESNE LATA



TURNIJ  
W GORLANIE

JOHN FLANAGAN

JOHN FLANAGAN

# ZWIADOWCY

WCZESNE LATA

KSIĘGA PIERWSZA

## TURNIEJ W GORLANIE



Tłumaczenie  
Zuzanna Byczek



# Spis treści

[Mapa](#)

[Wstęp](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

[Rozdział 31](#)

[Rozdział 32](#)

[Rozdział 33](#)

[Rozdział 34](#)

[Rozdział 35](#)

[Rozdział 36](#)

[Rozdział 37](#)

[Rozdział 38](#)

Rozdział 39

Rozdział 40

Rozdział 41

Rozdział 42

Rozdział 43

Rozdział 44

Rozdział 45

Epilog

Przypisy

W SERII ukazały się:

# ARALUEN, PICTA I CELTIA





Wydarzenia, opisane w tej książce, są rozwinięciem opowiadania „Hibernijczyk”, umieszczonego w jedenastym tomie serii „Zwiadowcy”, pod tytułem „Zaginione historie”.

Dla tych, którzy nie czytali tego opowiadania: „Hibernijczyk” opisuje pierwsze spotkanie Halta i Crowleya, kiedy Halt jako bardzo młody człowiek uciekł z ojczystej Hibernii do Królestwa Araluenu. Był prawowitym następcą tronu Clonmelu, ale jego brat bliźniak, urodzony jako drugi w kolejności, próbował go zabić i zdobyć tron. Halt czuł gorycz i smutek, nie chciał jednak walczyć przeciwko własnemu bratu – dlatego postanowił opuścić ojczyznę.

Halt przybył do Araluenu w momencie, kiedy Morgarath, baron lenna Gorlan i najprzedniejszy rycerz królestwa, za pomocą starannie uknutej intrygi próbuje przejąć władzę. Pierwszy krok to osłabienie i zniszczenie Korpusu Zwiadowców, elitarnych sił specjalnych, oczu i uszu całego królestwa, najpotężniejszej grupy wspierającej obecnie panującego króla. Od kilku lat Morgarath snuje intrygi, wreszcie doprowadza do fałszywych oskarżeń pod adresem starszych członków Korpusu, którzy w następstwie muszą porzucić stanowiska i uciekać z kraju. Morgarath zastępuje ich własnymi popiecznikami.

Baron ma rozległe wpływy w królestwie, cieszy się też zaufaniem starego króla Oswalda. Wmawia mu, że następca tronu, książę Duncan, próbuje go zabić. Oswald znajduje schronienie na Zamku Gorlan. Z czasem gościna przyjmuje coraz wyraźniejsze formy opresji – i okazuje się zwykłym więzieniem.

Crowley, niedawno mianowany zwiadowcą, wyszkolony zgodnie z odwiecznymi zasadami pod okiem starego mistrza, imieniem Pritchard, nie ma najmniejszych złudzeń co do intencji Morgaratha. Krótco po spotkaniu z Haltem postanawia zreformować Korpus. Zamierza zgromadzić wokół siebie kilku członków dawnej grupy, nadal mieszkających w królestwie, i poszukać wsparcia księcia Duncana. Crowley odkrywa, że Halt również pobierał nauki u Pritcharda, który jako jeden z pierwszych zwiadowców musiał opuścić kraj z powodu Morgaratha.

Halt postanawia pomóc Crowleyowi w odnalezieniu księcia Duncana. Razem wyruszają w drogę – a ludzie Morgaratha bezustannie depczą im po piętach.





**P**adało od tygodnia.

Nie był to mocny deszcz, ale za to stały, uporczywy, przenikający, który wreszcie pokonał ochronną warstewkę tłuszczu w wełnianych pelerynach i nasycił tkaninę wodą, aż zrobiła się ciężka i mokra.

I zimna.

Również tej nocy Halt i Crowley obozowali w lesie. Halt tłumaczył, że powinni unikać wszelkich osad ludzkich do czasu, aż zdobędą pewność, że znaleźli się poza strefą wpływów Morgaratha. Crowley początkowo się zgodził, w końcu Halt zdążył zdobyć większe doświadczenie jako uciekinier. Teraz jednak Crowley wcale nie był taki pewien, czy słusznie postąpił.

Siedzieli pod kawałkiem prostokątnego impregnowanego brezentu, który rozpięli między czterema drzewami pod kątem, tak by spływał z niego deszcz. Ziemia również była mokra, więc zrobili niskie posłania: na prostokątnej ramie z gałęzi ułożyli krótsze poprzeczne gałęzie, na nich zaś liściaste gałązki, które tworzyły coś w rodzaju materaca. Każdego ranka rozbierali posłania, dłuższe gałęzie wiązali razem i zabierali ze sobą

Kilka metrów dalej stały konie, tuliły się do siebie, grzejąc wzajemnie, zwrócone tyłem do deszczu i wiatru.

Halt zadygotał i mocniej otulił się peleryną. Kiedy się poruszył, z kaptura ściekła strużka wody, wylądowała na jego nosie, spłynęła po grzbiecie i skropiła się na końcu. Crowley zaśmiał się na ten widok.

Halt zwrócił na niego oskarżycielskie spojrzenie.

– Co cię tak bawi? – spytał lodowatym tonem.

Crowley, również skulony pod peleryną, kiwnął głową w stronę przyjaciela.

– Siedzisz taki pokurczony, kapie ci z nosa jak jakiemuś staruszkowi – powiedział. Niestety, gwałtowny ruch sprawił, że również z jego kaptura spłynął strumyk wody.

– Bawi cię, że przemokłem do suchej nitki i zaraz umrę z zimna? – spytał Halt.

Crowley już chciał wzruszyć ramionami, ale uświadomił sobie, że ten ruch może wywołać kolejny wodospad.

– No, może nie bawi. Ale z pewnością odwraca uwagę.



Halt przekręcił głowę w bok – bardzo ostrożnie – by spojrzeć na Crowleya.

– A od czegoż to niby ów widok odwraca twą uwagę? – spytał z wielką dbałością o styl. Kiedy Halt był w złym humorze, zawsze bardzo dbał o styl.

– Od faktu, że ja również siedzę tu zmarznięty, przemoczony i nieszczęśliwy i woda ścieka mi po nosie – odparł Crowley.

Po namyśle Halt zapytał:

– Jesteś nieszczęśliwy?

Crowley przytaknął, wywołując kolejny wodospad.

– Całkowicie.

– To mi dopiero zwiadowca – stwierdził Halt. – Sądziłem, że zwiadowcy w imię obowiązku znoszą wszelkie niedogodności z uśmiechem na ustach i pieśnią w sercu. Nie przypuszczałem, że zdarza im się płakać i narzekać na swój ciężki los.

– Nawet jako zwiadowca mam prawo skarżyć się na niewygody. Poza tym zaledwie kilka minut temu byłem wesoły i śmiałem się radośnie. – Crowley wzdrygnął się i ciaśniej opatulił peleryną, co sprawiło, że znów pociekły z niej strumienie wody. – Te ubranka świetnie się sprawdzają do pewnego momentu. Ale jak tylko przesiąkną wodą, są fatalne. Chyba lepiej byłoby nie mieć nic na sobie.

– Gdybyś nie miał nic na sobie, szybko zauważyłbyś różnicę – odparł Halt.

Crowley mruknął coś w odpowiedzi, a potem zapadła cisza, w której tylko nieprzerwanie bębnił deszcz i od czasu do czasu koń uderzał kopytem o ziemię.

Tego dnia również czekał ich zimny obiad. Powietrze było przesycone wilgocią i Halt za nic nie zdołałby skrzesać ognia za pomocą krzemienia, nawet pojedynczej iskry, która rozpaliby hubkę. A gdyby nawet się udało, i tak nie mieli suchego drewna. Zwykle w czasie podróży wozili ze sobą odpowiedni zapas drobnych gałązek na podpałkę, ale dwa dni wcześniej się skończyły.

Szkoda, pomyślał Halt. Nawet niewielkie ognisko dostarczyłoby odrobiny ciepła, a sam widok płomieni podziałałby krzepiąco. Sięgnął po zawiniątko, leżące obok na pościeli, i wyjął kawałek suszonej wołowiny. Odgryzł kęs i zaczął metodycznie przeżuwać. Szczęki wytrwale pracowały na twardym jak kamień mięsie. Pomyślał, że takie ćwiczenie może przynajmniej trochę go rozgrzeje. Wymagało całkiem sporego wysiłku. Powoli dymny posmak wypełnił mu usta. I nagle Halt uświadomił sobie, jaki jest głodny i jak niewiele będzie miał w najbliższym czasie okazji, by się porządnie najeść.

Zaczerpnął głęboko tchu i powoli wypuścił powietrze. Być głodnym i zmarzniętym, to wystarczająco okropne. Podobnie jak przemokniętym. A te trzy rzeczy naraz – właściwie są nie do zniesienia.

– Tak pomyślałem... – zaczął Crowley, zawieszając głos.

Halt potrząsnął głową.

– Szkoda, że nie mam nic do pisania, by uwiecznić tę doniosłą chwilę.

Crowley uniósł brew, spoglądając w jego kierunku. Ten ruch przynajmniej nie wywołał kolejnego wodospadu. Dla pewności uniósł również drugą brew. Żadnych wodospadów. Opuścił obie brwi.

– Pomyślałem, że zapewne przekroczyliśmy granicę lenna Gorlan – podjął.

W odpowiedzi Halt wydał bliżej nieokreślone mruknięcie.

Crowley uznał je za sygnał zachęcający do rozwinięcia tej teorii.

– Rzeka, którą przekroczyliśmy dzisiaj po południu, to prawdopodobnie rzeka Crowsfoot, stanowiąca granicę między lennami Gorlan i Keramon.

– Ale – zauważył Halt – równie dobrze mogła to być Rzeka Łososiowa, która, jak przypominam sobie z mapy, jeszcze znajduje się na terenie Gorlanu.

Crowley potrząsnął głową.

– Rzeka Łososiowa jest znacznie węższa i ma szybszy nurt. Poza tym płynie dalej na zachód, bliżej lenna Redmont. A więc to nie może być ona, chyba że mocno zboczyliśmy z kursu.

– Hm, to ty wyznaczasz kurs – rzucił Halt.

Crowley posłał mu zranione spojrzenie.

– Przyznaję, nie jestem doskonały w kwestiach czytania mapy i orientacji w przestrzeni. Ale raczej nie zdarza mi się zboczyć z kursu o całe dwadzieścia czy trzydzieści kilometrów!

– Raczej oznacza, że czasem jednak się zdarza – zauważył Halt. Ale Crowley nie zamierzał tak łatwo się poddać.

– Nie tym razem. Poza tym, jak wspomniałem, Łososiowa jest węższa i bystrzejsza.

Halt postanowił ustąpić.

– A więc, jeśli masz rację, do czego zmierzasz?

Crowley przesunął się, poczuwszy strumyk zimnej wody pod peleryną. Halt miał rację, przesiąknięta wilgocią tkanina nie należała do najprzyjemniejszych okryć na świecie, ale mimo wszystko chroniła ciało przed deszczem – i utrzymywała je w jakimś ciepłym otoczeniu.

– Zmierzam do tego, że jeśli znajdujemy się poza granicami lenna Gorlan, możemy poszukać gospody i spędzić kilka nocy pod dachem.

– Sądzisz, że Morgarath zatrzyma się na granicy?

Crowley wysunął dolną wargę.

– Może Morgarath nie – przyznał. – Ale jeśli posłał za nami swoich ludzi, a nie wiemy nawet, czy to zrobił, to prawdopodobnie postanowią oni zawrócić na granicy. Szczególnie przy tej pogodzie. Na pewno nie są nią bardziej zachwyceni niż my.

– Możliwe – zgodził się Halt. – Masz na myśli jakieś konkretne miejsce?

Crowley przytaknął. Zanim zrobiło się ciemno, pilnie przestudiował mapę.

– Jest taka wieś, Woolsey, leży na uboczu, jakieś dziesięć kilometrów stąd. Na tyle duża, że powinna znaleźć się tam gospoda czy zajazd. A jeśli nie, możemy poszukać noclegu u kogoś z mieszkańców.

Halt zastanawiał się w milczeniu nad propozycją. Nagle Crowley, uświadomiwszy sobie pewien szczegół, dodał:

– Oczywiście, potrzebujemy pieniędzy. Zwykle podczas podróży płacę za pomocą pokwitowań, którymi posługują się zwiadowcy. Ale teraz nie możemy tak zrobić.

Przed wyprawą zdecydowali, że Crowley powinien ukrywać swoją tożsamość. Ludzie Morgaratha na pewno szukali zwiadowcy, podróżującego samotnie, bo Morgarath zapewne jeszcze nie wiedział o Halcie. Crowley zrezygnował więc z maskującej peleryny i nosił prosty wełniany płaszcz w ciemnoszarym kolorze, Halt zaś – ciemnozielonym. Oba dobrze wtapiały się w otoczenie, a przy tym nie zdradzały tożsamości właściciela tak jak cętkowane peleryny zwiadowców.

– Ja mam pieniądze – odparł Halt. Crowley spojrział na niego z wyraźną ulgą. – Ale hibernijskie. Nie wiem, czy właściciel zajazdu je przyjmie.

– Są złote? – spytał Crowley, a kiedy Halt przytaknął, dodał: – To przyjmie.

– Doskonale. W takim razie jutro kierujemy się na Woolsey. Wreszcie wysuszymy broń i ubrania. Koniom też dobrze zrobi, jeśli spędzą parę nocy w stajni.

– Albo i tydzień? – zasugerował optymistycznie Crowley.

Halt spiorunował go wzrokiem – zza kurtyny spływających z kaptura strumyków.

Crowley wzruszył ramionami.

– Parę nocy też brzmi nieźle.

– Chodźmy spać – powiedział Halt, ziewając. To był długi dzień. Halt już się cieszył na myśl o suchym łóżku w gospodzie. A na razie ułożył się na posłaniu z gałęzi, po czym, drżąc z zimna, opatulił się przemoczonym płaszczem i naciągnął kaptur nisko na twarz. Podmuch wiatru zatrzęsł brezentem, z trzech boków prowizorycznego namiotu spłynęły strugi wody. Halt znów się wzdrygnął.

– Do licha z ludźmi Morgaratha – mruknął. – Jutro chcę siedzieć przy trzaskającym ogniu.

– I zajadać gęstą potrawkę z wołowiny – dorzucił Crowley stłumionym głosem.

– Tak, gęstą potrawkę z wołowiny – zgodził się Halt.



**D**otarli do Woolsey późnym popołudniem. Deszcz zmienił się w mżawkę, ale wciąż nie dawał za wygraną.

Wjechali na jedyną ulicę, prowadzącą przez wieś. Konie wytrwale brnęły przez grubą warstwę błocka. Za każdym razem, kiedy zagłębiały kopyta w lepłą mokrą breję, a potem je z niej wrywały, rozlegał się mlaszczący chlupoczący dźwięk.

Crowley wskazał na budynek, stojący mniej więcej pośrodku, górujący wielkością nad pozostałymi. Był to jedyny piętrowy budynek w całej wsi. Nad wejściem skrzybiał na wietrze malowany szyld.

Crowley zmrużył oczy.

– „Żółta Papuga”. Brzmi wesoło.

– Co jest wesołego w żółtej papudze? – spytał Halt, rzucając mu kolejne spojrzenie z ukosa.

Crowley zamyślił się nad odpowiedzią. W rzeczywistości nie miał nic specjalnego na myśli, tak tylko mu się powiedziało – ale nie zamierzał się do tego przyz-nawać.

– Cóż – odparł wreszcie. – Papugi to bardzo wesołe istoty. Mówią, jak zapewne ci wiadomo. Powtarzają różne zdania, na przykład: „Polly chce herbatnik”. Albo: „Kto jest najładniejszy na świecie?”. I są kolorowe, rozjaśniają szarą rzeczywistość.

– Co jest zabawnego w ptaku, proszącym o herbatnik? Albo twierdzącym, że jest ładny? W końcu ptak nie rozumie, co mówi, prawda?

– Wie, że chce herbatnik – odparł Crowley. – To znaczy, kiedy mówi te słowa, a ty dasz mu herbatnik, to zje herbatnik, zgadza się? Tak więc najwyraźniej ptak wie, co mówi.

Halt wstrzymał konia i spojrzał na towarzysza. Crowley również ściągnął wodze.

– Zawsze jesteś tak nieznośnie radosny? – zapytał Halt.

– Chyba tak – przyznał Crowley. – A ty zawsze masz w podróży taką minę, jakby wisiąca ci nad głową wielka czarna chmura? – Lubił Halta, chociaż znali się od niedawna. Musiał jednak przyznać, że Hibernijczyk to straszny ponurak.

– Coś ty powiedział? – spytał Halt.

Crowley uświadomił sobie, że mimowolnie wypowiedział ostatnie słowa na głos. Prędko potrząsnął głową, rozpryskując dokoła fontannę kropel.

– Nic nie mówiłem.

Ale Halt nie spuszczał z niego morderczego wzroku.

– Nazwałeś mnie ponurakiem – rzucił oskarżycielsko.

Crowley wzruszył ramionami.

– W tym kraju to takie pieśzczośliwe określenie. – Wcisnął piętę w końskie boki. Wierzchowiec posłusznie ruszył przed siebie. Chlip, chlup, chlip, chlup, chlip, mówiły kopyta.

Halt popędził własnego konia, by dogonić zwiadowcę. Błoto i woda trysnęły wysoko w górę. Uświadomił sobie, że faktycznie od pewnego czasu czuje się trochę nie w sosie. Upatrywał przyczyny tego stanu w tym, że od kilku dni jego łuk tkwił w wodoodpornym skórzanym futerale. Wilgoć źle działa na cięciwę, zmniejsza jej sprężystość, może wręcz doprowadzić do tego, że łuk stanie się nie do użytku. A Halt zawsze był w kiepskim humorze, kiedy znajdując się na obcym terenie, miał utrudniony dostęp do broni. Czuł się przez to słaby i wystawiony na ciosy, a to z kolei nieuchronnie wywoływało w nim stan poirytowania.

Nagle pośród woni deszczu i mokrej ziemi wyczuł słaby zapach dymu. Podniósł głowę i zobaczył krętą smużkę, unoszącą się z komina. Przygnieciona deszczem i wiatrem, pełgała zaledwie na parę metrów ponad dachem.

– To znacznie weselszy widok niż żółta papuga – stwierdził.

Crowley już zdążył zeskoczyć na ziemię. Przywiązał konia do metalowego kółka, umieszczonego przy drzwiach, zczekał na Halta i razem weszli do środka, schylając się w niskim przejściu.

Panujące w środku ciepło cudownie kontrastowało z mokrym zimnem na zewnątrz. Gospoda mieściła się w obszernym pomieszczeniu o niskim stropie. Naprzeciwko drzwi znajdował się bar, którego funkcję spełniała deska, umieszczona na stojących pod ścianą beczkach. Z tyłu, po obu stronach, stały kolejne beczki, we wszelkich rozmiarach, jedne na drugich, w ten sposób, żeby kraniki były łatwo dostępne dla oberżysty i podających do stołu dziewcząt. Było sporo gości, głównie mężczyzn. Crowley przypuszczał, że to miejscowi farmerzy i pracownicy najemni, którzy schronili się przed paskudną pogodą. Na widok nowo przybyłych zamilkli, ale po chwili znów rozległ się gwar rozmów i wszyscy skupili się na piwie i zawartości talerzy.

Na końcu pomieszczenia znajdowało się palenisko, a nad nim rożen, na którym piekły się kaczki, o skórce lśniącej od tłuszczu, z sykiem kapiącego na węgle. Oberżę wypełniał smakowity zapach pieczeni, dobrego piwa i dymu, który krążył pod niskim stropem – widać komin nie do końca spełniał należną mu funkcję.

Halt i Crowley przeszli między stołami i podeszli do baru. Oberżysta zmierzył ich baczny spojrzeniem.

Pomyślał, że to pewnie drwale, może myśliwi. Na pewno nie żołnierze. Żołnierze w tej okolicy mogli oznaczać kłopoty, przekonał się o tym nie raz w ciągu kilku ostatnich lat. Często brali bez pytania, co im się podobało, bywali głośni i roszczeniowi, tyranizowali mieszkańców wsi i tworzyli nieprzyjemną atmosferę. A po wypiciu większej ilości trunków lubili wszczynać awantury.

Żołnierze oznaczali kiepski interes.

Stwierdziwszy, że przybysze nie stanowią zagrożenia, zabrał rękę z ciężkiej nabijanej ćwiekami pałki, którą trzymał pod kontuarem i sięgnął po dwa kufle wiszące nad jego głową.

– Piwa, przyjaciele?

Obaj kiwnęli głowami, a rudowłosy powiedział:

– Byłoby niezmiernie miło. – Poluźnił pelerynę i odrzucił kaptur na plecy. Pod wpływem ciepła materiał zaczął parować.

– Potrzebujemy też pokoju. Z kominkiem – odezwał się ten z ciemną brodą. Mówił z przyjemnym śpiewnym akcentem, którego karczmarz nie potrafił zidentyfikować. Oberżysta postawił na kontuarze dwa kufle, pełne spienionego piwa. Przybysze unieśli je od ust. Rudy mlasnął z uznaniem.

– Dobre piwo – powiedział, a oberżysta skłonił głowę w podzięce.

– Słynę z niego – powiedział. A potem zawrócił się do brodatego: – W żadnym z pokoi na górze nie ma kominka. – Obcy lekko zmarszczył brwi, wyraźnie rozczarowany. – Ale na tyłach jest przybudówka z paleniskiem i osobnym wejściem, z dziedzińca stajennego.

Wyraz rozczarowania znikł z twarzy przybysza.

– Brzmi doskonale. – Po namyśle Halt musiał stwierdzić, że rzeczywiście tak jest. Osobne wejście, niewidoczne od strony ulicy i karczmy, zapewniało prywatność i bezpieczeństwo – w razie gdyby zjawili się ludzie Morgaratha.

Ustalili cenę. Halt poprosił o jeden nocleg, ale na widok miny Crowleya zdecydował się na dwa.

– Przez jedną noc nie zdążylibyśmy wysuszyć ubrań – zauważył Crowley. Halt musiał przyznać mu rację.

Oberżysta, świadom, że przy tej pogodzie nie ma co liczyć na zbyt wielu gości, zaproponował, że wliczy w cenę posiłki. Dobili targu.

– Możecie zaprowadzić konie do stajni – dodał. – Miejsca starczy.

Halt dopił piwo i postawił kufel na kontuarze.

– Zaprowadźmy je od razu i wytrzymajmy do sucha – powiedział. Nie lubił zostawiać konia bez opieki, szczególnie po długiej podróży na deszczu i w zimnie.

– Mogą zaczekać dwie minuty, aż dokończymy piwo – zauważył Crowley.

Halt popatrzył na niego, unosząc brwi.

– Dokończysz piwo w dwie minuty?

Crowley spojrział na wielki, niemal pełen kufel w swojej dłoni.

– Nawet w jedną – odparował. – Wolałem zachować margines bezpieczeństwa.

Dopił i niechętnie wyszedł z Haltem na podwórze. Wprowadzili konie przez bramę, a potem do krytego wysokim dachem budynku, w którym mieściła się stajnia. W środku było czysto oraz przewiewnie i stało tam tylko jedno zwierzę – muł, który popatrzył na nich z umiarkowanym zainteresowaniem. Rozsiodłali konie, wytarli je do sucha za pomocą czystej słomy, a potem wprowadzili do dwóch sąsiadujących ze sobą zagród. Crowley napełnił żłoby sianem, a Halt poszedł po wodę na podwórze. Wracając, zauważył, że woda w wiadrze muła sięga tylko do połowy, a w dodatku jest mętna i zielona. Z westchnieniem zdjął wiadro z kołka i jeszcze raz poszedł do studni.

Kiedy wrócił, zauważył, że Crowley patrzy na niego z szerokim uśmiechem na twarzy.

– Co znowu? – spytał Halt z irytacją.

– Udajesz, że taki z ciebie naburmuszony ponurak – odparł Crowley – a tu proszę, chodzisz po świeżą wodę dla muła, którego wcześniej nie widziałeś na oczy. Naprawdę potrafisz mnie rozbawić.

– Zawsze do usług. Chociaż zdaje się, że nie jest to takie trudne.

Halt jeszcze raz obejrzał konia i rząd. Zauważył, że derka spod siodła wisi nierówno, więc ją wygładził, by szybciej schła. Potem, wskazując kciukiem drzwi, zaproponował:

– Chodźmy zobaczyć, jak wygląda nasz pokój.

Zabrali sakwy i futerały z łukami i ruszyli przez błotniste podwórze w stronę przybudówki przyklejonej do tylnej ściany zajazdu. Kiedy weszli do środka, poczuli miłe zaskoczenie. Pokój był całkiem spory, miał dobrą cyrkulację powietrza, ściany zbudowano z solidnych belek i uszczelniono wszelkie szpary za pomocą gliny i zaprawy. Ogień już buzował na palenisku umieszczonym w tylnej części – kiedy byli w stajni, właściciel zajazdu wysłał do przybudówki jedną ze służących i teraz w pomieszczeniu panowało przyjemne ciepło, a żółte migotliwe płomienie rozświetlały wnętrze przytulnym blaskiem.

Crowley podszedł do ognia i potarł dłonie.

– Trzeba przyznać, że mieliśmy szczęście – powiedział z uznaniem.

Halt kiwnął głową.

– Owszem, bywałem w gorszych miejscach.

Crowley pokręcił głową i posłał mu szeroki uśmiech.

– Oszłamiasz mnie swym bezgranicznym entuzjazmem.

Halt, stwierdziwszy, że miejsce rzeczywiście jest bardzo przyjemne, pomyślał, że mógłby zareagować nieco bardziej wylewnie i mruknął coś pod nosem.

W pokoju stały dwa łóżka, na każdym z nich leżał gruby wełniany koc i wypchana sianem poduszka. Prześcieradeł brakowało, ale w porównaniu z posłaniami z gałęzi, na których spali przez kilka ostatnich nocy, i tak był to prawdziwy luksus. W nogach leżały złożone lniane ręczniki, a na stoliku ustawiono miskę i spory dzban z wodą.

Prócz tego przy palenisku stały dwa fotele oraz niewielki stolik i trzy krzesła.

Zdjęli peleryny i rozwiesili je na oparciach foteli, by szybko wyschły, następnie to samo zrobili z kaftanami i koszulami. Po chwili wilgotne ubrania zaczęły parować, a pomieszczenie wypełnił zapach mokrej wełny.

Obaj mieli zapasowe suche koszule – chociaż słowo „suche” nie do końca odpowiadało rzeczywistości. Koszule były lekko wilgotne, podobnie jak wszystkie inne rzeczy. Ale kiedy również powisały przy ogniu przez kilka minut, zrobiły się całkiem znośne.

Halt zawiązał koszulę pod szyją, po czym włożył szeroki skórzany pas, przy którym nosił przytroczone noże: saksoński i do rzucania, każdy na jednym biodrze. Powiódł wzrokiem dokoła. Całą powierzchnię pokoju zajmowały suszące się ubrania.

– No, trzaskający ogień zaliczyliśmy – stwierdził. – Teraz czas na gęstą potrawkę z wołowiny.



Gęstej potrawy z wołowiny nie było. Ale był gęsty gulasz z baraniny – wielkie kawałki smakowitego mięsa w warzywnej zupie. I świeży chleb z chrupiącą skórką do zagarnięcia resztek. Zamówili jedzenie i kolejne piwa, by skrócić sobie czas oczekiwania.

– Usiądźcie – powiedział oberżysta, zataczając dłonią szeroki łuk. – Millie poda wam jedzenie.

Nie konsultując się ze sobą, obaj ruszyli w kierunku stolika w głębi pomieszczenia, pod samą ścianą. Stamtąd mogli obserwować wejście, jednocześnie sami pozostając niewidocznymi dla nowych gości i skutecznie skrytymi w mroku – stolik stał dość daleko od paleniska i dobrych kilka metrów od najbliższej lampy.

Halt zwykle starał się nie rzucać w oczy – weszło mu to w krew. Przez kilka miesięcy podróżował przez Hibernię, ukrywał się i unikał spotkania z grupami żołnierzy, których posłał za nim jego brat bliźniak. Crowley przeszedł szkolenie zwiadowcy, więc Halt przypuszczał, że również woli pozostawać w cieniu. Pritchard nauczył go, że zwiadowcy starają się nie wyróżniać z tłumu, zawsze próbują się wtopić w otoczenie.

Millie, dziewczyna o przyjemnej powierzchowności, w wieku około dwudziestu pięciu lat, przyniosła miski pełne gulaszu i dwie drewniane łyżki. Na tacy leżały również chleb, nóż i niewielkie naczynie pełne gęstego żółtego masła.

Crowley spróbował zupy i uśmiechnął się z zadowoleniem.

– O, dobre!

Halt poszedł za jego przykładem i zgodnie kiwnął głową. Zupa była gorąca i gęsta, jej ciepło zdawało przenikać całe zmęczone i zmarznięte ciało. Halt miał wrażenie, że ciepła fala sływa nawet w dół lodowatych i obolałych nóg.

Nagle dotarło do nich, jacy są głodni. Przez tyle dni musieli się zadowalać zimnym jedzeniem, w dodatku w bardzo skromnych racjach, więc teraz z zapałem zabrali się za opróżnianie misek. Poziom zupy zaczął gwałtownie opadać. Millie, przechodząc, wskazała na niemal puste naczynia.



– Dokładkę? Wliczone w cenę.

Crowley szybko wyskrobał miskę i wepchnął łyżkę do ust, po czym podał miskę dziewczynie, z zapalem kiwając głową.

– Mmmm. Tak, ffoszę – wymamrotał.

Millie uśmiechnęła się, zabrała naczynie, po czym spojrzała pytająco na Halta.

– A ty?

Potrząsnął głową. Jego miska była zapełniona w jednej czwartej, uznał, że to wystarczy.

– Ja dziękuję.

Dziewczyna wskazała na kufel.

– A piwa?

Tym razem obaj zgodnie i bez namysłu pokręcili głowami.

– Wystarczy – odparł Crowley. – Dziękujemy. – Uśmiechnął się, a dziewczyna również odpowiedziała uśmiechem, zerkając na niego z zainteresowaniem. Był przystojnym młodym człowiekiem, z wesołym łobuzerskim błyskiem w oku.

Millie spojrzała na jego towarzysza. Pomyślała, że ten to zupełnie inna kategoria. Oczywiście miał ciemne, głęboko osadzone pod również ciemnymi brwiami, ciemną brodę i bardzo szczupłą twarz. Emanował czymś niepokojącym, chociaż ona nie czuła z jego strony bezpośredniego zagrożenia. Raczej musiał się go obawiać każdy, kto miałby ochotę wejść mu w parady.

Uświadomiła sobie, że uśmiech jej zrzędł i prędko to naprawiła. Wiedziała, że powinna zachowywać się profesjonalnie i uśmiechać się do wszystkich gości, również tych, którzy nie wyglądają zbyt przyjaźnie. Ruszyła w kierunku drzwi do kuchni, z miską Crowleya w rękę.

– Zaraz przyniosę gulasz – rzuciła.

Kiedy była w połowie drogi, nagle z hukiem otworzyły się drzwi wejściowe, do środka wpadł zimny mokry podmuch, wiszący pod sufitem dym niespokojnie zafalował. Do gospody wkroczył przysadzisty mężczyzna. Od razu było widać, że to ktoś bardzo nieuprzejmy i arogancki.

Zapadła cisza, wszystkie oczy skierowały się w stronę wejścia. Zapanowała dziwnie ciężka atmosfera, napięta i nieufna.

Nowy gość z pewnością nie był farmerem ani pracownikiem najemnym. U boku nosił miecz, a kiedy odgarnął czarną pelerynę, ukazał się również czarny skórzany kasak, ozdobiony złotą błyskawicą, biegnącą od prawego ramienia do lewego biodra. Głowę okrywała obcisła skórzana czapka, ozdobiona takim samym emblematem. Na nogach miał wysokie buty jeździeckie – znów z czarnej skóry, włożone na spodnie. Obcasy zastukały głośno o podłogę, kiedy przybysz zrobił kilka kroków w głąb pomieszczenia, zatraskując za sobą drzwi. Powiódł wzrokiem dokoła, przyjrzał się twarzom czternastu gości, siedzących przy stołach, właścicielowi i dwóm dziewczynom za barem.

Wyczuwał niechęć zebranych, ale najwyraźniej nic sobie z tego nie robił. Pewnie przywykł, że zawsze wywołuje nieprzyjemną atmosferę, pomyślał Halt. Lewa dłoń nowo przybyłego spoczęła na rękojeści miecza – jakby chciał wszystkim przypomnieć, że jest uzbrojony.

Crowley pochylił się w stronę Halta i powiedział słumionym głosem:

– Czerni i złoto. Kolory Morgaratha.

Halt kiwnął głową. Wiedział o tym, dzięki wizycie w Zamku Gorlan.

W końcu oberżysta przerwał niezręczną ciszę.

– Czym mogę służyć, wędrowcze? – spytał przyjaźnie. Twarz mężczyzny skrzywiła się wzgardliwie.

– Kapitanie – poprawił. – Jestem kapitan Teezal, w służbie lorda Morgaratha.

Czekał, aż oberżysta naprawi swój błąd, ale nic podobnego nie nastąpiło.

– I? – spytał ten spokojnie. On z kolei czekał, aż żołnierz wyjawi, w jakiej sprawie przychodzi. Teezal skrzywił się jeszcze mocniej. Przywykł budzić służalczy szacunek u osób, które uznawał za stojące niżej w hierarchii – czyli większość wszystkich spotykanych osób. Nie zauważył jednak u oberżysty żadnych oznak służalczości, był więc zmuszony mówić dalej.

– I – odparł, sarkastycznie akcentując to słowo – szukam dwóch zbuntowanych zwiadowców. Przesiępców, którzy złamali prawa, ustanowione przez lorda Morgaratha.

– To jest lenno Keramon – zauważył oberżysta. – Tutaj panuje baron Cortell. Władza barona Morgaratha tu nie sięga.

– Ci dwaj obrazili lorda Morgaratha. Jestem pewien, że Cortell chętnie by pomógł w schwytaniu tych ludzi.

Oberżysta wzruszył ramionami.

– Z pewnością lord Cortell tak właśnie by postąpił, gdyby ci ludzie tu byli. Ale ich nie ma.

Teezal rzucił mu mordercze spojrzenie, przez chwilę otwierał i zaciskał dłoń na rękojeści miecza.

– Masz jakichś gości w zajeździe? Przejeżdżali tędy jacyś podróżni?

Halt dyskretnie powiódł wzrokiem po sali i dostrzegł, że kilka osób mimowolnie popatrzyło w stronę ich stolika. Na szczęście Teezal skupił całą uwagę na oberżystce – który potrząsnął głową i odparł:

– Nie. Sami miejscowi.

Goście prędko odwrócili wzrok. Widać oberżysta cieszył się w Woolsey sporym poważaniem.

– Rozejrzę się trochę – powiedział Teezal.

Oberżysta wzruszył ramionami.

– Bardzo proszę. Ale tu nie ma żadnych zwiadowców, zbuntowanych czy niezbyt buntowanych. Hm, zastanawiające – dodał. – Nigdy nie słyszałem o zwiadowcach-buntownikach.

Teezal, który już zdążył się odwrócić, jeszcze raz spojrzął na mężczyznę.

– Obrazili lorda Morgaratha i złamali przysięgę. I zranili kilku z jego oficerów. W rezultacie wyrzucono ich z Korpusu. Mamy niebezpieczne czasy, nielojalność należy karać.

Oberżysta zrobił ręką odpowiedni gest wyrażający uległą zgodę.

– Ależ naturalnie – odparł. – Rozejrzyj się, skoro uważasz, że to konieczne.

Teezal popatrzył mu prosto w oczy, jakby chciał go zmusić do spuszczenia wzroku. On jednak spokojnie odpowiedział na jego spojrzenie. Wiedział, że w obecności takich ludzi lepiej zachowywać się pewnie i odważnie. Najdrobniejsza oznaka słabości czy wahania mogłaby jedynie wzmóc arogancję i wzgardliwą postawę Teezala.

W końcu Teezal odwrócił wzrok i zaczął przechadzać się między stolikami, uważnie przyglądając się siedzącym przy nich gościom. Byli tam sami mężczyźni – nie licząc

usługujących dziewczyn. Obcasy Teezala głośno stukwały o podłogę. Powoli przesunął się po sali, od czasu do czasu przystając, by przyjrzeć się komuś dokładniej. Ale wszyscy zdecydowanie wyglądali na farmerów czy najemnych pracowników. Nosili typowe luźne bluzy i zabłocone buty robocze, niektórzy – filcowe kapelusze, które utraciły kształt w ciągu wielu lat użytkowania w słońcu i deszczu.

Po inspekcji Teezal odchrząknął z niezadowoleniem.

Ale nagle zauważył dwóch mężczyzn, siedzących w głębi sali, poza kręgiem świateł. Prędko ruszył w ich stronę, raz po raz otwierając i zaciskając dłoń na rękojeści miecza. Zatrzymał się kilka metrów od stolika, sięgnął po zwisającą z sufitu lampę olejową i odwrócił ją tak, by blask padł bezpośrednio na nich.

Od razu było widać, że nie są farmerami. Mieli na sobie kubraki ze skóry i wełniane spodnie wetknięte w wysokie skórzane buty. Na szczęście, peleryny bezpiecznie wisały na oparciach krzeseł w przybudówce koło stajni. Choć uszyte z gładkiej tkaniny, mogłyby wzbudzić podejrzenia. Łuki i kołczany również, rzecz jasna, zostały w pokoju. Nic w wyglądzie Halta i Crowleya nie zdradzało, że są zwiadowcami.

– Imiona? – rzucił Teezal.

Crowley posłał mu rozbrajający uśmiech.

– Morris – odparł. – William Morris z Keramon.

– Arratay – dodał prędko Halt. Pomyślał, że lepiej nie mówić za dużo, by nie zdradził go hibernijski akcent. Crowley widocznie domyślił się jego strategii, bo wziął na siebie ciężar konwersacji.

– Jesteśmy leśnikami, na służbie barona Cortella – powiedział przyjaźnie. Cieszył się, że oberżysta chwilę wcześniej wymienił imię lokalnego władcy.

Teezal prychnął.

– Leśnikami? Eleganckie określenie na zwykłych kłusowników.

Crowley wzruszył ramionami. Nie miał zamiaru odpowiadać na takie zarzuty.

Teezal poczekał kilka sekund na reakcję. Ale ponieważ nie nastąpiła, odwrócił się raptownie, puszczając lampę, która zakołysała się mocno w przód i w tył, śląc dokoła szeroki łuk światła.

Ruszył do wyjścia, znów mocno stukając obcasami. Cała jego postać tchnęła wielkim niezadowoleniem. Pchnął drzwi, ale jeszcze zawrócił.

– Będę w okolicy – powiedział ostrym tonem. – Jeśli ktoś zobaczy tych dwóch renegatów, niech się do mnie zgłosi.

Odpowiedziała mu cisza. Jeszcze raz powiódł wzrokiem dokoła, po czym wyszedł, zatraskując za sobą drzwi. Wszyscy wydali głośne westchnienie ulgi. Po chwili rozległ się gwar rozmów i atmosfera wróciła do normy.

Crowley i Halt podnieśli się i podeszli do baru. Oberżysta nadal patrzył na drzwi, za którymi znikł Teezal.

– Dziękujemy – powiedział Crowley, a potem dodał: – Nie żebyśmy to my byli tymi, których szuka, oczywiście.

– Oczywiście – potwierdził oberżysta z lekkim uśmieszkiem w kącikach warg. – Ale nie jestem winien żadnych przysług Morgarathowi i jego ludziom. Strasznie się ostatnio szarogęsi. Wszyscy mamy go serdecznie dosyć.

- Wyobrażam sobie – powiedział Crowley.
- Oberżysta pokręcił głową z rezygnacją.
- Naprawdę wystarczyłby nam Duncan i jego banda, siejąca zamęt w okolicy.



**H**alt i Crowley mimowolnie zrobili krok w tył na te słowa. Wymienili ukradkowe spojrzenia. Crowley zapytał:

– Duncan? Chyba nie masz na myśli księcia Duncana, królewskiego syna?

Oberżysta popatrzył z nowym zainteresowaniem.

– Dokładnie jego – odparł. – Od kilku miesięcy przebywa na północy z grupą uzbrojonych mężczyzn. Nie chcielibyście spotkać tych typków w ciemnej uliczce.

– I co oni robią? – spytał Halt.

Oberżysta przeniósł na niego wzrok.

– Co im się żywnie podoba. Rabują, plądrują, najeżdżają farmy, rozpędzają bydło. Czasami zostają w jakimś miasteczku czy we wsi na kilka dni i terroryzują lokalnych mieszkańców, żądają jedzenia i picia, i noclegu i w ogóle za siebie nie płacą.

– I biorą wszystko, co najlepsze – dodał jeden z gości, sądząc po wyglądzie, farmer, podnosząc się od sąsiedniego stolika.

– Ale... to przecież królewski syn! – zaprotestował Crowley. – Następca tronu!

– A więc wkrótce będziemy mieć za króla złodzieja i awanturnika – stwierdził oberżysta.

Drugi mężczyzna kiwnął głową.

– Tylko bogowie wiedzą, co stary król o tym sądzi. Na pewno nie jest zachwycony.

– To ten książę, o którym mówiłeś, że służba dla niego to prawdziwy zaszczyt? – zwrócił się do Crowleya Halt.

Crowley potrząsnął głową, wyraźnie oszołomiony.

– Nic... z tego nie rozumiem – powiedział. – Znam Duncana. Przyznaję, nie bardzo dobrze, ale wystarczająco, by wiedzieć, że to do niego niepodobne.

Farmer ze współczuciem pokiwał głową.

– Wiem, co masz na myśli. Jeszcze kilka miesięcy temu słyszałem o nim same dobre rzeczy. Ale teraz... – zawiesił głos.

– Jest coś jeszcze – dodał oberżysta. – Książę wraz ze swymi ludźmi przekroczyli granicę.

– Granicę Picty? – spytał Crowley z niedowierzaniem.

Obaj mężczyźni pokiwali głowami.

– Tak. Rabują i palą, kradną bydło i konie. I zabijają każdego, kto próbuje im się przeciwstawić.

– Ależ to jakiś obłąd! – wykrzyknął Crowley. – Zawarliśmy traktat ze Scottami!

Wiedział, ile czasu i wysiłku zajęło królowi doprowadzenie do tego traktatu. A Duncan brał przecież udział w negocjacjach. Obecne działania księcia – o ile to wszystko było prawdą – mogły zagrozić ledwo co zawartemu pokojowi i sprowokować reakcję w podobnym stylu.

– Zdaje się, że w ogóle go to nie obchodzi – stwierdził oberżysta. – Pewnie zakłada, że kiedy Scottowie zaczną brać odwet, on już będzie siedział bezpieczny za murami Zamku Araluen. To my poniesiemy konsekwencje.

– Nie wierzę w to – powiedział cicho Crowley. – Nie potrafię w to uwierzyć. Po co miałyby to robić?

– Władza – odparł krótko farmer. – Jak człowiek dorwie się do władzy, to zaraz sobie wyobraza, że może robić, co mu się żywnie podoba.

– Ale... Duncan? To nie w jego stylu. Nie mogę w to uwierzyć!

– Już mówiłeś – zauważył farmer. – Ale to prawda.

Crowley zrobił przeproszający gest, bo uświadomił sobie, że mógł niechcący obrazić tego człowieka. Farmer wzruszył ramionami. Rozumiał wzburzenie i konsternację nieznanego.

– Wiadomo, gdzie on teraz jest? – zapytał Halt.

Właściciel spojrzał na jeden ze stolików pośrodku sali. Przez cały czas wszyscy goście uważnie przysłuchiwali się ich rozmowie. Teraz zwrócił się do jednego z nich, krzepkiego siwego mężczyzny:

– Tom? Coś wiesz? W tym tygodniu byłeś pod granicą, prawda?

Mężczyzna kiwnął głową.

– Zgadza się, byłem. Słyszałem, że Duncan i jego ludzie są w Lendsy. Podobno już od kilku dni. Szybko wróciłem. Nie miałem ochoty na nich wpaść.

– Gdzie leży Lendsy? – zapytał Halt.

Oberżysta wydał wargi, po chwili odpowiedział:

– Dzień jazdy stąd. Dłużej, jeśli w strumieniach podniesie się poziom wody i zmyje mosty. Wieś leży na północnym wschodzie, kilka kilometrów od granicy.

Halt przetrawił jego słowa. Położył rękę na ramieniu Crowleya. Zwiadowca zdawał się zupełnie oszołomiony tym, co usłyszał.

– Chodźmy. Musimy porozmawiać. – Halt spojrzał na farmera i oberżystę. – Dziękujemy za informacje.

Oberżysta wzruszył ramionami, a potem powiedział, wyciągając dłoń:

– Nie przedstawiliśmy się sobie. Nazywam się Sherrin.

Halt podał mu swoją.

– Jestem Halt.

Sherrin lekko się uśmiechnął.

– Chyba powiedziałaś Teezalowi, że nazywasz się Arratay czy jakoś tak.

Halt również się uśmiechnął.

– A ty chyba mu powiedziałeś, że nie masz żadnych gości – odparł. A potem odwrócił się i ruszył wraz z Crowleyem do wyjścia. Mieli sporo spraw do omówienia.



W przybudówce było ciepło, nawet trochę duszno, i nadal pachniało parującą wełną. Halt dotknął peleryny rozwieszanej przy ogniu. Materiał był jeszcze wilgotny, ale i tak nastąpiła spora poprawa.

– Do rana wyschnie – stwierdził. – I bardzo dobrze. Bo wtedy już będziemy w drodze.

Początkowo zamierzali zostać w zajeździe na dwie noce. Ale w związku z pojawieniem się Teezala i wieściami, które usłyszeli na temat Duncana, musieli zmienić plany. Crowley zapatrzył się w płomienie. Wyraz twarzy miał surowy i poważny.

– Na pewno zaszła pomyłka – powiedział. – Książę Duncan nie jest złodziejem ani rozbójnikiem. To szlachetny młodzieniec, który z pewnością będzie wspaniałym władcą.

– Pewien mądry człowiek powiedział mi kiedyś: nie wierz niczemu, co słyszysz, póki nie zobaczysz tego na własne oczy.

Crowley spojrzał na Halta.

– Kto tak powiedział? Pritchard? – Rzeczywiście, podobne słowa mogłyby wyjść z ust ich starego nauczyciela.

Halt udawał, że zamyślił się na chwilę, a potem uśmiechnął się i odparł:

– Nie. Chyba ja sam to powiedziałem. Czasem bywam bardzo mądry.

– To nie jest odpowiedni moment na żarty – upomniał go Crowley. – Jeśli to, co usłyszeliśmy, jest prawdą, nasze plany dotyczące odnowienia Korpusu można uznać za skończone. Chciałem otrzymać od Duncana pełnomocnictwo. Jeśli zmienił się w awanturnika, raczej nie będzie skłonny udzielić mi takich uprawnień.

Było mu ciężko na sercu. Do tej pory nie zdawał sobie sprawy, w jaki wielkim stopniu reforma Korpusu zależy od Duncana. Żył swoją wizją przez kilka ostatnich tygodni. A teraz uświadomił sobie, że konflikt z Morgarathem może oznaczać jego koniec jako zwiadowcy. Jeśli Duncan nie przeciwstawi się baronowi, cały plan Crowleya momentalnie upadnie.

– W takim razie proponuję, byśmy ruszyli na północ i sprawdzili, co tam się tak naprawdę dzieje – powiedział Halt. – Chyba że chcesz się od razu poddać.

Ostatnie słowa były, rzecz jasna, prowokacją. Crowley zareagował natychmiast. Spojrzał na Halta, gniewnie marszcząc brwi.

Rudowłosi, pomyślał Halt. Szybko się gniewają i szybko wybaczą.

Z pewnym wysiłkiem Crowley opanował się i odparł:

– Masz rację. Musimy to sprawdzić.



Na śniadanie Sherrin podał gęstą pożywną owsiankę z miodem oraz wielki dzban kawy. Halt wypił trzy kubki, jeden po drugim.

Oberżysta uniósł brwi.

– Szkoda, że nie lubisz kawy – rzucił.

Halt wzruszył ramionami.

– Podczas podróży jesteście skazani na skromne racje żywnościowe i zimną wodę. Nadrabiam zaległości.

Uregulowali rachunek i kilka minut po wschodzie słońca wyruszyli w drogę. Chmury powoli się rozdzielały, odsłaniając wielkie połacie czystego nieba. Zapowiadała się piękna pogoda, więc wyjęli łuki z futerałów, obejrzelni ciężcy i naciągnęli. Czując ciężar broni na lewym ramieniu i łaskotanie strzał na karku, Halt wkrótce odzyskał dobry humor.

Jechali w milczeniu. Nie było sensu dalej dyskutować o Duncanie. Halt wiedział, że każda taka rozmowa może się skończyć tylko w jeden sposób: Crowley znów będzie powtarzał, że nie może w to wszystko uwierzyć. Tak więc żaden z nich się nie odzywał.

Kilka razy musieli jechać objazdem z powodu mostów, które zmyła woda czy brodów, które okazały się zbyt głębokie, by bezpiecznie przejść nimi na drugą stronę. Cała okolica parowała w słońcu. Zrobiło się parno i wkrótce zdjęli peleryny, zwinęli je ciasno i umieścili za siodłami. W południe zatrzymali się na szybki posiłek. Sherrin dał im na drogę świeży bochenek chleba i kilka plastrów wędzonej szynki. Zabrali też trochę suchego drewna. Halt rozpalił ognisko i zagotował wody na kawę.

Rozkoszował się jedzeniem, odbijając sobie poprzednie dni, kiedy byli skazani na czerstwy chleb i twardą suszoną wołowinę. Ale Crowley zdawał się nie zauważać różnicy. Z roztargnieniem skubał jedzenie, kawy właściwie nie tknął. Myślami krążył gdzie indziej.

Wczesnym popołudniem stwierdzili, że są już niedaleko Lendsy. Minęli rozstaje i wjechali do niewielkiej doliny. Kiedy wspinali się na wzniesienie na jej krańcu, Halt uniósł głowę i pociągnął nosem.

– Dym – powiedział. – Czujesz?

Crowley również poniuchał i wzruszył ramionami.

– Widać jesteście prawie na miejscu. Pewnie gotują obiad.

W tym momencie znaleźli się na szczycie wzniesienia, z którego roztaczał się widok na płytka dolinę. Zza kolejnego pagórka wznosił się gruby słup dymu. Halt potrząsnął głową i zmarszczył brwi.

– To nie są kuchenne paleniska – stwierdził. – Pospieszmy się.

Popędził konia do galopu. Nie zamierzał jednak cwałować i męczyć konia, zanim dotrą na miejsce. Crowley jechał kilka metrów za nim. Kopyta głucho dudniły o wilgotną warstwę błota i liści, pokrywającą drogę. Po chwili wjechali gęsiego między drzewa na szczycie wzniesienia i znaleźli się na wąskiej ścieżce.

Na końcu doliny drzewa się przerzedziły i znowu poczuli zapach dymu. Na szczycie wzniesienia Halt ściągnął wodze. Krajobraz składał się z falujących sekwencji dolin i wydłużonych wzniesień. Halt spojrział w dół, w kolejną dolinę rozciągającą się u ich stóp.

Drzewa wykarczowano pod uprawę. Widać było dwie farmy, a za nimi skupisko budynków – zapewne wieś Lendsy. Właśnie stamtąd buchał dym. Kilka domów i jakiś większy budynek, może gospoda, płonęły gwałtownym ogniem.

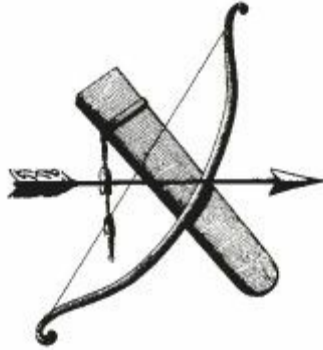
– Spójrz! – powiedział Crowley, wyciągając rękę. Za płonącym budynkiem wznosiła się prowizoryczna barykada z wozów i mebli, tworząca półkole oparte o jeden z większych domów. Za barykadą kryła się grupka złożona z kilku mężczyzn, którzy desperacko walczyli z grupą napastników, usiłujących sforsować barykadę, za pomocą dzid, włóczni i sierpów przywiązanych do długich drągów. Na razie udawało im się odpierać atak, ale napastnicy



mieli nad nimi co najmniej trzykrotną przewagę liczebną i ich zwycięstwo było tylko kwestią czasu.

Za broń służyły im topory i miecze o długich ostrzach oraz niewielkie drewniane tarcze nabijane metalem. Halt dostrzegł migające fragmenty tkaniny w czerwono-niebieską kratę. Tartan.

– To nie Duncan – stwierdził. – To Scottowie.





**H**alt wcisnął piętę w końskie boki i jego rumak skoczył do przodu, by po zaledwie kilku metrach przejść do cwału. Halt puścił wodze, zdjął łuk, a drugą ręką sięgnął po strzałę do kołczana, zawieszzonego na prawym ramieniu.

Strzelanie z długiego łuku, kiedy siedzi się na końskim grzbiecie nie należy na najłatwiejszych rzeczy. Halt, trzymając łuk pod kątem czterdziestu pięciu stopni, wypuścił strzałę pewną ręką, mimo kołyszących ruchów konia. Prowadząc wierzchowca pracą samych nóg, popędził w dół wzniesienia, w kierunku wsi. Po chwili zauważył leżące przy drodze nieruchome ciała. Żaden z zabitych nie nosił tartanu.

Czuł, że Crowley jedzie za nim, w odległości kilku metrów. Obejrzał się i zobaczył, że zwiadowca również puścił wodze i naciągnął łuk.

Po chwili wjechali między pierwsze zabudowania. Teraz dostrzegł więcej szczegółów. Okazało się, że kilku obrońców walczących za barykadą to kobiety. Jedna z nich właśnie zamierzyła się ciężką włócznią na scottyjskiego wojownika. Ten chwycił drzewce tuż za żelaznym grotem i szarpnął je w swoją stronę, aż przeciągnął kobietę na zewnętrzną stronę barykady.

Straciła równowagę i spadła na ziemię, wypuszczając włócznię z dłoni. Scott uniósł nad głową wielki pałasz, zamierzając się do śmiertelnego ciosu.

Halt usłyszał za plecami znajomy brzdęk puszczonej cięciwy, a w kolejnej sekundzie strzała z sykiem przeleciała obok niego.

Scott wyrzucił ramiona w górę, wypuszczając broń. Prawą dłonią sięgnął za plecy, próbując chwycić strzałę, po czym poleciał w przód, wylądował na barykadzie i stoczył się na ziemię.

Inny wojownik nacierał mieczem na mieszkańca wsi, który próbował się bronić za pomocą sierpa przywiązanego do długiego drąga. Prowizoryczna broń był nieporęczna i źle wyważona, farmer z trudem odbijał mocne ciosy najeźdźcy. Nagle drąg wypadł mu z ręki. Mężczyzna był teraz całkowicie bezbronny.

Halt wypuścił strzałę i Scott padł na ziemię. Mężczyzna ze zdumieniem podniósł wzrok, szukając swego zbawcy.

Jeźdźcy znajdowali się zaledwie jakieś pięćdziesiąt metrów od barykady. Halt uznał, że to

wystarczy. Trzymając łuk w lewej ręce, prawą sięgnął po wodze i pociągnął, jednocześnie lewą łydkę wbijając w koński bok, by zatrzymać wierzchowca. Crowley zrobił to samo. Stali teraz obaj pośrodku wiejskiej drogi.

Napastnicy uświadomili sobie, że zagraża im niebezpieczeństwo. Grupa dziesięciu wojowników oddzieliła się od atakujących barykadę i zwróciła się w stronę jeźdźców. Złączyli okrągłe tarcze, by stworzyć barierę, chroniącą przed strzałami.

Nie była ona jednak wystarczającym zabezpieczeniem. Tarcze mogły zasłonić ich ciała tylko częściowo, a Halt i Crowley byli wyśmienitymi łucznikami, z takiej odległości potrafili trafić nawet w naprawdę niewielki cel. Halt wypuścił kolejną strzałę i jeden z mężczyzn, stojący w środku, osunął się na ziemię, wydając bolesny okrzyk. Strzała przebiła jego udo. Potem kolejna strzała Crowleya z sykiem przecięła powietrze i przebiła przedramię jednego ze Scottów. Mężczyzna zatoczył się w tył, jego broń spadła na ziemię. W tym samym momencie jeden z obrońców, o których Scottowie chwilowo zapomnieli, wychylił się zza barykady i przyłożył mu w czaszkę ciężkim kijem. Kolana ugięły się pod nim i padł twarzą w błoto.

Potężny Scott, zapewne dowódca grupy, wrzasnął z wściekłości, widząc swych ludzi rannych. Wskazał jeźdźców pałaszem i coś zawołał. Wojownicy odpowiedzieli chórem niezgranych okrzyków i ruszyli przed siebie, wznosząc tarcze i broń do ataku.

W ciągu pięciu sekund trzech kolejni padli na ziemię – dwaj dostali w nogi, trzeci w ramię. Siła uderzenia strzały wpuszczonej z tak niedużej odległości, z łuku o sile naciągu prawie czterdziestu kilogramów wystarczyła, by znokautować przeciwnika – nie wspominając już o tym, że rany były po prostu bolesne. Kolejna strzała walnęła w tarczę, wojownik zatoczył się kilka kroków w tył. Strzały padały gęsto i szybko, mężczyźni krzyczeli z bólu i wściekłości. W takiej sytuacji byłoby raczej dziwne, gdyby kontynuowali walkę. Po chwili jeden z nich obrócił się na pięcie i zaczął uciekać, zaraz potem kolejny poszedł za jego przykładem. Wkrótce cała grupa się rozpierzchła i popędziła na północ. Ci, którzy uniknęli strzał, zabrali rannych towarzyszy i ewakuowali się najszybciej, jak tylko się dało.

– Starczy – zawyrokował Crowley, opuszczając łuk. Nie zamierzał strzelać do uciekających i bezbronnych ludzi.

Halt zgodnie kiwnął głową.

– Pewnie zatrzymają się dopiero przy granicy.

Zawrócili konie i ruszyli w stronę barykady. Obrońcy wyłonili się zza stosu naprędce skleconego ze stołów, krzeseł, wózków i innych przedmiotów gospodarskich. Powitali jeźdźców wiwatami.

Halt i Crowley zeskoczyli na ziemię.

Wysoki i mocno zbudowany mężczyzna po trzydziestce wystąpił naprzód. Był jednym z lepiej uzbrojonych obrońców, w jednej dłoni dzierżył topór bojowy, na ramieniu trzymał dużą drewnianą tarczę, a jego głowę okrywał prosty żelazny hełm w kształcie żołędzia.

Oparł topór o barykadę i wyciągnął prawą rękę na powitanie.

– Nawet nie wiecie, jak wielką radość sprawiliście nam swoim przybyciem – powiedział, uśmiechając się od ucha do ucha. – Ledwo trzymamy się na nogach. Zjawiliście się w samą porę. Jestem Yorik, naczelnik wsi.

Halt dał znak Crowleyowi, który zrobił krok do przodu, potrząsnął ręką naczelnika i

uśmiechnął się do mieszkańców, którzy otoczyli ich ścisłym wianuszkiem.

– Cieszę się, że na coś się przydaliśmy – powiedział. – Nazywam się Crowley, a ten wesołek obok to Halt.

Halt kiwnął głową na powitanie. Yorik przyglądał im się z zaciekawieniem. Popatrzył na peleryny z kapturem, noże u pasa i potężne łuki.

– Sądząc po waszych umiejętnościach, musicie być królewskimi zwiadowcami – stwierdził.

Crowley przytaknął.

– Zgadza się, jestem zwiadowcą. Halt właściwie też. – Zatoczył ramieniem dokoła, wskazując na leżących na ziemi ludzi i płonące budynki. – Czyja to sprawka?

Twarz Yorika spochmurniała.

– Księcia Duncana. Przekroczył granicę, napadł na Scottów i zwrócił ich przeciwko nam. A potem, nim zdążyliśmy zareagować, pojechał dalej, zostawiając nas na pastwę losu. Przekłęta banda – powiedział z goryczą. Nagle w jego oczach pojawił się lęk. Uświadomił sobie, że przecież rozmawia z królewskimi zwiadowcami, którzy zapewne są lojalni również wobec Duncana, jako członka królewskiego rodu. – Wybaczcie – dodał, spuszczaając wzrok. – Nie powinienem tak mówić.

Crowley potrząsnął głową.

– Nie ma tu nic do wybaczenia – odparł. – Słyszeliśmy jakieś dziwne historie na temat Duncana. Wszystko wskazuje na to, że jednak są prawdziwe.

Yorik niepewnie skinął głową. Nadal nie wiedział, na czym stoi.

Halt włączył się do rozmowy:

– Słyszeliśmy, że strasznie się awanturuje, kradnie, traktuje cudzą własność jak swoją.

Yorik, słysząc nutę potępienia w głosie Halta, poczuł się nieco pewniej.

– Wszystko się zgadza – odparł. – A jak już ograbi ludzi ze wszystkich cenniejszych rzeczy, rusza dalej. Bardzo się ucieszyliśmy, kiedy wreszcie sobie pojechał. Ale nasz radość nie trwała długo, bo zaraz potem zjawili się Scottowie. Duncan miał ze sobą dwudziestu zbrojnych ludzi. Bez trudu rozprawiliby się z najeźdźcami – powiedział, wskazując na ciała dwóch Scottów, leżące na ulicy.

Mieszkańcy wsi już rozbierali barykadę i odnosili meble i sprzęty z powrotem do domów. Oczywiście, z gospody nic nie zostało, więc ocalałe meble ustawiono z boku. Yorik z ponurą miną popatrzył na dymiące zgliszcza. Ostatni fragment dachu zapadł się na ich oczach. Iskry strzeliły do góry i powoli opadły.

– Pomożemy wam przy sprzątnięciu – zaproponował Crowley.

Wszyscy uwijali się pracowicie, odstawiali meble i pojazdy na miejsce i układali ciała zabitych w rzędzie na poboczu. Poległych w walce Scottów ułożyli osobno – i znacznie mniej starannie.

– Później pochowamy naszych ludzi – powiedział Yorik. – Scottów spalimy.

Crowley otrząpał ręce i powiódł wzrokiem dokoła. Po barykadzie nie zostało śladu. Pomyślał, że pogrzeb to prywatna sprawa mieszkańców wsi, a on i Halt nie powinni zakłócać uroczystości swoją obecnością.

– Dziękujemy za pomoc – powiedział Yorik. – Gdyby nie wy, byłoby po nas.

Crowley i Halt niedbale wzruszyli ramionami. Nie było tu nic do powiedzenia. Zapadła

niezręczna cisza. Na szczęście Yorik szybko ją przerwał.

– Zapraszam na szklaneczkę cydru i coś na ząb. Moja żona to najlepsza kucharka w całej wsi.

Ruszyli w kierunku jednego z najokazalszych budynków, parterowego domu z szachulca krytego strzechą.

– Przypuszczałem, że Scottowie nas najadą – powiedział Yorik. – Rozstawiłem strażę przy drodze, prowadzącej do granicy. Jednego z naszych ludzi złapali, ale drugi dotarł jeszcze w porę, by nas ostrzec. Zdążyliśmy sklecić barykadę, zanim się zjawili. – Spojrzał na dwóch mężczyzn, podnoszących jedno z ciał, leżących w szybko schnącym błocie. – Niestety, Merrickowi i jego bratu to nie pomogło – dodał ponuro.

Crowley położył dłoń na jego ramieniu.

– Ale zdołaliście ich powstrzymać do czasu, aż się zjawiliśmy – powiedział na pocieszenie.

Yorik kiwnął głową z wdzięcznością.

– To prawda. Na pewno daliście Scottom nauczkę.

Otworzył drzwi i puścił ich przodem.

– Maeve – zwrócił się do żony – przyprowadziłem gości.

Był to kobieta, którą Crowley ocalił pierwszą strzałą. Kiwnęła głową w podziękowanie i zaczęła nakrywać do stołu.

– Witamy serdecznie – powiedziała ciepło.

Na stole zjawiła się zimna pieczeń wołowa i miska z piklami. Maeve pokroiła świeży biały chleb, a Yorik napełnił cydrem trzy kubki. Maeve z uśmiechem wskazała na krzesła.

– Siadajcie, zwiadowcy.

– Ja właściwie nie... – zaczął Halt, ale Crowley wszedł mu w słowo.

– Jeździsz jak zwiadowca, strzelasz i walczysz jak zwiadowca, pobierałeś nauki u jednego z najlepszych starych mistrzów. Można przyjąć, że jesteś jednym z nas.

Halt skromnie wzruszył ramionami, a potem sięgnął po kromkę chleba, nałożył na nią kilka plasterków mięsa i sporą porcję pikli. Odgryzł porządny kęs i westchnął z zadowoleniem.

– Opowiedzcie nam o Duncanie – poprosił Crowley.

Yorik przez chwilę zbierał myśli. W końcu powiedział:

– Zjawił się tu ze swoimi ludźmi cztery dni temu. Tak koło południa, prawda, Maeve?

– Zgadza się. Tuż przed południem.

– Wkroczyli do zajazdu, wywalili wszystkich gości i poczęstowali się najlepszym winem i piwem, jakie Tilson zgromadził w swojej piwniczce.

– A znali się na rzeczy – dodała Maeve.

Yorik zerknął na żonę, zgodnie kiwnął głową, nałożył sobie chleba i mięsa, w końcu podjął:

– Młody Jemmy Mandel akurat wyprowadzał na łąkę maciore, za którą jego ojciec dostał nagrodę, kiedy nadjechali. Zarznęli maciore na środku ulicy. Chłopak próbował protestować, więc sprali go na kwaśne jabłko. A potem rozpalili ognisko i zrobili sobie szaszłyki, rechocząc radośnie. Widać bardzo ich ta sytuacja rozbawiła.

– I Duncan nie zareagował? – spytał Crowley.

Yorik potrząsnął głową ze smutkiem.

– Książę Duncan śmiał się najgłośniejsze. Jeszcze ich zachęcał. Podobnie jak wtedy, kiedy grabili i tłukli mieszkańców wsi i straszili kobiety. On jest z nich wszystkich najgorszy, jak chcecie znać moje zdanie.

– Na to wygląda – stwierdził Halt.

– A kiedy przekroczyli granicę? – zapytał Crowley.

– Przedwczoraj. Wyjechali późnym rankiem. Sądziłem, że na dobre, ale następnego dnia wrócili i powiedzieli, co nawyczyniali. „Możecie się spodziewać wizyty sąsiadów z Picty”, oznajmił Duncan. „Byli trochę zdenerwowani, kiedy odjeżdżaliśmy”. Wczoraj w końcu zostawili nas w spokoju. Ale wiedzieliśmy, że zaraz zjawią się Scottowie. Co, jak wiecie, rzeczywiście nastąpiło.

– Sądzę, że więcej ich nie zobaczycie – powiedział Crowley. – Raczej nie zechcą walczyć na rozkaz wodza, który wrócił z wyprawy z pustymi rękami, a jedna trzecia jego ludzi zginęła bądź odniosła rany.

– To prawda – zgodził się Yorik. – Chociaż chętnie ich przepuszczę, jeśli pójdą na Duncana.

– Dokąd on się wybierał? – spytał Halt.

– Skierował się na zachód. Najbliższa większa wieś w tamtym kierunku to Kirkton-Lea. Niech Bóg ma ich w swojej opiece, jeśli Duncan postanowi złożyć im wizytę.

– Nie myślałeś o tym, by posłać wiadomość do Zamku Araluen i poprosić króla o pomoc? – zapytał Crowley. – Nie wierzę, by aprobował czyny Duncana.

– Nie słyszeliście? Król już nie mieszka w Araluenie. Był zamach na jego życie i baron Morgarath go namówił, by przeniósł się do Zamku Gorlan, gdzie Morgarath może zapewnić mu bezpieczeństwo – rzekł Halt.

Halt i Crowley wymienili zaskoczone spojrzenia. Obaj pomyśleli to samo. A Halt powiedział to nawet na głos.

– Lub zrobić z niego więźnia.



**S**pędzili noc w stodole Yorika – w samym domu nie starczyłoby miejsca dla czterech osób. Rano wyruszyli w drogę do Kirkton-Lea.

– Czasami odnoszę wrażenie, że do końca roku będziemy ścigać Duncana od jednej wioski do drugiej – rzucił gniewnie Halt.

Crowley wpatrywał się uparcie przed siebie. Im dłużej słuchał na temat wyczynów Duncana, tym mocniej utwierdzał się w przekonaniu, że musiała zajść jakaś poważna pomyłka.

– Chcę z nim porozmawiać osobiście. Nie rozumiem, dlaczego tak się zachowuje.

Halt wzruszył ramionami.

– Dlaczego coś mi mówi, że w tej sprawie maczał palce Morgarath? – powiedział.

Crowley rzucił mu zaskoczone spojrzenie.

– Morgarath? A cóż on niby ma wspólnego z Duncanem?

Halt potrząsnął głową.

– Morgarath jest żądny władzy. Jeśli uda mu się okryć imię Duncana niesławą, a może nawet doprowadzić do tego, że król go wydziedziczy, podziela to na jego korzyść. A teraz dowiedzieliśmy się jeszcze, że król przebywa na Zamku Gorlan, pod wątpliwą opieką Morgaratha. To idealna sytuacja dla naszego barona, nie sądzisz?

Crowley zrobił nieco zdumioną minę.

– Nie patrzyłem na to z tej strony – stwierdził. – Ale może faktycznie coś w tym jest.

Halt zaśmiał się.

– Nie zdziwiłbym się, gdyby ten domniemany zamach również był jego dziełem. Morgarath budzi we mnie dziwną niechęć. A jeśli nauczyłem się czegoś przez te wszystkie lata, to nie ignorować tego rodzaju przeczuć.



Halt i Crowley zatrzymali się na niewielkim zadrzewionym pagórku, z którego rozciągał się widok na wieś Kirkton-Lea. Schowali się w wysokiej trawie na skraju zagajnika. Konie uwiązali między drzewami. Skoro Duncan podróżował w towarzystwie co najmniej dwudziestu zbrojnych mężczyzn, uznali, że zanim zjawią się we wsi, powinni zorientować się

w sytuacji.

Z gospody dochodziły podniesione głosy, od czasu do czasu sprośne przyśpiewki, dźwięk łamanych mebli i krzyki przerażonych kobiet.

– Na ulicach nie widać nikogo – zauważył Halt.

Crowley kiwnął głową, marszcząc brwi.

– Nie wychodzą z domów, wolą nie narażać się na niebezpieczeństwo.

– Przyjrzyjmy się bliżej – zaproponował Halt, wskazując na dróżkę, biegnącą krańcem wsi, po lewej stronie.

Podniósł się do kucek i nie czekając na odpowiedź, ruszył przed siebie przez wysokie trawy, niemal instynktownie przemykając od jednego dobrze osłoniętego miejsca do kolejnego, kryjąc się za krzakami i niewielkimi drzewami. Crowley poczekał, aż Halt oddali się o jakieś trzydzieści metrów, po czym poszedł w jego ślady, prześlizgując się między wysokimi trawami, ledwo poruszając źdźbła, ukazując się nie dłużej niż na sekundę. Miał na sobie zwiadowczą pelerynę w szaro-zielone cętki, która pozwalała mu niemal idealnie zlać się z otoczeniem.

Halt dotarł do ścieżki na skraju wsi i dalej przemykał ukradkiem, zagłębiając się między zabudowaniami, teraz chowając się za przybudówki i szopy. Wiedział, że lepiej jest iść bez przerw, w równym tempie, niż przystawać i ruszać od nowa. Nieregularny ruch mógłby przyciągnąć czyjąś uwagę.

Halt obejrzał się przez ramię raz czy dwa, nie dostrzegł jednak Crowleya, chociaż wiedział na pewno, że rudowłosy zwiadowca gdzieś tam jest.

Wcześniej, przypatrując się okolicy ze szczytu pagórka, Halt zwrócił uwagę na dom, stojący naprzeciw gospody. Dotarłszy do niego, przycisnął plecy do ściany i przez chwilę bacznie nasłuchiwał. Długo panowała cisza, lecz potem usłyszał, jak w środku kaszle jakiś mężczyzna, a potem kilka osób rozmawia stłumionymi głosami – zbyt cicho, by rozpoznać słowa.

Pomyślał, że jeśli ludzie mówią szeptem we własnych domach, to znaczy, że czegoś się boją. Wystawił głowę za węgiel i popatrzył na alejkę, prowadzącą do gospody. Teraz, kiedy żadne budynki nie tłumiły dźwięków, wyraźnie było słyhać harmider i wrzaski dochodzące ze środka. Przesunął wzrokiem wzdłuż bocznej ściany. Było tam pojedyncze okno, najprawdopodobniej z impregnowanej tkaniny – szklane okna były na wsi rzadkością. Wiedział jednak, że nawet przez tkaninę jego cień będzie widoczny od wewnątrz i uznał, że lepiej pokonać ten odcinek w kucki.

Na końcu alejki stała duża beczka do zbierania spływającej z dachu deszczówki, na ziemi leżały połamane kawałki sprzętów gospodarskich. Usłyszał nieznaczny ruch za plecami, odwrócił się i zobaczył Crowleya. Wskazał przed siebie. Kiedy Crowley popatrzył w tamtym kierunku, Halt pochylił się ku niemu, tak że jego usta niemal dotknęły ucha zwiadowcy.

– Przejdziemy do głównej ulicy – szepnął. – W razie gdyby ktoś wyszedł, schowamy się za beczką.

Crowley kiwnął głową. Halt podjął:

– Mniej więcej pośrodku znajduje się niewielkie okno. Uważaj, żeby nie wystawiać głowy nad parapet, jak będziesz przechodził.

Crowley ponownie kiwnął głową. Halt ruszył biegiem, nisko kucając. Dotarłszy do okna,



pochylił się jeszcze mocniej i pomknął dalej. Usłyszał stłumione głosy dochodzące ze środka. Tym razem miał wrażenie, że rozpoznał słowo „Duncan” – niewątpliwie wypowiedziane tonem pełnym pogardy.

Schował się za beczką. Z tego miejsca mógł obserwować wejście do gospody – przez trójkątną szparę między beczką a ścianą. Po chwili dołączył do niego Crowley. Wyciągnął wyżej szyję, by patrzeć nad ramieniem Halta. W alejce kładły się głębokie cienie. Halt był pewien, że w tych pelerynach, póki się nie poruszą, są całkowicie niewidzialni dla przypadkowego obserwatora.

Stali tak już od kilku minut, gdy drzwi gospody wreszcie się otworzyły. Wytoczyło się zza nich czterech mężczyzn. Halt instynktownie schował głowę, ale mężczyźni mrużyli oczy w słońcu i na pewno nie widzieli dwóch postaci, skrytych w cienistej alejce.

Wszyscy mieli na sobie czerwone kasaki, narzucone na kolczugi, u pasa nosili miecze. Krótkie miecze, niepodobne do broni, używanej przez rycerzy bądź kawalerzystów. A więc byli to zwykli mężczyźni. Czepce leżały zwinięte na ramionach. Żaden z nich nie zasłaniał głowy hełmem.

Kasaki były brudne, poplamione błotem i jedzeniem. Na prawej piersi widniał emblemat przedstawiający atakującego jastrzębia w białym okręgu.

Crowley lekko, niemal niezauważenie dotknął ramienia Halta.

– Czerwony jastrząb – szepnął. – Symbol następcy tronu. To ludzie Duncana.

Mężczyźni nieśli kufle, z których przy każdym gwałtowniejszym ruchu chlupało piwo. Widać było, że zabawa zaczęła się już jakiś czas temu. Osunęli się na ławkę, stojącą pod ścianą gospody, szeroko rozkraczając nogi, i unieśli kufle do ust. Przez tych kilka sekund, kiedy drzwi były otwarte, dochodzący z wnętrza hałas przybrał na sile – by zaraz ucichnąć.

– To niesprawiedliwe – wybełkotał jeden z nich. – Teraz nasza kolej na odpoczynek. Tiller znów faworyzuje swoich wybrańców.

Dwaj inni zgodnie mruknęli, ale czwarty rzucił mu gniewne spojrzenie.

– Zamknij się i pij. Jak Tiller usłyszysz, to popamiętasz.

Pierwszy skrzywił się, dopił piwo i cisnął pusty kufel na ulicę. Naczynie potoczyło się i zatrzymało kawałek dalej.

– Niech tylko spróbuje – powiedział z wojowniczą butą typową dla pijanego. – Już ja mu pokażę.

Jego towarzysze skomentowali te przechwałki drwiącym śmiechem. Rzucił im wściekłe spojrzenie.

– Mówię wam – podjął gniewnym tonem – mam tego dosyć. Łupom nawet nie zdążyłem się przyjrzeć. Tiller trzyma wszystko dla swoich faworytów. Przy najbliższej okazji zamierzam opuścić to miłe towarzystwo.

Na jego nieszczęście przy ostatnich słowach drzwi się otworzyły i ze środka wyszedł wysoki brodaty mężczyzna, również ubrany w czerwony kasak. Halt zeszywniał. Strój i kolczuga były znacznie lepszej jakości niż ubiór tych czterech mężczyzn. Symbol jastrzębia znajdował się nie po prawej stronie, a pośrodku jego piersi.

Tkwiający u boku miecz mierzył co najmniej metr, na głowicy błyszcząły kamienie szlachetne. Mężczyzna położył prawą dłoń na rękojeści i odwrócił się w stronę tego, który odezwał się przed chwilą.

– Zamierzasz się z nami pożegnać?! – wrzasnął. – Zaraz możesz pożegnać się z życiem, śmierdzący psie!

Metal z sykiem otarł się o skórę – mężczyzna wyciągnął miecz i ruszył w stronę rozwalonych na ławce wartowników. Ten, do którego się zwrócił, zerwał się na równe nogi i błagalnie wyciągnął dłonie, wpatrzony z przerażeniem w nagie ostrze.

– Spokojnie, Tiller...

– Duncan, durniu! Masz do mnie mówić Duncan! – Mężczyzna pchnął go mocno, aż ten wyłożył się na ziemię. Halt nie mógł dostrzec twarzy Tillera, lecz doskonale widział jego wściekłość.

Tiller machnął mieczem i uderzył obuchem w nogi leżącego. Mężczyzna zawył z bólu, potem jeszcze raz, przy kolejnym ciosie, zwinął się w kłębek, próbował osłonić ciało, a Tiller walił raz po raz, przy każdym uderzeniu wrzeszcząc rytmicznie, za każdym razem coraz bardziej wznosząc głos.

– Durnie... mówiłem wam... że macie stać na straży! Na drodze! A nie chlać pod gospodą! A teraz... ruszać!

– Tak jest, kapitanie! Lordzie Duncanie! – zakrzyknęli chórem mężczyźni. Zerwali się z ławki i przezornie trzymając się na odpowiednią odległość od długiego ostrza, ruszyli główną ulicą. Dwaj skierowali się na północ, a trzeci pomógł nieszczęśnikowi się podnieść, po czym razem pokuśtykali na południe.

Tiller, wyraźnie zadowolony, że ma posłuch wśród swoich podwładnych, niedbałym ruchem wsunął miecz do pochwy. Potem odwrócił się i przez chwilę jego twarz znalazła się dokładnie naprzeciwko twarzy Halta i Crowleya. Żaden z nich ani drgnął. Wiedzieli, że Tiller patrzy pod słońce i na pewno nie zauważy ich, schowanych w cienistej alejce. Zaklął pod nosem, pchnął drzwi gospody i zniknął w środku.

Halt jeszcze przez chwilę trwał pochylony do przodu. Wreszcie rozluźnił naprężone mięśnie i odetchnął z ulgą.

– Hm – powiedział. – I co o tym sądzisz?

Odpowiedziała mu cisza. Odwrócił się i spojrzał na Crowleya, który nie odrywał oczu od drzwi gospody, powoli kręcąc głową. Wreszcie padła odpowiedź:

– To nie jest Duncan.





**W**rócili tą samą boczną alejką. Nie musieli się przej mować strażnikami, którzy teraz patrolowali południową stronę głównej ulicy.

Milczeli aż do chwili, kiedy dotarli do polany, na której zostawili konie. Tam przystanęli na chwilę.

– Co to znaczy: to nie Duncan?

Zwiadowca ponownie potrząsnął głową.

– Początkowo myślałem, że to on. Jest bardzo podobny. Mniej więcej tego samego wzrostu i budowy. Ma podobną brodę. Nawet jego głos brzmi jak głos księcia. Ale kiedy zwrócił się w naszą stronę, a słońce oświetliło jego twarz, zrozumiałem, że to nie Duncan. Ktoś się pod niego podszywa.

– Jesteś pewien? – spytał Halt, chociaż Crowley mówił z całkowitym przekonaniem.

– Absolutnie.

Halt nabrał ochoty na kawę. Marszcząc z namysłem brwi, uderzył krzemieniem o ostrze noża saksońskiego. Iskry sypnęły na stosik suchych gałązek, które ofiarował im na drogę Sherrin. Halt delikatnie podmuchał na tłącą się podpałkę, aż pokazał się język ognia. Wtedy umieścił podpałkę wśród ułożonych na kształt stożka drobnych suchych gałązek. Płomienie nabrały mocy i po chwili cały stos zajął się ogniem. Halt dołożył kilka większych gałęzi i wkrótce zapłonęło niewielkie ognisko.

– Pytanie, dlaczego ktoś miałby się podszywać pod księcia Duncana.

– Sam na nie odpowiedziałeś. By go skompromitować. By zwrócić ludzi przeciwko niemu.

– A kto miałby na tym skorzystać? – spytał Halt. Nauczył się dzięki podobnym sytuacjom w przeszłości, że odpowiedź na takie pytanie zwykle pomaga pchnąć sprawę w odpowiednim kierunku. Postawił czajnik na ogniu. Spojrzeli z Crowleyem na siebie.

– Morgarath – powiedzieli jednocześnie.

– Jak wspominałeś – dodał Crowley – Morgarath jest żądny władzy. Cieszy się popularnością wśród większości baronów. W końcu jest najznamienitszym rycerzem w całym królestwie i wiele osób darzy go podziwem. Tylko jeden człowiek może z nim rywalizować i jest to książę Duncan.

– Już nie – zauważył Halt.

– Już nie. Sprowokował awanturę ze Scottami, zwykli ludzie zaczynają go nienawidzić.

– Następne pytanie. Co z tym zrobimy?

Zapadła cisza. Obaj zapatrzyli się w jasne skaczące płomienie.

– Może wyciągniemy fałszywego Duncana, znaczy Tillera, bo tak chyba ma na imię, z gospody i zapytamy, co najlepszego wyprawia? – zaproponował Crowley.

Ale Halt pokręcił głową.

– Najprawdopodobniej nawet nie wie, kto go wynajął. Jest tylko narzędziem. Poza tym ma u boku dwudziestu zbrojnych ludzi. Wyciągnięcie go z gospody mogłoby się okazać nieco trudne.

– W takim razie musimy odnaleźć prawdziwego Duncana. O ile jeszcze żyje.

– Jak to zrobimy?

Crowley rzucił Haltowi spojrzenie z ukosa.

– Widzę, że masz spory zapas pomocnych pytań. Ale może tak dla odmiany zaproponujesz jakąś odpowiedź?

Halt wzruszył ramionami.

– To ty masz rozeznanie w lokalnych stosunkach. Ja jestem niedoinformowanym obcokrajowcem.

Znów zapadła cisza. W końcu Crowley przemówił:

– Jeśli rzeczywiście stoi za tym Morgarath, to mogę jedynie zaproponować, byśmy wrócili do Gorlanu i trochę tam powęszyli.

– A jeśli to nie on? – spytał Halt.

– Wówczas zastosujemy twój plan.

Halt uniósł brwi i wrzucił garść kawy do wrzątku.

– A ja mam jakiś plan? – spytał łagodnie.

– Lepiej, żebyś miał.



Halt i Crowley jechali w milczeniu. Czuli, że ponieśli porażkę. Owszem, znaleźli fałszywego Duncana, dzięki czemu przynajmniej potwierdziły się przypuszczenia Crowleya, że to nie następca tronu odpowiada za rabunki i awantury. Nie zdobyli jednak żadnych wskazówek co do tego, gdzie może przebywać prawdziwy książę i co się z nim stało. Wrócili do punktu wyjścia. A nawet, jak pomyślał Halt, cofnęli się o kilka kroków, bo nie mieli pojęcia, co dalej. Pozostała im tylko nikła nadzieja, że w Gorlanie uda się zdobyć więcej informacji.

Halt dodał w myślach, że perspektywa tej wyprawy również jest dość niewesoła. W końcu musieli się liczyć z tym, że Morgarath natychmiast wtrąci ich do lochu. Ale i tak nie mieli wyboru – chyba że wędrować po całym królestwie z nadzieją, że gdzieś usłyszą, co się stało z zaginionym księciem. A to raczej nie był żaden plan.

Znajdowali się niemal przy granicy z lennem Gorlan, niedaleko krętej rzeki, znanej pod nazwą Crowsfoot. Droga była bardzo wąska, wyrąbano ją wśród gęsto rosnących starych drzew. A właściwie nie wyrąbano – po prostu wydeptali ją liczni podróżni, wędrujący tędy przez lata. Halt i Crowley jechali obok siebie, tym samym zajmując całą szerokość drogi. Nagle usłyszeli tętent kopyt dochodzący z naprzeciwka – gdzie znajdował się bród na rzece, w

którego stronę zmiierzali.

Kiedy znaleźli się na długim prostym odcinku, pokazał się samotny jeździec. Jechał cwałem i machał na znak, że mają zejść z drogi. Miał na sobie czarny skórzany kubrak nabijany metalowymi kółkami i wełniane spodnie wetknięte w wysokie buty jeździeckie, a na głowie czapkę z długim daszkiem, ozdobioną piórami – znak posłańca. O jego biodro objął się miecz.

Po chwili dojrzeliby również złoty emblemat na lewej piersi.

– Czerń i złoto – mruknął Crowley. – Barwy Morgaratha.

– Z drogi! – wrzasnął władczo. – Depesze od lorda Morgaratha! Z drogi!

Był już blisko i najwyraźniej nie zamierzał zwolnić. Jechał na koniu znacznie większym niż konie zwiadowców, wyglądało na to, że po prostu zamierza wjechać między nich, jeśli nie ustąpią.

– Zauważyłeś, że co poniektórzy, jak tylko włożą strój urzędowy, robią się okropnie ważni? – rzucił Halt. Crowley nie odpowiedział. Zjechali na pobocze, każdy po swojej stronie drogi.

– Z drogi, durnie! – wrzasnął posłaniec, chociaż zdążyli zrobić mu miejsce. Być może ta niepotrzebna uwaga przeważała szalę. Halt zsunął łuk z ramienia i w momencie, kiedy mężczyzna ich mijał, wystawił rękę w prawo i szybko opuścił, tak że gruba cięciwa zacisnęła się na szyi posłańca.

– Czeg...? – zaczął jeździec, czując jej dotyk. Ale w kolejnej sekundzie Halt szarpnął łukiem, wysadził go z siodła i zrzucił na ziemię. Mężczyzna wylądował płasko na plecach. Rozległ się dźwięk gwałtownie wypuszczonego z płuc powietrza, a sekundę później głuchy trzask, gdy głowa jeźdźcy uderzyła o ziemię pokrytą warstwą mokrych liści i błota.

Halt zeskoczył z konia, by przyjrzeć się swej ofierze. Crowley poszedł za jego przykładem. Koń posłańca po jakichś dwudziestu metrach zorientował się, że nikt na nim nie siedzi, zwolnił do kłusa, a potem do stępa. W końcu przystanął, rozglądając się z zaciekawieniem.

Halt i Crowley uklękli obok nieprzytomnego mężczyzny.

– Chyba go nie zabiłeś? – powiedział Crowley.

Halt wzruszył ramionami.

– Nie miałem takiego zamiaru. Ale rzeczywiście jakiś taki cichy.

W tym momencie mężczyzna wziął potężny wdech. Gwałtownie drgnął parę razy, ale nie otworzył oczu.

– A nie. Po prostu stracił przytomność – stwierdził Halt. – Wyłączył się pewnie na jakąś godzinę. Bez wątpienia nieźle oberwał.

– Czy to aby dobry pomysł? – zapytał Crowley, podnosząc się.

Halt pozostał w pozycji klęczącej. Przeszukał wewnętrzne kieszenie skózanego kubraka.

– Przed chwilą wydawał mi się bardzo dobry – odparł. Nie znalazł niczego interesującego. Wstał i spojrzął na konia, który wracał powolnym krokiem. Halt ruszył mu na spotkanie, przemawiając łagodnie. Pogładził miękki pysk. Koń dotknął go łbem.

– Dobry konik – powiedział Halt. – Nie wybierasz swoich pracodawców, prawda?

Koń potrząsnął grzywą, jakby na potwierdzenie tych słów. Halt uśmiechnął się szeroko, po czym chwycił wodze, zaprowadził konia na pobocze i przywiązał go do drzewa. Nagle

zwrócił uwagę na skórzane sakwy wiszące tuż za siodłem, po obu stronach końskiego zadu. Rozwiązał je i zdjął.

– Mówił, że wiezie depesze. Zobaczmy, co to za ciekawe wiadomości.

Otworzył sakwy i wysypał zawartość na ścieżkę. Było tam kilka zwojów, każdy przewiązany czarną wstążką, sklejoną woskową pieczęcią z odciskiem sygnetu. Halt podniósł jeden zwój i spojrzał na pieczęć. Zobaczył znajomą błyskawicę, niechybnie oznaczającą, że posłaniec pracuje dla Morgaratha.

– Wygląda jak list miłosny od naszego ulubionego barona – stwierdził Halt. – Zobaczmy, co pisze. – Wyciągnął nóż do rzucania, wsunął ostrze pod pieczęć i ostrożnie przekręcił, aż odpadła. Starannie odłożył ją na bok, po czym pociągnął za wstążkę i rozwinął pergamin.

– Chyba trochę trudno będzie przywrócić pieczęci poprzedni wygląd – mruknął Crowley.

– Dam radę – odparł Halt, przebiegając wzrokiem po tekście. – Hm – powiedział po minucie czy dwóch. – Interesujące.

– Co tam jest napisane? – Crowley podszedł bliżej i spojrzał mu przez ramię.

– To lista dwunastu zwiadowców, którzy wkrótce zostaną wydaleny z Korpusu i pozbawieni tytułu. – Zawiesił głos. – Twoje imię znajduje się na pierwszym miejscu.





Crowley wziął listę do ręki i przebiegł ją wzrokiem, bezgłośnie poruszając ustami.

– Znam tych ludzi – powiedział. Lekko postukał palcem w listę. – Wszyscy przeszli szkolenie w dawnym stylu. I wszyscy trzymają się dawnego kodu postępowania.

– A nowi uczniowie tego nie robią? – spytał Halt.

Crowley potrząsnął głową z wyraźnie zniesmaczoną miną.

– Morgarath zatroszczył się o to, by zdecydować o wyborze komendanta. Został nim niejaki Stilson. Nie posiada on żadnych szczególnych talentów, poza rozwiniętą umiejętnością podlizywania się Morgarathowi. Od kiedy Stilson został komendantem, Korpus zamienił się w coś w rodzaju klubu towarzyskiego. Zwiadowcy nie trenują, nie ćwiczą umiejętności. Zresztą i tak żadnych umiejętności nie posiadają. Po prostu cieszą się prestiżem i władzą, wynikającymi z tej funkcji.

Halt zmarszczył czoło.

– Jak Morgarath zdobył taki wpływ na sprawy królestwa?

Crowley gniewnie wzruszył ramionami.

– Jest baronem, i to wysokim rangą, prawdopodobnie najwyższym w całym królestwie. I cieszy się wielkim szacunkiem. Król Oswald od kilku lat bardzo się liczy z jego radą i opinią. Nasz monarcha jest już stary i słabego zdrowia. Zapewne uznał, że Duncanowi brakuje lat i doświadczenia. Morgarath stopniowo zdobywa coraz większą władzę, a król widocznie przywykł do tego, że w wielu sprawach ma on decydujący głos. Jest chory i zmęczony, pewnie woli cedować na barona większość ważnych spraw.

– Po co w takim razie baron próbuje osłabić Korpus Zwiadowców? – spytał Halt, chociaż chyba domyślał się odpowiedzi.

– Ponieważ zwiadowcy są lojalni przede wszystkim wobec króla. Stanowią znaczącą siłę i gdyby ktoś próbował przejąć władzę w królestwie, stawiliby skuteczny opór. Morgarath zaczął od tego, że oskarżył Nicholla, komendanta, o zdradę korony. Oczywiście, oskarżenie było nieprawdziwe, ale Morgarath znalazł nawet świadków, którzy przysięgali, że Nicholl jest

winię zarzucanych mu czynów. Wydalono go z Korpusu. Niektórzy zwiadowcy odeszli w ramach protestu. Morgarath nie próbował ich zatrzymać. A potem posadził na stanowisku komendanta swoją marionetkę. Od tej pory stopniowo i skutecznie osłabia Korpus. W tym momencie z pierwotnej grupy pozostało może ze dwanaście osób.

Halt znacząco zerknął na pergamin w dłoni Crowleya.

– Chyba nawet tyłu nie.

Crowley ze smutkiem kiwnął głową.

– To prawda. Zdaje się, że Morgarath zdołał ostatecznie zniszczyć Korpus. Pozbył się przeszkody stojącej na drodze jego własnym ambicjom.

– Zobaczmy, co jeszcze ma do powiedzenia – rzucił Halt, po czym podniósł kolejną przesyłkę i ponownie ostrożnie oderwał od wstążki woskową pieczęć.

Przebiegł tekst wzrokiem i wzruszył ramionami.

– Tu nie ma nic istotnego. Mianuje niejakiego barona Taylora Wielkim Marszałkiem podczas turnieju w Gorlanie. – Z zaciekawioną miną podniósł wzrok. – Co to takiego?

– Turniej w Gorlanie to najbardziej prestiżowe wydarzenie tego rodzaju w całym królestwie Araluenu. Odbywa się w pierwszy tydzień Czwartego Miesiąca. Przez ostatnie dziesięć lat gospodarzem był Morgarath. Zdobył Złotą Ostrogę trzy na cztery...

– Złotą Ostrogę? – przerwał mu Halt. W Hibernii raczej nie urządzano turniejów i Halt nie miał pojęcia, co to jest Złota Ostroga.

– To nagroda dla zwycięzcy turnieju. Dla człowieka, który pokona w pojedynku wszystkich przeciwników. Zwycięzca cieszy się ogromnym prestiżem.

– I nasz przyjaciel Morgarath jest obecnie mistrzem? – spytał Halt, ale Crowley pokręcił głową.

– Nie. W zeszłym roku nagrodę dostał Arald, młody baron Remontu. Podczas trzeciej potyczki wysadził Morgaratha z siodła.

Halt prychnął śmiechem.

– Już go lubię. – Odłożył drugi pergamin na bok, pamiętając o niewielkim kawałku zastygłego wosku, na którym widniała pieczęć Morgaratha, po czym podważył pieczęć na kolejnym zwoju. Przez chwilę czytał w milczeniu, po czym cicho gwizdnął i spojrzał na Crowleya.

– Hm, ten wyjaśnia właściwie chyba wszystko – stwierdził, podając pergamin zwiadowcy. Ten wygładził kartę, która już zdążyła się zwinąć. Przeczytał kilka pierwszych zdań, po czym spojrzał na sam dół, gdzie widniała kolejna pieczęć Morgaratha, na potwierdzenie tożsamości nadawcy listu. Potem wrócił do lektury. Tym razem odczytał jego treść na głos.

**„Do sir Eammona z Dzikiej Rzeki**

**od Morgaratha, barona Ienna Gorlan, królewskiego lorda.**

*Drogi przyjacielu*

*z radością zawiadamiam, że niechęć w stosunku do Duncana z każdym dniem przybiera na sile. Nasz Tiller świetnie się spisuje w roli księcia. Tak jak zakładaliśmy, wieśniacy z północy są już porządnie zdenerwowani z powodu jego wybryków. Sądzę, że już wkrótce szczerze go nienawidzą. Jednocześnie przedstawiciele wyższych warstw mają księciu za złe, że jego postęпки mogą doprowadzić do zerwania traktatu zawartego między Araluem i*



Pictą.

*Tak więc musisz nadal trzymać Duncana w Zamku Dzika Rzeka – i nie dopuścić do żadnych kontaktów ze światem zewnętrznym. Nikt nie może się dowiedzieć, że księżę jest naszym więźniem.*

*Wkrótce nadejdzie odpowiedni moment, by przekonać króla do wydziedziczenia księcia – na moją korzyść. Na razie Duncan musi żyć. Jeśli Oswald nie zechce współpracować, możemy go zaszantażować, że w przeciwnym wypadku jego synowi stanie się krzywda.*

*Ogłoszę, że Oswald uczynił mnie swoim następcą i regentem podczas dorocznego turnieju. To odpowiednia okazja, na miejscu będą wszyscy możni tego kraju. Wielu już zdołałem przeciągnąć na swoją stronę. A co do bardziej opornych, to będzie doskonała okazja, by przerzedzić ich szeregi.*

*Kiedy ogłoszę publicznie decyzję króla, Duncan nie będzie nam dłużej potrzebny.*

*Do tego czasu pilnuj, by nie stała mu się krzywda. Inaczej ty za to zapłacisz.*

M”.

Crowley podniósł wzrok znad pergaminu.

– A więc wszystko jasne.

Halt kiwnął głową.

– Pytanie, co z tym zrobimy.

Po namyśle Crowley odparł:

– Turniej odbędzie się za sześć... nie, siedem tygodni. Do tego czasu musimy uwolnić Duncana z Zamku Dzika Rzeka i doprowadzić do konfrontacji z Morgarathem. Jak sam pisze, na turniej zjadą liczni baronowie i rycerze, co może podziałać tak samo na korzyść Duncana jak Morgaratha.

– Nie możemy uwolnić go zbyt wcześnie – stwierdził Halt. – Jeśli Morgarath usłyszy, że Duncan uciekł, może zmienić plany. Ale masz rację. Jeśli Duncan pojawi się na turnieju, będzie miał okazję przeciągnąć baronów na swoją stronę, szczególnie jeśli zdołamy uwolnić również króla.

– Dobrze byłoby też przywieźć fałszywego Duncana i zmusić go, by wyznał, że to on narobił zamieszania na północy.

– Prosta sprawa. Przed rozpoczęciem turnieju musimy tylko złapać fałszywego Duncana, uwolnić prawdziwego i uratować króla uwięzionego w Zamku Gorlan – stwierdził Halt.

Crowley uniósł brew z namysłem.

– Sporo jak na dwóch mężczyzn.

Halt uśmiechnął się ponuro, po czym wziął do ręki pierwszy zwój – ten z listą zagrożonych zwiadowców.

– Chyba wiem, gdzie możemy poszukać pomocy – powiedział.



Oczywiście, ich plany spaliłyby na panewce, gdyby Morgarath się zorientował, że ktoś przechwyił depezę. Tak więc starannie wykonali zadanie: Crowley zajął się uważną obserwacją nieprzytomnego posłańca, a Halt zabrał się za naprawianie złamanych pieczęci.

Odwiązał sakiewkę, którą nosił u pasa i wyjął jej zawartość. Był tam niewielki kawałek ołowiu o średnicy jakichś trzech centymetrów, mniej więcej tej samej wielkości co pieczęcie,

którymi zamknięto depeşe. Halt zwinął karty i na powrót obwiązał czarnymi wstążkami. Potem zaczął wycinać odpowiedni kształt na gładkim płaskim końcu ołowianego walca.

Crowley, upewniwszy się, że posłaniec nadal nie odzyskał przytomności, spojrział ponad ramieniem Halta. Zobaczył, że Hibernijczyk próbuje wyryć ostrym szydłem kształt błyskawicy. Crowley pomyślał, że owszem, przypomina to pieczęć Morgaratha, lecz niezbyt dokładnie.

– Myślisz, że się nabiorą? – zapytał.

Halt podniósł wzrok.

– Pomyśl. Gdybyś dostał depeşe od Morgaratha, dostarczoną przez jego posłańca, to jak starannie sprawdzałbyś pieczęć?

Crowley wyduł wargi.

– Chyba niezbyt – przyznał Crowley. – Upewniłbym się tylko, czy nie jest złamana. Gdybym zobaczył, że tkwi na swoim miejscu, nie zawracałbym sobie głowy bliższymi oględzinami.

– No właśnie. – Halt zebrał zerwane pieczęcie, podszedł do ogniska, które wcześniej rozpałił Crowley i roztopił pierwszy kawałek złotego wosku w niewielkiej formie. Po chwili wosk zrobił się miękki, a potem płynny. Halt wylał odrobinę na pierwszy zwój, w miejscu, gdzie związał wstążkę. Następnie, zanim wosk zdążył zastygnąć, wcisnął weń fałszywą pieczęć. Powstał całkiem wyraźny kształt błyskawicy. Halt podmuchał na wosk, by szybciej się schłodził i stwardniał, i popatrzył na swoje dzieło z zadowoloną miną.

– Dobrze to wygląda – stwierdził Crowley.

Halt tylko kiwnął głową. Pospiesznie zaczął przygotowywać kolejną pieczęć.

Crowley przyglądał mu się uważnie ze zmarszczonymi brwiami.

– Gdzieś ty się tego nauczyłeś? – spytał podejrzliwie. Niewątpliwa zręczność, z jaką Halt sfalszował pieczęć, trochę go zbulwersowała.

– O, posiadam wiele przydatnych umiejętności – odparł Halt. – Na szczęście, jestem uczciwym człowiekiem.

Crowley kiwnął głową.

– Właśnie widzę.

Halt odczekał kilka minut, aż wosk całkiem stwardnieje, po czym wsunął zwoje z powrotem do sakwy.

– Teraz musimy tylko poczekać, aż Śpiąca Królowna się obudzi – powiedział.

Crowley wyszczerzył się szeroko.

– Może złożysz na jego ustach pocałunek prawdziwej miłości? – zaproponował. – Słyszałem, że to pomaga.

Halt posłał mu mordercze spojrzenie.

– Raczej nie.

Minęło kilka minut i wreszcie posłaniec się poruszył. Jęknął i przyłożył rękę do czoła. Halt delikatnie nim potrząsnął, a potem lekko poklepał w policzek.

– Pobudka, sir – powiedział, imitując wiejski akcent. – Spadłeś pan z konia.

Mężczyzna otworzył oczy i zamglonym wzrokiem spojrział na brodatą postać.

– Co się stało? – spytał zduszonym głosem.

– Spadłeś pan z konia. I straciłeś przytomność, na godzinę albo i dłużej.

Mężczyzna rozejrzał się dokoła, mocno oszołomiony. Zobaczył swojego konia,

przywiązanego opodal do drzewa. Crowley stanął w polu widzenia posłańca. W dłoni ścisnął dwumetrowe pnącze, które chwilę wcześniej ściął z rosnącego niedaleko drzewa.

– To wisiało na gałęzi, związane w pętlę – oznajmił. – Złapało twoją głowę i wysadziło cię z siodła.

Posłaniec z wolna pokiwał głową. Pamiętał jak przez mgłę, że coś mu się zacisnęło na szyi i szarpnęło nim gwałtownie do tyłu. Nagle zrobił podejrzliwą minę i jeszcze raz spojrzął na konia. Na widok sakw nadal wiszących przy siodle trochę się uspokoił.

– Wiecie, co jest w sakwach? – zapytał ostrym tonem.

Crowley wzruszył ramionami z miną niewiniątka.

Halt pomyślał, że jest naprawdę dobry.

– Jakies papiery – powiedział Crowley.

– Czytaliście je? – spytał posłaniec. – Nie wolno otwierać zapieczętowanych pism, to przestępstwo. Możecie mieć poważne kłopoty.

Crowley znów wzruszył ramionami, wciąż zachowując tę szczerą prostolinijną minę.

– Nie trza. My nie umiom czytać.

„My nie umiom czytać”? Halt pomyślał, że to chyba jednak lekka przesada. Posłańcowi jednak ulżyło. Nie miał powodu, by podważać te słowa. Obaj mężczyźni wyglądali mu na prostych drwali, bardzo by się zdziwił, gdyby byli piśmienni. Wyciągnął rękę w stronę Halta.

– Pomóż mi wstać – rozkazał.

Halt, zirytowany aroganckim tonem, przez chwilę miał ochotę raczej pomóc mu się z powrotem położyć – za pomocą celnego ciosu w szczękę. Zmusił się jednak do miłego uśmiechu, pomógł mężczyźnie stanąć na nogi i podpierał go przez cały czas, kiedy ten niepewnie ruszył w stronę swojego konia.

Posłaniec na chwilę oparł głowę o koński bok, czekał, aż odzyska równowagę. Potem, z pomocą Halta, niezgrabnie usadowił się w siodle. Spojrzął z góry wyniośle.

– Dobrze zrobiliście, udzielając mi pomocy. Posłaniec to ważna osoba. Dopilnuję, byście otrzymali nagrodę.

A potem ruszył kłusem w dalszą drogę. Halt i Crowley popatrzyli na siebie z krzywym uśmiechem.

– To chyba będzie trochę trudne, zważywszy, że nie zna naszych imion ani miejsca zamieszkania – stwierdził Crowley.

Halt kiwnął głową.

– Liczą się dobre intencje.





Poczucie rozpaczy i beznadziei znikło bez śladu, ustępując determinacji i chęci działania. Crowley rozłożył mapę królestwa na ziemi. Ukłękli, by ją uważnie przestudiować.

– Zamek Dzika Rzeka znajduje się tutaj – powiedział zwiadowca, wskazując czubkiem noża punkt na mapie.

– Zakładam, że nazwa odpowiada rzeczywistości?

Crowley kiwnął głową.

– Zamek wzniesiono na wąskiej wyspie pośrodku rzeki. Z powodu przewężenia nurtu po obu stronach gwałtownie przybiera na sile. Dostęp do zamku jest bardzo utrudniony. To niezła forteca. Musimy się zastanowić, jak przeprowić się przez rzekę.

– Później. Na uwolnienie Duncana mamy siedem tygodni. Myślę, że przede wszystkim musimy poszukać współników. Który z tych zbuntowanych zwiadowców mieszka najbliżej? – Halt uśmiechnął się ponuro. – Podoba mi się to określenie. Przemawia do mojego wrodzonego poczucia niechęci wobec autorytetów.

Crowley nie skomentował jego słów. Bacznie studiował listę imion wraz z przypisanymi im lennami, by wybrać najlepszą lokalizację.

– Leander – stwierdził po chwili. – Lenno Dacton, na północnym zachodzie.

– Oczywiście – dorzucił Halt – zakładamy, że zwiadowcy pozostali w okolicy. Bo mogło się przecież zdarzyć, że przenieśli się w inne miejsca.

Crowley przez chwilę zastanawiał się nad jego słowami, przekrzywiając głowę na bok.

– Możliwe – stwierdził w końcu. – Ale z listu Morgaratha wynika, że zdymisjonowano ich całkiem niedawno, a w niektórych przypadkach dopiero to nastąpi. Przypuszczam, że Morgarath rozesłał więcej takich listów, prawdopodobnie do baronów wszystkich lenn, by poinformować każdego z osobna o zmianie na stanowisku zwiadowcy. I prawdopodobnie opatrzył te wszystkie listy królewską pieczęcią, ponieważ tylko król może mianować bądź zdymisjonować zwiadowcę. – Urwał, po czym dodał sucho: – A sam wiesz, jak łatwo podrobić pieczęć.

Halt zrobił minę niewiniątka.

Crowley popatrzył na niego przeciągle, a potem dodał:

– Ale nawet jeśli ci zwiadowcy już stracili stanowisko, to całkiem możliwe, że nadal są

gdzieś w okolicy. Tak czy inaczej, najszybciej się dowiemy, gdzie można ich znaleźć, od miejscowej ludności.

– Doskonale – stwierdził Halt. – Nasz pierwszy przystanek to lenno Dacton. Jeśli zaraz wyruszymy, jutro po południu powinniśmy dotrzeć na miejsce.

Crowley kiwnął głową, złożył mapę i wsunął do sakwy. Osiodłali konie – wcześniej zdjęli siodła, by dać zwierzętom odpocząć i spokojnie poskubać trawę. Dziesięć minut później już byli w drodze.

Obaj cieszyli się, że odsunęli od siebie perspektywę podróży do lenna Gorlan i schwytania przez ludzi Morgaratha. Po godzinie jazdy po wąskich bocznych drózkach wyjechali na szeroki gościniec, prowadzący na zachód, i pospieszyli konie do krótkiego galopu. Zastosowali tak zwany chód zwiadowcy: galopowali przez dwadzieścia minut, potem zwalniali do stępa i szli obok, prowadząc konie, by te odzyskały siły. Co dwie godziny zatrzymywali się na dziesięć minut na poboczu, by odpocząć, przegryźć coś i wypić – skromne racje składały się z zimnej wody, suszonej wołowiny i owoców.

Późnym popołudniem znaleźli jakieś sto metrów od drogi niewielką polanę, dobrze ukrytą wśród drzew, i rozbili obóz. Halt przez chwilę bacznie obserwował drogę, wypatrując ewentualnych podróżnych. Pokazał się tylko jeden, farmer, powoli prowadzący konia roboczego.

– Chyba możemy zaryzykować niewielkie ognisko – stwierdził. – Ta droga raczej nie jest zbyt uczęszczana.

Wcześniej, podczas jazdy, zadbali o zapasy jedzenia i ustrzelili dwie tłuste siewki i królika. Halt oskubał ptaki, królika obdarł ze skóry i oprawił, a Crowley poszedł poszukać zieleniny. Wrócił po dwudziestu minutach, szeroko uśmiechnięty. Prócz jadalnych zielonych liści rzucił na ziemię kilka pokrytych ziemią bulw.

– Kartofle – oznajmił triumfalnie. – Jakieś pół kilometra stąd – tu wskazał w stronę drzew za swoimi plecami – jest niewielkie gospodarstwo. A zagon bardzo dogodnie umieszczono tuż pod lasem.

– Doskonale – powiedział Halt. Na samą myśl o kartoflach ślinka napłynęła mu do ust. Owszem, nie gardził zieleniną, ale dzięki kartoflom posiłek od razu robił się bardziej treściwy.

– Oczyść je trochę, upieczemy je w żarze. Prędko nadział siewki i królika na patyk.

Pomyślał, że jedną z drobnych przyjemności, związanych z podróżowaniem, są chwile, kiedy można sobie zrekompensować nocę spędzoną na deszczu, bez jedzenia, chwile jak teraz, kiedy można spokojnie nacieszyć się smacznym posiłkiem. Położył gałąź z przygotowanym mięsiwem obok siebie, by umieścić ją na dwóch rozwidlonych patykach wbitych w ziemię. Crowley podał mu z grubsza oczyszczone kartofle, a Halt ułożył je na skraju ogniska i przykrył rozżarzonymi węglami. Nie były całkiem czyste, ale nie miało to znaczenia – resztki ziemi odejdą razem ze skórką.

– Nie ma to jak grule do obiadu – powiedział z zadowoleniem.

– Grule? – powtórzył Crowley, marszcząc brwi.

– Tak nazywamy kartofle w Hibernii – wyjaśnił Halt.

Crowley potrząsnął głową.

– Dziwni ludzie z tych Hibernijczyków – mruknął.

Nie spieszyli się, mimo że ślinka napływała im do ust, a obaj po długiej podróży byli głodni jak wilki. Oszem, mogliby szybko przypiec mięso nad ogniem i pożreć je półsurowe, ale byli doświadczonymi wędrowcami i oparli się pokusie. Oczekali, aż płomień przygasną i umieścili nadziane na gałąź mięso nad żarzącymi się węglami, by powoli piekło się w bijącym od nich ciepłe. Od czasu do czasu obracali rożen, by upiekło się równo ze wszystkich stron.

Cały proces zajął aż czterdzieści minut, ale zjadając przepyszne mięso z dodatkiem dzikich roślin i kremowych kartofli okraszonych roztopionym masłem, zgodnie stwierdzili, że warto było czekać.

Po obiedzie Crowley zaparzył kawę. Z lekkim zdziwieniem przyglądał się, jak Halt wrzuca do swojego kubka dwie spore łyżki dzikiego miodu. Już wcześniej zwrócił uwagę na ten cudaczny zwyczaj.

– Czemu to robisz? – zapytał.

Halt uniósł głowę i posłał mu zdumione spojrzenie. Crowley wskazał na niewielkie naczynie z miodem, stanowiące część kuchennych zapasów Halta.

– A. Zawsze tak robię.

– To wiem. Ale dlaczego? Moim zdaniem niszczyz smak dobrej kawy.

– Wręcz przeciwnie – odparł Halt. – Podkreślam smak dobrego miodu.

Crowley potrząsnął głową.

– Naprawdę dziwni ludzie z tych Hibernijczyków.



Śniadanie zjedli bardzo wcześnie, jeszcze przed wschodem słońca. Wieczorem Halt zakopał w żarze ciasto z mąki wymieszanej z wodą, które przez noc zmieniło się w pyszny chleb o złocistej skórce. Zjedli go z resztkami zimnego mięsa i popili kawą. Potem zwinęli obóz i ruszyli w drogę.

– Zastanawiałem się – zaczął Crowley z przebiegłym uśmiechem – dlaczego nie dodajesz miodu do mięsa?

Halt odwrócił się w siodle i spojrzał na towarzysza podróży.

– Poważnie o to pytasz?

Crowley wzruszył ramionami.

– No tak. W końcu dodajesz miodu do kawy, która ma przecież bardzo dobry smak. Czemu nie dodajesz więc miodu do pieczeni z siewki? Lub królika?

Halt popatrzył na niego przeciągle, po czym spiął konia do kłusa, by jak najszybciej stracić z oczu szeroko wyszczerzonego zwiadowcę.

– Kretyn – zawyrokował Halt.

– Może i tak – powiedział Crowley pod nosem – ale przynajmniej nie dodaję miodu do kawy.

– Słyszałem! – rzucił Halt.

Crowley znowu się uśmiechnął.

– Bo miałeś słyszeć – odparł i również pospieszył konia. Pomyślał, że życie jest całkiem przyjemne. Dobre jedzenie, konkretny plan działania i towarzysz podróży, którego można drażnić do woli.



Zamek Dacton, brzydki praktyczny budynek, niski, o prostych ścianach, tkwił na szczycie wzniesienia, podobnie jak większość tego rodzaju budowli – takie położenie ułatwiało obronę. Ostatnie kilkaset metrów oznaczało wspinaczkę pod górę, co znacznie spowolniłoby ewentualny atak. Z podobnych powodów w pasie dokoła zamkowych murów wycięto wszystkie drzewa i zarośla – wrogowie nie mieliby gdzie się schować, co wykluczało atak z zaskoczenia.

Budynek zaprojektowano do skutecznej obrony, do walki. I nawet nie udawał, że jest inaczej. W przeciwieństwie do Zamku Gorlan, nie próbowano go w żaden sposób upiększyć. Nawet dawny dom Halt w Hibernii, zbudowany z posępnych bloków granitu, przynajmniej charakteryzował się czystością linii, która czyniła go pięknym w prosty, surowy sposób. Zamek Dacton wyglądał jak kupa kamieni niedbale rzuconych na szczyt pagórka. Górował nad okolicą, groźny i ponury.

– Urocze miejsce – powiedział Halt.

– Niezbyt stylowy, co? – Crowley uśmiechnął się. – Ale opiera się wszelkim atakom już od ponad stu lat.

Halt powiódł wzrokiem dokoła.

– A kto by chciał go atakować?

Crowley wyciągnął rękę w stronę połyskliwej szarej linii morza, widocznej na zachodzie.

– Skandianie. I Sonderlandczycy, od czasu do czasu. Jakies dwadzieścia lat temu lubili wyprawy łupieżcze. Ale w Dacton dostali po nosie.

– To jak, podjedziemy bliżej i spytamy, czy zwiadowca Leander jest w domu? – rzucił Halt. Ale Crowley pokręcił głową.

– Zwiadowcy nie mieszkają na zamkach. Wolimy trzymać się z daleka od lokalnych władz. Zwykle nie są zbyt miłymi współlokatorami.

– Ale służycie baronom, prawda? – zapytał Halt, a Crowley znów zaprzeczył.

– Służymy królowi. Odpowiadamy przed nim i tylko przed nim. Niektórzy lokalni władcy nie odnajdują się w tej sytuacji. W pewnym sensie stoimy wyżej od nich. Ale nigdy tego nie podkreślamy.

Halt skinął głową. Pomyślał, że to słuszna koncepcja. Jak wspominał poprzedniego dnia, miał w sobie wrodzoną niechęć do władzy.

– To jak znajdziemy Leandera? – zapytał.

Crowley wskazał na niewielką wieś, rozciągającą się u stóp zamkowego wzgórza.

– Zapytamy mieszkańców. Leander mieszka w leśnej chacie, gdzieś za wsią. Taki jest nasz zwyczaj.

Minęli przysadzisty masywny zamek i skierowali się do wsi. Halt wiedział, że w razie niebezpieczeństwa mieszkańcy szukają schronienia za murami zamku. Ale w normalnych spokojnych czasach wieś zapewniała dach nad głową pracownikom uprawiającym okoliczne pola i dostarczała podstawowych usług mieszkańcom zamku i wsi. Opodal płynął wąski strumień, na jego brzegach wznosił się młyn – bystry nurt obracał ogromnym kołem. Oczywiście, jak w każdej wsi, była tam też gospoda połączona z zajazdem, wznosząca się pośrodku skupiska krytych strzechą dachów.

Również zgodnie ze zwyczajem na obrzeżach umieszczono garbarnię. Halt zmarszczył nos, kiedy przejeżdżali obok.

– To kogo spytamy?

– Pierwszą napotkaną osobę – odparł Crowley. – Każdy potrafi wskazać drogę do chaty zwiadowcy.





## ROZDZIAŁ

○ tej porze dnia większość mieszkańców pracowała w polu bądź przy koszeniu siana. Wieś wyglądała niemal jak wyludniona.

Nagle na ulicę wypadł mały chłopiec, śmiał się donośnie i patrzył za siebie, w ogóle nie zauważył jeźdźców i mało brakowało, a wylądowałby pod kopytami konia Crowleya.

Koń się spłoszył, Crowley gwałtownie pociągnął za wodze, a chłopiec zamarł w miejscu, sparaliżowany strachem. Koń Crowleya, tak jak większość wierzchowców, na których jeździli zwiadowcy, nie dorównywał rozmiarami przeciętnym koniom bojowym czy pociągowym. Ale z perspektywy dziesięciolatka z pewnością wydawał się ogromny.

Crowley uspokoił zwierzę, klepiąc je po szyi.

– Powinieneś uważać, młody człowieku – powiedział z uśmiechem. Chłopiec przepaszającym gestem uderzył się knykciami w czoło. Postać nieznajomego, mimo uśmiechu na twarzy, robiła wrażenie groźnej i nieprzystępnej.

– Wybacz, panie! – pisnął. Zerknął na drugiego mężczyznę i jeszcze mocniej się wystraszył. Jeździec miał czarną brodę i gniewny wyraz twarzy, nad ciemnymi oczami o przeszywającym spojrzeniu rysowały się grube czarne brwi. Chłopiec jeszcze raz uderzył się w czoło. Halt milczał, co bynajmniej nie pomogło chłopcu się uspokoić.

– Samie Crofter! Gdzie jesteś, przekłety łobuzie? – rozległ się nagle donośny głos.

Chłopiec znów obejrzał się przez ramię. Z jednej z chat wyszła starsza kobieta, powiodła wzrokiem dokoła i zatrzymała go na chłopcu. Prędkim krokiem ruszyła w jego stronę, utykając, próbowała biec. Zerknęła nerwowo na nieznajomych jeźdźców. Mieli na sobie peleryny z kapturami nisko opuszczonymi na twarz. I byli uzbrojeni: za ich plecami sterczały ogromne łuki, a u pasa tkwiły noże.

Mimo utykającej nogi, kobieta nabrała zaskakującego przyspieszenia i chwyciła chłopca za ucho. Ten zaczął się wyrywać i zawył, by wyrazić protest.

– Bardzo przepraszam szanownych panów – powiedziała. – Mam nadzieję, że chłopak nie był wobec panów niegrzeczny.

Mówiąc te słowa, mocno wykręciła ucho swego podopiecznego, który znów zawył. Crowley uśmiechnął się szeroko. Domyślał się, że kobieta jest babcią chłopca, z powodu wieku i niesprawnej nogi już niezdolną do pracy w polu. Zapewne córka powierzała syna jej opiece, by spokojnie zająć się pracami gospodarskimi.

– W żaden sposób, matko – odparł przyjaznym tonem. Nagle pomyślał, że naciągnięty nisko kaptur pewnie przydaje mu groźnego wyrazu, więc odrzucił go do tyłu, ukazując szczerą otwartą twarz.

Kobieta chyba poczuła się nieco uspokojona jego słowami, zachowała jednak dystans. Jej postać zdawała się mówić: zaufanie do obcych to dobra sprawa, lecz w tych niespokojnych czasach ostrożność jest bardziej wskazana.

– Wie pani może, gdzie znajdziemy miejscowego zwiadowcę? – spytał Crowley. Kobieta zrobiła podejrzliwą minę.

– Nowego zwiadowcę? – spytała. – Czy tego prawdziwego, który pracuje w naszym lennie od dziesięciu lat albo i więcej?

Halt i Crowley wymienili prędkie spojrzenia. A więc Leander już stracił stanowisko. Kobieta ciekawie dobrała słowa. Określiła Leandera mianem prawdziwego zwiadowcy, tak jakby chciała zasugerować, że nowy wysłannik Morgaratha jest zwykłym uzurpatorem. Halt pomyślał, że właściwie nic w tym zaskakującego. Kobieta miała swoje lata, na pewno przywykła do dawnych porządków. Starsi ludzie każdą zmianę traktują niechętnie i podejrzliwie. Ale w tym przypadku nieufność była uzasadniona.

– Zwiadowcę Leandera – odparł Crowley.

Kobieta jakby nabrała do nich zaufania. Przez chwilę przyglądała im się uważnie. Tymczasem chłopak wreszcie zdołał wyrwać ucho z jej żelaznego uścisku i zwiął do domu.

– Wy też jesteście zwiadowcami, prawda? – spytała. Ich strój i uzbrojenie wyraźnie na to wskazywały, szczególnie peleryny w zgaszonym kolorze, pozwalające doskonale wtopić się w szarości i zielenie lasu. Nowy zwiadowca, którego widziała raz czy dwa, wolał nosić płaszcz z lśniącej zielonej satyny, która nawet wśród gęstego listowia świeciła jak latarnia.

– Zgadza się – potwierdził Crowley. Nie zamierzał za każdym razem tłumaczyć zawilego statusu Halta. Kobieta kiwnęła głową.

– Tak myślałam. I jesteście ze starej szkoły – powiedziała z wyraźnym uznaniem. Ruchem głowy wskazała zamek górujący nad okolicą. – Ten nowy, Littlefoot, mieszka na zamku. Leander zawsze żył wśród nas, by w każdej chwili służyć nam pomocą.

To wyznanie zrobiło na Halcie wrażenie. Crowley mówił, że zwykli ludzie często traktują zwiadowców podejrzliwie, uważają, że są sprzymierzeni z ciemnymi siłami. Ta kobieta najwyraźniej nic sobie nie robiła z tego rodzaju bzdurnych pomówień. Przez wiele lat miała okazję obserwować, jak żyje i zachowuje się Leander, wiedziała, że można mu ufać.

– A więc Leander wyjechał?

– Ależ nie. Nadal mieszka w swojej chacie, chociaż baron Reemer już kilka razy przesyłał mu wiadomość, że ma się wynieść. – Zaśmiała się. – Raz nawet pokwapił się do niego osobiście. W powrotnej drodze coś bardzo się spieszył i gdzieś mu się zapodziała ta czapeczka z piórkiem, co zawsze ją nosił.

Crowley uśmiechnął się nieznacznie.

– To gdzie jest ta chata? – zapytał.

Kobieta wskazała ręką.

– Zaraz za wsią droga się rozwidła. Skręćcie w prawo, w stronę strumienia, chata stoi jakieś pięćdziesiąt-sześćdziesiąt metrów dalej. Jest skryta między drzewami, trudno ją wcześniej zauważyć.

– Dziękujemy, matko. – Crowley zebrał wodze, które do tej pory zwisały luźno na końskiej szyi. Cmoknięciem popędził wierzchowca. Kobieta odprowadziła ich wzrokiem. Ledwo zdążyli ujechać jakieś pięć metrów, zawołała:

– Jedna rzecz. Dajcie znać odpowiednio wcześniej, że się zbliżacie. Nie radziłabym zjawiać się niespodzianie.

Crowley odwrócił się i kiwnął głową.

– Nie wątpię.

Zgodnie ze wskazówkami kobiety na rozstaju skręcili w prawo i wkrótce dotarli do chaty. Stała pośród wysokich drzew. Robiła przyjemne wrażenie. Zbudowano ją z sosnowych pni i pokryto dachem z łupków.

– Nie ma strzechy – mruknął Halt. W tej części kraju większość domów kryto strzechami. Dachówki były rzadkim dobrem.

Crowley kiwnął głową.

– Strzecha łatwo się pali – zauważył.

Chata wyglądała na opuszczoną. Drzwi były zamknięte, podobnie jak okiennice, zasłaniające dwa okna od frontu. Albo raczej, jak pomyślał Halt, miały sprawiać takie wrażenie. Przy bliższych oględzinach stwierdził, że lewego skrzydła w jednym z okien nie zamknięto na haczyk. Pośrodku widniała wąska szpara.

Crowley wskazał na przybudówkę na tyłach chaty.

– To stajnia – powiedział.

Halt omiół wzrokiem polanę. Miała średnicę jakichś trzydziestu metrów. Drzewa otaczały chatę ze wszystkich stron. Obok werandy biegnącej wzdłuż dłuższej ściany stała pompa, z uchwytu zwisało skórzane wiadro, pod dachem szopy bez bocznej ściany leżał stos drewna na opał. W pieńku tkwiła siekiera.

– Chyba nikogo nie ma w domu – stwierdził Halt. Rzeczywiście, chata wyglądała na opuszczoną, nie licząc tej szpary między okiennicami. Ale w tym samym momencie ze stajni dobiegło krótkie rżenie.

– A jednak – odparł Crowley. – To sygnał ostrzegawczy, koń zwiadowcy nie hałasowały bez potrzeby, gdyby nikt nie mógł go usłyszeć. Zauważyłeś lewą okiennicę? Nie zamknięto jej jak należy.

– Zauważyłem – odparł Halt. Pritchard nauczył go dostrzegać takie szczegóły. „Spostrzegawczość może ocalić ci życie”, lubił powtarzać.

– Nie spuszczaaj oka z tej okiennicy – mruknął Crowley półgębkiem. Poprawił się w siodle i zawołał:

– Hej tam, w chacie!

Odpowiedziało im milczenie. Halt dostrzegł ruch w wąskiej szparze między okiennicami. A sekundę później świsnęła strzała, przeleciała między nimi i wbiła się w drzewo, rosnące pięć metrów za ich plecami, gwałtownie wibrując. Koń Halta zrobił kilka kroków w bok. Koń Crowleya nie ruszył się z miejsca.

Halt niemal natychmiast zdjął łuk z ramienia, lecz Crowley powstrzymał go ruchem ręki.

– Nie! – powiedział głosem zduszonym z pośpiechu. Potem dodał: – To zwiadowca. Gdyby tylko chciał, ta strzała przebiłaby któregoś z nas. A kolejna drugiego.

Halt odetchnął i zarzucił łuk z powrotem na plecy. Z chaty nadal nie dochodziły żadne dźwięki. Za okiennicami nie widać było żadnych ruchów.

– Mamy przyjazne zamiary! – zawołał głośno Crowley w stronę okiennicy.

Tym razem otrzymali odpowiedź:

– Reemer też tak twierdził, zanim zestrzeliłem ten fikuśny kapelutek z piórkiem z jego pustej ptasiej główki.

Crowley szeroko się wyszczerzył.

– Tak, opowiadano nam o tym we wsi. Zakładam, że Reemer nie ma nic przeciwko twojemu następcy.

– Następcy? – powtórzył z wyraźną odrazą. – Ten człowiek to uzurpator. Nie jest żadnym zwiadowcą. To sługus Morgaratha. Nie potrafi strzelać. Nie potrafi tropić. Ledwo jest w stanie utrzymać się w stępie na końskim grzbiecie, o galopie nawet nie wspomnę. Potrafi tylko pić wino i zarzucać satynową pelerynę na ramię.

Halt uśmiechnął się ponuro. Dzięki tym słowom w jego wyobraźni powstał żywy obraz nowego zwiadowcy.

– Bardzo cenne umiejętności – powiedział.

Crowley rzucił mu rozbawione spojrzenie.

– A wy dwaj kim jesteście? – spytał Leander.

– Zwiadowcami – odparł Crowley. – Ze starej szkoły, jak to mówią.

– Zsiądźcie z koni, niech wam się przyjrzę – polecił Leander. Posłusznie zeskoczyli na ziemię i zrobili kilka kroków w stronę chaty.

– Jeśli jesteście zwiadowcami, niech jeden z was trafi w wiadro na...

Nic więcej nie zdążył powiedzieć. Halt błyskawicznie zdjął łuk z ramienia, umieścił w nim strzałę i wypuścił, trafiając w środek skórzanego wiadra, wiszącego na pompie. Wiadro spadło i potoczyło się po ziemi. Był to pokaz niezwyklej szybkości i precyzji, jakimi może się pochwalić tylko wybitny łucznik. Halt rzucił wyzywające spojrzenie w stronę szpary między okiennicami.

– Chciałem powiedzieć „na pompie” – dokończył Leander. – Chyba mnie ubiegłeś.

– Nie ma sensu strzelać powoli – zawołał Halt w odpowiedzi.

Nastąpiła cisza.

– No dobrze, potrafisz strzelać jak zwiadowca. Jak się nazywacie?

Tym razem odpowiedział Crowley:

– Ja jestem Crowley, z lenna Hogarth. A to Halt.

– Twoje imię brzmi znajomo. Pamiętam cię z zebrania kilka lat temu. Ale jego widzę po raz pierwszy w życiu. – W jego głosie pobrzmiwała nuta nieufności.

– Halt pochodzi z Hibernii – wyjaśnił Crowley. – Pobierał nauki u mojego dawnego mistrza, Pritcharda. Na pewno go pamiętasz.

– Owszem. To jeden z najlepszych – odparł Leander. – Czego ode mnie chcecie?

– Szukamy dobrych ludzi, którzy chcieliby nam pomóc – powiedział tajemniczo w nadziei, że wzbudzi w Leanderze zaciekawienie. Udało się.

– Pomóc w czym?

– Zamierzamy pozbyć się Morgaratha – powiedział Halt.

Zapadła cisza. W końcu drzwi chaty powoli się otworzyły i na ganek wyszedł mocno zbudowany mężczyzna z łukiem w lewej dłoni.

– Brzmi zachęcająco – stwierdził.



Leander podał im rękę na powitanie, a potem za prosił przybyszów do środka. Usiedli przy stole. Leander zaproponował piwo.

– Nie masz kawy? – spytał Halt.

– Ostatnio trudno ją zdobyć – rzekł Leander. – Baron pilnuje, żebym nie miał dostępu do zapasów, o takich luksusowych dobrach nie wspominając. Mieszkańcy wsi przynoszą mi jedzenie po kryjomu, odkładają, ile tylko mogą. Nie wiem, jak długo tak jeszcze wytrzymam.

– W takim razie niech będzie piwo – odparł Halt. Leander napełnił trzy niewielkie kufle.

Halt rozejrzał się po wnętrzu chaty. Większe pomieszczenie z niewielką częścią wydzieloną na kuchnię, służyło za pokój dzienny. Za dwójgiem drzwi kryły się kolejne pokoje, sypialnie, jak można się było domyślić.

– Przytulnie tu – stwierdził. Zwiadowcy popatrzyli na niego, a potem rozejrzeli się dokoła. Obaj przywykli do tego widoku i nie widzieli w nim niczego szczególnego.

– To typowa chata zwiadowcy – wyjaśnił Crowley. – Każdy z nas w takiej mieszka. Właściwie niczym się między sobą nie różnią. Jak już wspominałem, wolimy mieszkać w pewnej odległości od zamku i barona. W ten sposób możemy zachować niezależność.

Leander kiwnął głową.

– W przeciwieństwie do mojego zastępcy – rzucił sarkastycznie. – On lubi przebywać w cieniu barona. Słyszałem, że dostał luksusowy apartament do swojej dyspozycji.

– A dlaczego tak im zależy, by się ciebie pozbyć? – spytał Halt.

Leander pogardliwie wyduł wargi.

– Nowy chce sobie tutaj urządzić chatę myśliwską – powiedział. – Tak jakby miał jakiegokolwiek pojęcie o polowaniu. Zostałem, ponieważ w ten sposób mogę w razie potrzeby pospieszyć na pomoc mieszkańcom wsi.

– Ale jesteś baronowi solą w oku, co? – rzucił Halt.

Po raz pierwszy Leander pozwolił sobie na lekki uśmiech.

– To też – odparł. – A o co chodzi z Morgarathem?

Crowley szybko wyjaśnił, co knuje baron i w jaki sposób zamierzają pomieszać mu szyki.

Leander słuchał uważnie, potem powiódł wzrokiem od jednego do drugiego i zapytał:

– Chcecie dokonać tego sami? We dwóch?

– Mamy całą listę zwiadowców, których Morgarath wyrzucił z Korpusu. Zamierzamy zebrać ich wszystkich i wspólnymi siłami zniweczyć jego plany – odparł Crowley.

– Zamierza wykonać zasadniczy ruch podczas turnieju w Gorlanie – dodał Halt. Leander z namysłem zmarszczył brwi, przez chwilę przetrawiał jego słowa.

– To za jakieś siedem tygodni. Jak sądzicie, ilu potrzebujecie ludzi?

– Na liście jest dwanaście imion – odparł Crowley. – Ale sami zwiadowcy, co oznacza całkiem silną grupę.

Leander powoli pokiwał głową.

– Zgadza się. Dwunastu zwiadowców to siła, z którą trzeba się liczyć. Ale musicie zdobyć również poparcie przynajmniej kilku baronów. Wielu po prostu zwraca się tam, gdzie wiatr powieje. A Morgarath jest szanowaną figurą. Potrzebujecie podobnej postaci.

– Zamierzamy poprosić o wsparcie Aralda z lenna Redmont – odparł Crowley. – Z tego, co słyszeliśmy, on i Morgarath za sobą nie przepadają.

– Też tak słyszałem. A Redmont to jedno z najsilniejszych lenn, być może równie silne jak Gorlan. Arald byłby korzystnym sprzymierzeńcem. Reprezentuje prestiż, którego potrzebujecie, by przeciągnąć ludzi na swoją stronę. W tej sprawie zdobycie poparcia jest równie ważne, jak zbrojna walka z Morgarathem.

Przez chwilę milczeli. Leander się zamyślił. Halt niespokojnie poruszył się na krześle. Miał ochotę trochę przycisnąć Leandera, skłonić go, by udzielił im poparcia, tu i teraz. Ale Crowley uchwycił jego spojrzenie i potrząsnął głową. Wolał, by zwiadowca sam podjął decyzję, bez nacisków z ich strony. W końcu Leander podniósł wzrok.

– To ilu was jest na razie? – spytał. Crowley i Halt popatrzyli na siebie. Zapadła niezręczna cisza.

– Dwóch – odparł wreszcie Halt.

Leander spojrzał na niego, po czym pokazał trzy rozcapierzone palce. Na jego twarzy pokazał się drapieżny uśmiech.

– Teraz już trzech – powiedział.



Leander w dziesięć minut spakował potrzebne na drogę rzeczy. Wyszedł przed chatę, odwrócił się i spojrzał na niewielki budynek. Na jego twarzy widniał smutek.

– Lubiałem to miejsce – powiedział cicho do Crowleya. Halt był w stajni, zaofiarował się, że osiodła konia Leandera. – Nie mogę znieść myśli, że zostawiam chatę temu idiocie w satynowej pelerynie. Chyba wolałbym, żeby doszczętnie spłonęła. Mam wielką ochotę podłożyć ogień.

Crowley dotknął jego ramienia.

– Nie rób tego. Wkrótce tu wrócisz.

Leander powoli pokiwał głową.

– Mam nadzieję.

Halt wynurzył się z za chaty, prowadząc gniadego konia. Leander przyjął wodze.

– Dziękuję – powiedział. – Chyba nie próbowałeś na niego wsiąść?

Halt zmarszczył brwi i potrząsnął głową.

– Niby po co?

Leander posłał Crowleyowi uśmiech.

– Nieważne.

Dosiedli koni i ruszyli stępą. Na pierwszym zakręcie Leander zatrzymał się i jeszcze raz ze smutkiem popatrzył na swoją chatę. Wyglądała jak symbol wszystkiego, co na świecie dobre, proste i szczerze – wszystkiego, co Morgarath usiłował zniszczyć. W końcu Leander odwrócił się gwałtownym ruchem i spiął konia do kłusa, zostawiając chatę za sobą.



Następny w kolejności był niejaki Berrigan z lenna Weslon. By tam dotrzeć, musieli przejechać przez terytorium innego lenna. Postanowili, tak jak wcześniej, trzymać się z daleka od ludzkich osad i obozować w terenie.

Początkowo Halt i Crowley czuli się nieco dziwnie. W ciągu tych kilku ostatnich tygodni zdążyli przywyknąć do swojego towarzystwa. Leander jednak szybko się w nie wpasował. A Halt stwierdził w myślach, że teraz przynajmniej będą mogli dłużej pospać, bo podzielą warty na trzech.

Po drodze Crowley opowiedział Leaderowi, skąd pochodzi Halt, dlaczego po odbyciu szkolenia pod okiem Pritcharda opuścił Hibernię i o tym, jak pomógł Crowleyowi, kiedy zaatakowała go grupa ludzi Morgaratha. Oczywiście, nie wiedział o królewskim pochodzeniu Halta.

Usłyszawszy, że Hibernijczyk odrzucił propozycję Morgaratha, który próbował go zwerbować, Leander z uznaniem kiwnął głową. Czuł coraz większy szacunek do Halta. Już na samym początku przekonał się o niezwykłej sprawności, z jaką Halt posługiwał się łukiem. Nie wątpił, że podobnie jest w przypadku topora i noży. Imponowała mu również wiedza Halta na temat życia w lesie – potrafił niemal instynktownie wybrać najlepsze miejsce na obozowisko, bezpiecznie skryte pośród drzew i odpowiednio oddalone od drogi – tak by zdążyli się przygotować, gdyby ktoś się zbliżał.

Podziwiał również talent kucharski swoich nowych towarzyszy. Sam mógłby się nazwać co najwyżej poprawnym kucharzem – chociaż gotowanie było jedną z umiejętności, które musiał opanować każdy przysły zwiadowca. Zdał test, ale właściwie nie stosował zdobytej wiedzy w praktyce. I tak, w jego wykonaniu mięso pieczone nad ogniskiem było spalone po wierzchu, a w środku niemal surowe. Nie miał cierpliwości Halta i Crowleya. Prędko zrozumiał, że lepiej na tym wyjdzie, jeśli gotowanie zostawi tym dwóm.

W zamian wykonywał wszystkie konieczne drobne czynności związane z obozowaniem: rozpalał ogień, zbierał drzewo i zmywał naczynia po jedzeniu.

Trzeciego dnia przekroczyli granicę lenna Weslon. Crowley wskazał na niewielką kamienną kolumnę na poboczu.

– Jeszcze pół dnia i dotrzemy do zamku – powiedział.

– Berrigan – mruknął Leander pod nosem. – Chyba go pamiętam. Był kiedyś śpiewakiem, prawda?

– Zgadza się – potwierdził Crowley. – Grał na gitarze i śpiewał. To on skomponował



„Chatę w lesie”.

Halt z zaciekawieniem podniósł wzrok.

– Co to takiego?

– Piosenka zwiadowców – odparł Leander. – Śpiewamy ją na każdym zgromadzeniu.

Zapadła cisza, po chwili zaś, nawet niczego między sobą nie ustalając, Leander i Crowley zanucili:

*Wracam do chaty pośród drzew, Gdzie strumień kręty u stóp wzgórz; Może tam dziewczę czeka jeszcze, A może zapomniało już.*

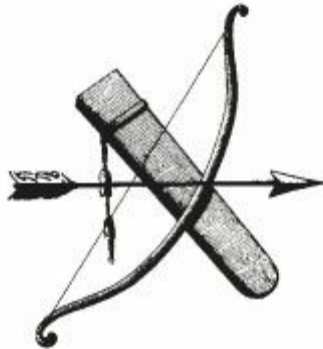
Po drugiej zwrotce urwali, ale Crowley jeszcze przez chwilę gwizdał melodię refrenu. Halt zmarszczył brwi.

– Wydobywasz z siebie jakiś dziwny piskliwy dźwięk – stwierdził.

Crowley rozejrzał się dokoła, zaskoczony. Zupełnie nie zdawał sobie sprawy, że gwizdże i nie od razu skojarzył, że właśnie do tej czynności odnoszą się słowa Halta o „dziwnym piskliwym dźwięku”.

– To muzyka – wyjaśnił.

– Ja bym tak tego nie nazwał – skwitował Halt.





**P**łynne szemrzące dźwięki gitary wypełniały wnętrze gospody „Pod Wesołą Żabą”.

Mieszkańcy wsi siedzący wokół stołów z kufkami piwa, pogrążeni w rozmowie, wolną ręką wybijali rytm – niektórzy zupełnie nieświadomie. Większość w pewnym momencie przerwała rozmowy i patrzyła na muzyka, którego palce prędko biegały po strunach, bez widocznego wysiłku czy napięcia.

Palce prawej dłoni – lekko podwinięte, tak że nie dało się dostrzec, co dokładnie robią – wydobywały z instrumentu skomplikowaną melodię, to uderzały w struny basowe i wiolinowe po kolei, to od czasu do czasu zmieniały takt i produkowały dźwięk skoczny i wesoły.

Zakończywszy introdukcję, muzyk zaczął śpiewać – jasnym przyjemnym tenorem.

*Jenny znad jeziora i Maisie znad rzeki,*

*Katy od piekarza i Hannah z pasieki.*

*Wszystkie one piękne jako ta malina*

*Lecz Sadie ze stajni to moja jedyna.*

Pochylił się nad instrumentem i zagrał wariację na temat początkowej części utworu. Dlatego nie zauważył, jak trzy postaci w pelerynach wśliznęły się do środka i zajęły miejsca w tylnej części sali. Większość zebranych, wpatrzonych w śpiewaka, również nie zwróciła na nich uwagi. Tylko kilku gości spojrzało na nowoprzybyłych, ale ponieważ nie dostrzegli w ich wyglądzie niczego szczególnego, szybko odwrócili wzrok. Wszyscy przyłączyli się do refrenu:

*Sadie robi w stajni od samego rana,*

*Koniom wodę nosi, daje owsa, siana.*

*Szczerze przyznać muszę, straszna to maskara,*

*Lecz ja też szkaradny, dobrana z nas para.*

Kiedy zaczęła się kolejna zwrotka, zapadła kompletna cisza. Wszyscy słuchali w skupieniu.

*Jenny za mną tęskni, Maisie rzewnie szlocha.*

*Ależ moje miłe, ja was wszystkie...*

Nagle drzwi gwałtownie się otworzyły. Głos śpiewaka zamilkł, palce jeszcze przez chwilę dotykały strun gitary.

Do środka wpadło czterech mężczyzn w kolczugach i czarnych skórzanych kubrakach nabijanych ćwiekami. U pasa mieli krótkie miecze, a na głowach płaskie żelazne hełmy. Ustawili się w półkolu pośrodku gospody, ci na obu końcach lekko zwrócenieni w bok, gotowi na ewentualne próby oporu ze strony zgromadzonych. Na końcu wszedł piąty mężczyzna w bogato zdobionej pelerynie z zielonego jedwabiu. Na prawym ramieniu widniał dębowy liść wyszyty złotą nicią. Peleryna była bardzo krótka, przypominała coś w rodzaju zwykłej narzutki i nie miała kaptura, tylko wysoko podniesiony kołnierz, otaczający szczerzą twarz.

Dało się zauważyć, że piąty mężczyzna wszedł do środka dopiero, kiedy zyskał pewność, że jego ludzie mają sytuację pod kontrolą. Teraz wystąpił naprzód i wycelował palec w muzyka.

– Berrigan! – wrzasnął, ale głosem nieco zbyt piskliwym, by ludzie mogli potraktować na poważnie. – Nie masz prawa tu przebywać. Już nie jesteś zwiadowcą lenna Weslon!

– Niech śpiewa dalej – gniewnie mruknął jeden z gości. – Nie robi niczego złego.

Jeden z żołnierzy natychmiast zrobił krok do przodu, z sykiem wyciągnął miecz z pochwy i wymierzył czubkiem w gardło śmiałka.

– Zamierzasz dyskutować ze zwiadowcą, szumowino?

Mężczyzna, nieuzbrojony wieśniak, cofnął się, spuszczając wzrok.

– Nie, panie. Na pewno nie – odparł. Jego głos wyraźnie zdradzał strach.

– To trzymaj język za zębami, bo ci go obetnę! – zagroził żołnierz.

Muzyk pieczołowicie położył gitarę na stole za swoimi plecami, zapewne licząc na to, że tam będzie bezpieczna. U jego pasa tkwiły dwie pochwy, z których wystawały rękojeści noży: saksy i do rzucania. Ale nie sięgnął po żaden z nich. Pompatyczny nadęty dureń w zielonej pelerynce jakoś nie budził w nim lęku. Ale czterech żołnierze byli uzbrojeni i gotowi interweniować w razie awantury. Czuł, że wręcz by się z niej ucieszyli, a nie zamierzał dawać im pretekstu do rozpoczęcia walki, w której mieliby przecież znaczną przewagę. Któryś z mieszkańców wsi zapewne pospieszyłby mu na pomoc, może zostałby ranny, a on nie chciał mieć nikogo na sumieniu.

– Nie musicie straszyć Isaaca – powiedział. Żołnierz rzucił mu gniewne spojrzenie, on zaś spokojnie na nie odpowiedział, aż w końcu żołnierz mruknął pod nosem jakieś przekleństwo i wsadził miecz z powrotem do pochwy. Dopiero wtedy zwiadowca zwrócił się do swojego następcy:

– Nie chcę żadnych awantur, Willet. Próbuje zarobić na obiad. Chyba mam prawo?

– Oczywiście, że nie masz! – odparł Willet. – Zostałeś wydalony z Korpusu Zwiadowców. Poza tym śpiewasz obraźliwe utwory na temat króla! Nie chcemy takich jak ty w lennie Weslon!

Berrigan wzruszył ramionami.

– Odniosłem wrażenie, że gościom podoba się moja muzyka. I na pewno nie przypominam sobie, bym śpiewał obraźliwe rzeczy na temat króla.

– Wyśpiewujesz jakieś bzdury, jakoby król cierpiał na kłopoty jelitowe! – wrzasnął Willet. Berrigan uśmiechnął się mimo woli.

– Zapewne chodzi ci o wers: „Dobry król Gerwazy, co straszne ma gazy”?

Nowy zwiadowca pokiwał głową.

– Właśnie! To obraźliwe słowa. Można by je uznać za zdradę stanu!

Berrigan wzruszył ramionami.

– Ale nasz król nie ma na imię Gerwazy. To nie jest piosenka o naszym władcy, tylko taka sobie głupia rymowanka.

– Aleś ty sprytny! Teraz udajesz, że piosenka mówi o innym królu. Ale ja wiem, że chodzi o naszego władcę. Zachęcasz ludzi, żeby się z niego śmiali!

Były zwiadowca pokręcił głową.

– Nieprawda. Śpiewam tę piosenkę od wielu lat.

– A więc – odparował Willet triumfalnie – przyznajesz się do winy! Przyznajesz, że dopuściłeś się tego czynu wielokrotnie!

Berrigan westchnął. Ze smutkiem popatrzył na swego zastępcę.

– Willet, czy ty cierpisz na bezsenność i wymyślasz takie głupoty po nocy? A może przychodzą ci naturalnie? Całkiem spontanicznie?

Kilku gości zareagowało śmiechem. Żołnierze powiedli dokoła wzrokiem, szukając winnych. Ale mieszkańcy wsi prędko przybrali kamienny wyraz twarzy. Willet przez chwilę piorunował Berrigana spojrzeniem. Jego szczęki poruszały się bezgłośnie. Były zwiadowca bacznie go obserwował. Czuł, że chyba trochę za bardzo wkurzył tego komicznego człowieczka. W końcu Willet odzyskał panowanie nad sobą. Wyrzucił do przodu prawe ramię, mierzając palcem w leżącą na stole gitarę.

– Skonfiskować ten instrument, kapralu! I zniszczyć!

W chwili, kiedy dowódca ruszył, by wykonać rozkaz, Berrigan zaszedł mu drogę. Jego ręka tym razem powędrowała w stronę rękojeści saksońskiego noża.

– Nie radzę – powiedział, głosem cichym, ale bardzo groźnym.

Kapral przystanął. Miał miecz do obrony. Ale wiedział, że stoi naprzeciw zwiadowcy. Nie jednego z tych dyletantów pokroju Willeta, który dostał się do Korpusu kilka miesięcy temu, ale z prawdziwym zwiadowcą, szkolonym i gotowym do walki.

– Do mnie! – rzucił półgębkiem. Trzej żołnierze wystąpili naprzód, z sykiem wyciągając miecze z pochew. Berrigan znalazł się w niebezpiecznej sytuacji. Przeciwnicy mieli znaczną przewagę liczebną, a on nawet nie zdążył dobyć broni. Kapral powoli wysunął miecz z pochwy i posłał Berriganowi paskudny uśmiezek.

– Cofnij się, wyjcu – powiedział. – Dostaniesz dwa instrumenty w cenie jednego.

Zamierzył się ciężkim krótkim mieczem, wzrok utkwiał w leżącym na stole instrumencie z gładkiego drewna. Lecz nim zdążył wykonać egzekucję, Berrigan dobył saksy, gotów odparować każdy cios, czy to wymierzony w gitarę, czy w niego.

Nagle gdzieś w głębi sali rozległo się niskie „frum!” i strzała przecięła powietrze. Trafiła w szeroki mankiet rękawicy i pchnęła ramię kaprała do przodu, aż uderzyło w gruby drewniany słup, podtrzymujący strop gospody.

Mężczyzna próbował uwolnić rękę przyszpiloną strzałą do drewna. Miecz wypadł mu z ręki. Jego towarzysze odwrócili się, by sprawdzić, skąd nastąpił atak. Zobaczyli zmierzające w ich stronę trzy zakapturzone postaci. Jeden z mężczyzn wciąż trzymał przed sobą potężny łuk, z którego przed chwilą wypuścił strzałę. Pozostali dwaj dzierżyli w dłoniach saksy.

Żołnierze ruszyli w stronę napastników, a Berrigan tymczasem również wyciągnął z

pochwy sakse, po czym walnął ręką w ramię najbliższego żołnierza – między szyję a obojczyk. Żołnierz wrzasnął z bólu, wypuścił miecz i chwycił się za ramię. Jego towarzysze, niepewni, z której strony powinni się spodziewać największego zagrożenia, zawahali się i zawrócili w stronę muzyka. Jeden z nich machnął mieczem z ukosa – niski strop nie pozwalał wykonać ciosu z góry.

Berrigan swobodnie sparował cios nożem saksońskim. Metal zgrzytnął o metal. Berrigan zrobił krok w przód i wcisnął lewą pięść w splot słoneczny przeciwnika. Żołnierz miał pod kaftanem metalową kolczugę, ale siła ciosu zgmiotła mu żebra i pozbawiła powietrza. Zgiął się w pół i osunął na kolana z cichym stęknięciem.

Tymczasem Halt i Crowley zajęli się dwoma pozostałymi żołnierzami. Crowley prędko wyjął nóż do rzucania i dwoma skrzyżowanymi ostrzami sparował cios. Uchwyciwszy klingę w V, stworzone przez oba noże, szybkim ruchem skierował je w prawo i wyrwał miecz z dłoni żołnierza. Broń z brzękiem uderzyła o podłogę. Kiedy żołnierz się schylił, Crowley przyłożył mu lewym sierpowym prosto w szczękę. Żołnierz padł na deski jak długi, cicho pojękując.

Ostatni z żołnierzy, uświadomiwszy sobie, że owszem, nadal jest czterech na jednego, ale teraz to on jest tym jednym, rzucił miecz i podniósł ręce w geście kapitulacji.

– Litości! – zawołał, widząc wyrok śmierci w ciemnych oczach stojącego przed nim zwiadowcy. Nie było w nich cienia współczucia. Ostrze noża błysnęło w świetle lampy. Żołnierz padł na kolana, wciąż trzymając ręce w górze.

Halt rzucił mu zdeglustowane spojrzenie.

– Właśnie, litości! – powtórzył.

Przez chwilę nie wiedział, co zrobić z nieuzbrojonym przeciwnikiem. Ale Crowley rozwiązał ten problem za niego. Zamierzył się nożem i walnął wzmocnioną mosiężnymi okuciami ręką w tylną część hełmu żołnierza. Żelazo tylko w niewielkim stopniu zamortyzowało siłę ciosu i nieszczęśnik poleciał do przodu, twarzą do ziemi. Głowa aż odskoczyła pod wpływem uderzenia.

Willet, nowy zwiadowca, patrzył, oczami okrągłymi ze zdumienia, jak jego żołnierze w ciągu kilku sekund zmieniają się w jęczące obolałe wraki. Nagle, wykorzystując chwilę, kiedy nikt nie zwracał na niego uwagi, przezornie pobiegł do wyjścia i znikł w ciemnościach nocy.

Ale Halt natychmiast za nim popędził.

Leander podszedł do żołnierza przyszpilonego strzałą do słupa. Biedak nadal próbował się uwolnić, nie mógł jednak wyciągnąć ręki – przebita rękawica ściśle przylegała do nadgarstka. Próbował więc wyciągnąć strzałę, ale tkwiła głęboko w twardym drewnie.

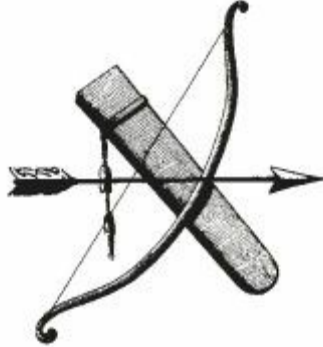
– Chciałbym odzyskać strzałę – powiedział Leander. Chwycił drzewce tuż za grotem i mocno szarpnął, wrywając grot ze słupa. Ramię kaprała bezwładnie opadło. Zwiadowca wsunął strzałę do kołczanu. Kapral rzucił mu mordercze spojrzenie, po czym, nie panując nad wściekłością, dobył sztyletu i zamierzył się, celując w brzuch Leandera.

Lecz nie trafił. Leander rzucił łuk i zablokował cios lewą ręką, odwracając ją tak, by jednocześnie chwycić za nadgarstek przeciwnika. Szarpnął ramieniem do góry, tak że kapral musiał unieść nóż wysoko nad głową. Jednocześnie wsunął prawą rękę za jego dłoń, jeszcze mocniej wyginając ją do góry i w tył. Zrobił krok do przodu, tak że jego prawa noga znalazła się za nogą kaprała, chwycił jego ramię mocniej obiema rękami, wciąż próbując wytrącić mu nóż.

Cała sekwencja ruchów, ćwiczona setki razy podczas treningów, trwała mniej więcej sekundę. W końcu nóż wypadł z dłoni kaprała, który nawet tego nie zauważył – czuł tylko ból przeszywający ramię. Osunął się na ziemię, żałośnie chlipiąc.

Berrigan powiódł wzrokiem po napastnikach, przegranych, nieprzytomnych bądź całkowicie niezdolnych do walki. Nieznajomi mężczyźni odziani w peleryny, którzy przyszli mu z pomocą, wyszczerzyli się od ucha do ucha.

– A wy, coście za jedni? – spytał.





**H**alt zawołał za zieloną peleryną migającą pośród cieni:

– Hej! Stój albo wypuszczę kolejną strzałę!

Tak naprawdę zostawił łuk w gospodzie. Ale Willet nie musiał o tym wiedzieć. Zastygł w miejscu, zacisnął powieki i czekał, przerażony, na rozdzierający ból.

Słyszając zbliżające się kroki, otworzył oczy i napotkał spojrzenie ciemnobrodego nieznajomego. Nagle zauważył, że wcale nie mierzy on z łuku i postanowił odzyskać utraconą godność.

– Cofnij się! – rozkazał. Głos łamał mu się ze strachu, co raczej psuło zamierzony efekt. – Jestem królewskim zwiadowcą!

– Nie jesteś żadnym zwiadowcą. – Wargi Halta wygięły się ze wzgardliwym uśmiechu. – Jesteś zwykłym nadętym pozerem.

Nagle dostrzegł na jego szyi znajomy kształt – srebrny wisiorek w kształcie dębowego liścia, symbol władzy zwiadowców. To była prawdziwa obraza jego poczucia porządku i sprawiedliwości.

– Komu to ukradłeś? – zapytał, chwytając łańcuszek i pociągając Willeta w swoją stronę. – I gdzie?

– Skonfiskowałem – wydusił Willet. – Należy do mnie, zgodnie z prawem. Wcześniej należał do Berrigana.

– I nadal należy do niego – odparł Halt, zrywając łańcuszek z szyi Willeta. Potem go puścił, aż ten zatoczył się o kilka kroków w tył. Dostrzegłszy, że Halt nie może go już dosięgnąć, znów postanowił odzyskać utraconą godność.

– Lord Morgarath cię za to zabije!

Halt zaśmiał się głucho w odpowiedzi.

– Możliwe. Ale ty nie będziesz miał okazji się o tym przekonać. Zawiodłeś. Sam wiesz, jak traktuje takich ludzi.

W oczach Willeta pokazał się strach. Wiedział, że jego przeciwnik ma rację. Morgarath

był srogi, okrutny i bezlitosny. Tym, którzy go zawiedli, nie pozwalał powtórzyć błędu. Willet, całkiem nieświadomie, cicho zaskomlał.

– Na twoim miejscu – dodał Halt – w tym momencie zacząłbym biec. I biegłbym nieprzerwanie aż do chwili, kiedy dotarłbym do granic Celtii. Może Morgarathowi nie będzie się chciało ganiać za tobą tak daleko. – Zaczekał, aż Willet przetrawi te słowa, po czym zrobił krok do przodu i wrzasnął z zaskoczenia: – Ruszaj!

Willet, przerażony, podskoczył w miejscu, obrócił się na pięcie i wystrzelił przed siebie – dokładnie w chwili, kiedy prawy but Halta trafił w tylną część jego ciała i pchnął go parę metrów do przodu, zapewniając doskonały start w spontanicznej podróży do Celtii.

– A to na drogę! – zawołał Halt. Willet potruchtał dalej, nie oglądając się za siebie i rozcierając obolałe pośladki.



– To chyba należy do ciebie – powiedział Halt, rzucając srebrny liść na stół.

Berrigan spojrział na amulet i wziął go do ręki. Na jego twarzy rozlał się szeroki uśmiech.

– Nawet nie wiedziałem, jak bardzo mi go brakowało – stwierdził. Potem spojrział na Halta. Pod jego nieobecność Crowley opowiedział mu, że Hibernijczyk przeszedł takie samo szkolenie jak zwiadowcy. – Dziękuję.

Halt wzruszył ramionami.

– To może zaczekać.

Komentarz przywołał w pamięci Crowleya pewną myśl, która od kilku dni nie dawała mu spokoju.

– Może to tak, ale coś innego nie – powiedział. Halt spojrział na niego z zaciekawieniem, ale Crowley ruchem ręki dał do zrozumienia, że nic więcej nie powie. Halt dowie się wszystkiego w odpowiednim czasie.

Kciukiem wskazał Berrigana, który właśnie chował gitarę do skórzanego futerału.

– Zaznajomiliśmy go z naszymi planami – powiedział. – Postanowił do nas dołączyć. – W jego głosie pobrzmiwała nuta zadowolenia. Właściwie spodziewał się, że Berrigan im nie odmówi, ale jednak bardzo się cieszył, że dwaj zwiadowcy postanowili połączyć z nimi siły. Odmowa na tak wczesnym etapie byłaby oznaką braku zaufania.

– A więc jest nas już czterech – stwierdził Leander.

Berrigan posłał mu szeroki uśmiech. Zawiązał futerał i powiedział:

– Dobra okrągła cyfra.

Crowley wzruszył ramionami.

– Wolałbym okrągłęjszą – stwierdził. – Tak ze trzy razy.



Kolejnym potencjalnym rekrutem był Egon z lenna Seacliff. Ale nie od razu skierowali się na wschód, najpierw Crowley poprowadził ich w przeciwnym kierunku. Halt zauważył, że trzech zwiadowcy co jakiś czas namawiają się między sobą. Z rzucanych w jego stronę spojrzeń domyślił się, że to on jest przedmiotem tych rozmów. Najwyraźniej wspólnie podjęli jakąś ważną decyzję. Ale nadal nie mógł nic wyciągnąć z Crowleya. Filozoficznie wzruszył



ramionami. Znał już swego towarzysza na tyle, by wiedzieć, że uwielbia on dramatyczne efekty. Często robił przedstawienie z najbanalniejszych spraw, by zapadły wszystkim w pamięć. Najwyraźniej szykował jakąś niespodziankę. Halt wiedział, że musi się uzbroić w cierpliwość i w końcu wszystkiego się dowie.

I przez przekorę postanowił o nic Crowleya nie pytać i tym samym nie powiększać jego radości.

W połowie drugiego dnia znaleźli się na krętej pnącej się w górę drodze dojazdowej. Po obu stronach ciągnęły się ogrodzone łąki i wybieg dla koni. W oddali majaczyła linia lasu.

Ponad linią ogrodzenia Halt widział pasące się konie, sporo dorosłych sztuk i kilka źrebaków, które na widok nieznanym jeźdźców zaczęły wierzgać i skakać dokoła. Wszystkie konie były podobnej budowy, miały krótkie nogi – za krótkie jak na konie bojowe czy lekkie wierzchowce dla eleganckich dam – krzepkie ciała i kudłate grzywy. Halt zerknął na konie swoich towarzyszy i zauważył, że posiadają podobne cechy.

Zauważył też, że nigdzie, jak okiem sięgnąć, nie widać pól uprawnych. Cały teren porastała długa obfita trawa, w niektórych miejscach już skoszona i powiązana w snopki.

Wjechali na szczyt wzniesienia. Na końcu drogi ukazał się niewielki schludny domek. Z tyłu wznosiła się większa piętrowa budowla. Na piętrze znajdowały się wielkie podwójne wrota, a na samym szczycie podnośnik, lina z zawiązaną pętlą kołysała się na lekkim wietrze. Teraz Halt zrozumiał, dlaczego nie widział po drodze żadnych upraw.

„To stadnina”, powiedział do siebie. Tutejsi mieszkańcy żyli z koni, nie z rolnictwa. Obfite łąki dostarczały zwierzętom jedzenia i miejsca do biegania. W piętrowym budynku mieściła się stajnia. Halt jeszcze raz spojrzął nań z zainteresowaniem. Oceenił, że jest tam miejsce na co najmniej osiem sztuk. Stosunkowo dużo jak na tak niewielką farmę. W tym domu mieszkały pewnie dwie, góra trzy osoby.

Zajechali przed dom i wstrzymali wierzchowce. Jakby za milczącym porozumieniem, jeszcze nie zsiadali z koni, czekali w milczeniu. Nagle Halt uświadomił sobie, że słyszy brzęczenie pszczoł i ćwierkanie świerszczy w wysokiej trawie za ogrodzeniem.

– Bob! – zawołał Crowley. – Jesteś tam?

Spojrzął w stronę domu, widać spodziewał się, że właśnie stamtąd padnie odpowiedź. Ale nie padła. Wziął głęboki wdech, by krzyknąć raz jeszcze, tylko głośniejsze, ale w tym momencie zaskrzypiały drzwi stajni i wszyscy popatrzyli w tamtym kierunku.

Ze środka wyszedł jakiś mężczyzna, przysłonił oczy w ostrym słońcu. Na jego pospolitej twarzy pojawił się uśmiech.

Był niski, chyba nawet niższy od zwiadowców, którzy charakteryzowali się raczej przysadzistą budową. W dodatku miał pałakowate nogi. Halt pomyślał, że to pewnie z powodu długich lat spędzonych w siodle. Mężczyzna wyglądał na góra trzydzieści lat, ale był prawie łysy, tylko nad uszami sterczały kępki brązowych włosów. Skórę miał ciemną, jak wygarbowaną – widać często przebywał na powietrzu. Jego uśmiech zrobił się jeszcze szerszy.

– No, no – powiedział. – Zwiadowcy. Balsam dla moich oczu. Zeskakujcie na ziemię, zapraszam do środka.

Jeźdźcy z ulgą zsiadli z koni. Jechali od rana właściwie bez przerwy, utrzymując szybkie tempo. Koń Halta, Declan, odetchnął z wdzięcznością. Halt popatrzył na jego smętnie

opuszczony łeb, a potem na konie zwiadowców. W ogóle nie przejawiały oznak zmęczenia. Zdawały się gotowe do dalszej drogi, ich uszy sterczały energicznie, sylwetki były czujne i napięte. Halt zmarszczył brwi. Declan był pięknym rumakiem, pochodził z jednej z najlepszych linii w całej Hibernii – kraju słynącego z doskonałych końskich ras. Ale wspominając kilka ostatnich tygodni, musiał stwierdzić, że te małe kudłate koniki, na których jechali jego towarzysze, potrafiły galopować przez wiele godzin, zupełnie się nie męcząc.

– Idziesz? – spytał Crowley.

Halt zdał sobie sprawę, że nadal gapi się na konie.

Crowley pchnął go w stronę drzwi.

– Widzę, że chyba się domyśliłeś, co tu robimy – powiedział z uśmiechem.

Wnętrze chaty było niewielkie, bardzo czyste i dobrze utrzymane. Zajęli miejsca wokół stołu, a Bob poczęstował ich orzeźwiającym sokiem z jabłek.

Zwiadowcy pili łąpczywie, splukując z gardeł pył podróży. Crowley uchwycił spojrzenie Halta i wskazał na gospodarza.

– To jest Bob Saddler – powiedział. – Lub, jak go nazywamy, Młody Bob.

Bob uśmiechnął się, przekrzywił głowę i puścił do Halta oczko. Robił wrażenie bardzo wesołego człowieka.

Crowley podjął:

– Bob, to jest Halt, nasz towarzysz. Pochodzi z Hibernii, gdzie odbył nauki pod okiem Pritcharda. Na pewno go pamiętasz?

– Oczywiście – odparł Bob z ożywieniem. – Wspaniały człowiek. I wspaniały zwiadowca.

Crowley wskazał na pozostałych mężczyzn.

– Berrigana i Leandera też znasz.

Bob pokiwał głową z wielką energią i entuzjazmem.

– Pewnie, pewnie. Witajcie na farmie Saddlera.

Berrigan i Leander zamruczeli coś w ramach powitania. Halt wyczuwał wokół aureę napięcia i wyczekiwania. Popatrzył na nich podejrzliwie, ale wszyscy trzej odpowiedzieli doskonale niewinnym spojrzeniem. Zbyt niewinnym. Już miał ich sprowokować, kiedy rozległ się stłumiony chichot.

Obrócił się prędko i dostrzegł szybki ruch w drzwiach prowadzących do przyległego pomieszczenia – ktoś prędko schował się w głębi pokoju. Bob pobiegł za wzrokiem Halta i westchnął.

– Dobra, małpiszony – zawołał surowym głosem. – Wyłazić.

Na chwilę zapadła cisza. W końcu zza framugi wychyliło się dwoje dzieci, chłopiec i dziewczynka, liczący na oko jakieś dziesięć lat. Przyciskały dłonie do ust, próbując stłumić śmiech. Bez wątplenia były rodzeństwem. I bez wątplenia były dziećmi Boba. Wyglądały jak jego miniatury: drobne, o wysokich czołach, cienkich brązowych włosach i skórze spalonej przez słońce i wiatr. A kiedy wreszcie oderwały dłonie od ust, ukazała się najważniejsza cecha rodzinnego podobieństwa: szerokie łobuzerskie uśmiechy. Halt, zawsze groźny i ponury, mimo woli również się uśmiechnął.

Bob spiorunował potomków udawanie gniewnym wzrokiem. Nie zrobiło to na nich najmniejszego wrażenia.

– Bliźniaki – wyjaśnił. – Mały Bob i Roberta. Zwani Bobbitami. Powitajcie zwiadowców, dzieci.

– Witajcie, zwiadowcy! – zakrzyknęły chóralnie, po czym znów zaczęły chichotać. Zwiadowcy odpowiedzieli na powitanie, uśmiechając się od ucha do ucha.

– Czy ten brodaty przyjechał po konia? – spytał Mały Bob, wskazując Halta.

Jego siostra natychmiast dorzuciła:

– Możemy popatrzeć? – I znów rozległ się niepowstrzymany chichot.

Bob pokręcił głową.

– Starczy już. – Odwrócił się i zawołał: – Robina! Mogłabyś zabrać te koszmarne bachory? – Bobbity aż zapiszczały z uciechy. Nagle do kuchni wpadła kobieta. Była niska jak mąż, ale pulchna i mamusiowata, podczas gdy on był raczej szczupły i umięśniony. Jej skóra również zbrązowiała od przebywania na słońcu. Podobnie jak w przypadku pozostałych członków rodziny, jej uśmiech rozjaśniał całe pomieszczenie. Włosy w odcieniu szarawego blondu – i na szczęście w ilości większej niż u męża – nosiła zebrane z tyłu w koczek.

– Witajcie, panowie – powiedziała.

Halt, wychowany na dworze królewskim, zerwał się z miejsca, by ją powitać. Pomyślał, że taką właśnie osobę chyba każdy chciałby mieć za mamę. Pozostali zwiadowcy poszli za jego przykładem, nieco zawstyżeni.

– To moja żona, Robina. W nieformalnych sytuacjach mówię na nią Bobby.

Halt wykonał wdzięczny ukłon w jej stronę. Robina zachichotała. Jej śmiech brzmiał identycznie jak śmiech jej dzieci.

– Bez takich ceregieli, zwiadowco – powiedziała. Crowley i reszta, znów za przykładem Halta, mruknęli coś na powitanie, a ona w odpowiedzi obdarzyła każdego po kolei uśmiechem. Następnie machnęła ręką w stronę dzieci, jakby przeganiała stado naprzykrzających się gęsi. – Zmykać mi stąd! Tata zostaje sam ze zwiadowcami.

Dzieci niechętnie ruszyły do wyjścia. W drzwiach dziewczynka spojrzała na ojca i spytała błagalnie:

– Ale możemy popatrzeć na tego z brodą?

Bob powtórzył gest żony.

– Nie. Wracajcie do swoich obowiązków.

Bobbici w końcu wyszli. Ich matka przystanęła na chwilę w drzwiach, odwróciła się, wdzięcznie dygnęła, po czym ruszyła w ślad za dziećmi, zaśmiewając się głośno.

– Miła rodzinka – powiedział Halt z nutką zazdrości w głosie. Jego życie rodzinne nie należało do najszcześniejszych. Potem zapytał: – Czy wszyscy w waszej rodzinie mają na imię Bob?

Bob zmarszczył brwi, najwyraźniej zdumiony.

– Dlaczego pytasz?

Halt wzruszył ramionami.

– Właściwie bez powodu.

Bob jeszcze mocniej zmarszczył brwi, ale potem postanowił strategicznie pominąć temat.

– A teraz przejdźmy do konkretów. Twój koń również pochodzi z Hibernii, prawda? – zwrócił się do Halta.

– Zgadza się. Z linii Glendan w Clonmelu. – Uważnie przypatrywał się Bobowi, ciekaw,

czy te nazwy coś mu powiedzą. Z zadowoleniem stwierdził, że owszem, tak – Bob z zapalem pokiwał głową.

– Tak właśnie przypuszczałem. Dobre konie. – Zwrócił się do zwiadowców: – Dwa czy trzy lata temu włączyłem do hodowli kilka klaczy z Glendan. Chcieliśmy uzyskać większą prędkość.

Halt zmarszczył brwi.

– Bob jest najlepszym w kraju hodowcą koni – wyjaśnił Crowley. – Dostarcza wierzchowców Korpusowi.

Uśmiech znikł z twarzy Boba.

– Już nie. Ci nowi nie doceniają moich koni. Chcą rumaków wysokich, o lśniącej sierści i smukłych nogach. Pięknie wyglądają, ale brak im prędkości i wytrzymałości.

– Prędkości i wytrzymałości – powtórzył Crowley. – Właśnie po to przyjechaliśmy. Nasz przyjaciel Halt potrzebuje dobrego konia.





**W**prawdzie Halt właściwie się tego spodziewał, ale i tak zareagował zaskoczeniem. Poczł się też nieco urażony ze względu na Declana.

– Mam dobrego konia – odparł szorstko.

Crowley uniósł ręce w geście kapitulacji.

– To prawda. Powinienem powiedzieć „lepszego”.

Halt już otworzył usta, lecz Crowley powstrzymał go ruchem ręki.

– Declan to wspaniały koń, w swojej kategorii. Ale zwiadowca potrzebuje konia innego typu, obdarzonego innymi cechami. Nasze konie są szybkie, muszę przyznać, że sam nie wiem, jaką szybkość potrafiłby rozwinąć mój. Są też, co ważniejsze, niezwykle wytrwałe. Potrafią więc poruszać się w szybkim tempie i w razie konieczności wytrzymać w drodze przez cały dzień.

– Nasza hodowla – wtrącił Bob – polega na tym, że krzyżujemy konie różnego typu. W ten sposób otrzymujemy poszukiwane cechy. Wspominałem, że kilka lat temu wykorzystaliśmy klacze z Glendan, by uzyskać większą szybkość. Oparliśmy naszą hodowlę na temudzaińskich kucach ze Wschodnich Stepów. Tamtejsze konie są małe, krępe i kudłate, może nieszczególnie piękne. Ale wyróżniają się niezwykle wprost wytrzymałością. Wiele lat temu skrzyżowaliśmy je z końmi galijskimi, by dodać im siły i krzepy. A potem z końmi hibernijskimi, z powodu ich prędkości. Od czasu do czasu wprowadzamy osobniki z oryginalnej rasy, by podtrzymać cechy, których szukaliśmy na początku. – Urwał i spojrzał na Crowleya. – Niedługo znów będziemy potrzebowali temudzaińskich kuców.

Crowley kiwnął głową.

– Ale najpierw musimy załatwić inne sprawy.

Bob znów skierował spojrzenie na Halta. Jego jaskrawoniebieskie oczy aż lśniły podczas tej rozmowy – kręcącej się wokół jego najwyraźniej ulubionego tematu.

– W rezultacie – podjął – otrzymaliśmy konie, które są szybkie, a jednocześnie bardzo wytrwale. I silne. Nie mają smukłych nóg, które przy większym wysiłku mogą popękać jak

patyczki. Dobry koń z naszej hodowli potrafi też przewrócić jednego z tych wielkich lecz niezbyt bystrych koni, których zwykle używa się podczas walk.

Halt z niedowierzaniem uniósł brew. Takie konie były potężnie zbudowane i bardzo silne. Owszem, początkowo były powolne, ale po pewnym czasie rozwijały sporą prędkość i były właściwie nie do zatrzymania. Halt nie potrafił sobie wyobrazić, by jeden z tych kudłatych maluchów miał przewrócić takiego potwora.

Bob zauważył jego spojrzenie, przekrzywił głowę na bok i powiedział:

– No tak, pewnie myślisz sobie „niemożliwe”. Ale zapewniam cię, że to prawda. Koń zwiadowcy robi to tak: rozwija dużą prędkość i wali z impetem w żebra większego przeciwnika, tuż za łopatką. Najpierw trochę się pochyla, potem gwałtownie prostuje i bam! Duży pada na ziemię.

Halt przeniósł spojrzenie na Crowleya.

– Tak czy inaczej, mam konia. Do tej pory dobrze mi służył.

– Do tej pory – powtórzył Crowley. – Ale z każdym dniem coraz trudniej mu przychodzi dotrzymać tempa naszym wierzchowcom. Szybciej się męczy i potrzebuje dłuższego odpoczynku.

Halt wydał wargi. Owszem, sam też to zauważył, szczególnie odkąd do ich dwójki dołączyli kolejni zwiadowcy. Wcześniej aż tak nie rzucało się w oczy, że Declan nie może nadążyć, bo mierzył się tylko z koniem Crowleya. Teraz okazało się, że zostaje w tyle za całą trójką.

– Może i tak – przyznał Halt z wahaniem. Niełatwo przychodziło mu przyznać, że jego rumakowi czegoś brakuje.

Crowley domyślił się tego i dodał łagodniejszym tonem:

– Declan to wspaniały wierzchowiec. Ale nasze konie są hodowane w określonym celu, charakteryzują się idealną kombinacją prędkości, inteligencji i wytrzymałości. Prawdopodobnie żadna inna rasa na świecie nie mogłaby im pod tym względem dorównać.

– Bez „prawdopodobnie” – wtrącił Bob. – Jest coś jeszcze. Takiego konia nie da się ukraść. To cecha, która czasem bardzo się przydaje.

Crowley spojrział na niego.

– Zakładam, że nadal hodujesz je i trenujesz w ten sam sposób, chociaż nowi zwiadowcy nie są zainteresowani owocami twojej pracy?

– Ależ oczywiście – odparł Bob. – Nie zamierzam rezygnować tylko dlatego, że jakieś fircykowane wymoczki nie znajdują się na koniach. Robię wszystko po staremu. Miałem nadzieję, że ktoś z was w końcu mnie odwiedzi.

Crowley uśmiechnął się szeroko.

– No i proszę, jesteśmy. I zamierzamy nakopać tym fircykom prosto w eleganckie spodnie i postawić Korpus z powrotem na nogi.

– Albo i wsadzić na te małe kudłate koniki – dorzucił Berrigan z uśmiechem.

Bob z zachwytem walnął pięścią we wnętrze dłoni.

– Na to liczyłem! Jak mogę wam pomóc?

– Cóż, zadanie na dzisiaj to znaleźć następcę dla Declana – odparł Crowley. – Masz jakieś konie gotowe do pracy?

Bob zerwał się z krzesła.

– Mam cztery trzylatki. W pełni wytrenowane i gotowe na spotkanie z nowym panem. – Wyciągnął rękę w stronę wyjścia. – Mistrzu Halt, zapraszam.

Ruszyli za Bobem, który wyprowadził ich na zalane jaskrawym słońcem podwórze i powiódł w stronę stajni.

Kiedy znaleźli się w ciemnym wnętrzu, Halt usłyszał szuranie kopyt w słomie i pojedyncze zaciekawione rzenie. Po chwili jego oczy przywykły do półmroku. Ruszył dalej za Bobem. Cztery konie ciekawsko wyglądały zza ścianek. Crowley, Berrigan i Leander, wiedząc, że jest to prywatne, wręcz intymne spotkanie, zatrzymali się tuż za drzwiami.

– Przyjrzyj im się uważnie – powiedział Bob. – Zastanów się, który z nich mógłby ci przypaść do gustu.

Halt przystanął i powiódł wzrokiem po końskich pyskach wystających nad ściankami przegród. Wszystkie były zwrócone w jego stronę – konie to ciekawskie stworzenia. Powoli ruszył wzdłuż przejścia. Cztery pary wielkich ciemnych oczu śledziły go spokojnie.

Trzy konie były gniadej maści, jeden – jabłkowitej. Kiedy Halt dotarł do jego przegrody, ich spojrzenia się spotkały. Halt dojrzał w końskich oczach coś wyjątkowego, coś, co przemawiało wprost do jego wnętrza, swego rodzaju porozumienie. Ten koń nie był po prostu zaciekawiony. Zdawał się mówić: *Dla mnie jesteś w porządku.*

Halt ruszył dalej wzdłuż przegród, ale coś go zatrzymało. Odwrócił się i jeszcze raz spojrzał na jabłkowitego. Koń potrząsnął łbem, aż grzywa rozsypała się na wszystkie strony. Halt znów napotkał jego spojrzenie.

*No przecież mówiłem.*

Halt wskazał na konia i spojrzał na Boba. Na jego twarzy już widniał pełen zadowolenia uśmiech.

– Mówi do ciebie, co? – zapytał Bob, bardzo cicho, by zwiadowcy nie mogli ich usłyszeć.

Halt cofnął się, zaskoczony. Rzeczywiście odniósł wrażenie, że jabłkowity konik próbuje z nim rozmawiać.

Bob, widząc jego zdumioną minę, pokiwał głową.

– Powiadają, że koń zwiadowcy potrafi rozmawiać ze swoim właścicielem. Potrafi mu przekazać, co myśli, co czuje. Powiedział ci to?

– No... niezupełnie – odparł Halt, przekonany, że wyobraźnia spłatała mu figla.

Bob nie ciągnął tematu. Położył dłoń na belce zamykającej przegrodę.

– Chciałbyś mu się bliżej przyjrzeć?

– Chyba tak. – Nagle Halt uświadomił sobie, że w ogóle nie obejrzał ostatniego konia. Ale stwierdził, że dalsze oględziny nie mają sensu. Interesował go tylko jabłkowity. Bob wyprowadził konia z przegrody. Halt obszedł go ze wszystkich stron, bacznie obejrzał krzepkie ciało i mocne kości, dotknął prężących się mięśni na łopatkach i zadzie, obejrzał kopyto przedniej nogi i odciągnął końskie wargi do tyłu, by sprawdzić zęby.

Uklęknął i przesunął dłonią wzdłuż przednich nóg, sprawdzając po kolei, czy przedramię, nadpięstek i nadpięcie są wolne od wad. Potem cofnął się nieco, by ocenić ogólną budowę konia, sprawdził, czy zad nie jest wyższy od kłębu, co byłoby oznaką tak zwanego przebudowania, które często prowadzi do kulawizny na przednich nogach. Koń odwrócił łeb i przyglądał się Haltowi z zaciekawieniem. Zdawał się co nieco rozbawiony jego zamiłowaniem do szczegółów.

– Podoba mi się. – Halt podparł się pod boki, na jego twarzy pokazał się uśmiech. Nie licząc kudłatej sierści i beczułkowatej budowy, konik miał w sobie coś niezwykle ujmującego.

Bob zaśmiał się, w dziwny piskliwy sposób.

– Słyszysz, co powiedział? – Pokręcił głową, a potem spojrzął na Halta i dorzucił: – Powiadamy, że to koń wybiera swojego zwiadowcę, nie odwrotnie. Abelard chyba wybrał ciebie, mistrzu Halcie.

– Abelard? – powtórzył Halt. Imię wydawało się nieco egzotyczne dla krzepkiego zwierzęcia przypominającego bardziej konia roboczego niż rycerskiego rumaka.

– A, tak. Dostał galijskie imię, ponieważ jego matka pochodziła z Gallii. Mówiłem, że włączyliśmy kilka tamtejszych sztuk do hodowli.

– Abelard – znów powtórzył Halt, wypróbując brzmienie imienia. Koń potrząsnął łbem. – Chyba się przyzwyczaję.

Bob znikł na chwilę w głębi stajni i wrócił z siodłem i ogłowiem. Abelard przyglądał mu się uważnie, jakby chciał sprawdzić, czy Bob odpowiednio zaciągnął popręg.

– Wyprowadź go – powiedział Bob. – Musisz się z nim zapoznać.

Halt wziął od niego wodze i wprowadził Abelarda na zalane słońcem podwórze. Zwiadowcy ruszyli za nim. Halt zauważył, że rzucają sobie dziwne ukradkowe spojrzenia. Uśmiechali się pod nosem i bardzo próbowali to ukryć. Wzruszył ramionami. Znów pomyślał, że Crowley uwielbia dramatyczne efekty. Z pewnością po prostu cieszył się, obserwując rodzącą się przyjaźń między Haltem i Abelardem.

Halt już miał włożyć stopę w strzemię, kiedy Abelard odwrócił się i na niego spojrzął.

Bob położył rękę na ramieniu Halta.

– Zamierzasz go dosiąść? – spytał.

– Chyba nie sądzisz, że będę zawsze chodził obok niego? – odparł sarkastycznie Halt.

Bob lekko wydał wargi.

– No dobrze – powiedział, cofając rękę.

Halt popatrzył na pozostałych zwiadowców. Wszyscy spoglądali na niego z niewinnymi minami. Miał nieodparte wrażenie, że sekundę wcześniej szczerzyli się od ucha do ucha.

– Powiniennem o czymś wiedzieć? – spytał Boba.

Ten zamyślił się, a potem powiedział:

– Hm. Wspominałem, że konia zwiadowcy nie da się ukraść, prawda?

Halt niecierpliwie machnął ręką. Nie rozumiał, jaki to ma związek z sytuacją.

– Tak. Wspominałeś. Przydatna cecha – odparł. – A teraz pozwolisz?

Bob cofnął się, a Halt chwycił za łęk, wsunął lewą stopę w strzemię i odbił się od ziemi. Usadowił się w siodle, prawą stopą odszukał drugie strzemię i zebrał wodze.

I w tym momencie nastąpiło trzęsienie ziemi.

Abelard podskoczył wysoko, jakby miał sprężyny pod wszystkimi czterema kopytami. Wygiął grzbiet i opadł na przednie nogi, trzy razy machnął zadem do góry, jednocześnie uskakując w lewo. Halt z trudem trzymał się w siodle. Nagle, bez ostrzeżenia, koń zmienił kierunek – gwałtownie obrócił się w prawo na tylnych nogach i trzy razy okręcił się wokół własnej osi. Haltem rzucało jak szmacianą lalką. Jeszcze jakoś się trzymał, dzięki instynktownemu wyczuciu i sporej porcji szczęścia. Abelard poruszał się tak szybko, że Halt



nie był w stanie opanować jego dzikich podskoków.

Wybieg wirował dokoła. Dom, stajnia, poidło, o które oparł się Bob – w postaci zamazanej plamy, w której wyraźnie jaśniały szerokie uśmiechy. Halt zacisnął zęby, obiecując sobie, że Abelard nie wygra w tej potyczce.

Niestety, Abelard był innego zdania. Stał dęba, więc Halt pochylił się do przodu, aż jego twarz dotknęła krótkiej kudłatej sierści. A wtedy Abelard błyskawicznie opuścił przednie nogi i mocno pochylił łeb.

Nagły ruch okazał się decydujący dla rozwoju wydarzeń. Halt poleciał do przodu, na szczęście zdążył wyciągnąć stopy ze strzemion, wykonał saldo w powietrzu i walnął o pylisty wybieg, lądując płasko na plecach.

Powietrze uszło z niego z raptownym „łuf!”. Leżał bezwładnie, stękając z bólu i rozpaczliwie próbując nabrać powietrza w puste płuca.

W końcu powoli odzyskał oddech, przetoczył się na brzuch i podniósł do kłku. W końcu wstał i zaczął otrząpywać się z piachu.

– Może jednak wybiorę innego konia – wysapał.





Zwiadowcy ruszyli w stronę Halta. Wszyscy mieli na twarzy szerokie uśmiechy i nawet nie próbowali ich ukrywać. Zza domu dobiegł dziecięcy chichot.

– Witaj w świecie zwiadowców – powiedział Berrigan.

Halt rzucił mu mordercze spojrzenie.

– Wiedziałeś, że tak będzie.

Było to oskarżenie, a nie pytanie. Berrigan obojętnie wzruszył ramionami.

– Powiedzmy, że miałem pewne podejrzenia – odparł.

– Każdy z nas przez to przechodzi – dorzucił Leander, uśmiechnięty tak szeroko, że twarz mało nie pękła mu na pół.

Halt przeniósł mordercze spojrzenie na niego.

– Chcesz powiedzieć, że wasze konie ciągle was zrzucają? Jakoś nie zauważyłem.

Leander potrząsnął głową.

– Nie ciągle. Tylko za pierwszym razem. Ponieważ zapominamy zadać właściwe pytanie.

– A jakie to pytanie?

– To skuteczna lekcja, by nie brać niczego za pewnik – wtrącił Crowley. – Bob pewnie ci mówił, że konia zwiadowcy nie da się ukraść? – spytał, po czym sam sobie odpowiedział: – Mówił. Sam słyszałem. Jak myślisz, czemu ci to powiedział?

– Nie mam pojęcia. Sądziłem, że lubi sobie pogadać. – Spojrzał na Boba. – Bez obrazy.

Bob potrząsnął głową i rozłożył ramiona wnętrzem dłoni do góry.

– Nie ma sprawy. Bez wątplenia tak właśnie jest.

Crowley podjął:

– Powiedział to w chwili, kiedy zamierzałeś osiąść Abelarda, prawda? A konkretnie, próbował cię powstrzymać. Nie dało ci to przypadkiem do myślenia?

– Do myślenia o czym? – zapytał Halt, chociaż zaczynał rozumieć, o co chodzi Crowleyowi.

– Nie zastanowiło cię, dlaczego konia zwiadowcy nie da się ukraść?

– Może ty mnie oświecisz.

Crowley spojrział na Boba i dał mu znak, by zabrał głos. Podobnie jak pozostali, Bob uśmiechał się od ucha do ucha.

– To kwestia treningu, mistrzu Halcie. Konie są specjalnie szkolone, nie pozwolą nikomu się dosiąść, jeśli nie usłyszą sekretnego hasła.

– Sekretnego hasła? – powtórzył Halt z niedowierzaniem. Sytuacja zaczynała przypominać jakąś wydumaną bajeczkę. Zastanawiał się, czy to przypadkiem nie jest dalsza część żartu, którego padł ofiarą ze strony zwiadowców. Ale Bob pokiwał głową z całkowicie poważną miną.

– Każdemu koniowi jest przypisane specjalne zdanie czy hasło. Właściciel musi poznać hasło i wypowiedzieć je, nim go dosiądzie.

– Za każdym razem? – spytał Halt z rosnącym niedowierzaniem. – To może być dość kłopotliwe, kiedy na przykład ktoś cię ściga.

Bob cierpliwie pokręcił głową.

– Nie za każdym razem. Tylko za pierwszym. Wtedy koń wie, że masz prawo na nim jeździć. Nie zauważyłeś, że Abelard popatrzył na ciebie w chwili, kiedy zamierzałeś go dosiąść?

Teraz Halt przypomniał sobie, że rzeczywiście tak było. Ale wówczas sądził, że koń jest po prostu ciekawski. A okazało się, że nie zrobił tego bez powodu. Halt, nadal nie do końca przekonany, spojrział na zwiadowców, a ci pokiwali głowami na potwierdzenie słów Boba.

– A nie byłoby prościej, gdybyście po prostu powiedzieli mi o tym, zanim próbowałem wsiąść? – zwrócił się do Crowleya, który po namyśle odparł:

– Cóż, pewnie tak. Ale każdy uczeń musi to przeżyć. To taki rytuał przejścia. Lekcja, by nigdy nie brać niczego za pewnik i zawsze zwracać uwagę nawet na najdrobniejsze i pozornie nieistotne informacje.

– Ale ja nie jestem waszym uczniem – zauważył Halt. Czuł, że rumieniec gniewu płonie na jego policzkach i usilnie próbował nad nim zapanować.

Crowley pochylił głowę, przyznając, że Halt ma trochę racji.

– To prawda. Ale formalnie nie jesteś też zwiadowcą. Dzięki temu doświadczeniu nigdy nie będziesz próbował wsiąść na konia zwiadowcy, nie znając hasła, prawda?

Halt nic nie powiedział, przez kilka sekund w milczeniu piorunował przyjaciela wzrokiem. Na Crowleyu nie zrobiło to najmniejszego wrażenia. Spokojnie odpowiedział na spojrzenie Halta i uśmiechnął się. W końcu Halt stwierdził, że nie zdoła go speszyć ani skłonić do przeprosin. Z westchnieniem odwrócił się w stronę Boba.

– Świetnie. To jak brzmi to magiczne zdanie, które mam wypowiedzieć?

– Nie ma w tym żadnej magii. Tylko wycucie i odpowiedni trening. Musisz wypowiedzieć je tylko raz, to wystarczy.

Halt zrobił zniecierpliwiony gest prawą ręką.

– No to jak ono brzmi?

Bob zerknął na zwiadowców i dał Haltowi znak, by podszedł bliżej.

– To prywatna sprawa! – powiedział. – Między tobą i Abelardem. Chociaż rozsądnie byłoby podzielić się hasłem z którymś z przyjaciół na wypadek awaryjnej sytuacji.

W tym momencie Halt nie zamierzał niczym się dzielić z żadnym z tak zwanych przyjaciół.

I widać wyraz jego twarzy dobitnie o tym świadczył, gdyż Bob popatrzył na niego i kiwnął głową.

– Cóż, decyzja należy do ciebie – powiedział. – Może kiedyś zmienisz zdanie. Warto by było, powtarzam. W końcu człowiek...

– Hasło – przerwał mu Halt groźnym tonem.

Bob znów kiwnął głową. Widział, że cierpliwość Halta jest na wyczerpaniu.

– Oczywiście. Podejść jeszcze trochę bliżej, żeby nas nie usłyszeli. – Kiedy Halt posłusznie zrobił kilka kroków w jego stronę, Bob zbliżył usta do jego ucha i wyszeptał: – *Permettez-moi*.

– *Perme...* – zaczął Halt z niedowierzaniem, ale Bob pospiesznie go uciszył.

– *Psyt! Psyt!* Nikomu nie mów. Hasło jest przeznaczone wyłącznie dla Abelarda. Wszepcz mu je do ucha.

Abelard czekał spokojnie. Jakby wiedział, co za chwilę nastąpi. Halt westchnął i podszedł do niego. Koń, tak jak poprzednim razem, lekko odwrócił łeb, tak że jego ucho znalazło się obok warg Halta.

– Teraz – powiedział Bob, jednocześnie dając znak prawą ręką. Halt spojrzał na niego z powątpiewaniem, po czym, czując się jak kompletny idiota, pochylił się i wyszeptał Abelardowi do ucha:

– *Permettez-moi*.

Koń lekko zarzucił łbem i spojrzał na jeźdźca. Halt odnosił wrażenie, że dojrzał w wielkich ciemnych oczach coś na kształt sympatii czy porozumienia. Zerknął na Boba, który znów zachęcająco machnął ręką.

– Wskakuj. Teraz cię nie zrzuci.

Halt, po raz drugi w przeciągu pięciu minut, wsiadł na konia. Usadowił się w siodle, wsunął stopy w strzemiona i zebrał wodze. Abelard mruknął. Halt zastygł w bezruchu, spodziewając się, że wszystko powtórzy się od nowa. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Abelard stał w miejscu, nieruchomy jak skała. Halt zerknął na Boba, potem na zwiadowców, którzy zachęcająco pokiwali głowami. Bob wskazał na otwartą bramę, za którą rozciągała się spora łąka.

– Przebiegnijcie się – powiedział.

Halt lekko ścisnął łydkami boki konia. Abelard zareagował natychmiast. Pogalopował przed siebie płynnym ruchem. Niezwykłe gładko przeszedł z pozycji stojącej do biegu, jego kopyta zdawały się niemal nie dotykać ziemi. Płynął przez łąkę, reagował na każdy najlżejszy sygnał, który Halt wysyłał mu za pomocą wodzy lub pracy łydek.

Halt znów popędził konia, który przeszedł z galopu do cwału. Dosłownie wystrzelił jak z łuku, pędził bardzo szybko – Halt jeszcze nigdy nie doświadczył podobnej prędkości.

A wciąż odnosił wrażenie, że nie jest to pełnia możliwości jego nowego rumaka. Pędzili przed siebie, peleryna Halta i ogon Abelarda powiewały w powietrzu. Halt zauważył pień po lewej stronie i skierował się w tamtą stronę. Kiedy potem wracał do tej chwili, pamiętał, że chyba zdążył tylko pomyśleć „w lewo”, nie wydał żadnego sygnału, bo Abelard natychmiast spełnił polecenie. Wiedział jednak, że to raczej niemożliwe. Abelard pewnie wyczuł nieznaczny ruch jego ciała. Zebrał się w sobie, zwolnił, po czym przeskoczył przez pień, lekko wylądował po drugiej stronie i znów rozwinął prędkość do cwału.

Wykonali szerokie półkole i skierowali się z powrotem w stronę farmy i niewielkiej grupki czekającej przed stajnią. Kiedy byli już niedaleko, Halt bardzo delikatnie ściągnął wodze – to wystarczyło, by Abelard zwolnił do kłusa. Przejechali przez bramę. Halt jeszcze raz ściągnął wodze, by wstrzymać konia. Abelard potrząsnął grzywą i radośnie zarżał. Uwielbiał, kiedy ktoś na nim jeździł, a w nowym panu rozpoznał wytrawnego jeźdźcę, o dobrym wyważonym dosiadzie i lekkiej ręce.

Konie zwiadowców zarżały w odpowiedzi. Abelard uderzył przednim kopytem w ziemię. Crowley uśmiechnął się szeroko na widok miny Halta – mieszanki zaskoczenia i zachwytu. Mieli okazję oglądać ten wyraz twarzy u niejednego młodego zwiadowcy po pierwszej jeździe na grzbiecie wierzchowca, który miał odtąd zostać jego nieodłącznym towarzyszem.

– Chyba jest jednym z nas – stwierdził.

Halt do wieczora pracował z Abelardem, opanowując sygnały, których koń nauczył się podczas treningów. Pod koniec dnia Bob udzielił mu pewnej rady:

– Jest coś jeszcze, o czym powinieneś wiedzieć. Abelard podczas cwału ma bardzo gładki równy chód. Podczas każdego z kroków następuje taki moment, kiedy koń odrywa wszystkie cztery nogi od ziemi, dosłownie na ułamek sekundy. Jeśli przyjdzie ci strzelać podczas jazdy, musisz się nauczyć, by mierzyć i wypuszczać strzałę dokładnie w tym momencie, by jego ruch nie wpłynął na zmianę trajektorii.

Halt uniósł brwi.

– To chyba trudne.

Bob popatrzył na niego, po czym przechylił głowę na bok.

– Trudne – przyznał. – Ale nie bez powodu jesteś zwiadowcą.



**D**rzwi rozwarły się i walnęły o ścianę tak gwałtownie, że aż odskoczyły. Król Oswald podniósł wzrok i zmarszczył brwi. Morgarath nie zapukał, nie czekał na zaproszenie, jak należałoby wymagać od kogoś, kto wchodzi do komnaty króla. Po prostu wkroczył do środka, całą postacią wyraźnie dając do zrozumienia, że traktuje tę wizytę jako niepożądane zakłócenie rozkładu dnia.

– Chciałeś się ze mną widzieć? – zapytał niezbyt uprzejmym tonem.

Oswald zdusił cisnącą mu się na usta gniewną odpowiedź. Wiedział, że kłótnie z baronem Gorlanu są raczej niewskazane. Tym bardziej, że Morgarath działał na niego dość onieśmielająco. Kiedy wchodził do jakiegoś pomieszczenia, zawsze zdawał się nad nim dominować, wypełniać je jakąś ciemną energią. Częściowo zawdzięczał to wrażenie swojej aparycji. Był wysoki i potężnie zbudowany. Ale to nie wszystko. Tchnął wielką pewnością siebie, ocierającą się wręcz o arogancję. Z kim by nie rozmawiał, zwykłym poddanym czy królem, w jego głosie zawsze pobrzmiwała nuta wzgardy i zniecierpliwienia. Nagłe wtargnięcie do królewskiej komnaty było tego najlepszym przykładem.

Oswald wziął głęboki wdech. Pragnął zachować spokój, a przede wszystkim – opanować drżenie głosu. Złościło go, że reaguje w ten sposób. W końcu był władcą Araluenu. Ale ta myśl w niczym nie pomagała. Morgarath budził w nim niepewność i poczucie niższości.

– Martwię się o syna – powiedział w końcu.

Morgarath wydał z siebie wzgardliwe prychnięcie.

– I słusznie – odparł. – Nieźle sobie poczyna na północny kraju. Rabuje i morduje, już zdołał wzbudzić nienawiść poddanych, a wypadami łupieżczymi zagraża naszemu pokojowi ze Scottami.

Oswald potrząsnął głową.

– To niepodobne do Duncana – stwierdził. – Nie pojmuję, jak mógł nagle zacząć się zachowywać w ten sposób. Zawsze cieszył się sympatią poddanych.

Morgarath ukrył wzgardliwy uśmiezek. Właśnie dlatego zorganizował całą tę akcję z

Tillerem, fałszywym Duncanem, w roli głównej. Jeśli miał doprowadzić swój plan do końca, najpierw musiał zniszczyć zaufanie poddanych do księcia. Musiał wzbudzić w nich strach i nienawiść.

– Ludzie się zmieniają – rzucił obojętnie.

Ale Oswald upierał się przy swoim.

– Nie Duncan. Mój syn jest dobrym człowiekiem. Zawsze był.

– Czy to ten sam dobry człowiek – spytał Morgarath sarkastycznie – który kilka miesięcy temu próbował cię zamordować? A może ta trucizna znalazła się w twoim kielichu przez przypadek?

– Zastanawiałem się nad tym. I im dłużej o tym myślę, tym bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że to jakaś pomyłka. Dlaczego Duncan miałby chcieć mojej śmierci?

– Dlatego – odparł Morgarath, powoli i wyraźnie, jakby przemawiał do niezbyt bystrego dziecka – że chce usunąć cię z drogi i sam zostać królem.

– Nie mogę w to uwierzyć. – Oswald nie dawał za wygraną. – Teraz, po przemyśleniu sprawy, stwierdzam, że za szybko dałem ci się przekonać do przeprowadzki.

Morgarath potrząsnął głową.

– Tutaj mogę cię chronić – odparł. – Na Zamku Araluen ryzykowałeś życiem. Duncan mógłby próbować ponownie, tym razem z powodzeniem. Tam może poruszać się swobodnie. Poza tym na pewno ma wspólników wśród służby. Znacznie łatwiej zdołałby wbić ci sztylet w serce niż tutaj, gdzie stale pilnują cię moi ludzie.

– I tak w to nie wierzę.

– Mogę znaleźć świadków, którzy potwierdzą, że to był zamach – odparł Morgarath. Tak naprawdę w razie potrzeby mógłby znaleźć świadków gotowych potwierdzić, że słońce wstaje na zachodzie.

Ale Oswald wyprostował się i odparł – jakby sobie przypomniawszy, kim jest:

– Świadków można przekupić.

Morgarath zmrużył oczy.

– Chcesz powiedzieć, że kłamię, Oswaldzie? – Sposób, w jaki zwrócił się do króla, nie używając tytułu, najdobitniej świadczył o jego wściekłości.

Oswald przełknął ślinę. Nie zamierzał się poddawać. Ale wiedział, że dalsze oskarżenia nie mają sensu. Był sam na Zamku Gorlan. Nie mógł zabrać ze sobą nikogo ze służących, ze względów bezpieczeństwa – Morgarath nalegał. Oswald był świadom, że znajduje się na słabej pozycji. W gruncie rzeczy był całkowicie bezradny, królewski tytuł nie miał tu nic do rzeczy. Morgarath sprawował absolutną władzę na Zamku Gorlan. Oswald wiedział, że musi dbać o jego przychylność. Ta myśl mogła w nim budzić opór, ale nie dało się z nią dyskutować.

– Ty nie – odparł. – Ale inni ludzie, którzy z jakiegoś powodu chcieli cię wprowadzić w błąd.

Morgarath kiwnął głową, zadowolony. Ale jego radość nie trwała długo.

– Dlatego postanowiłem osobiście spotkać się z Duncanem – oznajmił król. W jego głosie pobrzmiwała nuta determinacji.

– Spotkać się z nim? W jakim celu?

– Chcę usłyszeć jego wersję wydarzeń, z jego ust. Znam własnego syna. Ufam mu. Jestem

pewien, że wszystko można łatwo wyjaśnić. Truciznę w winie i łupieżcze wyprawy. Chcę stanąć z nim twarzą w twarz, usłyszeć, co ma mi do powiedzenia. Będę wiedział, czy kłamie. Ale chcę mu dać szansę obrony.

Morgarath potrząsnął głową i z sykiem wypuścił powietrze.

Oswald zignorował tę reakcję.

– Powiniennem być od razu tak zrobić – stwierdził z przekonaniem. Zaczynał odzyskiwać pewność siebie. – Który król chowa się na cudzym zamku, kiedy tylko pojawiają się jakieś kłopoty?

– Ten, który nie chce stracić życia – odparł Morgarath. Oswald potrząsnął głową. Baron poczuł narastającą złość. „Króliczek pokazuje zębki”, pomyślał. Od dawna zastanawiał się, kiedy nadejdzie ta chwila.

– Król powinien ryzykować – podjął Oswald. – I musi ufać własnej ocenie sytuacji. Dlatego jest królem. Przykro mi. Nie chcę cię urazić, ale czas, bym wreszcie wziął sprawy w swoje ręce i zaczął się zachowywać jak władca Araluenu. Doceniam twoją troskę, lecz nie mogę dłużej chować się za murami.

„Żałosny idiota”, pomyślał Morgarath. Zmusił się jednak do uśmiechu i udawał, że zastanawia się nad słowami króla. Morgarath potrafiłby każdemu zamydlić oczy.

– A co dokładnie masz na myśli, wasza wysokość?

– Chcę, byś posłał do Zamku Araluen po moją straż przyboczną. Potem pojedę na północ, by spotkać się z Duncanem i raz na zawsze wyjaśnić tę sprawę.

– A więc zamierzasz tak po prostu go odszukać i powiedzieć: „Przestań wreszcie kraść i mordować. Niegrzeczny chłopak!”. Na tym polega twój plan?

Oswald, kryjąc irytację wywołaną sarkastycznym tonem Morgaratha, tylko kiwnął głową.

– Mniej więcej – potwierdził. – Muszę zacząć się zachowywać, jak na króla przystało.

Morgarath przez chwilę niespokojnie chodził w tę i z powrotem. Przystanął przy oknie, spojrzał na rozciągający się poniżej zielony park. W końcu stwierdził, że czas skończyć z tą szopką. Odwrócił się i spojrzał na Oswalda, który czekał na odpowiedź.

– Obawiam się, że twoja szansa minęła dawno temu, Oswaldzie.

Król zrobił krok w tył, zdumiony otwarciem wzgardliwym tonem.

– O czym ty mówisz? – zapytał.

– Mówię, że twoja szansa na to, by zachowywać się, jak na króla przystało, minęła dawno temu. Już nie jesteś królem. Pozbawisz Duncana praw do tronu i mianujesz mnie swoim następcą i regentem.

– Jak śmiesz! – wybuchł Oswald. – Dlaczego uważasz, że się zgodzę?

– Z kilku powodów – odparł Morgarath aksamitnym głosem. – Po pierwsze, jesteś tutaj sam, zdany na moją łaskę i niełaskę. A po drugie, twój syn wcale nie łupi przygranicznych wsi ani nie kradnie Scottom bydła.

Oswald poczuł, jak na jego sercu zaciskają się zimne szpony przerażenia. Kiedy Morgarath podjął, przerażenie jeszcze przybrało na sile.

– Duncan, twój jakże dobry i szlachetny synek, jest więźniem jednego z moich popleczników. I jeśli nie zrobisz tego, co ci każe, więcej go nie zobaczysz.







**H**alt, wspominając dni spędzone w podróży, w towarzystwie nowych przyjaciół, postrzegał je jako szczególnie szczęśliwy okres w swoim życiu. Wcześniej był samotnikiem, odnoszącym się nieufnie do obcych, a nawet – z powodu wydarzeń, w których wyniku musiał opuścić Hibernię – do członków własnej rodziny. Ale w zwiadowcach znalazł towarzyszy, których przyjaźń cenił naprawdę wysoko.

Wszystkim przyświecał jeden wspólny cel, wszyscy cechowali się niezwykłą biegłością w swoim fachu.

Wszyscy też opanowali te same umiejętności, i to po mistrzowsku – ale w pewnych dziedzinach niektórzy wyróżniali się szczególnymi zdolnościami. Na przykład Crowley potrafił jak nikt poruszać się bezszelestnie i niepostrzeżenie. Leander z kolei znacznie przewyższał swych towarzyszy w sztuce tropienia i odczytywania wszelkich śladów i znaków w leśnym otoczeniu. Berrigan potrafił znakomicie posługiwać się nożami: wielkim ciężkim saksońskim i lżejszym, mniejszym nożem służącym do rzucania. Halt często zadawał swym towarzyszom pytania, dotyczące różnych dziedzin sztuki zwiadowczej, a oni zawsze chętnie dzielili się wiedzą. Z każdym dniem jego umiejętności rosły. Wiedział, że uczy się od najlepszych.

On sam z kolei zasługiwał na tytuł najlepszego łucznika w całej grupie. Nikt nie potrafił dorównać mu w szybkości i precyzji. A od spotkania z Bobem trenował również kolejną umiejętność: strzelania podczas jazdy w cwale. Poświęcał się temu zadaniu codziennie, kiedy zatrzymywali się, by rozbić obóz. Po niedługim czasie osiągnął niemal swoją zwykłą precyzję. Zwiadowcy obserwowali jego osiągnięcia z wielkim podziwem i próbowali mu dorównać. Rezultaty wyglądały różnie. Największy sukces odniósł Crowley, ale nawet on nie mógł się równać z Haltem. Oczywiście, nie zamierzał uznać swojej porażki.

– Abelard ma wyjątkowo płynny chód i dlatego łatwo ci strzelać z jego grzbietu. Ma ruchy jak jedwab – powiedział któregoś wieczoru do Halta. – Biedny stary Cropper – tu wskazał na swojego rumaka – nogi tak mu się plączą, cud, że w ogóle jeszcze jest w stanie cwałować.

Halt spojrział na biednego starego Croppera, który przyglądał im się z zainteresowaniem. Halt nigdy nie zauważył, by koń Crowleya wykonywał jakieś niespodziewane szarpiące ruchy podczas cwału. Zauważył za to, że Crowley, strzelając z końskiego grzbietu, czasami zbyt szybko wypuszcza strzałę. Jakies trzy na pięć razy trafiał w cel i był to dobry wynik, powyżej przeciętnej. Ale Halt trafiał pięć razy na pięć – i dziesięć na dziesięć.

Postanowił jednak zachować komentarze dla siebie.

Zbliżali się do lenna Seacliff, niewielkiej baronii położonej na wyspie u południowo-wschodnich wybrzeży. Na wyspę, oddzieloną od lądu wąskim pasem wody, można było się dostać wyłącznie dzięki płaskodennemu promowi. Kiedy znaleźli się niedaleko piaszczystego brzegu, przy którym cumował prom, Crowley, który jechał na przedzie, uniósł rękę na znak, by się zatrzymali. Nadal kryły ich drzewa, na razie nikt nie mógł ich zobaczyć.

– Pytanie – zaczął Crowley stłumionym głosem, kiedy pozostali ustawili się wokół niego w półkolu. – Przeprowadzamy się wszyscy razem czy tylko jeden z nas? – Urwał, potem dodał gwoli wyjaśnienia: – Nasza grupa może bardzo rzucić się w oczy.

Berrigan wzruszył ramionami.

– A niech się rzuca. Cóż nam to może zaszkodzić?

– Ludzie zaczną gadać – odparł Halt. – Morgarath może usłyszeć, że jacyś zbuntowani zwiadowcy jeżdżą po kraju i rekrutują dawnych towarzyszy. A wtedy zacznie się zastanawiać, jakie mamy plany.

– Wcześniej czy później to nastąpi – zauważył Berrigan.

– Im później, tym lepiej. – Leander poparł Halta. – Im bardziej go zaskoczymy, tym łatwiejsze będzie nasze zadanie.

– Sądzisz, że to będzie łatwe zadanie? – spytał Berrigan, z rozbawieniem unosząc brew.

– Nie powiedziałem „łatwe”, tylko „łatwiejsze” – odparł Leander.

Berrigan kiwnął głową.

– No dobrze. Chyba masz rację. To kogo wyślemy na zamek?

Zapadła cisza. W końcu Halt kategoriycznym tonem zawyrokował:

– Crowleya. To on rozkręcił całą tę akcję. On to musi załatwić.

Crowley, widząc, że nikt nie protestuje, powiedział:

– Rozbijcie obóz między drzewami. Spotkamy się, kiedy odszukam Egon.

Egon był zwiadowcą w lennie Seacliff, znajdował się na liście zwiadowców przeznaczonych do dymisji.

– Tylko żebyś nie dostał choroby morskiej – powiedział troskliwie Berrigan.

Crowley popatrzył na wąski pas morza, oddzielający wyspę od lądu. Powierzchnia wody była gładka jak lustro.

– Postaram się – odparł. A potem ruszył przed siebie.

Ustalili wcześniej, że na razie rezygnują ze zwiadowczych peleryn w maskujące plamki. Charakterystyczny wzór od razu by zdradził, że są zwiadowcami – czy ściślej rzecz biorąc, byłymi zwiadowcami. Wszyscy mieli na sobie długie płaszcze z kapturem w zgaszonych odcieniach brązu, szarości lub zieleni. Niemniej jednak grupa czterech mężczyzn, ubranych w ten sposób i uzbrojonych w łuki i noże, łatwo mogła skojarzyć się ludziom ze zwiadowcami ze starej szkoły. Samotny człowiek w takim stroju mógł uchodzić za leśnika czy myśliwego.

Kopyta Croppera nie wydawały właściwie żadnego dźwięku na drobnym suchym piachu,

nie licząc cichego skrzypienia ocierających się o siebie ziaren.

Crowley był już bardzo blisko domku przewoźnika – niewielkiego budynku wzniesionego na palach ponad linią przypiływu. Dopiero wtedy zauważono jego obecność.

– Tato! Jakiś podróźny! – rozległ się młody głos. Crowley dostrzegł chłopca w wieku dziesięciu-dwunastu lat, który przyglądał mu się zza balustrady niewielkiej werandy ciągnącej się wzdłuż budynku.

– Witaj! – zawołał przewoźnik i ciężkim krokiem zszedł po czterech stopniach, po drodze zapinając pas z grubej skóry. Crowley dostrzegł sterczący z prawej strony długi sztylet. Mężczyzna chwycił jeszcze oparty o balustradę drewniany drąg.

Owszem, przywitał Crowleya serdecznie i przyjaźnie, ale w końcu w tych niebezpiecznych czasach każdego obcego należało traktować z pewną rezerwą.

– Chciałbym się dostać na wyspę – powiedział Crowley. Przewoźnik przyjrzał mu się uważnie, omiół wzrokiem łuk i małego kudłatego konika. Nic nie powiedział, ale Crowley czuł, że mężczyzna rozpoznał w nim zwiadowcę.

Przewoźnik spojrział na płaskodenny prom leżący na brzegu, a potem na wyspę.

– No to dobrze trafiłeś – odparł uprzejmym tonem. Ruchem ręki wskazał na prom i dodał: – Zaczekaj, aż zepchnę łódź na wodę, wtedy możesz wsiąść.

Crowley zeskoczył na ziemię i poprowadził Croppera za sobą.

– Pomogę ci – zaproponował, ale przewoźnik potrząsnął głową.

– Dam radę.

Crowley zmierzył wzrokiem potężne mięśnie i szerokie ramiona. Nie wątpił, że jego pomoc nie będzie potrzebna. Przewoźnik wsparł jedno ramię o wyściełaną burtę i pchnął. Niezgrabna szeroka łódź gładko ześliznęła się po piachu i zakołysała na wodzie. Kiedy przewoźnik opuścił rampę, Crowley wprowadził Croppera na pokład.

– Jeden rojal za was dwóch – powiedział przewoźnik. Crowley zapłacił, a mężczyzna zaczął ciągnąć za grubą linę, przesuwając prom w kierunku przeciwnego brzegu.

Po kilku minutach dziób zarył o piasek i znieruchomiał. Przewoźnik ponownie opuścił rampę i Crowley wraz z Cropperem wyszli na brzeg. Na odchodnym zatrzymał się i zapytał mężczyznę, opartego o reling:

– Zwiadowca Egon. Wiesz może, gdzie go znaleźć?

Przewoźnik zatrzymał baczne spojrzenie na Crowleyu. W jego oczach pojawił się błysk. Pytanie potwierdziło jego przypuszczenia co do tożsamości pasażera.

– Najprawdopodobniej w gospodzie – odparł w końcu. – Ostatnio przeważnie tam można go spotkać, od kiedy pojawił się jego następca. – Mówił neutralnym tonem, otwarcie, na pewno niczego nie ukrywał.

Crowley kiwnął głową, zachowując obojętną minę.

– Jak tam dotrzeć? – Nigdy wcześniej nie był w Seacliff.

Przewoźnik wskazał na prześwit między drzewami jakieś trzydzieści metrów dalej.

– Tam jest ścieżka prowadząca na szczyt. Na samej górze skręca w stronę zamku. Wiesz leży sto metrów dalej, tam też jest gospoda.

Crowley uniósł rękę w geście podziękowania, wskoczył na konia i ruszył we wskazanym kierunku. Po chwili odwrócił się i zawołał:

– Jak...? – zaczął, ale mężczyzna uprzedził jego pytanie.

– Uderz w gong, wiszący na drzewie. – Mężczyzna wskazał na metalową obręcz i ciężki drewniany młot. – Przyplynę po ciebie.

Podszedł do rufy – tak naprawdę rufa i dziób wyglądały identycznie – chwycił za linę i pociągnął. Prom oddalił się od brzegu, rozbijając kwadratowym dziobem drobne fale. Crowley przez chwilę patrzył za nim, po czym odwrócił się i ruszył przed siebie.

Po chwili wjechał między drzewa. Przypomniawszy sobie słowa przewoźnika, zmarszczył brwi. Wszyscy zwiadowcy, których do tej pory spotkał, byli zbuntowani i gotowi do walki. Wizja Egon, zaczynającego dzień od wizyty w gospodzie, trochę go niepokoiła. Wyglądało na to, że były zwiadowca po prostu dał za wygraną.

– To mi się nie podoba – powiedział cicho do Croppera. Koń potrząsnął grzywą i zastrzygł uszami, jak to koń.

Najwyraźniej jemu też się to nie podobało.





**W**ieś Seacliff, podobnie jak zamek, leżała na szczycie wzniesienia zwieńczonego płaskowyżem. Crowley powoli wynurzył się spomiędzy drzew i wjechał między zabudowania. Mieszkańcy rzucali mu ukradkowe zaciekawione spojrzenia. Kiwał głową na powitanie, a oni opowiadali z zakłopotaniem, zawstydzeni, że ich przyłapał. Mimo braku cętkowanej peleryny coś im mówiło, że to zwiadowca.

A ponieważ ostatnio lokalnym zwiadowcą został pewien nabzdyczony fircyk, obecność nieznanego mogła zwiastować kłopoty.

Gospoda stała przy głównej ulicy. Przed budynkiem wystawiono kilka ław i stołów, osłoniętych przed słońcem markizą. Płótno łopotało na lekkim wietrze od morza, raz po raz wzdymało się niczym żagiel i opadało, kiedy powiew tracił na sile.

Na jednej z ław siedziała samotna postać, oparta plecami o ścianę gospody. Na stole stały gliniany dzban i cynowy kufel. Mężczyzna zwrócił obojętne spojrzenie na zbliżającego się jeźdźcę.

Po chwili Crowley zobaczył skórzany kaftan, zieloną wełnianą bluzę i spodnie wetknięte w wysokie do kolan buty. Był to typowy strój zwiadowcy, podobny do tego, który sam miał na sobie. Wiedział, że znalazł Egon, byłego zwiadowcę lenna Seacliff. Peleryna, niedbale zwinięta, leżała na stole.

Egon był mężczyzną w słusznym wieku. Jego włosy i brodę przetykała siwizna. Twarz miał pomarszczoną i naznaczoną doświadczeniami twardego i trudnego życia. Crowley przypuszczał, że Egon wkrótce zapewne otrzymałby złoty liść, który dostaje każdy zwiadowca przed odejściem w stan spoczynku. Dymisja musiała więc szczególnie go zabołec. Zapewne właśnie z racji wieku wysłano go do Seacliff – niewielkiego lenna, gdzie prawie nic się nie działo, nie licząc sporadycznych napaści skandiańskich rabusiów. Seacliff często bywało ostatnim miejscem pracy starzejących się zwiadowców – a także pierwszym tych początkujących.

Ubranie Egon było pomięte i pokryte plamami z wina i jedzenia, włosy splątane i

posklejane w strąki, broda stanowczo za długa. Egon wyglądał jak człowiek, któremu jest już wszystko jedno.

Crowley zeskoczył na ziemię, związał wodze i rzucił je na szyję Croppera. Już sam ten gest wystarczył, by go zdemaskować. Zwiadowcy nigdy nie wiązali koni. Nie było to konieczne. Koń zwiadowcy na pewno by nie uciekł ani, o czym tak dobitnie przekonał się Halt, nikt nie zdołałby go ukraść. Dzięki temu, jeśli zwiadowca musiał bardzo szybko odjechać, nie tracił niepotrzebnie czasu na odwiązywanie konia.

Egon spojrzał na nieznanego. Od razu zorientował się, z kim ma do czynienia. Wykrzywił wargi.

– Na co się gapisz? – wybełkotał. W głosie buzowała agresja. Egon najwyraźniej siedział tu już od pewnego czasu. Dowodziły tego zresztą mokre ślady naczyń i plamy rozlanego trunku na blacie.

Crowley zdjął rękawice jeździeckie i rzucił je na stół.

– Mogę się przysiąc?

Egon prychnął i mruknął coś niezrozumiałego.

Crowley zdjął łuk z ramienia, oparł o stół i usiadł. Egon znów coś mruknął, zajrzał do kufła, zmarszczył brwi, po czym chwycił dzban i przechylił. Pocięła wąska strużka płynu. Egon łypnął na resztki zamglonym mętym wzrokiem, a potem walnął kuflem o stół.

– Jervis! – wrzasnął. – Przynieś więcej brandy.

Brwi Crowleya podjechały do góry. Brandy to mocny trunek. Gdyby Egon przynajmniej pił piwo, można by go jeszcze jakoś usprawiedliwić. Ale brandy? O tak wczesnej porze? Nic dziwnego, że bełkotał. Crowley zaczynał się zastanawiać, czy ta wyprawa aby nie pójdzie na marne. Od razu było widać, że Egon się nie nadaje. Crowley westchnął. Do tej pory wszystko szło jak z płatka. Chyba wykazał się zbytnim optymizmem, skoro wierzył, że wszyscy byli zwiadowcy z radością do nich dołączą.

Drzwi gospody się otworzyły i na podwórze wyszedł łysy mężczyzna w długim fartuchu, narzuconym na spodnie i koszulę. Rzucił litościwe spojrzenie rozwalonej na ławie zaniebanej postaci. Postawił na stole nowy dzban i zabrał pusty. Dopiero teraz zauważył Crowleya i aż podskoczył z zaskoczenia.

– Witaj, nieznanomy – powiedział.

Egon znów coś zabełkotał pod nosem i prędko napełnił kufel aż po brzeg.

– Dzień dobry – odparł spokojnie Crowley. Siedział przy tym samym stole co Egon, jednakże dość daleko, niekoniecznie wyglądał tak, jakby dotrzymywał mu towarzystwa.

– Coś podać? – spytał Jervis, wskazując na dzban stojący przed Egonem. Zapewne miał na myśli alkohol.

Crowley pokręcił głową.

– Masz kawę?

Karczmarz nie mógł ukryć wyrazu ulgi na twarzy. Dwóch klientów pijanych o tej porze – to mogłoby się źle skończyć.

– Właśnie się parzy. Będzie gotowa za minutę-dwie.

– Poproszę jeden kubek. Duży. – Crowley siedział w siodle od samego rana, o śniadaniu zapomniał dawno temu. Jeszcze raz spojrzał na Egona. Zwiadowca siedział z głową nisko zwieszoną nad kuflem i mruzczał coś do siebie. Crowley zdecydował, że zanim zacznie mówić,

musi zebrać trochę informacji. Wzrok karczmarza świadczył o tym, że ma dla byłego zwiadowcy nieco współczucia. Zresztą, Crowley i tak tylko do niego mógł się zwrócić.

– Gdzie jest wygódka? – zapytał Crowley.

Jervis kiwnął głową w stronę drzwi.

– Z tyłu, na podwórzu przed stajnią. Trzeba przejść przez bar.

Crowley podniósł się i ruszył za nim. Egon odprowadził go wzrokiem, zamruczał coś do siebie i ponownie napełnił kufel.

Kiedy weszli do środka, Jervis wskazał na tyle wyjście. Ale Crowley potrząsnął głową.

– Chciałem pomówić z tobą na osobności. Żeby Egon nas nie słyszał.

Jervis uniósł brew.

– Znasz go?

Crowley machnął ręką.

– Znam jego imię. I wiem, kim jest. Lub raczej – poprawił się – kim był.

– Był zwiadowcą w tym lennie. Ale nagle pojawił się nowy zwiadowca, z listem, w którym napisano, że Egon ma zakończyć służbę i wynieść się z chaty.

– Na jakiej podstawie? – spytał Crowley.

Jervis wzruszył ramionami.

– Powiedzieli, że ukradł jakiejś wdowie naszyjnik i sakiewkę z pieniędzmi, a kiedy jej czternastoletni syn próbował interweniować, Egon pobił go niemal na śmierć.

Crowley zmarszczył brwi.

– Uwierzyłeś w to?

Jervis ze smutkiem potrząsnął głową.

– Egon był naszym zwiadowcą przez siedem lat – odparł. – Przez cały ten czas dał się poznać wyłącznie jako dobry i łagodny człowiek. Mieszkańcy lenna darzyli go miłością i szacunkiem. Nie mogę uwierzyć, że zrobił coś takiego. Ale na piśmie widniała pieczęć królewska, więc widać to prawda.

Crowley popatrzył Jervisowi prosto w oczy, długo i znacząco. *Niekoniecznie*, mówił jego wzrok. Jervis niepewnie przestąpił z nogi na nogę. Podważanie królewskiego autorytetu bywa ryzykowne. Crowley uwolnił go od kłopotliwej sytuacji, zadając kolejne pytanie:

– Mówisz, że kazano mu opuścić chatę? – Jervis kiwnął głową. – To gdzie on teraz mieszka? I czym płaci za brandy? – Brandy szmuglowali galijscy przemytnicy i żądali za trunek dość wysokich cen.

– Pozwalam mu spać w stajni – odparł Jervis, wyraźnie zakłopotany. – A za brandy płaci baron. Co tydzień wysyłam mu rachunek.

– Jak hojnie z jego strony – zauważył Crowley. Jervis potrząsnął głową i zmarszczył brwi.

– Robi to przede wszystkim dla własnej korzyści. Kiedy zwolnił Egona, sytuacja między nimi zrobiła się bardzo napięta. Pewnie uznał, że najbezpieczniej będzie poić go alkoholem. W ten sposób zmniejsza ryzyko. Egon ma swoje lata, lecz był przecież zwiadowcą.

Crowley z namysłem potarł podbródek.

– Dziękuję – powiedział i ruszył do drzwi.

Egon nadal siedział, a właściwie wisiał nad stołem. Spojrzał na Crowleya i znów prychnął – widać był to jego ulubiony sposób prowadzenia rozmowy – po czym sięgnął po dzban.



– Zostaw – rozkazał Crowley. Ton jego głosu sprawił, że Egon na chwilę zamarł. Ale zaraz uległ swojej żalosnej kondycji i przechylił dzban nad kuflem – mocno, co świadczyło o tym, że dzban jest prawie pusty. Crowley wyciągnął rękę, wyrwał dzban Egonowi i postawił go na stole poza jego zasięgiem.

– Nie znajdziesz rozwiązania problemów w dzbanku z brandy – powiedział cicho.

Egon pobladał z wściekłości. Jego prawa ręka sięgnęła po nóż saksoński i wyszarpnęła go z pochwy z głośnym sykiem.

Ale Crowley był młodszy, szybszy i trzeźwy. Chwycił dłoń Egona, mocno walnął nią o stół, blokując knykcie między blatem a rękojeścią noża.

Egon zawył z bólu i wściekłości. Wypuścił nóż, zerwał się z miejsca i zamierzył się prawą pięścią na Crowleya, który lekko odchylił się do tyłu. Pięść przeleciała obok jego twarzy, nie czyniąc najmniejszej szkody.

– Opuść raz – ostrzegł Crowley. – I tylko raz.

Ale Egon stracił panowanie nad sobą. Wciąż ledwo trzymając się na nogach, wymierzył kolejny cios. Tym razem zwiadowca nie zrobił uniku, lecz zablokował cios lewym ramieniem, po czym wbił własną pięść w splot słoneczny Egona.

Odległość wynosiła jakieś trzydzieści centymetrów, ale Crowley zadał cios błyskawicznie i włożył weń całą siłę swego ramienia i górnej połowy ciała. Egon poczuł go głęboko w trzewiach, na chwilę stracił dech. Zgiął się w pół, zatoczył, a potem zaczął wymiotować. Pozbył się całej brandy, którą wybił tego dnia. Ostry smród zaatakował nozdrza Crowleya, który czekał, bacznie obserwując Egona, gotów zareagować, gdyby ten próbował go podejść. Ale zwiadowca osunął się na kolana i dalej wymiotował, chociaż już nie miał czym.

Opadł na plecy, kolana podciągnął wysoko, a ręce zacisnął na brzuchu. Crowley wziął dzban, wylał resztki brandy i napełnił go zimną wodą ze stojącej obok beczki z deszczówką. A potem wylał na głowę Egona. Ponownie napełnił dzbanek i powtórzył zabieg. Egon zaczął parskać i prychać.

Nagle drzwi się otworzyły. Na progu stanął Jervis i zrobił wielkie oczy. Spojrzał na nóż leżący na stole, potem na zwiniętego na ziemi Egona i potrząsnął głową.

– Czy trzeźwy, czy pijany – powiedział – nie próbowałbym odebrać mu noża. – Spojrzał na Crowleya z wielkim szacunkiem, zmieszanym z odrobiną lęku.

– Ma konia? – spytał Crowley.

Egon przytaknął.

– W stajni, razem z całym ekwipunkiem.

– Może zechciałbyś przyprowadzić konia? – poprosił Crowley z uśmiechem. – A ja popilnuję naszego przyjaciela.

Jervis, nadal robiąc wielkie oczy, zaczął wycofywać się rakiem. Po kilku krokach odwrócił się i czmychnął do środka. We wnętrzu gospody zatupotały szybkie kroki, potem trzasnęły kolejne drzwi. Egon jęknął. Crowley spojrzał na niego. Nadal zwijał się na ziemi, przyciskając brzuch.

– Za... bi... ję – wybełkotał. Słowa z trudem torowały sobie drogę wśród gęstej śliny. Uśmiech znikł ze zwykle pogodne twarzy Crowleya.

– Już próbowałeś – odparł, cicho i groźnie. – I niezbyt dobrze na tym wyszedłeś, prawda?



**P**rzewoźnik przeprowił kolejnego pasażera i posta nowił zaczekać na wyspie na powrót Crowleya. Leżał sobie wygodnie oparty o burtę, drzemiąc w słońcu, gdy nagle rozległo się ciche rżenie.

Rozwarł powieki, a potem otworzył je szeroko. To nie był jeden koń, ale dwa. Na pierwszym jechał ten rudy zwiadowca. Drugi koń stapał w odległości kilku metrów za nim. Jeździec nie siedział w siodle, tylko wisiał – głowa z jednej strony, nogi z drugiej – i raz po raz cicho pojękiwał.

Przewoźnik wstał i podszedł do opuszczonej rampy. Prom unosił się na płytkiej wodzie u brzegu.

– Wracamy – powiedział Crowley.

Przewoźnik kiwnął głową, nie odrywając wzroku od bezwładnej postaci. Pochylił się, by przyjrzeć się twarzy.

– Czy to...

Crowley kiwnął głową.

– Tak. To zwiadowca. Pomagam mu odnaleźć pewną zgubę.

– A jaką? – spytał przewoźnik, szczerze zdumiony. Crowley popatrzył na niego i odparł:

– Godność.

Przewoźnik otworzył usta, lecz po namyśle je zamknął.

– No dobrze – powiedział po chwili. – Wsiadajcie.

Crowley wjechał po rampie na pokład. Koń Egona posłusznie stapał za nim. Crowley zeskokczył i wskazując na nieruchome ciało przewieszane przez siodło, zwrócił się do przewoźnika:

– Pomóż mi go zdjąć, proszę.

Przewoźnik chwycił z jednej strony, Crowley z drugiej i wspólnymi siłami zdjęli Egona z konia i ułożyli na pokładzie. Pacnął bezwładnie, opierając głowę o burtę i wciąż przyciskając dłonie do brzucha.

– Co mu jest? – zapytał przewoźnik.

– Kłopoty żołądkowe – odparł Crowley. Nie wspomniał, że kłopoty te wywołała jego prawa pięść.

Mężczyzna ponuro pokiwał głową.

– Ostatnio dużo ludzi na to cierpi.

Crowley zapłacił i przewoźnik zaczął swój powolny marsz, przesuając dłonie wzdłuż liny łączącej oba brzegi. Prom wypłynął na głębsze wody, rozległo się szybkie rytmiczne chlupotanie fal o dziób.

Crowley spojrzął na wyciągniętego na pokładzie zwiadowcę. Miał nieprzyjemne przeczucie, że Egon będzie ich pierwszą porażką. Zmarszczył brwi. Ich grupa liczyła niewiele osób, utrata choćby jednej mogła okazać się decydująca. Do tej pory nawet nie przyszło mu do głowy, że któryś ze zwiadowców mógłby im odmówić. Zakładał, że wszyscy przyłączą się do nich bez pytania.

Ale Egon? Sprawiał wrażenie człowieka, który stracił ducha i poczucie obowiązku. Crowley pomyślał, że to zrozumiałe. Pewnie czekał na chwilę, kiedy spokojnie odejdzie ze służby. A nagle wyrzucono go z domu i pozbawiono źródła dochodów. To musiało być wstrząsające doświadczenie.

– Spróbujemy, tylko raz – powiedział cicho. – A potem ruszamy dalej.

– Że co proszę? – zapytał przewoźnik, kolejny raz przechodząc obok Crowleya.

– Nic takiego – odparł Crowley. – Po prostu głośno myślę.

Przewoźnik mruknął pod nosem i wrócił do pracy. Kilka minut później dziób z charakterystycznym dźwiękiem zarył w piach na drugim brzegu. Prąd przekreślił rufę na bok, łódź się zatrzymała. Przewoźnik podszedł do Crowleya i spytał, wskazując na Egona:

– Pomóc ci go wsadzić na konia?

Crowley potrząsnął głową.

– Pomóż mi tylko postawić go na nogi.

Wspólnymi siłami podciągnęli bezwładne ciało do pozycji pionowej i oparli je o burtę. Przewoźnik opuścił rampę i zaczął po niej schodzić. Nagle usłyszał potężny plusk, odwrócił się i zobaczył głowę Egona wystającą tuż nad taflą wody, zaraz obok rufy. Ramiona dziko młóciły dokoła. Zimna morska woda najwyraźniej bardzo go ożywiła.

Crowley posłał przewoźnikowi szeroki uśmiech.

– Pomyślałem, że kąpiel dobrze mu robi – powiedział.

Egon właśnie brnął w stronę brzegu. Woda sięgała tutaj do pasa, więc utonięcie na pewno mu nie groziło. Cały przemoczony, plując i parskając, wygramolił się na piasek. Odwrócił się i posłał Crowleyowi mordercze spojrzenie.

– Zabiję! – warknął.

Crowley uniósł jedną brew.

– Ciągłe to powtarzasz.

Pstryknął palcami, przywołując konie, które posłusznie zeszyły po rampie. Przewoźnik przyglądał się całej scenie z wielkim zainteresowaniem. Nigdy wcześniej nie widział, by ktoś wrzucił jakiegoś zwiadowcę do wody. A już szczególnie inny zwiadowca.

Kiedy Crowley podszedł bliżej, Egon mocno wbił stopy w piach i przybrał groźną pozę, unosząc zaciśnięte pięści.

Crowley przystanął i posłał mu zimny uśmiech.

– Przypomnij sobie, jak to się skończyło poprzednim razem – powiedział. Potem, wskazując kciukiem trawiasty fragment brzegu, dodał: – Chodźmy porozmawiać. Musimy sobie wyjaśnić kilka spraw.

Odwrócił się od ociekającego wodą Egona i ruszył przed siebie. Konie poczłapały za nim. Wierzchowiec Egona rzucił swemu panu karcące spojrzenie. Były zwiadowca w końcu uznał, że nie ma wyboru.

Crowley usiadł na zwalonym pniu i dał znak Egonowi, by zajął miejsce obok.

– Opowiedz mi o wszystkim.

Egon zawahał się. Spodziewał się kłótni, a nie tego rozsądnego, pełnego współczucia tonu. Crowley podniósł się, podszedł do Croppera, wyjął z sakwy niewielki ręcznik i rzucił Egonowi.

– Wytrzymaj się. A potem opowiedz, co tu się stało.

Egon wysuszył ociekającą wodą twarz, potem włosy i brodę. Zawahał się nad resztą. Taki mały ręcznik był tu raczej bezużyteczny. Rzucił go z powrotem Crowleyowi.

– Dzięki.

Crowley wyszczerzył się szeroko.

– Przynajmniej tyle mogłem dla ciebie zrobić. W końcu to ja wrzuciłem cię do wody. Jak tam brzuszek?

Egon ostrożnie położył ręce na splocie słonecznym. Wyglądał już nieco przytomniej. Zapewne zimna kąpiel zrobiła swoje.

– Bolący – stwierdził, po czym dodał, krzywiąc się: – I pusty.

– Przykro mi z pierwszego powodu. Ale drugi raczej wyszedł ci na dobre. I tak miałeś tam tylko brandy.

Egon zrobił zawstydzoną minę.

– To prawda. Ostatnio trochę tego było za dużo.

– Czy ma to coś wspólnego z twoim zwolnieniem?

Egon przytaknął. Twarz mu spochmurniała.

– Wszystko ma z tym coś wspólnego – odparł z goryczą. Urwał, ale czuł, że Crowley czeka na dalszy ciąg, i że jest empatycznym słuchaczem, więc podjął: – Służyłem królowi jako zwiadowca przez dwadzieścia trzy lata. Nigdy nie skalałem się najmniejszym przewinieniem. Nigdy nie dostałem nagany. Dostałem cztery wyróżnienia za odwagę, w każdym lennie, w którym odbywałem służbę, darzono mnie szacunkiem i żegnano z honorami. – Urwał, nie miał ochoty mówić dalej.

– A później?

– A później... to! Jak grom z jasnego nieba, oskarżenie, że okradłem jakąś biedną wdowę i pobiłem syna, który próbował stanąć w jej obronie. Nawet nie dano mi szansy, bym odpowiedział na oskarżenie, wyjaśnił, że nic takiego nie miało miejsca. Nie pozwolono złożyć apelacji do trybunału zwiadowców. Tylko list do barona, powiadamiający o mojej dymisji, to wszystko. Już wyznaczono mojego następcę. Ja poszedłem w odstawkę. Tyle dostałem za ponad dwadzieścia lat wiernej służby. Wielkie dzięki, wasza wysokość! To z pewnością wspaniałe uczucie, być królem i wydawać takie rozkazy!

– To nie król cię zdymisjonował – powiedział Crowley.

Egon zwrócił na niego wściekłą twarz.

– List opatrzone królewską pieczęcią – zauważył wojowniczym tonem, ale Crowley wyjaśnił:

– Ten list napisał i wysłał baron Morgarath z lenna Gorlan. Przetrzymuje on króla w niewoli, a księcia Duncana wziął na zakładnika. Nie jesteś jedyny. Należysz do grupy dwunastu zwiadowców, których spotkał ten sam los. Jeśli to ci poprawi humor, mnie też wywalili, kilka miesięcy temu. – Machnął ręką w stronę lasu. – A tam siedzą kolejni dwaj.

W miarę, jak Crowley mówił, wściekłość powoli zniknęła z twarzy Egona, by ustąpić miejsca zdumieniu i przerażeniu.

– Ale... dlaczego? Co Morgarath zamierza w ten sposób osiągnąć? – zapytał cicho.

– Przypuszczam, że tron. A pierwszy krok do celu polega na zniszczeniu najsilniejszej grupy ludzi wiernie stojących u boku króla. – Zamilkł, czekając, aż Egon domyśli się, o kogo chodzi.

– Zwiadowców.

Crowley kiwnął głową.

– Oczywiście. Rozbija nasze siły, zastępując prawdziwych zwiadowców własnymi faworytami. Trwa to już od jakiegoś czasu.

– Pritchard też twierdził coś podobnego – mruknął Egon.

Crowley czujnie uniósł głowę.

– Pritchard? Masz z nim kontakt?

Egon przytaknął.

– Owszem. Przebywa w królestwie Derry w Hibernii. – Nagle jego oczy błysnęły. – Teraz sobie ciebie przypominam. Jesteś Crowley. Byłeś jego uczniem.

– Zakończyłem naukę na rok czy dwa przed jego wyjazdem z Araluenu. Musiał odejść jako jeden z pierwszych.

– Jego też, tak jak mnie, oskarżono niesłusznie – powiedział ze smutkiem Egon.

– Nigdy nie wierzyłem w te zarzuty – odparł gniewnie Crowley. – Ale wtedy nie wiedziałem, że stoi za nimi Morgarath. Pritchard nie był jedyny. Kilku byłych zwiadowców również opuściło kraj. Niektórzy stracili życie. – Urwał i spojrzał Egonowi prosto w oczy. – A niektórzy zaczęli pić.

Egon uciekł wzrokiem.

– No dobrze – powiedział łagodnie. – Chyba na to zasłużyłem. Ale co zamierzacie zrobić?

– Próbujemy zebrać zdymisjonowanych zwiadowców. Cała lista liczy dwanaście nazwisk. A potem powstrzymać Morgaratha.

– Tylko dwunastu ludzi?

– O ile do nas dołączysz. A dwunastu zwiadowców to siła, z którą należy się liczyć.

Egon wbił wzrok we własne buty, zamyślił się.

– Będziemy potrzebowali więcej ludzi – stwierdził.

Crowley uśmiechnął się na dźwięk słowa „będziemy”.

– Przypuszczamy, że nie wszyscy baronowie zechcą poprzeć Morgaratha. Wielu na pewno, ale inni z pewnością się zorientują, co to za typ. Zamierzamy dotrzeć do nich i przeciągnąć na naszą stronę.

– Arald z lenna Redmont. Myślę, że można spróbować. Słyszałem, że nie przepada za

Morgarathem.

Crowley uśmiechnął się.

– Też tak słyszałem. Zamierzamy do odwiedzić. Przyłączysz się do nas?

Egon odpowiedział bez wahania. Pokiwał głową.

– Jestem z wami. Tylko, jak widać, mam już swoje lata.

– Nadal potrafisz strzelać, prawda?

Na pomarszczonej twarzy Egona pojawił się groźny uśmiech.

– Postaw mnie naprzeciwko Morgaratha, to się przekonasz.

– Spróbuję coś zorganizować – odparł Crowley. – Tyle że chyba będzie kolejka. – Wstał i wyciągnął rękę, by pomóc Egonowi się podnieść. – Jest coś jeszcze...

Stary zwiadowca spojrział na niego. Domyślał się, o co chodzi.

– Koniec z piciem? – powiedział, ubiegając Crowleya.

– Koniec z piciem. A teraz chodźmy, poznasz resztę.



Zwiadowcy obozowali pięćdziesiąt metrów dalej, na niewielkiej polanie. Grupa powitała Egon z entuzjazmem. Nikt nie skomentował faktu, że ocieka on wodą. Berrigan i Leander po prostu znaleźli zapasową bluzę i spodnie i pomogli rozwiesić mokre ubrania przy ognisku, na stojaku naprędce skleconym z gałęzi.

Halt ustrzelił po drodze do Seacliff jelenia i teraz piekł go nad ogniem, od czasu do czasu obracał rożen, a wtedy sok i tłuszcz kapały na rozżarzone węgle, aż płomienie buchały do góry. Apetyczny zapach drażnił nozdrza wygłodniałych zwiadowców. Egon sceptycznie popatrzył na pieczeń.

– Sądziłem, że tylko król może polować na jelenie? – powiedział.

Halt spojrzał na niego z kamienną twarzą i jeszcze raz obrócił rożen. Tłuszcz znowu przysnął w ogień, zapach przybrał na sile.

– Król chciał go nam ofiarować – odparł. – To dobry władca, nie zniósłby myśli, że jego wierni zwiadowcy umierają z głodu.

Leander porwał na drobne kawałki zebrane w lesie rośliny, a potem polał je cierpkim sosem z oliwy i octu. Berrigan skończył wyrabiać ciasto na przyniesionym specjalnie w tym celu płaskim kamieniu, uformował kształtny bochenek i zakopał w żarze na brzegu ogniska.

Kiedy wszystko wreszcie się upiekło, każdy ze zwiadowców ułożył grube plastry mięsiwa na kromce świeżego chleba i posypał sałatką. Bogaty soczysty smak dziczyzny doskonale komponował się z kwaskową zieleniną, a ciepły chleb wspaniale nasiąkał mięsnymi sokami. Na czas posiłku wszystkie rozmowy umilkły, ciszę przerywały tylko sporadyczne pomruki zadowolenia.

Później umyli naczynia i spakowali resztki. Zostało aż pół chleba – zamierzali podpiec go rano na żarze. W końcu, syci i szczęśliwi, zasiedli w półkolu dokoła ogniska, opierając się plecami o zwalone pnie. Berrigan wyjął gitarę i brzdąkał na niej od niechcienia. Halt i Crowley popijali kawę – jak zwykle – a Berrigan i Leander podzielili się niewielką butelką wina. Zaproponowali je również Egonowi, on jednak zdecydowanie potrząsnął głową.

– Wystarczy woda – odparł. Crowley z aprobatą kiwnął głową.

Ogarnął ich miły senny nastrój – rezultat dnia spędzonego w siodle, smacznego posiłku i przyjemnego ciepła ogniska, kontrastującego z rześkim nocnym powietrzem. Za chwilę zamierzali wyznaczyć warty i ułożyć się do snu, ale tymczasem mogli odpocząć i oddać się rozmyślaniom. Nic dziwnego, że kiedy Halt przemówił, rozległy się pomruki protestu.

– Musimy coś omówić.

Leander jęknął. Leżał wygodnie na ciepłym płaszczu, z głową opartą o pień i brodą na piersi. Nogi pulsowały bólem po całym dniu jazdy – ale nie był to nieprzyjemny ból, raczej takie uczucie miłej ulgi, które ogarnia człowieka, kiedy wreszcie może odpocząć po długim wysiłku.

– Jutro – zaprotestował Berrigan, jeszcze raz trącając struny gitary.

– Teraz – odparł stanowczo Halt. Zwiadowcy popatrzyli na niego z lekką irytacją.

– Nienawidzę omawiać spraw na pusty żołądek – wyznał Crowley.

Halt zwrócił na niego nieporuszone spojrzenie.

– Twój żołądek nie jest pusty – zauważył. – Jest w nim mnóstwo dziczyzny, chleba, sałatki i kawy.

Crowley zamyślił się, po czym ziewnął i odparł:

– To jeszcze gorzej. Na pełny żołądek jeszcze bardziej nienawidzę omawiać spraw. – Uśmiechnął się, przekonany, że udało mu się odwieść Halta od jego planów. On jednak nadal spokojnie mu się przyglądał.

Crowley prychnął z irytacją, podciągnął się i usiadł prosto.

– No dobra – powiedział. – Skoro to takie ważne.

Egon powiódł wzrokiem po twarzach towarzyszy. Jako nowy członek grupy uznał, że nie ma prawa protestować przeciwko propozycji Halta. Uznał, że na to ewentualnie przyjdzie czas, kiedy Halt poinformuje ich o temacie rozmowy. Berrigan i Leander, nie kryjąc niechęci, również usiedli prosto i skierowali na Halta wyczekujące spojrzenia.

Crowley zachęcająco machnął ręką.

– No, dalej.

Halt pochylił się do przodu, wsparł łokcie na kolanach i powoli przesunął wzrokiem po twarzach przyjaciół. Upewniwszy się, że wszyscy uważają i nikt nie ma ochoty na kolejne protesty i żarciki, zaczął:

– Jest nas teraz pięciu... – I tyle zdołał powiedzieć.

– No – wtrącił Crowley – wspaniale, że zdołałeś to ustalić. Po trzech zacząłem gubić rachubę. Ale skoro twierdzisz, że jest nas pięciu, przyjmuję to do wiadomości. – Znów oparł się niedbale o pień drzewa i zaciągnął kaptur głęboko na oczy.

Halt przyglądał mu się cierpliwie. Cisza przeciągała się niepokojąco.

W końcu Crowley poderwał się z miejsca i szeroko wyszczerzył.

– A, chciałeś coś jeszcze powiedzieć? – spytał niewinnie.

Berrigan i Leander z trudem skryli uśmiechy. Egon, jeszcze niezorientowany w kwestii stosunków, panujących w grupie, przyglądał się tej scenie bez emocji, ale z zainteresowaniem.

Halt westchnął. Pomyślał, że rozmowa z Crowleyem czasami przypomina próbę okiełznania dymu. Z trudem powstrzymując się od wybuchu, zaczął od nowa.

– Teraz jest nas pięciu. – Tu rzucił Crowleyowi ostrzegawcze spojrzenie. Crowley



uśmiechnął się niewinnie. – Zrobiła się z nas niewydolna grupa.

Berrigan zmarszczył brwi.

– Niewydolna? Co masz na myśli?

Halt wykonał nieokreślony gest ręką.

– Nie mamy żadnego konkretnego planu – odparł. – Nikt nami nie kieruje. Miotamy się tu i tam, z dnia na dzień...

– Jakoś nie zauważyłem, żebyśmy się miotali – zaprotestował Crowley.

Halt ponownie rzucił mu ostrzegawcze spojrzenie. Ale tym razem rudowłosy zwiadowca mówił poważnie.

– Może nie całkiem – przyznał Halt – ale jest nas pięciu i wcześniej czy później pojawiają się różnice zdań co do dalszych planów. A to może doprowadzić do niesnasek i kłótni. Zaczną się tworzyć stronnictwa. Nastąpi rozłam w grupie.

– Chcesz powiedzieć, że potrzebujemy dowódcy – wtrącił Egon, uznawszy, że najwyższy czas przyłączyć się do rozmowy.

Halt z wdzięcznością kiwnął głową.

– Zgadza się. Musimy wybrać dowódcę i powierzyć mu władzę oraz możliwość podejmowania decyzji, stosować się do nich i wypełniać jego polecenia. Inaczej będziemy biegać dokoła jak banda bezgłowych kurczaków.

– Ale niebezpiecznych kurczaków – dorzucił Leander ze słabym uśmiechem. Pod wściekłym spojrzeniem Halta uniósł ręce w obronnym geście. – Dobrze już, dobrze! Zrozumiałem. I zgadzam się. Musimy wybrać dowódcę. – Nagle popatrzył podejrzliwie na Halta. Wiedział z doświadczenia, że jeśli ktoś wysuwa podobne postulaty, to zwykle sam widzi się w tej roli. – Proponujesz własną kandydaturę? – spytał. Ale, ku jego wielkiej uldze, na brodatej twarzy Halta pojawił się wyraz autentycznej paniki.

– Co? Na ducha Barry Boru, nie! Nawet jeszcze nie jestem oficjalnie zwiadowcą!

– Barry Boru – powtórzył Crowley z uśmiechem. – Interesujące.

Kolejne słowa Halta zmasały uśmiech z jego twarzy.

– Proponuję Crowleya.

Crowley wyprostował się jak struna.

– Mnie? Żartujesz?

– Tak, ciebie. I nie, nie żartuję. To ty jesteś siłą sprawczą całego przedsięwzięcia. Ty wszystko wymyśliłeś, ty nas zwerbowałeś. Kto się lepiej nadaje do tej roli?

– Ale... – Crowley szukał skutecznego kontrargumentu. I według swego mniemania, znalazł. – Jestem od was młodszy. No, nie licząc ciebie, rzecz jasna – zwrócił się do Halta.

Leander potrząsnął głową.

– To wcale nie jest wada – stwierdził. – Masz w sobie zaangażowanie i pasję młodości. Zdążyłeś tego dowieść.

– A także energię, konieczną do podjęcia takiego zadania – dorzucił Berrigan z poważną miną. – Bo nie będzie ono łatwe. Ja na pewno bym się nie odważył.

– Może zagłosujemy? – zaproponował Halt.

– Nie! Najpierw musimy to przedyskutować! – krzyknął Crowley.

Halt posłał mu złośliwy uśmieszek.

– Myślałem, że nienawidzisz dyskutować na pełny żołądek.

Crowley gniewnie machnął ręką.

– To nie jest temat do żartów!

Egon odkasznął znacząco. Wszystkie spojrzenia zwróciły się na niego.

– Jestem nowy – powiedział cicho, starannie dobierając słowa – i nie zdążyłem dobrze was poznać. – Tu ruchem głowy wskazał na Berrigana i Leandera. – Oczywiście, spotykaliśmy się na zjazdach, ale trudno powiedzieć, że jesteśmy bliskimi przyjaciółmi.

Zwiadowcy zgodnie potaknęli. Berrigan mruknął z uśmiechem:

– W każdym razie jeszcze nie.

Egon z wdzięcznością kiwnął głową i podjął:

– Crowley, wydaje mi się, że jesteś idealną osobą do roli naszego przywódcy.

Crowley, który nadal siedział jak na szpilkach, lekko ściągnął brwi.

– Tak? A to niby czemu?

Egon powiódł wzrokiem po twarzach pozostałych zwiadowców. Nie miał zbyt chętności opowiadać, w jakim stanie znalazł go Crowley. Wszyscy przyjęli go miło i serdecznie i nie chciał, by teraz zmienili zdanie na jego temat. Czuł jednak, że powinien to powiedzieć.

– Kiedy Crowley po mnie przyjechał, byłem w dość marnym stanie. Szukałem przyszłości na dnie dzbana z brandy. Trwało to już od jakiegoś czasu – wyznał ze smutkiem.

Urwał na chwilę, by zebrać myśli. Zerknął nerwowo na zwiadowców. Nie dostrzegł w ich oczach potępienia ani krytyki. Tylko zainteresowanie. Wzruszył ramionami. Pomyślał, że ci ludzie na pewno niejedno w życiu widzieli. Takie wyznanie raczej nie mogło zrobić na nich większego wrażenia.

– Byłem wściekły – podjął. – Byłem rozczarowany. Straciłem wiarę w króla. Crowley wylał moją brandy i wtedy całkiem straciłem panowanie nad sobą. Zamierzyłem się na niego nożem.

Halt skrzywił się.

– O rany – powiedział pod nosem. Chyba się domyślał, co za chwilę usłyszy. Widział Crowleya w akcji, wiedział, że ma on błyskawiczny refleks.

Egon spojrzał na Halta.

– O rany, zgadza się – powiedział. – Crowley odebrał mi nóż i zrzucił z promu do wody...

Zwiadowcy popatrzyli po sobie. To tłumaczyło, dlaczego Egon zjawił się w obozie przemoczony do suchej nitki.

Egon podjął:

– A potem posadził mnie obok siebie i mówił do mnie przez kilka minut. Tyle to trwało. Zaledwie kilka minut. – Spojrzał na Crowleya, który skromnie wzruszył ramionami. – W ciągu tych kilku minut opowiedział mi o waszych planach i przekonał, że powinienem do was dołączyć. Przedstawił całą sprawę bardzo zwięźle i niezwykle sugestywnie. Najbardziej ze wszystkiego chyba przemówiła do mnie jego niezłomna wiara w sens waszych działań. Wyraźnie wyzierała z każdego słowa. – Znowu urwał, a zwiadowcy w milczeniu pokiwali głowami. Każdy z nich czuł się podobnie przy pierwszym spotkaniu z Crowleyem.

– Jak już powiedziałem – mówił dalej Egon – nie znam was zbyt dobrze. Wątpię jednak, by którykolwiek z was potrafił przekonać mnie do tej sprawy tak szybko i skutecznie. Choćby tylko z tego powodu sądzę, że Crowley powinien zostać naszym dowódcą.

Pozostali odpowiedzieli zgodnym pomrukiem. Crowley, zakłopotany, wbił wzrok w buty.

Halt szturchnął go łokciem.

– Czy to nie miłe, kiedy wszyscy cię lubią? – Wyszczrzył się złośliwie. Crowley posłał mu morderczy uśmiech, ale nim zdążył coś powiedzieć, Halt zakrzyknął: – Proponuję głosowanie! Crowley na dowódcę. Wszyscy za?

– Tak jest! – odparł zgodny chór. Crowley już otworzył usta, by powiedzieć „nie”, ale nagle uświadomił sobie, że nie ma to najmniejszego sensu i zamknął je.

Halt kiwnął głową.

– Ja również! – Potem klepnął Crowleya w ramię. – Gratulacje. Wygląda na to, że zostałeś naszym nowym dowódcą.





**N**astępnego ranka wyruszyli dalej w drogę. Crowley zdołał jakoś przekonać sam siebie, że opór przed podjęciem wyznaczonej mu roli nie ma sensu. Był jasny słoneczny dzień, powietrze świeże i rześkie. Gwizdał sobie pod nosem żwawą piosenkę o pewnym kowalu i jego ukochanej.

Obok niego jechał Halt, za nimi Berrigan i Leander, Egon zaś trzymał się z tyłu, w odległości jakichś pięćdziesięciu metrów, pilnie obserwując, co się dzieje za ich plecami. Co jakiś czas zmieniali się w funkcji strażnika. Niebezpieczeństwo raczej im nie groziło, ale woleli zachować ostrożność.

Halt spojrzał na przyjaciela.

– Miałem nadzieję, że nowa odpowiedzialna rola położy kres tym dziwnym skrzekom, które wychodzą spod twoich warg.

Crowley odpowiedział uśmiechem. W ten piękny dzień czuł się w harmonii ze światem. Co znaczyło, że nie miał nic przeciwko, by podrażnić się z Haltem.

– To taka żwawa piosenka.

– Co jest w niej żwawego? – spytał Halt, robiąc groźną minę. Crowley niepewnie machnął ręką.

– To chyba kwestia tematyki – odparł w końcu. – Piosenka jest bardzo radosna. Jeśli chcesz, to ci zaśpiewam.

– N... – zaczął Halt. Za późno, Crowley już zaczął śpiewać. Dysponował bardzo przyjemnym tenorem i piosenka w jego wykonaniu brzmiała naprawdę dobrze. Ale w uszach Halta – równie atrakcyjnie jak skrzypiące wrota od stodoły.

*Pewien kowal z Palladio prześliczną spotkał lady-o...*

– Prrr! – zawołał Halt. Abelard posłusznie się zatrzymał, ale Halt ścisnął jego boki łydkami. – Nie ty. On – powiedział, wskazując na Crowleya.

*Na przyszłość postaraj się wyrażać precyzyjniej, zdawało się mówić spojrzenie Abelarda. Jestem koniem, nie jasnowidzem.* Halt zignorował te uwagi. Crowley patrzył prosto

na niego, pytając unosząc brwi.

– „Spotkał lady-o”? – powtórzył sarkastycznie Halt. – Kto to niby ma być, ta lady-o?

– Lady – wyjaśnił cierpliwie Crowley.

– To dlaczego ten wers nie brzmi „prześliczną spotkał lady”?

Crowley zmarszczył brwi, tak jakby odpowiedź była oczywista.

– Ponieważ kowal pochodzi z Palladio, jak wyraźnie mówi tekst piosenki. To miasto na kontynencie, w południowej części Toskanii.

– I na mieszkankę Palladio mówi się lady-o? – zapytał Halt.

– Nie. Lady, tak jak wszędzie. Tylko że „lady” nie rymuje się z „Palladio”, prawda? Nie mogę przecież śpiewać „Pewien kowal z Palladio prześliczną spotkał lady”.

– Brzmiałoby znacznie bardziej sensownie – stwierdził Halt.

– Ale by się nie rymowało.

– A to takie ważne?

– Tak! Piosenka musi mieć rymy, inaczej nie jest prawdziwą piosenką. Lady-o zostaje. To się nazywa licencja poetycka.

– I ta licencja pozwala tworzyć nieistniejące słowa, które, nawiasem mówiąc, brzmią bezgranicznie głupio i bezsensownie? – zapytał Halt.

Crowley potrząsnął głową.

– Nie. Licencja pozwala tworzyć wiersz w taki sposób, żeby się rymował.

Halt myślał intensywnie, mocno ściągając brwi. Nagle doznał olśnienia.

– Dlaczego nie zaśpiewasz na przykład: „Pewien kowal z Palladio prześliczną spotkał lady, o coś tam, coś tam”.

– Coś tam, coś tam? – powtórzył Crowley, nieco zaskoczony tym podejściem do tworzenia rymów.

Halt niepewnie machnął ręką, czekając na dalsze natchnienie. W końcu odpowiedział:

– No na przykład: „o rękę poprosił wybranekę i dał jej jagnięcą łopatkę”.

– Jagnięcą łopatkę? A po co jej jagnięca łopatka? – drążył Crowley.

Halt wzruszył ramionami.

– Może zgłodniała.

– Tak czy inaczej – stwierdził Crowley, coraz bardziej poirytowany – „wybranekę” i „łopatkę” się nie rymują.

– To asonans – wtrącił Berrigan, który przysłuchiwał się ich rozmowie z zainteresowaniem. – Słowa, które brzmią podobnie. Taki rym dość często stosuje się w piosenkach.

Berrigan jako muzyk mógł uchodzić za swego rodzaju autorytet w tej dziedzinie. Crowley, czując, że został przyparty do muru, spojrzał na niego i powiedział:

– Nawet jeśli to aspirant...

– Asonans. Termin brzmi „asonans” – poprawił Berrigan, wcale nie kryjąc, że próbuje ukryć uśmiech.

– Nieważne! Nawet jeśli... to czemu kowal miałby jej dawać jagnięcą łopatkę? Jest kowalem, nie rzeźnikiem.

– Może – zaproponował Leander – dał jej gustowną kłamkę. Rymuje się z „wybranekę”. „O rękę poprosił wybranekę i dał jej gustowną kłamkę”. Pasuje – stwierdził, zerkając na

Berrigana.

– Mnie pasuje, owszem – mruknął Berrigan.

– Gustowną kłamkę? Ale po co miałby jej dawać kłamkę? – Crowley widział raz, jak trzy psy myśliwskie z trzech stron jednocześnie zaatakowały niedźwiedzia. Zaczynał czuć do biednego zwierza wielką sympatię. Leander nie dał się jednak spieszyć.

– Ponieważ jest kowalem, prawda? A kowale robią takie przedmioty jak na przykład kłamki, no wiesz. Może ta lady potrzebowała kłamki i go poprosiła, no to jej zrobił.

– To idiotyczne! – warknął Crowley.

Leander tylko wzruszył ramionami.

– Nie bardziej niż nazywanie jej „lady-o”. W końcu żaden z nas nie mówi o sobie „zwiadowca-o”.

– I nie jeździ na zwierzęciu zwanym „koń-o” – wtrącił Halt, ponownie włączając się do dyskusji. Z niemałą przyjemnością. Nieczęsto miał okazję pokonać Crowleya w słownej potyczce. Crowley był niesamowicie bystry i wygadany. Rzadka chwila triumfu dostarczyła Haltowi prawdziwej rozkoszy.

Crowley wstrzymał Croppera i powiódł morderczym wzrokiem po szeroko uśmiechniętych twarzach towarzyszy, którzy bawili się stanowczo za dobrze.

– Bardzo ładnie – powiedział groźnie – pamiętacie, że wczoraj wybraliście mnie na swojego przywódcę? – Urwał. Wszyscy pokiwali głowami. – Wspominałeś – tu surowo popatrzył na Halta – że może nadejść taki moment, kiedy nie będziemy mogli osiągnąć w jakiejś sprawie porozumienia i ja, jako dowódca, będę musiał podjąć wiążącą decyzję?

Halt przytaknął. Może niedokładnie tak to ujął, ale prawie.

– W takim razie – podjął Crowley – jestem zmuszony powołać się na swój autorytet. Jako wasz dowódca wydaję orzeczenie następującej treści: kowal nie dał jej jagnięcej łopatki ani gustownej kłamki, ani nawet pysznej kaszanki...

– O, niezłe – wtrącił Berrigan, ale morderczy wzrok Crowleya kazał mu natychmiast zamilknąć.

– I jako dowódca tej grupy, oznajmiam również, że była to lady-o. Jasne?

Pozostali wymienili spojrzenia. Mieli nadzieję jeszcze trochę to przeciągnąć.

Crowley powiedział podniesionym głosem:

– Pytam, czy to jasne?

Halt, Berrigan i Leander pokiwali głowami.

– A więc oficjalnie uznaję dyskusję za zamkniętą. Ogłaszam to jako wybrany przez was dowódca. Którego macie słuchać! Jakies zastrzeżenia?

– Nie, nie – zapewnili zgodnie, spuszczać wzrok jak skarceni uczniacy. Ale ramiona drżały im z rozbawienia. Crowley wziął głęboki wdech, szykując się na kolejną reprimendę, ale przeszkodził mu Egon. Podjechał do grupki stojącej pośrodku drogi i powiedział z lekkim wyrzutem:

– Żaden nie zauważył, że tam ktoś jest?

Wszyscy spojrzeli zaskoczeni we wskazanym kierunku. Egon miał rację. Trzydzieści metrów dalej na drodze czekał jeździec w cętkowanej pelerynie, uzbrojony w potężny łuk. Dosiadał małego karego konika. Bez wątplenia był zwiadowcą. Halt i Crowley wymienili spojrzenia winowajców. Tak się zaangażowali w absurdalną dysputę, że w ogóle nie

zauważyli obcego. Halt pomyślał z nadzieją, że być może chował on się między drzewami i dopiero teraz wyjechał na drogę.

– Dzień dobry – zawołał Crowley. Nieznajomy spiął łydkami boki konia i powoli podjechał bliżej. Zatrzymał się w odległości kilku metrów.

– Dzień dobry – odparł. Zsunął kaptur i odrzucił pelerynę na ramiona. Crowley dostrzegł błysk u szyi mężczyzny. Srebrny liść dębu, symbol zwiadowców. Mężczyzna miał bardzo jasne włosy i krótką starannie przyciętą brodę, bladą twarz i przenikliwie niebieskie oczy. Wyglądał na jakieś trzydzieści pięć lat – więcej niż Crowley, mniej niż Egon.

– Możemy w czymś pomóc? – spytał Crowley. Mężczyzna poruszył się w siodle.

– Niewykluczone – odparł. – Jestem Norris, były zwiadowca lenna Holsworth. Doszły mnie słuchy o grupie dymisjonowanych zwiadowców, którzy rekrutują kolejnych chętnych stawić czoło baronowi Morgarathowi z lenna Gorlan. Pomyślałem, że może to wy.

– Zgadza się – odparł Crowley z przyjaznym uśmiechem, który jednak zrzędł przy kolejnych słowach Norrisa.

– Tak pomyślałem. Ale potem usłyszałem tę bzdurną dysputę i zmieniłem zdanie.

– O – powiedział Crowley, nieco stropiony. – Chyba trafiłeś na zły moment.

– Chyba tak – odparł Norris. Najwyraźniej poczucie humoru nie należało do jego najbardziej charakterystycznych cech.

– Crowley właśnie wprawiał się w obowiązkach dowódcy – dorzucił Halt z uśmiechem. Norris spojrzał na niego.

– On jest waszym dowódcą?

Halt przytaknął.

– Wybraliśmy go wczoraj wieczorem.

Norris przyglądał się Crowleyowi przez chwilę. Wydął wargi.

– Uważacie, że to był dobry wybór?

Halt wziął głęboki wdech. Nie dość że pozbawiony poczucia humoru, to również taktu.

– Powiedz, proszę – odezwał się w końcu Halt – czy ty w ogóle rozumiesz, na czym polega coś takiego jak żart?

Norris wyprostował się w siodle, nieco urażony.

– Ależ oczywiście! – odparł. – Posiadam wspaniałe poczucie humoru.

Brwi Halta podjechały do góry, nim zdążył temu zapobiec. Z doświadczenia wiedział, że ludzie wygłaszający podobne oświadczenia przeważnie są całkowicie tej cechy pozbawieni.

– No więc to, co przed chwilą usłyszałeś, to był żart. Żar-to-wa-liś-my – powiedział powoli i dobitnie.

Norris nie wyglądał na przekonanego.

– Jakoś mnie nie rozbawił.

Halt wzruszył ramionami.

– Gdybyś przy tym był, na pewno myślałbyś inaczej.

– Przecież byłem. Byłem przy tym! – zaprotestował Norris.

Halt powoli pokręcił głową.

– No właśnie nie. Byłeś tutaj. A nie przy tym.

Norris zrobił zdezorientowaną minę. Halt uznał, że jest mu winien wyjaśnienie.

– To był kolejny żart.

– Również niezbyt zabawny.

Crowley stwierdził, że czas interweniować i załagodzić sytuację.

– Norrisie, opowiedz nam o sobie – poprosił przyjaznym tonem.

Norris, nadal marszcząc brwi, spojrzał na Crowleya.

– Byłem zwiadowcą przez osiem lat – zaczął. – Ostatnich pięć służyłem w lennie Holsworth, niedaleko stąd. Kilka tygodni temu dostałem pismo, z którego wynikało, że już nie należę do Korpusu. Przywiózł je jakiś nadęty jełop, którego przysłano na moje miejsce. Twierdził, że działa zgodnie z rozkazami barona Morgaratha.

– Wygląda na to, że Morgarath postanowił działać otwarcie i przywłaszczyć sobie uprawnienia króla – zauważył Crowley. – Do tej pory udawał, że listy z powiadomieniem o dymisji pisze król. Myślę, że w następnej kolejności sięgnie po koronę. Zamierzamy go powstrzymać. – Zamilkł, a potem zadał pytanie, które przez cały czas krążyło mu po głowie. – Powiedziałeś, że o nas słyszałeś?

Norris wzruszył ramionami.

– Dotarły do mnie różne pogłoski. Plotki krążą.

Halt i Crowley wymienili spojrzenia.

– Lepiej się pospieszmy – powiedział Halt. – Niedługo wieści na nasz temat dotrą do uszu Morgaratha.

– To prawda. – Crowley zwrócił się do Norrisa: – Jak myślisz, zniesiesz jakoś kiepskie żarty Halta i przyłączysz się do nas?

Halt prychnął.

– Moje kiepskie żarty?

Ale Norris nie słuchał. Kiwnął głową z poważną miną.

– Chyba tak. Jeśli dzięki temu będę mógł stanąć naprzeciw Morgaratha i wypuścić strzałę w jego stronę. – Dotknął łuku, leżącego na jego kolanach.

Crowley wyciągnął rękę w stronę Norrisa.

– Witaj w naszej drużynie.





**M**orgarath siedział w jednej z komnat na Zamku Gorlan, pochylony nad oprawną w skórę księgą.

Była ona dość stara, spisana ręcznie przez kopistów i ozdobiona pięknymi rysunkami, wykonanymi czarnym atramentem. Morgarath zapatrzył się na jeden z nich. Przedstawiał niezgrabne paskudne stworzenie, mniej więcej rozmiarów niedźwiedzia, porośnięte grubą kudłatą sierścią. Miało wąskie jak szparki oczy i długi pysk, z którego sterczały długie wilcze kły.

Przednie łapy były zakończone ludzkimi dłońmi – ale zamiast paznokci zaopatrzonymi w grube wygięte szpony, ostre i groźne, ale nie aż tak długie, by stwor nie mógł posługiwać się niezgrabnymi paluchami.

Tylne łapy zaś, dłuższe od niedźwiedzich, były muskularne i podkulone pod ostrym kątem. Budowa stworzenia sugerowała, że przemieszcza się ono za pomocą długich podskoków. Morgarath wyczytał w tekście, że potrafi również chodzić – w dziwaczny sposób, jednocześnie chwiejąc się i szurając łapami po ziemi.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi. Morgarath podniósł wzrok znad książki, niezadowolony, że ktoś śmie przeszkadzać mu w lekturze.

– Czego? – spytał, nie kryjąc wściekłości.

– Tu Teezal, panie. Mam wieści z lenna Dacton.

Morgarath westchnął. Wiedział, że Teezal nie śmiałyby mu przeszkodzić, gdyby chodziło o jakąś błahostkę. Odsunął księgę na bok i spojrzał na leżący pod nią pergamin. Lenno Dacton. Coś mu to mówiło. I już wiedział – nazwa widniała na liście dwunastu lenn z imionami niedawno zdymisjonowanych zwiadowców.

– Doskonale – powiedział. – Wejdz.

*Ale lepiej, żeby to było coś ważnego*, wyraźnie mówił ton jego głosu. Teezal otworzył drzwi, wetknął głowę do środka i dopiero wtedy wszedł do komnaty. „Służalczy dureń”, pomyślał Morgarath, chociaż Teezal był bezlitosnym mordercą i biegłym w torturach sadystą,

a Morgarath cenił obie te cechy bardzo wysoko.

Teezal stał niepewnie kilka metrów od stołu, którego Morgarath używał jako biurka, obracając w dłoniach ozdobione piórem nakrycie głowy. Baron Gorlanu przywołał go zniecierpliwionym gestem.

– No, podejdźże bliżej! Co się tak czaisz jak wstydliva panna młoda! Już i tak mi przeszkodziłeś, więc mów, o co chodzi!

Teezal uśmiechnął się z przymusem. Sam budził w ludziach strach i odrazę, był zły i okrutny i zabijał bez wahania. Ale nawet taki zepsuty potwór jak on przed obliczem Morgaratha czuł respekt i przerażenie. Morgarath potrafił porządnie się wściec, jeśli usłyszał wieści, które nie były mu w smak. Niejeden z podwładnych stracił życie z powodu jego nieprzewidywalnego temperamentu. Teezal zrobił kilka niepewnych kroków w stronę barona i zatrzymał się w bezpiecznej odległości. Zerknął przez ramię na drzwi – jedyną drogę ucieczki.

Morgarath widział to wszystko, ale nie zrobił nic, by zmniejszyć jego zdenerwowanie. Rządził za pomocą strachu, chciał, by ludzie się go bali i czuli się niepewnie w jego obecności. Wbił wzrok w Teezala, który kilka razy przełknął ślinę, po czym, nie wiedząc, czy już ma mówić, otworzył usta. Uświadomił sobie, że usta ma suche jak pieprz, oblizał je, wziął głęboki wdech.

– Zamierzasz stać tak z otwartą gębą do wieczora? – zapytał Morgarath. Miał głęboki, pięknie modulowany głos. Ale było to piękno jadowitego węża. Czaiła się w nim groźba.

– To wiadomość z... lenna Dacton – wydusił Teezal. Morgarath milczał. Palce Teezala raz po raz zaciskały się na berecie.

– Może mam sam zgadnąć, o co chodzi? – zapytał w końcu Morgarath.

Teezal potrząsnął głową.

– Zwiadowca... były zwiadowca – poprawił się – zniknął.

Morgarath spojrział na listę.

– Leander?

Teezal pokiwał głową.

– Tak, panie. To jest Leander. Znaczy, to był Leander – tłumaczył nerwowo.

– Przypominam sobie, że nieco... utrudniał życie swemu następcy. Nie chciał opuścić chaty.

– Zgadza się. Nie żeby ten nowy zwiadowca zaraz chciał tam zamieszkać. Leander robił zamieszanie w przylegającej do zamku wsi. Mieszkańcy już nie wiedzieli, który to prawdziwy zwiadowca.

– W takim razie chyba dobrze, że wreszcie się wyniósł. – Głos Morgaratha był aksamitny i przesycony sarkazmem. – Nie będzie więcej robił zamieszania, jak to raczyłeś nazwać.

– Nie, panie. To znaczy, tak, panie. Zgadza się.

– Z jakiego zatem powodu przerywasz mi ważne studia – tu baron wskazał palcem na księgę – skoro przynosisz tak nieistotne wieści? Leander sprawiał kłopoty. A teraz wyjechał. Po co w ogóle powiadamiać mnie o czymś tak totalnie i całkowicie nieważnym?

Teezal poczuł strużkę potu na karku. Morgarath uśmiechał się lodowato, oczy patrzyły groźnie.

– Chodzi raczej o to... w jaki sposób wyjechał – wydusił wreszcie Teezal.

– O? Czyżby smok zstąpił z chmury i porwał go do nieba? – zapytał Morgarath

sarkastycznie.

Teezal, przyszpilony groźnym spojrzeniem, potrząsnął głową.

– Nie, panie...

– To może gryf?

– Nie, panie. Były zwiadowca Crowley.

Teezal od razu uświadomił sobie, że znów palnął głupotę. Zabrzmiało to tak, jakby Crowley zstąpił z chmury i porwał Leandera. Czekał na kolejną sarkastyczną uwagę. Ale nic takiego nie nastąpiło. Twarz jego rozmówcy pociemniała z wściekłości.

– Crowley? Ten nieznośny ryży palant z lenna Hogarth?

Teezal pokiwał głową.

– Tak, panie. Właśnie on. Crowley.

– I zakładam, że towarzyszył mu ten bezczelny Hibernijczyk, imieniem Halt?

Teezal zawahał się.

– Na pewno ktoś z nim był. Ale czy Hibernijczyk czy też ktoś inny, tego nie wiem. – Wiedział, że lepiej wykazać się niewiedzą niż dostarczyć Morgarathowi niepewnych informacji.

Morgarath mruknął:

– Założę się, że to on. I Leander z nimi pojechał?

– Tak, panie. I chodzą pogłoski, że nie on jeden do nich dołączył. Podobno zwiadowcy Berrigan i Egon...

– Oni nie są zwiadowcami. Zdymisjonowałem ich. To renegaci – warknął baron.

– Oczywiście, panie. Tak czy inaczej, chodzą słuchy, że utworzyli grupę.

– W jakim celu?

Teezal zawahał się, potem wzruszył ramionami.

– Nie wiem, panie. Nie mam na ten temat żadnych informacji.

– Hmm. – Morgarath zapatrzył się za okno, bębniąc palcami o blat. A więc Crowley i kilku innych zwiadowców utworzyli grupę. Zastanawiał się, co knują. – Możliwe, że to po prostu banda banitów. Zawsze zresztą uważałem, że zwiadowcy są niewiele lepsi od zwykłych przestępców. – Tak czy inaczej, chyba nie bardzo mogą mi zaszkodzić, prawda?

– Prawda.

– Prawda. Banda czterech czy pięciu renegatów nie zagrozi moim planom. Pewnie w którymś momencie będę musiał się z nimi rozprawić. Ale na razie mam ważniejsze sprawy na głowie niż kilku sfrustrowanych wyrzutków, kryjących się po lasach i strzelających do jeleni. Zajmę się nimi, kiedy obejmę tron.

– Tak, panie. Po prostu pomyślałem, że powinieneś wiedzieć – powiedział Teezal. Nagle się przestraszył, że niepotrzebnie przeszkodził Morgarathowi.

Ale baron tylko kiwnął z roztargnieniem głową i przesunął księgę z powrotem na środek biurka.

– Dobrze zrobiłeś – odparł.

Teezal odetchnął w myślach. W końcu z Morgarathem *nigdy nie wiadomo*. Zerknął na księgę i mimowolnie krzyknął z przerażenia.

– Na bogów! Co to jest? – zapytał, wskazując na groteskową istotę.

Morgarath uśmiechnął się.

– To wargal – odparł, również spoglądając na ilustrację. – Niektórzy twierdzą, że te stworzenia istnieją tylko w mitach. Słyszałeś o nich?

Teezal potrząsnął głową, nie odrywając wzroku od potwora.

– Niestety, panie.

– Ale ta księga powiada, że kiedyś naprawdę istniały. To niezbyt mądre stworzenia, pół-zwierzęta, pół-ludzie, silne jak niedźwiedzie i podstępne jak dzikie koty. Niczego się nie boją i można z nich zrobić nieustraszonych żołnierzy. Atakują wroga tak długo, jak długo dowódca im każe. Mordują bez litości. – Morgarath pozwolił sobie na pobłażliwy uśmiezek. – Podobnie jak ty.

– A jak można nad nimi zapanować? – zapytał Teezal.

Morgarath odwrócił kartkę, przebiegł wzrokiem po tekście.

– Tu jest napisane, że komunikują się niewerbalnie, samym umysłem. Można zdobyć nad nimi kontrolę, jeśli posiada się silniejszy od nich umysł.

Teezal zmarszczył brwi.

– I jak człowiek mógłby tego dokonać?

Morgarath znów się uśmiechnął.

– Taki człowiek jak ty by nie mógł. Ale ktoś o silnej dominującej osobowości – zawiesił głos – taki jak ja, na przykład, jest w stanie nawiązać z nimi kontakt i je sobie podporządkować. Jest tu napisane – postukał palcem w księgę – że król Prescott Zdobywca, jakieś trzysta lat temu, uczynił z nich swoich niewolników. Stworzył z nich niepokonaną armię i odnosił zwycięstwo za zwycięstwem. Aż do czasu, kiedy stracił nad nimi kontrolę.

– Dlaczego? – spytał Teezal, zafascynowany tematem.

– Rozpił się, alkohol osłabił jego umysł, sygnały mentalne stały się niejasne i niespójne. Wargalowie zbuntowali się, zabili przywódców i zdezerterowali. Podobno skryli się w Górach Deszczu i Nocy, zaginęli gdzieś pośród dzikich ostępów.

Teezal z powagą pokiwał głową.

– Słyszałem historie o straszliwych bestiach, zamieszkujących owe tereny.

– Możliwe, że nie są wcale zmyślane. Kiedy załatwię bieżące sprawy, może poszukam ich i zmuszę do posłuszeństwa. Przydałby się oddział takich nieubłaganych, nieznających strachu morderców.

Teezal przełknął ślinę. Wizja rozszalałych bestii, mordujących bez litości, wydała mu się jednak ciut niepokojąca. Morgarath zauważył jego niepewną minę.

– Nie bój się, drogi Teezalu. Zadbam o to, by ciebie nie atakowały.

Teezal skłonił głowę.

– Dziękuję, panie – odparł cicho.

Morgarath popatrzył na Teezala, po czym odprawił go machnięciem ręki.

– Idź już i pozwól mi wreszcie wrócić do pracy – rzucił.





**G**rupa zwiadowców rosła i teraz musieli szukać większej przestrzeni pod obozowisko.

Halt i Crowley nadal spali pod brezentową płachtą, która służyła im od samego początku podróży. Wszyscy pozostali mieli jednoosobowe namioty, które co wieczór rozstawiali w półkolu wokół ogniska. Konie, jak to konie zwiadowców, nie wymagały wiązania na noc i pasły się swobodnie w pobliżu obozowiska.

Większa grupa oznaczała też konieczność lepszej organizacji. Crowley wyznaczył wszystkim zadania. zaproponował, że sam, wraz z Haltem, nadal będzie zajmował się przygotowywaniem posiłków. Pozostali zdążyli poznać ich talenty kucharskie i nie mieli zastrzeżeń. Dzielili się rotacyjnie resztą zadań, dość rutynowych i niewymagających większych umiejętności, jak zbieranie drewna na opał, rozpalanie ogniska, noszenie wody i zmywanie garnków. Każdy miał myć własne naczynia i sztuce. Wszyscy też polowali.

Utrzymywała się ładna pogoda, chociaż noce zrobiły się już chłodne. Ale nocleg pod gołym niebem nie stanowił wielkiego problemu dla takich zahartowanych podróżników jak oni. Wieczorami, kiedy już zjedli, Berrigan często wyciągał gitarę i wyczarowywał miłe dla ucha melodie.

Norris okazał się wyśmienitym wędkarzem. Uwielbiał spędzać ostatnie godziny dnia nad strumieniem z wędką, zrobioną z długiej giętkiej gałęzi. Miał niesamowite wyczucie, zawsze potrafił zgadnąć, gdzie żerują ryby i często uzupełniał zapasy świeżymi pstrągami, a nawet soczystym łososiem. Jeśli nadarzyła się okazja do wędkowania, zwalniali go z obowiązków związanych z rozbijaniem obozowiska. Wizja świeżej ryby na kolację w pełni rekompensowała zwiadowcom dodatkowe zadania.

Halt pomyślał, że gdyby ich wyprawie nie przyświecał śmiertelnie poważny cel, byłaby to bardzo przyjemna wycieczka.

Tego wieczoru Norris złowił trzykilogramowego łososia. Halt i Crowley oprawili rybę, obficie okrasili dzwonka masłem i dziko rosnącą cebulą i cytryną, starannie zawinęli w kawałki kory i wielkie liście. Potem wykopali koło ogniska niewielki dołek, nasypali do

środką rozżarzonych węgli, ułożyli na nich rybę i przysypali kolejną porcją żaru i ziemi. Czekając, aż ryba się upiecze, pokroili kartofle i usmażyli je na żeliwnej patelni, z grzybami i dziką sałata.

Kiedy jedzenie było gotowe, zwiadowcy zasiedli wokół ogniska i zaczęli pałaszować. Przez cały czas właściwie się nie odzywali, bez reszty zajęci pochłanianiem wspaniałego posiłku. W końcu Berrigan – po drugiej dokładce – odchylił się do tyłu, oblizał palce z masła i westchnął z zadowoleniem.

– Tak się cieszę, że mamy cię na pokładzie – powiedział do Norrisa. Ten zmarszczył brwi.

– Na pokładzie? Nie jesteśmy przecież na statku.

Jak już zauważyli, Norris rozumiał wszystko bardzo dosłownie.

Berrigan posłał mu uśmiech.

– Chciałem powiedzieć: cieszę się, że do nas dołączyłeś, bo dostarczasz nam tych wszystkich pysznych ryb.

– O. Dziękuję. – Norris uśmiechnął się z lekkim zażenowaniem. Nie przywykł do komplementów. Berrigan wytarł palce w jakąś tkaninę, która akurat leżała pod ręką, zbyt późno uświadomił sobie, że jest to brzeg jego peleryny, ale tylko wzruszył ramionami. Uznał, że trochę tłustych plam jeszcze nikomu nie zaszkodziło. A właściwie, jak stwierdził po chwili, przyjrzawszy się nieregularnemu kształtowi, mogło nawet wzmocnić kamuflujące właściwości materiału. Podniósł wzrok. Siedzący po drugiej stronie ogniska Leander właśnie bezwiednie wycierał dłonie w gors koszuli. Crowley cicho beknął.

– Wyrafinowane z nas towarzystwo, co? – rzucił Halt. – Zrobilibyśmy furorę na uroczystym obiedzie na Zamku Araluen.

Crowley wzruszył ramionami.

– To nie jest uroczysty obiad na zamku. Obowiązuje inna etykieta.

– Zauważyłem – odparł Halt i również beknął. Wychowany na zamku Dun Kilty w Clonmelu i uczony w młodości surowych manier, obowiązujących przy stole i nie tylko, teraz cieszył się swobodą związaną z życiem w drodze, wśród bezpretensjonalnych przyjaciół. Beknięcie było długie i donośne. Uśmiechnął się z zadowoleniem.

– Dobrze na trawienie – stwierdził.

Egon rzucił mu spojrzenie z ukosa.

– Trochę gorsze dla otoczenia.

Halt po namyśle kiwnął głową. Nie mógł się z tym nie zgodzić.

Największą zaletą przyrządzania jedzenia w żarze było to, że potem nie mieli żadnych garnków do umycia. Nie licząc patelni, na której smażyli kartofle. Egon zajrzał do wiadra z wodą. Było pełne tylko w jednej czwartej.

– Pójdę po wodę. – Po chwili znikł między drzewami. Nawet wykonując takie banalne czynności, zwiadowcy pozostawali niezauważeni, instynktownie przemykali od jednej plamy cienia do następnej. Trenowali tę umiejętność stale, nawet o tym nie myśląc. Nieraz uratowała komuś z nich życie.

– Jutro powinniśmy dotrzeć do Redmontu – powiedział Crowley. – Jestem ciekaw, jak nas przyjmie baron Arald. – Obecnie znajdowali się w lennie Eagleton, od dwóch dni wypytywali napotykanym mieszkańców o zwiadowcę, imieniem Samdash. Jak na razie bez powodzenia.

Mieszkańcy wsi, przez które przejeżdżali, ani słowem nie zdradzili, gdzie można go

znaleźć. Na pytania Crowleya odpowiadali pustym spojrzeniem i kamienną ciszą. Wreszcie zwiadowcy postanowili zarzucić poszukiwania i ruszyć dalej, prosto do Redmontu.

– A kto jest tam teraz zwiadowcą? – spytał Halt. Wiedział, że kiedyś mu to mówili, ale był tak najedzony i senny, że przeszukiwanie pamięci wydawało mu się stanowczo zbyt wielkim wysiłkiem.

– Farrel – odparł Crowley.

Berrigan uniósł głowę.

– Jest dobry.

Leander przytaknął.

– Jeden z najlepszych. Bardzo wzmocni naszą grupę. Kiedyś był zwiadowcą w lennie Norgate i walczył w niejednej bitwie pod północną granicą. Słyszałem, że w bliskim starciu posługuje się toporem. Pewnie dał popalić niejednemu Scottowi.

– Czy to dozwolone? – zdziwił się Halt. – Sądziłem, że zwiadowcy nie powinni posługiwać się ciężką bronią, taką jak miecze i topory.

– Ściśle rzecz biorąc, to nie. Ale kto by dyskutował z gościem, wymachującym toporem wojennym? – powiedział Berrigan, który leżał z przymkniętymi oczami, wygodnie oparty o zwalony pień, rozkoszując się ciepłem ogniska.

Crowley szeroko ziewnął.

– Chyba czas się kłaść – powiedział. Próbował sobie przypomnieć, czyja to kolej objąć pierwszą wartę. Wizja ciepłego posłania była bardzo kusząca.

Nagle spośród drzew wynurzył się Cropper, wydając dziwny niski dźwięk. Crowley spojrzał nań ze zdziwieniem.

– Co się stało?

I nagle zrozumiał. Skoczył na równe nogi, sięgnął po nóż saksoński, leżący na pniu służącym za zagłówek.

Ale nim zdążył wyciągnąć nóż z pochwy, powietrze ze świstem przecięła strzała – i utkwiała w pniu, dosłownie kilka centymetrów od jego ręki.

– Nie ruszać się – powiedział szorstki głos w ciemnościach. – Jest nas czterech, wszyscy trzymamy w rękach łuki gotowe do strzału.

Spomiędzy drzew wynurzyły się cztery postacie. Crowley, prawie oślepiiony od długiego wpatrywania się w dogasające ognisko, zmrużył oczy. Kiedy znaleźli się w blasku rzucanym przez płomień, zobaczył, że mają na sobie zwiadowcze peleryny i są uzbrojeni w długie łuki.

Rzeczywiście, zgodnie ze słowami mężczyzny, we wszystkich tkwiły strzały, a cięciwy były naciągnięte na jakieś trzydzieści centymetrów. Mężczyźni emanowali pewnością siebie – bez wątpienia potrafiliby naciągnąć je do końca i wypuścić strzały dosłownie w przeciągu sekundy.

Crowley powoli zabrał dłoń z rękojeści noża.

– Spokojnie – powiedział przyjaznym tonem. – Nie jesteśmy waszymi wrogami.

– To już sami osądzimy – odparł mężczyzna. Jego twarz skrywał kaptur, widać było tylko jej fragment. Grupa Crowleya znajdowała się w niekorzystnym położeniu – obcy zaskoczyli ich w momencie odpoczynku.

Halt omiótł wzrokiem cztery postacie. Nieznacznie przetoczył się na bok i wysunął nóż do rzucania z pochwy, zasłaniając go własnym ciałem.



W tym momencie mężczyzna stojący jako drugi od prawej skierował naciągnięty łuk w jego stronę.

– Nie rób nic głupiego – powiedział ostrzegawczo. Jego głos brzmiał młodziej niż pierwszego mężczyzny, rysy również skrywał kaptur.

Halt uniósł ręce pojednawczym gestem.

– Nawet bym nie śmiał – odparł łagodnie.

– Kim jesteście? – spytał Crowley.

Pierwszy mężczyzna zwrócił twarz prosto w jego stronę – nadal jej nie odsłaniając.

– Zabawne. To ja trzymam w ręku naciągnięty łuk, więc zdaje się, że to ja powinienem zadawać pytania. – Urwał, poczekał, aż nieznajomi przetrwają jego słowa, po czym podjął ostrzejszym tonem: – Zatem, kim wy jesteście?

– Ja mam na imię Crowley. Jestem byłym zwiadowcą, podobnie, przypuszczam, jak wy. A to moi towarzysze, Halt, Berrigan...

Nic więcej nie zdążył powiedzieć, bo mężczyzna mu przerwał.

– Właściwie średnio mnie to interesuje. Chciałbym wiedzieć, dlaczego o mnie wypytywaliście.

Crowley doznał olśnienia.

– Jesteś Samdash?

Mężczyzna niecierpliwie machnął łukiem.

– Lubisz odpowiadać pytaniem na pytania, co? – powiedział. – Tak, jestem Samdash. No, dlaczego o mnie pytaliście? Morgarath kazał wam nas ścigać?

– Morgarath? – powtórzył Crowley i zaśmiał się głucho. – Ależ skąd! Nie zaliczam go do swoich przyjaciół. Podobnie jak żaden z nas.

– Tak mówisz. Jednakże...

– Opuścić broń! Natychmiast! – Z ciemności za plecami czterech mężczyzn dobiegł głos Egon. Samdash spał się w sobie i już chciał się odwrócić, ale Egon go ubiegł.

– Nie! Nie ruszaj się albo strzelam – powiedział.

Samdash zastygł w bezruchu, zaklął pod nosem. Do tej pory nie wiedział, ile dokładnie osób liczy grupa obcych. Wieśniacy mówili o pięciu lub sześciu. Teraz się przekonał, że jednak sześciu. Ale nic po sobie nie pokazał.

– Zdajesz sobie sprawę, że nas jest czterech, a ty tylko jeden? – powiedział. – Możemy...

Nagle w pień tuż obok jego kolana wbiły się dwie strzały, jedna po drugiej. Samdash aż podskoczył.

– Raczej nie możecie – odparł Egon. – Za to ja mógłbym załatwić dwóch z was, nim zdążylibyście się obejrzeć. Jak sam się przekonałeś.

Samdash mimo woli spojrział na drżące drzewce wbite w pień. Pomyślał, że nieznajomy wykazał się niezwykłą szybkością. Bez wątplenia godną zwiadowcy.

– W dodatku stoję za waszymi plecami, skryty w ciemności, a wy jesteście w blasku ognia. Widzę was wyraźnie. Nim zdążylibyście mnie namierzyć, załatwiłbym dwóch pozostałych. – Urwał, po chwili dodał: – Tobie, rzecz jasna, i tak nie zrobiłoby to różnicy, bo padłbyś pierwszy.

Samdash zazgrzytał zębami w bezsilnym gniewie. Uświadomił sobie, że zachował się bardzo nieostrożnie. Przez całe popołudnie szukali grupy mężczyzn, którzy wypytywali o nich

po wioskach, i wreszcie znaleźli – po blasku ogniska pośród drzew. Nie zaczekał, by sprawdzić, ilu ich jest, tylko impulsywnie przypuścił atak. I oto okazało się, że tamci mają przewagę liczebną. Wziął głęboki wdech i zerknął na swoich kompanów.

– Zwolnijcie cięciwy – polecił – i połóżcie łuki na ziemi.

Posłusznie wykonali rozkaz. Łuki znalazły się na ziemi, a strzały w kołczanach. Crowley odczekał, aż niebezpieczeństwo minie, podniósł się, powoli podszedł do Samdasha i ku jego wielkiemu zdumieniu, wyciągnął rękę na powitanie.

– Jak wspominałem, jestem Crowley. Miło was widzieć.





I tak grupa byłych zwiadowców nagle zaczęła liczyć dziesięć osób. Towarzysze Samdasha nazywali się Lewin, Berwick – co wymawiał „Berrick” – oraz Jurgen. Wszystkie te imiona znajdowały się na liście zwiadowców zdymisjonowanych rzekomo listem królewskim. Samdash, z natury podejrzliwy, sam doszedł jednak do wniosku, że za całą tą sprawą stoi Morgarath. We czterech zamierzali udać się do lenna Gorlan i wieść życie banitów, napadać na kurierów i handlarzy dostarczających towary na zamek.

– Skoro nic więcej nie możemy zrobić – powiedział Berwick – to przynajmniej uprzykrzymy Morgarathowi życie.

Crowley potwierdził ich podejrzenia, że to Morgarath stoi za dymisją zwiadowców. I zaproponował znacznie skuteczniejszą metodę odwetu. Kiedy poznali plan uwolnienia księcia Duncana i konfrontacji z Morgarathem na turnieju w Gorlanie, z zapalem zgodzili się przyłączyć do grupy Crowleya.

Ale był pewien problem. Samdash nie miał ochoty uznać przywództwa Crowleya. Dyskutowali na ten temat długo w noc, ale nie doszli do porozumienia. Głosowanie załatwiłoby sprawę – grupa Crowleya liczyła sześć osób, a Samdasha – cztery. Ale Crowley obawiał się, że w razie przegranej Samdash i jego ludzie odjadą.

– W końcu – stwierdził Samdash w którymś momencie – dowodzę nimi od czterech tygodni.

– I zawiodłeś ich dzisiaj prosto w tarapaty – stwierdził Halt, który do tej pory powstrzymywał się od głosu. – Nie pomyślałeś o tym, by sprawdzić, z jak liczną grupą macie do czynienia. Rzuciłeś się na nas i dałeś się podejść Egonowi. Dobry dowódca tak nie robi. Tego rodzaju impulsywne zachowanie może narazić ludzi na śmierć.

Crowley zerknął na Samdasha, który zaczerwienił się z wściekłości. Uznał, że lepiej nic nie mówić i poczekać, co będzie dalej. Ku jego zaskoczeniu, głos zabrał Jurgen.

– Hibernijczyk ma rację. Jesteś naprawdę świetnym zwiadowcą, ale rzeczywiście jak na dobrego dowódcę zachowujesz się zbyt impulsywnie. Jesteś niecierpliwy, a to prowadzi do

błędów.

Samdash już miał odpowiedzieć, ale ubiegł go Lewin. Był zwiadowcą zaledwie od dwóch lat, najmniej doświadczonym w grupie. Ale chciał wyrazić swoją opinię.

– Zgadzam się z Jurgenem – powiedział cicho. – Za często niepotrzebnie podejmujesz ryzyko. Poza tym Crowley i jego ludzie mają plan, jak się rozprawić z Morgarathem. My chcieliśmy mu tylko uprzykrzyć życie. Uważam, że powinniśmy do nich dołączyć i zgodzić się, że Crowley jest również naszym dowódcą.

Samdash, coraz bardziej czerwony, spojrzał na Barwicka. Był to starszy mężczyzna, o brodzie przetykanej siwizną, spokojny i godzien zaufania. Samdash bardzo cenił jego rady. Berwick wyduł wargi i wzruszył ramionami. Wiedział, że Samdashowi nie spodoba się to, co za chwilę usłyszy, ale wierzył, że jest to nieuniknione.

– Jeśli dojdzie do głosowania, oddam głos na Crowleya – oznajmił i spojrzał na rudowłosego. – Masz głowę na karku, młody człowieku. I odbyłeś szkolenie pod okiem wybitnego zwiadowcy. – Znow spojrzał na Samdasha. – Przykro mi, ale tak będzie najlepiej.

– No cóż, to chyba postanowione – powiedział Samdash. – Dowódcą jest Crowley. – Nie był zadowolony. Jego ego ucierpiało z powodu słów przyjaciół. Wiedział jednak, że gdyby upierał się przy swoim i odszedł, zostanie sam. W grupie miał przynajmniej szansę odegrać się na Morgaracie, a na tym zależało mu najbardziej.

Pochylił się i uściśnął dłoń Crowleya, na znak, że akceptuje go jako dowódcę. Crowley popatrzył mu prosto w oczy i stwierdził, że Samdash jest godny zaufania. Owszem, nie podobał mu się obrót sprawy, ale nie będzie się buntować przeciwko rozkazom dowódcy.

– Dziękuję – powiedział Crowley. Nie zamierzał wygłaszać przemowy. Uznał, że najlepiej pozostawić sprawę swojemu biegowi.

Zaraz potem zaczęli się szykować do odpoczynku. Lewin sam zgłosił się na pierwszą wartę. Berwick przyprowadził konie, które zostawili na polanie pięćset metrów dalej. Zwierzęta przywitały się z pozostałymi konikami i zaczęły zgodnie skubać trawę opodal obozowiska. Zwiadowcy zgasili ogień i wsunęli się pod ciepłe koce w swoich jednoosobowych namiotach. Nowi członkowie grupy oczywiście też takie mieli. Wkrótce nad obozowiskiem zapadła cisza, którą od czasu do czasu przerywało chrapanie kogoś ze zwiadowców.

Następnego ranka wyruszyli w dalszą drogę. Jechali gęsiego, w dwóch kolumnach, wąskim leśnym traktem, który miał ich zaprowadzić do gościńca, wiodącego prosto do Zamku Redmont. Crowley z zadowoleniem stwierdził, że ich nowi towarzysze nie tworzą własnej klikki, ale rozdzielili się i mieszały z resztą grupy. Wczesnym przedpołudniem wysłał Jurgena i Berrigana na polowanie. Wrócili parę godzin później, z łupem w postaci kilku tłustych kaczek krzyżówek.

Halt i Crowley jechali obok siebie na przedzie, w odległości jakichś dziesięciu metrów od reszty, by rozmawiać w spokoju.

– Zastanawiałem się, czemu Cropper nie ostrzegł nas wczoraj wcześniej.

– Zrobiliby tak, gdyby wyczuł zapach. Ale znajdowali się po zawietrznej. Kiedy ich usłyszał, było za późno.

– Myślisz, że Samdash nie będzie sprawiał kłopotów? – spytał Halt. W jego głosie pobrzmiwała nuta powątpiewania. Po namyśle Crowley odpowiedział:

– Chyba nie. Chociaż wydaje się nieco arogancki, a wczoraj jego duma doznała bolesnej urazy.

– Ale głupio postąpił, że dał Egonowi podejść się od tyłu – stwierdził Halt.

Crowley powoli pokiwał głową.

– Owszem, wykazał się brakiem ostrożności. Ale ja też. Gdybym wystawił warty, nie wzięliby nas z zaskoczenia.

Halt wzruszył ramionami.

– Może popełniliśmy błąd...

– Nie my. Ja – przerwał mu Crowley. – To ja jestem dowódcą. Powinienem być o tym pomyśleć.

– Niech ci będzie. Ale jest spora różnica między takim drobnym zaniedbaniem a atakowaniem wroga bez uprzedniego rozpoznania sytuacji. Po prostu rzucił się na nas, w ogóle nie sprawdził, ilu nas jest.

– Ja w każdym razie na przyszłość nie zamierzam popełnić tego samego błędu. I owszem, masz rację. Samdash działa zbyt pochopnie. Widzi się w roli dowódcy, ale nie potrafi myśleć i przewidywać. Poza tym nie miał żadnego konkretnego planu. Napadami na patrole Morgaratha raczej niewiele by osiągnął.

– Zasadnicze pytanie brzmi: czy mu ufasz? – powiedział Halt.

Crowley po zastanowieniu odparł:

– Tak. Ufam. Kiedy opowiedziałem im o naszych planach, był wyraźnie pod wrażeniem. Sam o czymś takim nawet nie myślał.

– Zdziwiłbym się, gdyby w ogóle myślał.

– Chyba jesteś dla niego zbyt surowy. I sądzę, że jeśli dostanie szczegółowy plan akcji, wykona go bez gadania.

– Skoro tak twierdzisz – odparł Halt niechętnie. Cenił talent Crowleya do trafnej oceny. On sam często zbyt szybko wydawał wyrok na nowo poznaną osobę na podstawie pierwszego wrażenia. Nieraz się przekonał, że często okazuje się ono błędne. Crowley stosował bardziej wyważone sądy. I dlatego też lepiej nadawał się na dowódcę. Skoro uznał, że Samdashowi można zaufać, to Halt był skłonny mu uwierzyć.

W południe zatrzymali się na szybki posiłek, złożony z chleba, suszonego mięsa i owoców, a potem ruszyli dalej. Crowley zwiększył tempo do krótkiego galopu. Zostawiali za sobą kolejne kilometry dzielące ich od Zamku Redmont. Raz po raz rozglądał się nerwowo. Drogę poprowadzono na podwyższonym terenie, rozciągał się z niej rozległy widok na otaczające zabudowania i zalesioną okolicę.

– Czuję się strasznie wyeksponowany – mruknął Crowley do Halta. – Mamy stąd doskonały widok, ale to znaczy, że nas też można zobaczyć z daleka. W dodatku tak liczna grupa bardzo rzuca się w oczy.

– Może powinniśmy się rozdzielić.

Crowley potrząsnął głową.

– Dopiero po spotkaniu z baronem Araldem. W lennie Redmont chyba jesteśmy stosunkowo bezpieczni.

Około czwartej wjechali na wzniesienie. Po drugiej stronie rozciągała się wąska płytką dolina, za nią zaś wznosił się Zamek Redmont. W świetle popołudniowego słońca płonął

czerwienią. Cała grupa wstrzymała konie.

– Ale niesamowity – szepnął Halt, nie odrywając wzroku od ogromnej budowli królującej nad okolicą.

– Niezły widok, prawda? – dorzucił Crowley. Wcześniej odwiedził Redmont jeszcze jako uczeń. – Zbudowano go z sydereytu, dlatego tak lśni czerwienią w zachodzącym słońcu. Może nie dorównuje urodą zamkom Gorlan czy Araluen, ale z jakiegoś powodu go od nich wolę. Jest taki bardziej... konkretny. – Podjechał nieco do przodu i obrócił konia, by znaleźć się naprzeciwko pozostałych.

– Halt i ja pojedziemy przodem i porozmawiamy z baronem – oznajmił. – Postaramy się też zwerbować zwiadowcę Farrela. W tym momencie nie ma sensu ujawniać, ile osób liczy nasza grupa. Wy schowajcie się między tymi drzewami – wskazał na gęsty fragment lasu u stóp wzniesienia – i rozbijcie obóz. Potem do was dołączymy.

Pozostali zamruczeli na znak zgody. Samdash miał trochę zawiedzioną minę. Chciał pojechać z nimi na zamek. Ale widział sens tej decyzji i również, choć z wahaniem, ją zaakceptował. Wiedział też, że sam nigdy nie wpadłby na to, że należy zachować w tajemnicy, ilu ich jest. Bez zastanowienia pojechałby wraz z całą grupą prosto na zamek. Z namysłem wydał wargi. Pomyślał, że może faktycznie działa zbyt impulsywnie – i po raz pierwszy przyznał w myślach, że Crowley jest lepszym, rozsądniejszym dowódcą od niego. Ale musiał o coś zapytać.

– Co będzie, jeśli pomyliliście się co do Aralda i traficie do lochu?

Crowley odpowiedział uśmiechem.

– Dobrze pytanie. Kiedy zorientujemy się w sytuacji, damy sygnał z murów zamkowych. Z tego miejsca nad główną bramą. – Wszyscy spojrzeli na wskazany punkt. – Powiemy komuś, żeby pomachał czerwoną flagą. Jeden z was musi tu zostać. Jeśli przez jakąś godzinę-dwie nie zobaczycie flagi, to znaczy, że jesteśmy w więzieniu.

– I co wtedy mamy zrobić? – zapytał Leander.

– Macie dwie możliwości – odparł Crowley. – Kończycie zabawę i wracacie do domu albo atakujecie zamek i wyciągacie nas z niewoli. Nawet wiem, która z tych możliwości mnie bardziej przypadłaby do gustu – powiedział z lekkim uśmiechem. – Egonie, ty opracujesz plan, jak to zrobić.

Pozostali spojrzeli na Egona. Crowley go wybrał, ponieważ był on najstarszy i najrozsądniejszy z całej grupy. Na pewno nie podjąłby żadnej głupiej decyzji. Egon kiwnął głową.

– W takim razie ja zaczekam tutaj na sygnał – zaofiarował Samdash, bo bardzo chciał odegrać jakąś konkretną rolę. – Czekam przez godzinę od chwili, kiedy przekroczyście bramę zamkową.

– Lepiej półtorej – zaproponował Crowley. – Ostatnimi czasy sporo się dzieje w takich miejscach. Możliwe, że przyjdzie nam swoje odczekać.

Samdash kiwnął głową.

– Niech będzie półtorej – zgodził się. – Będę mierzył czas.

– Doskonale. – Crowley jeszcze raz powiódł wzrokiem po twarzach towarzyszy, by się upewnić, czy wszyscy zrozumieli swoje zadania. Potem machnął wodzami i skierował Croppera na skraj wzniesienia. – Ruszamy – powiedział do Halta.

Kiedy Halt go dogonił, Crowley jeszcze odwrócił się w siodle.

– Tylko nie palcie ognia. Nikt nie powinien wiedzieć, że tu jesteśmy. Dobrze ukryjcie obozowisko.

Wiedział, że Cropper bez trudu ich odnajdzie. Zwiadowcy zwrócili konie w przeciwnym kierunku i ruszyli gęsiego w stronę drzew po drugiej stronie wzniesienia. Tylko Samdash został. Zeskoczył na ziemię i poprowadził konia do niewielkiej kępy drzew, by schronić się w ich cieniu. Znalazł prostą gałąź i wetknął ją w ziemię, w miejscu, gdzie słońce tworzyło jasną plamę. Potem zaznaczył punkt, w którym, jak wiedział, znajdzie się cień gałęzi po upływie nieco ponad godziny. Wybrał odpowiednie miejsce, z którego dobrze widział zamek i prowizoryczny zegar słoneczny i usiadł.

Crowley i Halt zjechali w dół łagodnego stoku. Zamek stał na szczycie wzgórza. Dominował nad okolicą, ale zdołali dojrzeć w tle dachy wiejskich zabudowań. Z kilku kominów unosił się dym. Halt pomyślał, że mieszkańcy pewnie gotują obiad.

– To wieś Wensley – powiedział Crowley. Halt kiwnął głową. – A tam rzeka Tarbus, która przepływa między zamkiem a wsią.

Rzeka wiła się zakolami, połyskiwała srebrzyście w popołudniowym słońcu. Brzegi łączył drewniany most. Halt zauważył, że środkowa część przeprawy jest ruchoma. W razie ataku mieszkańcy wsi mogli się schronić na zamku, a potem podnieść most, odcinając drogę najeźdźcom.

– Wygląda na całkiem skuteczną fortecę – stwierdził.

– Redmont to jeden z trzech największych zamków królestwa. Dwa pozostałe to Gorlan i oczywiście Araluen.

W milczeniu przejechali główną ulicą i znaleźli się na moście. Kopyta głośno stukały o deski. Pośrodku, na części podnoszonej, dźwięk zmienił się w bardziej głuchy. Widocznie zrobiono ją z lżejszego drewna.

Za mostem stok zaczął się wznosić bardziej stromo. W odróżnieniu od większości zamków, które Halt dotąd widział, Redmont zbudowano na planie trójkąta. Pośrodku wznosił się wysoki donżon, a na rogach wieże.

– Skąd taki kształt? – spytał Halt.

– W ten sposób zużyli mniej kamienia. Syderyt nie jest powszechnie dostępnym materiałem. Dzięki niemu zamek jest praktycznie niezniszczalny. Wróg mógłby przez cały dzień strzelać z maszyn oblężniczych, z takim skutkiem, że na murze powstałoby może lekkie draśnięcie.

Byli już niedaleko. Granitowe mury wznosiły się wysoko nad ich głowami. Droga kończyła się mostem zwodzonym łączącym brzegi fosy, obecnie spuszczonego. Po drugiej stronie znajdowała się brama zamknięta ciężką kratą.

Mostu pilnowało dwóch uzbrojonych wartowników. Kiedy Crowley i Halt podjechali bliżej, zagrodzili im drogę. Crowley włożył na tę okazję cętkowaną pelerynę zwiadowcy, a teraz wyciągnął spod niej srebrny liść i pokazał go wartownikom.

– Królewski zwiadowca – powiedział władcym tonem. – Przybywam w oficjalnej sprawie. Chcę się widzieć z baronem.







Czekali przed gabinetem barona już od dwudziestu minut. Crowley raz po raz zerkał na wodną klepsydrę stojącą na gzymsie kominka. Ciecz skapywała powoli, kropla po kropli, poziom stopniowo opadał. Halt domyślił się, że Crowley martwi się o czekającego na sygnał Sandasha.

W końcu zjawił się sekretarz Aralda i zaprosił ich od środka.

– Baron was oczekuje – powiedział.

Gabinet mieścił się w obszernej komnacie. Po jednej stronie wznosił się ogromny kominek, przed którym stały niski stolik i cztery wygodne fotele. Pośrodku, przy oknie wychodzącym na park, królowało biurko – wielki dębowy stół na grubych nogach. Stały przy nim cztery krzesła: przy dłuższym boku jedno z wysokim oparciem, na którym zasiadał baron, i trzy niższe naprzeciwko.

Baron właśnie coś pisał. Podniósł głowę i machnął piórem w stronę krzesel.

– Siadajcie – powiedział zdawkowo, stanowczo nieprzyjaznym tonem.

Halt i Crowley wymienili zmartwione spojrzenia i zajęli miejsca.

Arald był krzepkim barczystym mężczyzną, na oko dwudziestokilkuletnim, o przystojnej gładko ogolonej twarzy. Robił wrażenie muskularnego, chociaż początki podwójnego podbródka i tunika, trochę za ciasno opięta w pasie, wskazywały na problemy z utrzymaniem prawidłowej wagi. Na stole, tuż obok jego lewej dłoni stała miseczka pełna słodyczy. Arald sięgnął do niej bezwiednie, wetknął cukierek do ust i zaczął przeżuwać. Na blacie leżał również długi miecz w pochwie z czerwonej skóry zdobionej srebrem, rękojeścią zwrócony w stronę prawej dłoni Aralda, by ten w razie czego mógł ją szybko chwycić.

Arald przez chwilę mierzył ich groźnym spojrzeniem. W końcu przemówił:

– Przypuszczam, że jesteście jednymi z tych bezużytecznych fircyków, których przysyła mi Morgarath w miejsce zwiadowców. – Lekko zmarszczył brwi i dodał: – Chociaż muszę przyznać, że nie przypominacie wyglądem tych poprzednich.

– Poprzednich? – zapytał Crowley.

– Na razie przysłał dwóch. Tchórzliwe nieroby. Pierwszy przywiózł list z pieczęcią królewską, w którym napisano, jakoby Farrel zaatakował i złupił grupę handlarzy na granicy między Gorlanem i Redmontem, i że w związku z tym zostaje wydalony z Korpusu. Kazałem idiotcie wracać z powrotem do Morgaratha.

– Nie uwierzyłeś w te zarzuty? – spytał Halt.

Słyszając hibernijski akcent, Arald spojrział na Halta z zaciekawieniem.

– Nie, ponieważ tak się złożyło, w czasie, kiedy Farrel niby miał dokonać przestępstwa, byliśmy razem w podróży. Wysłałem list z wyjaśnieniem, ale w odpowiedzi przyjechał kolejny wyfiokowany idiota, powtórzył oskarżenie i pokazał mi pismo, z którego wynikało, że teraz on ma pełnić funkcję zwiadowcy w lennie Redmont. Jemu również kazałem wracać, skąd przyjechał. – Arald urwał i popatrzył na nich podejrzliwie. – Ale skoro przysłał was Morgarath, to już o tym wszystkim wiecie.

Crowley odchrząkał i powiedział, dobitnie i powoli:

– Nie przysłał nas Morgarath. – Zawahał się, zerknął na Halta, niepewny, czy może zdradzić Araldowi ich zamiary. Halt kiwnął głową i Crowley podjął: – Przypuszczamy, że Morgarath próbuje zdobyć tron. Zamierzamy go o to oskarżyć na dorocznym turnieju w Gorlanie.

Arald, który przez cały czas rozmowy lekko pochylał się do przodu, teraz gwałtownie się wyprostował, wyraźnie zaskoczony. Poparzył na twarze siedzących naprzeciw mężczyźni i ujrzał w nich determinację. Pochylił głowę.

– Zamierzałem na tym samym turnieju przedstawić fikcyjne zarzuty pod adresem Farrela Radzie Baronów, doprowadzić do tego, by cofnięto oskarżenie. Widzę, że wy macie znacznie ambitniejsze plany. Kim jesteście i jak zamierzacie tego dokonać?

– Jesteśmy grupą byłych zwiadowców. Wszyscy straciliśmy stanowisko za sprawą Morgaratha, który nas zdymisjonował, twierdząc, że działa w imieniu króla. Zamierzamy zdobyć poparcie księcia Duncana i uzyskać od niego pisemną gwarancję.

Arald machnął ręką.

– Z Duncana nie będziecie mieć żadnego pożytku – stwierdził gorzko. – Kiedy ostatnio o nim słyszałem, wszczywał awantury przy północnej granicy i robił wszystko co w jego mocy, by zerwać traktat pokojowy ze Scottami.

– To nie jest Duncan – powiedział Halt. – To oszust, działający na rozkaz Morgaratha. Widzieliśmy go. Prawdziwy Duncan siedzi uwięziony na Zamku Dzika Rzeka. Sądzymy, że w ten sposób Morgarath sprawuje kontrolę nad królem.

Arald aż gwizdnął ze zdumienia.

– Naprawdę? Skąd o tym wszystkim wiecie?

Halt i Crowley wymienili spojrzenia. Halt odparł:

– Schwytaliśmy kuriera wiozącego depeze od Morgaratha do władcy Zamku Dzika Rzeka. Morgarath nakazywał w nich trzymać Duncana w niewoli co najmniej do zakończenia turnieju. Wspominał również o fałszywym Duncanie, którym się posłużył, by okryć imię księcia złą sławą.

Arald popatrzył na nich z uznaniem.

– Widzę, że odrobiliście lekcje. Macie te depeze?

Crowley ze smutkiem potrząsnął głową.

– Nie. Zapieczętowaliśmy je z powrotem i włożyliśmy na miejsce. Kurier był nieprzytomny, nie miał pojęcia, że je czytaliśmy. Uznaliśmy, że Morgarath nie powinien się o tym dowiedzieć.

Arald bezwiednie wsadził do ust kolejny cukierek i popadł w zamyślenie.

– Hmmm. Tak. Zapewne słusznie postąpiliście. Lepiej wziąć go z zaskoczenia. No, ale trochę szkoda. Stanowiłyby konkretny dowód jego niecznych zamiarów.

Sięgnął po srebrny dzwonek i poruszył nim kilka razy. Drzwi otworzyły się niemal natychmiast. Sekretarz wetknął głowę do środka.

– Tak, panie?

– Martinie, poproś pannę DuLacy, by zechciała do nas dołączyć. I pošlij kogoś po Farrela.

– Tak jest. – Głowa Martina znów znikła za drzwiami.

Haltowi skojarzyło się to z zabawką zwaną diabłem z pudełka. Nagle o czymś sobie przypomniał. Pochylił się w stronę Crowleya.

– Samdash – szepnął.

Crowley uniósł palec do góry.

– Mam prośbę – zwrócił się do Aralda. – Jeden z naszych ludzi obserwuje z daleka zamek i czeka na umówiony sygnał. Jeśli zaraz go nie zobaczy, zamek zaatakują nasi towarzysze. Ustaliliśmy, że przed upływem półtorej godziny pomachamy czerwoną flagą z blanków nad bramą.

– Zaraz wydam odpowiednie polecenie – odparł Arald. W tym momencie Martin zapukał do drzwi i ponownie wsadził głowę do pokoju.

– Panna DuLacy i zwiadowca zaraz tu będą – oznajmił.

Arald kiwnął głową i nim Martin zdążył zniknąć, powstrzymał go ruchem ręki.

– Martinie, wyjdź na mury nad bramą i pomachaj czymś czerwonym.

Martin zmarszczył brwi.

– Czymś czerwonym?

Arald niecierpliwie machnął dłonią.

– Tak. Flagą. Obrusem. Gaciami. Obojętnie, byle było czerwone. W przeciwnym wypadku będziemy mieć do czynienia z bandą wściekłych zwiadowców.

Wyraz twarzy Martina wyraźnie świadczył o tym, że nie ma on pojęcia, o czym mówi Arald. Nie uległo również wątpliwości, że nie jest to żadna wyjątkowa sytuacja.

– Jak każesz, panie.

Arald spojrział na Halta i Crowleya z uśmiechem, który zdawał się mówić, że uwielbia peszyć swego sekretarza. Potem Arald spoważniał i zapytał rzeczowym tonem:

– Co dokładnie zamierzacie?

– Uwolnić Duncana z Zamku Dzika Rzeka – odparł Crowley – i doprowadzić do konfrontacji między nim i Morgarathem podczas turnieju. Sądzymy również, że przydałoby się porwać oszusta podszywającego się pod księcia i zmusić go, by publicznie przyznał się do winy.

Brwi Aralda podjechały do góry.

– Ambitnie – stwierdził. – A ilu dokładnie was jest?

– Dwunastu. Sami niesłusznie zdymisjonowani zwiadowcy.

– Zamierzacie stawić czoło Morgarathowi grupą liczącą zaledwie dwunastu ludzi?

– Dwunastu zwiadowców – poprawił go Halt.

Arald spojrział na ponurego Hibernijczyka.

– Zrozumiałem – powiedział. – Ale to jednak tylko dwunastu ludzi, nawet jeśli są zwiadowcami... – Zawiesił głos, a Crowley natychmiast pospieszył z odpowiedzią:

– Liczyliśmy na twoje wsparcie, panie. Doszły nas słuchy, że nie przepadasz za Morgarathem.

Arald uśmiechnął się, ale był to uśmiech raczej posępny i całkowicie pozbawiony humoru.

– Nie przepadam to raczej mało powiedziane. Uważam, że to zdrajca i łgarz. I zgadzam się z waszymi przypuszczeniami. Też podejrzewam, że próbuje zdobyć koronę. Niestety, wielu baronów darzy go podziwem i szacunkiem.

– Podobnie jak ty, z tego, co nam wiadomo – wtrącił Crowley.

Arald skromnie wzruszył ramionami.

– Możliwe. A gdybym tylko mógł postawić Morgaratha przed Radą Baronów i pokazać konkretny dowód jego win...

W tym momencie rozległo się lekkie pukanie do drzwi. Arald, nie dokończywszy, powiedział:

– Proszę.

Drzwi się otworzyły i serce Halta zamarło. Do pokoju weszła najpiękniejsza kobieta, jaką kiedykolwiek widział. Wysoka, smukła i pełna wdzięku. Pomyślał, że chyba przerasta go co najmniej o pół głowy. Miała na sobie białą suknię, prostą i elegancką. Na prawym ramieniu widniała srebrna brosza w kształcie gałązki laurowej – oznaka Służby Dyplomatycznej. Długie popielatoblond włosy wdzięcznie opadały na ramiona, tworząc ramę dla twarzy o niezwykle pięknych rysach. Niebieskie oczy patrzyły z lekkim rozbawieniem, jakby świat niezmiennie wprawiał ją w radosny humor. Teraz skierowała wzrok na dwóch nieznajomych, siedzących naprzeciw Barona.

Halt zerwał się z miejsca, przy okazji przewracając krzesło, które uderzyło w nagą drewnianą podłogę, czyniąc straszliwy rumor. Halt pochylił się czym prędzej, a wtedy kaptur spadł mu na twarz, skazując na szukanie krzesła po omacku. Wreszcie Halt jakoś się pozbierał, odrzucił kaptur do tyłu i podniósł krzesło. Crowley również wstał, ale nie z takim pośpiechem jak jego przyjaciel. Halt spojrział na kobietę, która przyglądała mu się z jeszcze bardziej rozbawioną miną.

– Pauline DuLacy – powiedziała, wyciągając dłoń. Halt chwycił ją z zapalem, natychmiast sobie uświadomił, że stanowczo zbyt wielkim, i puścił ją jak oparzony. Wykonał niezgrabny ukłon – wyglądało to tak, jakby zagapił się na stopy przybyłej.

– Halt – zaskrzeczał.

Kobieta wdzięcznie przechyliła głowę.

– Pochodzisz z Teutonii? – zapytała. – Ja nigdzie się nie wybieram.

Halt otworzył usta, zamknął i znów otworzył, desperacko szukając odpowiednich słów.

Na szczęście Crowley pospieszył mu z pomocą.

– Halt to jego imię, panno DuLacy.

Pauline DuLacy spojrzała na Halta, unosząc brew.

– Doprawdy? – powiedziała.

– Halt pochodzi z Hibernii – dodał Crowley, jakby to wszystko tłumaczyło.

– Ach – powiedziała Pauline DuLacy. Jakby to rzeczywiście wszystko tłumaczyło.

Crowley ujął jej dłoń, pochylił się i lekko musnął ją wargami.

– A ja nazywam się Crowley. Bardzo mi miło.

– Jakie dworskie maniery, mistrzu Crowley – powiedziała, po czym zerknęła na Halta, który wciąż gapił się na nią, cały czerwony, z lekko rozdziawionymi ustami, wyzywając się w myślach od nieokrzesanych kretynów.

– Crowley jest byłym zwiadowcą – wtrącił Arald. – Kolejną ofiarą Morgaratha.

Pauline rzuciła Crowleyowi spojrzenie pełne zrozumienia. Potem przeniosła wzrok na Halta.

– Mistrzu Halcie, czy ty również jesteś zwiadowcą?

Haltowi znów zabrakło słów i Crowley znów pospieszył mu z pomocą – chociaż Halt, czując lekkie ukłucie zazdrości z powodu swobody, z jaką zachowywał się jego przyjaciel, chyba jednak wolałby, żeby tego nie robił.

– Formalnie nie, ale to niczego nie zmienia. Pobierał nauki u Pritcharda.

– Naprawdę? – Arald spojrział na Halta z szacunkiem.

Podobnie jak panna DuLacy. Nie uszło to uwadze Halta, który znów poczuł, że język zawiązał mu się na supełek.

– Pauline jest starszą kurierką – wyjaśnił Arald, chociaż strój kobiety wystarczająco o tym świadczył. – Stoi na czele Służby Dyplomatycznej na Zamku Redmont. – Odczekał chwilę, aż Crowley i Halt przyswoją tę informację, po czym zwrócił się do Pauline: – Ci zwiadowcy uważają, że Morgarath planuje przejąć władzę.

Kobieta popatrzyła na niego, potem na Halta i Crowleya.

– Trudno się nie zgodzić – stwierdziła.

– I zamierzają go powstrzymać – dodał Arald.

Pauline uśmiechnęła się, a jej oczach pojawił się ciepły błysk. Serce Halta znów podskoczyło.

– Uważam, że to doskonały pomysł.



○ powiedz nam, czego się dowiedziałaś na Zamku Gorlan – poprosił Arald Pauline. Potem wyjaśnił zwiadowcom: – Tydzień temu Pauline udała się tam anonimowo, w przebraniu podróżującej szlachcianki.

– Dość głupiutkiej, należy dodać – powiedziała Pauline z uśmiechem. – Zauważyłam, że mężczyźni nie traktują zbyt poważnie trzpiotowatych blondynek i nie czują z ich strony zagrożenia. A ponieważ nie zachowują ostrożności, można wyciągnąć od nich sporo informacji.

Halt i Crowley popatrzyli na nią z podziwem. W ich przekonaniu wizyta na zamku Morgaratha wymagała sporo odwagi. Pauline i Arald zdawali się nie widzieć w tym niczego szczególnego.

– Bez wątplenia trzymają tam jakiegoś więźnia, w komnacie na ostatnim piętrze we wschodniej wieży. Oczywiście go nie widziałam, widziałam jednak, jak noszono mu jedzenie, służący kilka razy krążyli w tę i z powrotem. Poza tym wieży pilnuje spory oddział strażników. Można przypuszczać, że chodzi o więźnia wysokiego rangą. Ale jednak więźnia. Jestem pewna, że to król, nie mam jednak żadnych niepodważalnych dowodów.

– Oczywiście, Morgarath twierdzi, że chroni króla od czasu nieudanego zamachu na jego życie – wtrącił Crowley. – To usprawiedliwia wszystkie środki ostrożności.

– Zgadza się. Sprytny wybieg. Przypuszczam poza tym, że zamachu dopuścił się książę Duncan – rzekła Pauline.

Halt potrząsnął głową.

– Nie! – zaprotestował gwałtownie. Pauline obdarzyła go swoim oszłamiającym uśmiechem i Halt znów poczuł, że brakuje mu słów. – Ja... to znaczy... no, eee... – dukał. Crowley znów pospieszył z odsieczą, a Halt znów w podzięcie rzucił mu mordercze spojrzenie.

– Odkryliśmy, że Morgarath przetrzymuje w niewoli również księcia Duncana.

Pauline ze zdumieniem uniosła brwi.

– Na Zamku Gorlan? Niczego takiego nie zauważyłam.

Crowley pokręcił głową.

– Na Zamku Dzika Rzeka. Na północy grasuje oszust, który się pod niego podszywa, napada na wsie, również te na terenie Picty, wszczyna awantury, ogólnie rzecz biorąc, robi wszystko, by zniszczyć dobre imię księcia.

– Halt i Crowley planują uwolnić Duncana, schwytać oszusta i doprowadzić do konfrontacji ich obu z Morgarathem podczas turnieju – wyjaśnił Arald.

Pauline lekko skłoniła głowę i przez chwilę bacznie przyglądała się mężczyznom w pelerynach.

– Bardzo ambitny plan – stwierdziła.

Halt już chciał coś powiedzieć, ale odkrył, że nic z tego i tylko odchrząknął.

Crowley popatrzył na niego z lekkim rozbawieniem, po czym odparł:

– Nie działamy samotnie. Jest nas razem dwunastu, sami zwiadowcy. Poza tym liczymy na wsparcie baronów, którzy stoją po stronie króla i zechcą się przyłączyć do barona Aralda.

– Na turnieju będzie bardzo wielu baronów, do tego ich służba i rycerze, więc Morgarath raczej nie odważy się użyć siły – stwierdził Arald. – Oczywiście, będzie miał u boku swoich ludzi, w końcu turniej odbywa się na jego ziemi. Nie przypuszczam jednak, by poczuł się na tyle pewnie i sięgnął po broń. Nie wie dokładnie, na ilu baronów może liczyć, szczególnie jeśli na scenę niespodzianie wkroczy Duncan.

Pauline kiwnęła głową i złączyła opuszki palców. Przez chwilę przerabiała w myślach to, co powiedział Arald.

– Jestem tego samego zdania – stwierdziła w końcu. – Morgarath będzie unikał bezpośredniej konfrontacji tak długo, jak tylko się da. To nie w jego stylu. On woli działać za pomocą intryg i podstępów.

– Chciałbym, Pauline, byś się dowiedziała, ilu baronów jest gotowych nas poprzeć – powiedział Arald. – Roześlij naszych agentów. Wykorzystaj kontakty. Wyrusz sama na przespiegi. Mam nadzieję, że większość dochowa wierności królowi i Duncanowi, ale musimy wiedzieć, na kogo na pewno nie możemy liczyć.

– Czasu mamy niewiele – zauważyła Pauline.

Baron kiwnął głową.

– Rozumiem. Zrób tyle, ile się da. Każda informacja będzie dla nas cenna.

– Bezcenna – poprawił Crowley, a Pauline posłała mu uśmiech. Halt poczuł dziwną niechęć w stosunku do przyjaciela.

W tym momencie ktoś zapukał do drzwi.

– Proszę – powiedział Arald.

Drzwi się otworzyły i stanął w nich barczysty mężczyzna w pelerynie zwiadowcy. Zza jego pleców wystawały łuk i kołczan, u pasa prócz dwóch noży, jakie nosili wszyscy zwiadowcy, tkwił też ciężki topór wojenny, przewleczony przez żelazny pierścień. Halt pomyślał, że to nie jest typowy zwiadowca. Wyróżniał się także wyższym wzrostem i cięższą budową ciała. Może stąd brało się jego upodobanie do takiej broni jak topór.

Arald uśmiechnął się na powitanie.

– O, Farrel. Wejdz, proszę. Oto twoi współbracia – wskazał na Halta i Crowleya. Mężczyzna zmierzył ich krytycznym spojrzeniem.

Crowley wyciągnął rękę na powitanie i się przedstawił.

Farrel uściśnął ją, kiwnął głową i powiedział:

– Pamiętam cię. – Potem ruchem głowy wskazał Halta. – Ale jego nie znam.

– To Halt, pochodzi z Hibernii. Przeszedł szkolenie pod okiem starego Pritcharda. Oficjalnie jeszcze nie jest zwiadowcą, ale zdążył dać się Morgarathowi we znaki.

Farrel zrobił zaciekawioną minę.

– Naprawdę? A w jaki sposób?

– Na początek pokonał sześciu ludzi barona, którzy mnie zaatakowali.

Farrel z aprobatą kiwnął głową.

– Dobry początek.

Halt wzruszył ramionami.

– To się stało po tym, jak Morgarath miał czelność zaproponować mi pracę – powiedział.

– Jak zareagowałaś na tę ofertę? – zapytał Arald.

Halt spojrzał na niego i odparł:

– Wyjaśniłem mu, gdzie ją sobie może wsadzić – odparł, po czym przypomniał sobie o obecności Pauline i poczerwieniał jak burak. – Proszę o wybaczenie – zwrócił się do niej. – Nie chciałem...

Pauline machnęła ręką. Śmiała się.

– Przypuszczam, że te słowa zdenerwowały go jeszcze bardziej niż fakt, że jego żołnierze dostali w skórę – zauważyła.

Halt skinął głową.

– Chyba tak.

Farrel, który przez cały czas przyglądał się Haltowi i Crowleyowi, zmarszczył brwi i zapytał:

– To wy dwaj jeździecie po kraju i zbieracie zwiadowców, których wydalono z Korpusu?

Crowley przytaknął.

– Zgadza się. Na razie jest nas dziesięciu. Jedenastu, jeśli do nas dołączysz.

– Myślę, że możecie na mnie liczyć – odparł Farrel, po czym zerknął na Aralda, który kiwnął głową na znak zgody.

– I dwunastu, jeśli zwerbujemy Truscotta z lena Eisel – dorzucił Halt.

Ale Farrel pokręcił głową.

– Truscott nie żyje – powiedział ze smutkiem. – Próbował protestować przeciwko swojej dymisji. Znalaziono go w łóżku martwego.

Crowley opuścił ramiona, rozczarowany.

– Szkoda – powiedział. – Był dobrym człowiekiem.

– Nawet bardzo – zgodził się Farrel.

Crowley wyprostował się jak struna i stwierdził:

– Ale jedenastu zwiadowców to i tak niezły początek.

Farrel kiwnął głową.

– A w przypadku Morgaratha może również koniec.







**N**a zaproszenie Aralda Halt i Crowley przyprawdzili resztę grupy i tego wieczoru zjedli kolację na zamku. W kuchni rządził gładkolicy młodzieniec, imieniem Chubb.

– Prawdziwy artysta – zapewnił Arald, klepiąc się po brzuchu. – Przez niego mam kłopoty z utrzymaniem odpowiedniej wagi.

Chubb również borykał się z tym problemem. Widocznie często próbował własnych potraw. Zwiadowcy entuzjastycznie powitali wspaniałości, które postawił przed nimi na stole. Pośrodku królowała zapiekanka z indykiem – pod złocistym ciastem kryło się nadzienie z mięsa, przypraw i warzyw.

Dołączyła do nich żona Aralda, piękna rudowłosa kobieta, którą baron przedstawił jako lady Sandrę – ona zaś szybko go poprawiła: „O lady zapomnijcie, mówcie mi po prostu po imieniu”. Okazała się czarującą i przemiłą gospodynią, od razu wzbudziła zachwyt wszystkich zwiadowców. Farrel również był obecny. Większość już go znała, nawet jeśli nie osobiście, to przynajmniej ze słyszenia. Słynął jako zaciekły i niezwykle skuteczny wojownik, który prócz umiejętności przypisanych każdemu zwiadowcy, potrafił również doskonale władać toporem bojowym. Bardzo się ucieszyli, że przybył im taki towarzysz.

Kiedy tylko weszli, Halt poszukał wzrokiem Pauline. Niestety, pięknej kurierki nigdzie nie było.

Arald zauważył rozbiegane spojrzenie i cień rozczarowania, który przemknął po twarzy Halta, niemal natychmiast zamaskowany obojętną miną, i wszystkiego się domyślił.

– Pauline szykuje się do misji – wyjaśnił Haltowi po cichu. – Musi wysłać listy do agentów i szpiegów oraz zaplanować trasę własnej wyprawy.

– Oczywiście. – Halt kiwnął głową, nie dając po sobie poznać, jaki jest zawiedziony. Miał nadzieję, że podczas uczyt jakoś się zrehabilituje w oczach tej pięknej kobiety. Czuł, że na razie dał się poznać jako żaloszny jełop pozbawiony towarzyskiej ogłady. Pomyślał ponuro, że już nie będzie miał okazji tego naprawić.

A mógłby jej opowiedzieć o swojej przeszłości, o tym, że pochodzi z królewskiej rodziny

w Clonmelu i jest dziedzicem tronu. Na pewno by jej tym zaimponował. Zaraz jednak uświadomił sobie, że raczej nie tędy droga. Taka kobieta jak Pauline z pewnością oceniała człowieka na podstawie jego własnych zasług, a nie według urodzenia. Nagle dotarło do niego, że Jurgen właśnie zadał Araldowi ciekawe pytanie:

– Zamierzasz podczas turnieju bronić tytułu, panie?

Arald odgryzł porządny kęs zapiekanki i wytarł tłuste palce w jaskrawożółty kubrak. Lady Sandra wzniosła oczy do nieba. Od pięciu lat usiłowała go oduczyć tego paskudnego zwyczaju.

– Chyba tak – odparł, prychnając okruciami. – Muszę dać Morgarathowi szansę na rewanż, prawda?

Halt popatrzył na niego z zainteresowaniem. Owszem, Arald miał lekką nadwagę, ale był mocnej budowy i barczysty, a pod ubraniem rysowały się mięśnie.

– Pokonałeś go w ostatniej potyczce? – zapytał. Wiedział, że Morgarath uchodzi za jednego z najprzedniejszych rycerzy, a może nawet najprzedniejszego, w całym Araluenie. Ale ten wesoły pulchnawy baron go pokonał.

Arald wzruszył ramionami.

– Raczej kwestia szczęścia niż umiejętności – stwierdził. – Morgarath mnie zlekceważył. Nigdy nie należy lekceważyć przeciwnika, nawet jeśli to ja. – Zaśmiał się donośnie.

Halt zauważył, że lady Sandra przygląda się mężowi z lekkim uśmiechem. Nie przyłączyła się do ogólnej wesołości. Z jej miny Halt wnosił, że Arald bagatelizuje własne talenty. I wiedział z doświadczenia, że ludzie, którzy opowiadają o sprzyjającym losie, najczęściej sami ten los tworzą.

Uczta zakończyła się około dziesiątej. Crowley przeprosił barona, tłumacząc, że powinni udać się na spoczynek.

– Chcielibyśmy wyruszyć o świcie.

Arald pokiwał głową.

– Nigdy nie spotkałem zwiadowcy, który późno chodzi spać.

Wszyscy podziękowali i skierowali się do wyjścia – zgodnie twierdząc, że przysmaki wyczarowane dłonią Chubba, stanowiły miłą odmianę od polowej kuchni Halta i Crowleya – chociaż gotowanie obydwu tak naprawdę bardzo im smakowało.

– Spotkamy się w Gorlanie, trzeciego dnia przyszłego miesiąca – powiedział Arald do Halta i Crowleya. Uściskał ich dłonie i bacznie popatrzył prosto w oczy. Nie dojrzał w nich nawet cienia strachu, mimo że planowane przedsięwzięcie wiązało się ze sporym niebezpieczeństwem.

Chubb dogonił ich w drzwiach i wręczył spory kawał zapiekanki zawiniętej w białą ściereczkę.

– Zjecie jutro na zimno. Dobry prowiant na drogę – powiedział. Z wdzięcznością przyjęli podarunek.

Arald odprowadził wzrokiem Halta i Crowleya, którzy bezgłośnie schodzili po schodach – ich miękkie buty nie wydawały właściwie żadnego dźwięku na kamiennych stopniach. Po chwili znikli za wysokimi drzwiami prowadzącymi na dziedziniec, Arald zaś wrócił do sali jadalnej, gdzie czekała na niego Sandra.

– Wspaniali ludzie – rzekła, kiedy posłał jej pytające spojrzenie. Cenił jej zdanie w takich

kwestiach. Uświadomił sobie, że właściwie zawsze tak było.

– Tak sądzisz?

Skinęła głową.

– Dobrze wyszkoleni. Lojalni. Doskonali łucznicy. Z grupą jedenastu takich mężczyzn trzeba się liczyć.

– Cóż, to w końcu zwiadowcy – odparł. – Prawdziwi zwiadowcy, a nie ci pajace, którymi od kilku lat Morgarath obsadza wszystkie lenna po kolei. Szczególne wrażenie zrobili na mnie dowódcy, Halt i Crowley.

Sandra upiła łyk wina.

– To chyba Crowley jest dowódcą, prawda?

– Owszem, wybrali go na dowódcę – przyznał. – Ale Halta darzą nie mniejszym szacunkiem. Crowleya będą słuchać. Ale Halt to typ człowieka, za którym wszyscy są gotowi podążać.

– Nawet ty? – spytała z uśmiechem. Arald potraktował pytanie całkiem poważnie.

– Tak, gdyby zaistniała taka sytuacja. Jest urodzonym przywódcą.

W tym momencie drzwi się otworzyły i do środka wpadła Pauline DuLacy, lekko zarumieniona i zdyszana, jako że właśnie pokonała biegiem dwa piętra. Prędko omiotła wzrokiem jadalnię. Na widok pustych krzeseł i służby sprzątajacej ze stołów mina jej zrzęda.

– Poszli? – zapytała.

– Kilka minut temu – odparł Arald.

Pauline gorączkowo rozejrzała się dokoła, jakby się zastanawiała, czy ma szansę ich dogonić, po czym uświadomiła sobie, że nie widziała po drodze, by przechodzili przez dziedziniec. Pomyślała, że pewnie są już w drodze do obozowiska.

– O... chciałam pożegnać się z Haltem – powiedziała, po czym prędko dodała: – I oczywiście z Crowleyem. Z Haltem i z Crowleyem.

Arald i Sandra wymienili znaczące spojrzenia. A więc tak się rzeczy mają, pomyślał baron. Od wielu lat obserwował, jak liczni młodzi rycerze próbują zdobyć łaski pięknej kurierki. Odprawiała ich wszystkich, uprzejmie, lecz stanowczo. I oto jej zainteresowanie wzbudził ten brodaty ponurak z Hibernii. Arald zastanawiał się, czy wspomnieć, że Halt również o nią pytał, uznał jednak, że mógłby dostać od żony ciężką drewnianą chochlą, leżącą niebezpiecznie blisko jej dłoni.

– Oczywiście – powiedział, kryjąc uśmiech. Z ulgą skonstatował, że Sandra cofnęła dłoń. – Ale zobaczymy ich wszystkich na turnieju. – Pauline kiwnęła głową z nieco roztargnioną miną.

– Tak. Oczywiście – powiedziała. – Cóż, wracam do gabinetu. Muszę przygotować jeszcze kilka listów do wysłania jutrzejszą pocztą.

Dygnęła – trochę niedbale – i wyszła, zamykając za sobą drzwi – trochę zbyt gwałtownie, aż echo poszło.

– No, no – powiedziała Sandra. – Pauline i Hibernijczyk. Kto by pomyślał?

Arald uśmiechnął się.

– Od razu wiedziałem – odparł z wyższością, klepiąc się po brzuchu.

Sandra popatrzyła na męża, sceptycznie unosząc brwi.

– Oczywiście, kochanie – powiedziała.

Arald zastanawiał się w myślach, kiedy ona się zrobiła taka sarkastyczna.



Pół godziny po wschodzie słońca zwiadowcy już byli w drodze. Tym razem, zgodnie z propozycją Halt, podzielili się na trzy grupy i jechali w odległości około dziesięciu minut od siebie, by niepotrzebnie nie wzbudzać zainteresowania.

Halt i Crowley jechali na przedzie pierwszej grupy. Po kilku minutach ciszy Crowley zerknął na przyjaciela i rzucił od niechcienia:

– Ta panna DuLacy to niesamowita kobieta.

Halt spojrzał na niego i mruknął coś, co Crowley uznał za wyraz zgody.

Crowley, z trudem kryjąc uśmiech, ciągnął tym samym obojętnym tonem:

– Pomyślałem, że kiedy już będzie po wszystkim, może nawiążę z nią bliższą znajomość – patrzył prosto przed siebie. Po chwili, ponieważ Halt nie odpowiadał, znów rzucił w jego stronę ukradkowe spojrzenie.

Halt miał udręczoną minę. Myśl, że Crowley – dowcipny, obyty i umiejący się zachować w towarzystwie kobiet – zamierza ubiegać się o względy pięknej kurierki wydała mu się nie do zniesienia. W przypadku innego rywala mógłby go wyzwąć na pojedynek. Ale Crowley był jego przyjacielem – a nawet więcej niż przyjacielem. Halt uważał go właściwie za brata, bliższego mu niż ten biologiczny, który próbował go zamordować, by odziedziczyć tron.

– Dobry pomysł – zdołał wydusić. – Życzę wam szczęścia.

Crowley znów na niego spojrzał, zaniepokojony łamiącym się tonem jego głosu. Halt miał tak nieszczęśliwą minę, że Crowleyowi mało serce nie pękło. Przechylił się i chwycił Halta za ramię.

– Przyjacielu – powiedział żarliwie. – Ja tylko żartowałem!

Halt pokręcił głową.

– Ależ. Nie miałbym przecież nic przeciwko, gdybyś... się z nią widywał – odparł głosem zduszonym od emocji.

Crowley potrząsnął jego ramieniem.

– Sądziś, że mógłbym tak postąpić? Widzę przecież, ile ona dla ciebie znaczy. I wydaje mi się – dodał z namysłem – że odwzajemnia twe uczucia.

Halt zerknął na Crowleya, podejrzewając, że ten wieczny żartowniś znów próbuje go nabrać. Ale Crowley odpowiedział poważnym spojrzeniem.

– Czy... o mnie wspominała? – spytał Halt. Kiedy Crowley pokręcił głową, Halt znów poczuł, że nadzieja go opuszcza. Lecz zaraz znów się pojawiła.

– Nie, nie wprost, nie słowami. Ale wyraźnie widziałem, że jest zainteresowana. Nie zauważyłeś, jak na ciebie spojrzała, kiedy opowiadałeś Araldowi o propozycji pracy, którą ci złożył Morgarath?

Halt potrząsnął głową.

– Nie zauważyłem. – Pamiętał tylko, że użył niezbyt eleganckiego sformułowania. Na myśl o tym oblał się rumieńcem.

– Zapewniam cię – powiedział Crowley – że zrobiłeś na niej wrażenie. W dodatku ją rozbawiłeś. A to zawsze dobrze wróży w przypadku kobiet.

Halt patrzył przed siebie, myśląc gorączkowo.

– Uwierz mi – dodał Crowley, który w całym swoim dotychczasowym życiu pocałował dwie kobiety, z których jedna była jego matką – że znam się na kobietach.

Halt poczuł ciepło w głębi piersi.

– No tak – powiedział uszczęśliwiony. – W to akurat nie wątpię.

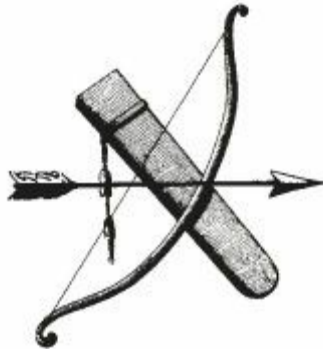
Kiedy minęli zakręt, ich fascynująca rozmowa niestety została brutalnie przerwana. Crowley wstrzymał konia, Halt zaraz potem zrobił to samo.

– Czy ta osoba przypadkiem nie wygląda znajomo? – powiedział Crowley.

Halt zmrużył oczy i pochylił się nieco do przodu, bacznie przypatrując się postaci siedzącej na poboczu, plecami wspartej o drzewo. Mężczyzna miał taką samą pelerynę jak oni, odrzucony do tyłu kaptur nie zasłaniał siwych włosów i brody. Kilka metrów dalej jego rumak skubał długą trawę. Nie był przywiązany ani spętany – znak charakterystyczny dla koni szkolonych, by służyć zwiadowcom.

Rzeczywiście, siedzący przy drodze mężczyzna wyglądał dziwnie znajomo. Przez chwilę obaj patrzyli na niego – a potem doznali olśnienia.

– Pritchard! – wykrzyknęli jednocześnie, po czym ścisnęli łydkami końskie boki i ruszyli mu na spotkanie.





**P**opędzili galopem w stronę starego zwiadowcy, który czekał, spokojnie im się przyglądając. Gwałtownie wstrzymali konie, wznosząc kłęby pyłu, zeskoczyli na ziemię i rzucili się biegiem przed siebie. Pritchard powoli wstał, pozornie pełen powagi i obojętny, ale w kącikach jego ust igrał uśmiech.

– Pritchard? To naprawdę ty? – wykrzyknął radośnie Crowley. Zamknął siwowłosego zwiadowcę w uścisku tak mocno, że aż oderwał jego stopy od ziemi. Halt czekał obok, by również wyściskać starego nauczyciela.

– Tak. To ja – odparł spokojnie Pritchard. – A jeśli nie będziesz uważał, za chwilę będę to ja i moje zmiażdżone żebra.

– Wybacz! – powiedział Crowley. Natychmiast wypuścił Pritcharda z objęć, aż ten ciężko wylądował na ziemi, a wtedy Crowley chwycił go i zamknął w kolejnym niedźwiedzim uścisku. Pritchard spojrzał ponad jego ramieniem na Halta i robiąc zakłopotaną minę, pokazał na Crowleya obiema rękami.

Halt zrobił krok do przodu i klepnął Crowleya w ramię.

– Puszczaj! I to już! – zawołał.

Crowley posłusznie rozluźnił uścisk i cofnął się. Cały aż promieniał z radości. Halt wykorzystał okazję, porwał Pritcharda w ramiona i puścił dopiero, kiedy ten wydał jęk bólu i zaskoczenia.

– Co ty tu robisz? – spytał Halt. W tym samym momencie usłyszał za plecami stukot końskich kopyt na drodze. Pozostali zwiadowcy dogonili ich i przypatrywali się scenie powitania z wyraźnym zainteresowaniem. Powtarzali szeptem imię „Pritchard” w różnych tonacjach, wyrażających różne stopnie zaskoczenia.

Pritchard z udawanie zbolałą miną sprawdził, czy jego żebra i ramiona nie doznały szkody podczas czułego powitania z byłymi uczniami, po czym uśmiechnął się do nich i powiódł wzrokiem od jednego do drugiego – z wyraźną dumą w oczach.

– Słyszałem różne plotki na temat dwóch szurniętych młodzików, którzy rekrutują byłych

zwiadowców i zamierzają stawić czoło Morgarathowi – powiedział. – Podobno jeden z nich to jakiś ponurak z Hibernii, a drugi – figlarz z czupryną koloru marchewki. Wyobraźcie sobie moje zaskoczenie, kiedy się dowiedziałem, że to wy!

Zwiadowcy siedzący na koniach zaśmiali się chóralnie.

– Stwierdziłem więc, że lepiej sprawdzę, czy nie potrzebujecie pomocy – dokończył Pritchard.

Crowley pokręcił głową.

– Ale przecież byłeś w Hibernii! Jak się o nas dowiedziałeś?

Pritchard postukał palcem wskazującym w boczną część nosa.

– Nadal mam swoje źródła informacji. Wiem o wszystkim, co się dzieje w Araluenie.

Berrigan znacząco odkaslnął, a kaszlnięcie zdawało się maskować słowo „bzdury”.

Pritchard spojrział na niego z uśmiechem.

– A, no i oczywiście jakiś tydzień temu dostałem gołębiem pocztowym list od Berrigana, w którym powiadomił mnie o waszych planach.

Halt i Crowley odwrócili się jednocześnie i popatrzyli na Berrigana.

Ten wzruszył ramionami.

– Nie wspominałem, że czasem do siebie piszemy? – powiedział, wskazując Pritcharda ruchem głowy.

– Nie. Egon mówił, że utrzymuje z nim kontakty, ale ty niczego takiego nie powiedziałaś – odparł Crowley.

Berrigan zamyślił się, po czym oznajmił:

– Pritchard i ja czasem do siebie piszemy.

– Bardzo zabawne – stwierdził Crowley, posyłając Berriganowi piorunujące spojrzenie. Berrigan jednak nie wyglądał na spiorunowanego.

Crowley znów zwrócił się do Pritcharda. Szeroki uśmiech powrócił na jego twarz. Z nieskrywaną radością powiedział:

– No i się spotkaliśmy! Zamierzasz do nas dołączyć?

– Oczywiście – odparł Pritchard. Zwiadowcy powitali jego słowa z wielkim zadowoleniem. Pritchard był bardzo sławną postacią w Korpusie. Jego dymisja i wyjazd z kraju wywołały poruszenie wśród zwiadowców.

– A więc chyba obejmiesz dowodzenie? – zapytał Crowley, wskazując na towarzyszy. Halt pomyślał, że to cały Crowley: bez wahania gotów zrzec się funkcji na rzecz Pritcharda, bez żalu zrezygnować z prestiżowej pozycji. Ale mistrz pokręcił głową.

– Zwiadowcy wybrali ciebie na dowódcę – zauważył.

Crowley machnął ręką.

– No to teraz mogą mnie odwybrać i wybrać ciebie!

Pritchard znowu pokręcił głową.

– Nie. Ty jesteś dowódcą i na pewno dobrze się sprawdzisz w tej roli. Wiem, ponieważ sam cię szkoliłem. – Spojrział na Halta, który przyglądał się tej scenie z zainteresowaniem. – A Halt będzie doskonałym zastępcą. – Znowu się uśmiechnął. – On też był przecież moim uczniem.

– Ale... – Crowleyowi zabrakło słów. Zrobił zmieszana minę. Pritchard dodał:

– Jestem za stary na takie stanowisko. Zapowiada się ciężka walka. Morgarath tak łatwo



nie ustąpi. Dowodzenie tą grupą to zadanie dla młodego człowieka. Wymaga energii i determinacji młodości. Ja pewnie zasnąłbym w połowie bitwy – dodał żartobliwie.

– Ale ty nie jesteś stary! – prychnął Crowley. – Jesteś w doskonałej formie, założę się, że jeździsz i strzelasz tak samo dobrze jak zawsze.

– No, tak. Moje strzały wciąż trafiają do celu. Muszę jednak przyznać, że po całym dniu w siodle zwykle trochę jęczę i stękam. Odczuwam ból w miejscach, o których istnieniu nie miałem pojęcia. – Chwycił krótką siwą brodę między kciuk i palec wskazujący. – A to nie jest szron.

– Ale... – Crowley nadal nie dawał za wygraną. – Ty mu powiedz – zwrócił się do Halta. Ten jednak z namysłem potrząsnął głową.

– Moim zdaniem Pritchard ma rację.

Crowley był oburzony.

– Jak możesz tak mówić? On wszystkiego cię nauczył!

Halt kiwnął głową.

– Owszem. Nauczył mnie też godzić się z prawdą, nawet przykrą.

Pritchard posłał mu uśmiech.

– Dobrze powiedziane. Widzę, że skutecznie cię wyszkoliłem. – Widząc, że Crowley zamierza dalej dyskutować, dodał: – Poza tym mogę bardziej się przydać w innej roli.

Crowley przybrał wyzywającą pozę, prostując plecy i wspierając jedną rękę na biodrze.

– O, doprawdy? A w jakiej to?

– Te siwe włosy i broda oraz strzykające kości sprawiają, że w oczach wroga wyglądam dość nieszkodliwie. Mógłbym się dostać na Zamek Gorlan i sprawdzić, gdzie przetrzymują króla. Nikt nie zwróci uwagi na siwego zgarbionego starca.

Halt podrapał się po brodzie.

– Skąd wiesz, że Morgarath więzi króla? – zapytał.

Pritchard rzucił mu obojętne spojrzenie.

– Mówiłem, że mam swoje źródła – odparł. – A, no i być może Berrigan coś tam wspominał – dodał prędko, nim Berrigan zdążył znów znacząco odkaszlnąć.

– Nie jesteś zgarbionym starcem – ponownie zaprotestował Crowley. Pritchard zgiął się pół, jedną rękę przyciskając do krzyża i stękając z bólu. Idealnie przedstawiał słabego nieszkodliwego staruszka. Zwiadowcy nie mogli powstrzymać się od śmiechu. Nawet Crowley lekko się uśmiechnął.

– Hm... może masz rację...

– Nawet na pewno – odparł Pritchard. Crowley w końcu musiał ustąpić. Podał Pritchardowi rękę.

– No dobrze. Pozostanę dowódcą, a ty będziesz naszym geriatrycznym tajnym agentem i udasz się na przeszpiegi do Zamku Gorlan.

– Oczywiście, być może będę potrzebował pomocnika do pchania wózka inwalidzkiego – dorzucił Pritchard z uśmiechem. Ale zaraz potem spoważniał.

– Tracimy czas. Moglibyśmy zrobić jeszcze kilka dobrych kilometrów, zanim zatrzymamy się na popas i posilimy tą pyszną zapiekanką z indykiem.

Crowley znów obrzucił byłego nauczyciela zdumionym spojrzeniem.

– Skąd wiedziałeś o zapiekance z indykiem? – zapytał.

A Pritchard znów postukał palcem w boczną część nosa i znów odpowiedział:

– Mówiłem. Mam swoje źródła.



Po półtorej godzinie Crowley ogłosił przerwę na posiłek. Zajadali, właściwie nie rozmawiając. Nawet na zimno zapiekanka Chubba była prawdziwym dziełem sztuki kulinarnej i szybko pozostała po niej tylko garstka okruchów, w większości zdobiących górną część zwiadowczych kaftanów.

Leander westchnął z zadowoleniem i wytarł tłuste palce w brzeg peleryny.

– Morgarath powinien raczej porwać kucharza Aralda niż króla, lepiej by na tym wyszedł – stwierdził, a kilku zwiadowców głośno wyraziło poparcie dla tej opinii.

Farrel wyznał:

– Z powodu Chubba naprawdę poważnie się wahałem, czy do was dołączyć.

W końcu niechętnie wstali, dopili kawę i otrzepali się z okruchów. Niektórzy tak jak Leander wykorzystali peleryny w roli serwetek.

Gwizdami i wołaniem wezwali konie, które po chwili posłusznie wbiegły na polanę. W ciągu kilku minut wszyscy przygotowali się do drogi i zaciągnęli poprzęgi.

– Dzielimy się znowu na trzy grupy? – zapytał Egon.

Po namyśle Crowley potrząsnął głową.

– Znajdujemy się już niedaleko granicy lenna Gorlan, więc lepiej trzymajmy się razem. Ale wypuścimy czujki. Halt, ty pójdziesz przodem, trzymaj się w odległości około pół kilometra od nas i wyglądaj patroli. Farrel, ty obserwuj sytuację na tyłach. Pilnujcie, by nikt nas nie zaskoczył.

Halt i Farrel kiwnęli głowami i wskoczyli na konie. Pritchard uważnie przyglądał się całej scenie i nie uszło jego uwadze, jak zdecydowanie Crowley odpowiedział na pytanie Egona. Pomyślał, że naprawdę ma on cechy dobrego przywódcy.

Kiedy Halt odjechał kłusem na północny zachód, Crowley odczekał kilka minut, po czym dał znak, by wszyscy pozostali wsiedli na konie i ruszyli za nim. Farrel usadowił się w siodle, ale pozostał w miejscu. Po jakichś pięciu minutach również popędził konia.

Jechali w tej konfiguracji przez całe popołudnie. Halt dwa razy dostrzegł niewielki oddział żołnierzy gdzieś z przodu i polecił zwiadowcom wstrzymać konie do czasu, aż tamci znikną w oddali. Farrel nie dostarczył im żadnych wrażeń – nikt za nimi nie jechał.

Tego wieczoru, kiedy siedzieli wokół ogniska po kolacji – na której, jak kilku z nich zauważyło z żalem, stanowczo dał się odczuć brak zapiekanki z indykiem – Crowley poprosił wszystkich o uwagę. Rozłożył na ziemi mapę królestwa i wszyscy podeszli bliżej.

– Musimy zacząć realizować nasz plan – powiedział. – Pierwsze zadanie: dowiedzieć się, gdzie dokładnie grasuje fałszywy książę Duncan. Tutaj rozbijemy obóz... – Czubkiem noża wskazał punkt, znajdujący się kilka kilometrów na północny zachód od Zamku Gorlan – ...a potem się podzielimy, rozjedziemy się półkolem na północ i północny zachód aż do granicy i w końcu go znajdziemy.

– Jeśli nadal uprawia swój niecny proceder, raczej nie będzie to trudne – zauważył ponuro Halt.

Crowley spojrzał na niego.

– To prawda. Z pewnością nie próbuje się ukrywać. Kiedy już się dowiemy, gdzie go można dorwać, część z nas pojedzie za nim i go schwyta. Farrel, ty będziesz dowodził tą grupą.

Farrel kiwnął głową. Wodził wzrokiem po mapie, jakby liczył na to, że dojrzy ślady fałszywego księcia. Bezwiednie położył dłoń na głowicy topora.

– W tym samym czasie Halt i ja udamy się do Zamku Dzika Rzeka i uwolnimy Duncana.

– Tylko we dwóch? – spytał Egon.

Crowley przytaknął.

– Nie posłużymy się siłą, tylko podstępem, więc nas dwóch wystarczy. Być może będziecie musieli stanąć do walki, więc powinniście być jak najliczniejsi.

– Brzmi sensownie – przyznał Egon.

– Bardzo ważna rzecz to wyczuć odpowiedni moment – dodał Crowley, wodząc wzrokiem po twarzach towarzyszy. – Jeśli zaczniemy zbyt wcześnie, Morgarath może się dowiedzieć, że ktoś uwolnił Duncana i pojmał jego naśladowcę. Musimy załatwić obie te sprawy nie wcześniej niż na dwa dni przed rozpoczęciem turnieju.

Wszyscy zgodnie zamruczeli.

– Poza tym, kiedy już uwolnimy prawdziwego Duncana i złapiemy fałszywego, chcę, żeby Jurgen i Berwick osłaniali tyły. Macie za zadanie przechwycić każdego kuriera, którego wyślą z wiadomością z Zamku Dzika Rzeka lub z miejsca, gdzie przebywał ten cały Tiller.

– Tiller? – powtórzył Pritchard.

Crowley spojrzał na niego.

– Tak się nazywa oszust, udający Duncana – odparł i nie mógł sobie darować, by nie dorzucić: – Dziwne, że twoje źródła – tu popukał palcem w nos, naśladując gest Pritcharda – cię o tym nie poinformowały.

Pritchard tylko mruknął.

Crowley odczekał chwilę, ale ponieważ nie było pytań, klasnął w rękę i dodał:

– No dobrze, kładźmy się spać. Jutro czeka nas wczesna pobudka.

– Codziennie jest wczesna pobudka – zauważył Samdash, a kilku zwiadowców zgodnie skomentowało te słowa uśmiechem.

Crowley zwinął mapę, podniósł się, otrzepał spodnie i zapytał:

– Kto pierwszy stoi na warcie?

– Ja – odparł Norris.

– A kto drugi? – Crowley powiódł wzrokiem dokoła.

– Ty – odparł Norris ze złośliwą satysfakcją.

– O... no dobrze – odparł Crowley, chociaż liczył, że tej nocy pośpi spokojnie.

– Ja wezmę drugą wartę – zaofiarował Halt. – Ty musisz teraz dużo myśleć, a wiem, że to dla ciebie bardzo wyczerpujące.

Crowley posłał mu słodki uśmiech.

– Normalnie obraziłbym się na taką uwagę – stwierdził – ale wizja sześciu godzin nieprzerwanego snu jakoś wynagradza mi straty moralne.





Znalazłem go – oznajmił Berwick, zsiadając z konia, nieco sztywny i obolały. Było późne popołudnie, a Berwick cały dzień spędził w siodle.

Crowley i Halt podnieśli się ze swoich miejsc przy ognisku i podeszli do Berwicka. Halt wziął od niego wodze, rozsiadł konia i zaczął go wycierać. Wierzchowiec ciężko pracował, sierść miał spienioną, a łeb trzymał nisko zwieszony.

Berwick zdobył się na zmęczony uśmiech.

– Dzięki. – Nie zamierzał migać się od opieki nad koniem, ale ucieszył się, że Halt go wyręczył. Przeciągnął się i poruszył ramionami, by rozluźnić zeszywniałe mięśnie pleców, jęcząc przy tym z rozkoszy.

Crowley spokojnie odczekał i spytał:

– Gdzie on jest?

Berwick machnął kciukiem w kierunku północno-wschodnim.

– W wiosce o nazwie Ruczaj Hallera, kilka kilometrów przed granicą.

Od trzech dni przeszukiwali przygraniczny teren. Najpierw pojechali na północ i rozbili obóz bazę. Potem Crowley każdemu wyznaczył osobny obszar i wysłał wszystkich na poszukiwania. On i Halt zostali, by koordynować całą akcję i czekać na upragnione wieści. Połowa zwiadowców jeszcze nie wróciła, pozostali niewiele osiągnęli. Tylko Samdash i Berrigan zdobyli informacje, gdzie przebywał Tiller w ciągu dwóch ostatnich tygodni, ale w tym momencie były one nieaktualne. Dopiero Berwickowi udało się czegoś dowiedzieć.

– Ruczaj Hallera? – powtórzył Egon, podchodząc bliżej. Berwick z ulgą klapnął na ziemię.  
– Cóż to za nazwa?

Berwick przyjął od Crowleya kubek z kawą, która jak zwykle parzyła się nad ogniskiem, i wziął porządny łyk.

– Ruczaj to taki strumień, tylko bardzo wąski – wyjaśnił Crowley. – Może raczej źródło.

– To dlaczego nie nazwali tej miejscowości Źródłem Hallera? – zapytał Egon.

Crowley wzruszył ramionami.

– Pewnie uznali, że ruczaj brzmi ładniej. Bardziej poetycko.

Egon wydał z siebie wzgardliwe prychnięcie, a Crowley znowu skierował spojrzenie na Berwicka, który siedział oparty plecami o potężny pień drzewa. Pozostali zwiadowcy również zdążyli zająć miejsca w półkolu wokół ogniska.

– Ilu ma ludzi? – zapytał Crowley.

– Naliczyłem dwudziestu – odparł Berwick. – Trzech jeźdźców i siedemnastu z piechoty.

– A więc mają przewagę liczebną – stwierdził Crowley, zerkając na Farrela. To właśnie Farrel miał stanąć na czele grupy, której celem było schwytać Tillera. Zwiadowca wysunął dolną wargę.

– Tylko do pierwszego starcia – powiedział zdawkowo. Crowley kiwnął głową. Pomyślał, że dziewięciu zwiadowców, biegłych łuczników, z pewnością szybko wyrówna wszelkie dysproporcje. Oczywiście, on i Halt nie będą mogli im pomóc, podobnie jak Pritchard, który już ich opuścił i wyruszył do Zamku Gorlan, przebrany za starego żebraka. „Jeśli pokręcę się tam dłużej”, wyjaśnił, „to przestaną zwracać na mnie uwagę”.

– Jak zamierzacie pojmać Tillera? – zapytał Halt, nadal zajęty wycieraniem wierzchowca Berwicka. Na chwilę przerwał pracę, ale koń wymownie szturchnął go łbem, przywołując do porządku.

– Wydaje mi się, że w tym przypadku kluczem jest subtelność – odparł Farrel. – Wypuścimy serię strzał, raz czy dwa, jego siły zbrojne znacznie się zmniejszą, a wtedy zaproszę go, by zechciał z nami pojechać. Jeśli odmówi, przywalę mu toporem.

– Ciekawa koncepcja subtelności – zauważył Crowley, uśmiechając się pod nosem.

Farrel popatrzył na niego ze śmiertelnie poważną miną.

– No przecież walnę płazem, a nie ostrzem.

Crowley skinął głową.

– Rzeczywiście, tak będzie znacznie subtelniej – przyznał. – Kiedy go schwytaacie, odbierzcie mu broń i rozpuśćcie jego ludzi. Nie sądzę, by wrócili do Morgaratha i opowiedzieli, co się wydarzyło.

– Na wszelki wypadek możecie rzucić mimochodem, że Morgarath nie cierpi złych wieści. Zwykle zabija tych, którzy je przynoszą – dodał Halt.

Farrel pokiwał głową.

– Rzeczywiście, chodzą takie słuchy.

Crowley spojrzał na słońce, które wisiało ponad koronami drzew, otaczających obozowisko.

– Pozostali powinni wrócić dzisiaj w nocy lub najpóźniej jutro rano. Jak tylko przekażą, czego się dowiedzieli, możecie ruszać w drogę. Dokładny plan działania zostawiam tobie – zwrócił się do Farrela.

Wiedział, że Farrel, podobnie jak każdy zwiadowca, z pewnością sobie poradzi. Crowley nie musiał mu nic mówić. Poza tym najlepiej obmyślić plan na miejscu, kiedy rozpozna się teren i konkretne warunki.

Berwick ziewnął.

– Skoro jutro wyruszamy, to ja skorzystam z okazji i spróbuję wypocząć. – Podniósł się ze swojego miejsca przy ognisku, cicho pojękując, i ruszył do namiotu. Spojrzał jeszcze na konia – zwierzę było suche i czyste i właśnie z widocznym zadowoleniem wyjadało owies z worka.

– Jeszcze raz dziękuję – powiedział do Halta. Miał wielką chęć dokładniej obejrzeć rumaka, powstrzymał się jednak. Wiedział, że mógłby urazić tym Halta, który z pewnością dobrze wykonał swoją pracę.

Wśliznął się do namiotu, owinał się w koc i wygodnie wyciągnął na pościeli z gałęzi i liści. Westchnął z zadowoleniem. Słyszał stłumione głosy Halta i Crowleya, omawiających plany na kolejny dzień. Zdawały się dochodzić z bardzo daleka.

– My też powinniśmy jutro wyruszyć – powiedział Halt. – Czas rzucić okiem na Zamek Dzika Rzeka.

– Masz jakiś pomysł, jak uwolnić Duncana? – spytał Crowley.

– Pomyślałem, że może ty po niego pójdziesz.

Crowley uśmiechnął się ukradkiem.

– Dobry pomysł – stwierdził.

A potem Berwick zasnął i nic więcej nie usłyszał.



– A więc to jest Zamek Dzika Rzeka – powiedział Halt.

Siedzieli w kucki na wznoszącym się naprzeciw zamku wysokim klifie – dokładnie tej wysokości co zamkowe mury, w odległości zaledwie pięćdziesięciu metrów. Z tego miejsca mieli doskonały widok na niewielki taras, przy którym znajdowały się drzwi do komnat. Poniżej gładki niedostępny mur opadał aż do skał, ciągnących się wzdłuż rzeki jakies dwadzieścia metrów niżej.

Zamek zbudowano na wyspie o podłużnym kształcie, dzielącym rzekę na pół. Od brzegu dzieliło go zaledwie trzydziestu metrów. Klif, na którym siedzieli, był cofnięty o jakies dwadzieścia metrów w stosunku do linii brzegowej.

Niewielka odległość dawała złudne wrażenie, że zamek znajduje się dosłownie na wyciągnięcie ręki. Na pierwszy rzut oka zdawało się, że pokonanie tych dwudziestu metrów jest dziecinnie proste. Ale właśnie to, że kanał był tak wąski, dodatkowo utrudniało przeprawę. Rzeka i tak płynęła bardzo wartko, a w miejscu, gdzie wyspa dzieliła ją na pół, jeszcze przyspieszała. Wpadając w dwudziestometrowy kanał, pędziła naprawdę jak dzika, u samego wejścia tworząc gładkie wybrzuszenie, a potem kłębiąc się w szalonych wirach. Brzeg był stromy, skalisty i bardzo wąski, nieustannie zalewany bryzgami wody. Nie dałoby się zbudować na nim mostu, a gdyby jakiś śmiałek próbował się przedostać wpław, bez wątpienia wciągnąłby go nurt i porwał dalej.

– To jak zamierzasz się dostać na wyspę? – spytał Crowley.

Halt rzucił mu spojrzenie z ukosa.

– Zdaje się, że to ty miałeś się dostać na wyspę?

Crowley potrząsnął głową.

– Teraz, na miejscu, postanowiłem zamienić się z tobą obowiązkami. Ty pójdziesz, a ja będę stał na straży.

Halt otworzył usta, by coś powiedzieć, ale Crowley położył mu dłoń na ramieniu, nakazując ciszę i wychylił się do przodu, by przyjrzeć się tarasowi. Otworzyły się drzwi i na taras wyszedł wysoki barczysty mężczyzna, poruszający się z gracją właściwą wysportowanej osobie. Dolną część jego twarzy porastała jasna broda, widać było jednak, że jest młody,

zapewne liczy niewiele ponad dwadzieścia lat. Miał na sobie czerwony kasak i wełniane spodnie wetknięte w buty do kolan. Podszedł do muru, położył obie dłonie na blankowaniu, pochylił się i zapatrzył na spienione odmęty.

– To Duncan – szepnął Crowley.

Po chwili zza tych samych drzwi wyszło dwóch strażników. Prędko stanęli obok księcia, jakby sądzili, że rozważa, czy nie rzucić się w otchłań. Jeden położył rękę na jego ramieniu i odciągnął go od murów. Duncan rzucił mu gniewne spojrzenie i strącił dłoń, coś powiedział, ale ryk rzeki zagłuszył słowa.

Strażnik machnął ręką w stronę drzwi. Duncan niechętnie wrócił do środka, w przejściu zatrzymał się jeszcze na chwilę, by ostatni raz rzucić okiem na wolny świat za murami. Strażnicy weszli za nim i zamknęli drzwi. Rozległ się stłumiony trzask.

– Teraz wiemy, że trafiliśmy we właściwe miejsce – powiedział Halt.

Crowley z zapalem pokiwał głową.

– Tak. Musisz tylko przeprowić się przez rzekę, wspiąć na mury i uwolnić księcia.

Halt popatrzył na niego, unosząc brew.

– Tylko? Skoro to takie proste, to może jednak sam powinienes spróbować?

Ale Crowley stanowczo potrząsnął głową, jeszcze zanim Halt zdążył dokończyć.

– Mowy nie ma. Nie umiem pływać.

– Widziałem, jak pływasz – odparł Halt. Crowley nie dał się jednak zbić z pantałyku. Wskazał na wzburzoną rzekę.

– Mam na myśli, że nie umiem pływać w czymś takim.

– Nikt nie umie – zauważył Halt.

Crowley kiwnął głową.

– Sam widzisz. Poza tym mam lęk wysokości. Gdybym próbował wspiąć się na te mury, z pewnością bym spadł.

– To gładka kamienna ściana – stwierdził Halt, bacznie przyglądając się budowli. – Chyba nikt nie zdołałby jej pokonać.

– Ty na pewno coś wymyślisz. Wierzę w ciebie.

– Jestem pod wrażeniem.

Po namyśle Crowley odparł:

– I słusznie, ten mur naprawdę wygląda na niedostępny.

Halt rzucił mu mordercze spojrzenie.

– Pomocny to ty za bardzo nie jesteś.

Crowley rozłożył ręce, przyznając się do porażki.

– Prawda. Ale wiem, że coś wymyślisz.

Tym razem Halt wolał nie odpowiadać. Zapatrzył się na taras po drugiej stronie przepaści – na drzwi do komnat, w których więziono Duncana.

– Z pewnością – mruknął, chociaż w tym momencie nie miał bladego pojęcia, jak to zrobi.







**D**o turnieju pozostało pięć dni. Halt i Crowley mu sieli odczekać jeszcze trzy. Na razie obmyślali plan.

Crowley właśnie pracował nad strzałą, którą wyjął z kołczana. Tuż za grotem przywiązał do drzewca dwa małe żelazne pierścienie, mocno zaciągnął rzemyk i zawiązał kilka razy. Sprawdził, czy jest odpowiednio ścisły i trzyma pierścienie jak należy, po czym z zadowoleniem kiwnął głową. Rzemyk był mokry – przed rozpoczęciem pracy Crowley potrzymał go w wodzie. Schnąc, będzie się kurczył i stanie się jeszcze mocniejszy i bezpieczniejszy.

Halt wziął gotową strzałę i obrócił, oglądając ją uważnie. Pierścienie tkwiły po obu stronach drzewca, pod kątem prostym w stosunku do ostrego grotu.

– Dwa pierścienie? – zapytał, chociaż chyba domyślał się odpowiedzi.

– Dla lepszego wyważenia – wyjaśnił Crowley. – Potrzebny nam jeden, ale wówczas strzała straciłaby odpowiedni balans, trudniej byłoby trafić nią do celu.

Halt pochylił głowę.

– Poćwiczyłbym z godzinę i bym się nauczył. A tak waży dwa razy więcej.

– To nie ma znaczenia. Odległość wynosi zaledwie jakieś trzydzieści metrów. Uważam, że odpowiedni balans jest ważniejszy.

– Może i tak.

Halt przyglądał się, jak Crowley wyjmuje kolejne dwa pierścienie i kawałek namoczonego rzemienia i zaczyna przygotowywać następną strzałę. Crowley wyczuł jego spojrzenie i podniósł głowę.

– Lepiej zrobić parę na zapas. Wiem, że to brzmi nieprawdopodobnie, ale jednak istnieje ryzyko, że chybisz.

Halt mruknął pod nosem, po czym rzucił:

– Pamiętaj, ty też masz jedną wystrzelić. Lepiej zrób na zapas ze trzy albo i cztery.

Crowley zignorował tę uwagę. Halt popatrzył na zwoje liny, którą ze sobą przywieźli.

Oczywiście, jeszcze zanim zobaczyli zamek, wiedzieli, że będą musieli przeprowić się przez rzekę i wspiąć na mury – a do wykonania tych zadań będzie im potrzebna lina w dużych ilościach. Zakupili więc kilka zwojów, grubszej i cieńszej, w mijanej po drodze wsi. Żelazne pierścienie, które Crowley przymocował do strzał, pochodziły z tamtejszej kuźni. Kupili również konia – młodego długonogiego wałacha, silnego i szybkiego. Duncan będzie potrzebował podczas ucieczki porządnego wierzchowca. Kiedy dotrą na turniej, Arald z pewnością dostarczy mu specjalnie szkolonego rumaka bojowego.

Crowley z cichym stęknieniem zaciągnął rzemyk przy drugiej strzale najciaśniej, jak potrafił, po czym szybko zawiązał supeł. Sprawdził jego wytrzymałość i odłożył strzałę na bok, by rzemień wysechł.

– Jak będą suche, możemy postrzelać na próbę, przyzwyczać się do innej wagi – zaproponował.

Halt kiwnął głową, po czym sięgnął po czajnik, stojący obok niewielkiego ogniska.

– A teraz czas na kubek kawy.

Crowley, już zajęty przygotowywaniem trzeciej strzały, odparł:

– Dobry pomysł. – Nagle uderzyła go pewna myśl. Ściągnął brwi. – Zauważyłeś, że Leander dolewa mleka do kawy?

Halt mruknął.

– To dzikus.

Crowley uniósł brew.

– I to mówi ktoś, kto dodaje do kawy miodu?

– Miód w kawie jest sprawą całkowicie naturalną – odparł Halt. – A mleko zakrawa na kulinarną zbrodnię.



Przez trzy kolejne dni obserwowali zamek. Pilnowało go zaskakująco niewielu strażników. Ci nieliczni przeważnie siedzieli w stróżówce. Co parę godzin odbywali krótki patrol wokół murów, czasem zerknęli w dół, na wodne masy, pędzące wąskim przesmykiem między wyspą i lądem.

– Raczej nie za bardzo się przejmują – stwierdził krytycznie Halt.

– Przez ostatnich dwadzieścia lat zamek nie przeżył ani jednego ataku – odparł Crowley. – Pewnie ich zdaniem rzeka stanowi wystarczającą przeszkodę. Gdyby oddział napastników chciał się dostać na wyspę, musiałby na to poświęcić kilka godzin. A potem jeszcze zmierzyć się z gładką granitową ścianą. Cóż, tym lepiej dla nas.

Czwartego dnia, zaraz po jednym z rzadkich patroli, zeszli nad rzekę, dokładnie naprzeciwko murów zamkowych. Woda pędziła z rykiem przed siebie zaledwie parę metrów dalej. W powietrzu wisiała rozpylona wodna mgła, więc Halt trzymał łuk pod peleryną, by cięciwa nie zwilgotniała, bo wówczas stałaby się nie do użytku.

Obrócił między palcami prawej ręki jedną ze strzał. Crowley dobrze się spisał. Owszem, strzała ważyła nieco więcej, ale rzeczywiście wydawała się świetnie wyważona, dobrze leżała w ręku. Halt spojrział na mury zamkowe, wznoszące się wysoko nad ich głowami. Ani śladu strażnika. Pomyślał, że czują się stanowczo zbyt bezpiecznie. Tak, Crowley wspominał, że od dawnianikt nie próbował przypuścić ataku na zamek. Najwidoczniej jego mieszkańcy

uznali, że rozszalała rzeka chroni ich w wystarczającym stopniu. Tylko szalenie zdecydowałby się przez nią przeprowić.

– Taki jak ja – mruknął do siebie.

Crowley dotknął jego ramienia i wskazał na brzeg po drugiej stronie.

– Spójrz na ten pień – powiedział.

Kiedyś u podnóża zamku musiało rosnąć potężne drzewo, które ścięto, zapewne z obawy, że napastnicy mogliby się po nim wspiąć i dostać do wnętrza budowli przez jedno z niżej położonych okien czy wieżyczek. Został po nim tylko pniak wysoki mniej więcej na metr, ścięty pod kątem, tak by drzewo spadło do wody – jasny owal stwardniałego drewna świecił na tle zamkowych murów.

Halt kiwnął głową. Przez chwilę oceniał odległość. Wynosiła niecałe trzydzieści metrów. Wiedział, że strzała obciążona pierścieniami będzie opadała szybciej.

– Przygotuj linę – powiedział do Crowleya, zdejmując łuk z ramienia.

Crowley wyjął spod peleryny zwój cienkiej liny i przewlókł ją przez jeden z pierścieni umieszczonych za grotem – ciężkim i ostrym, zaprojektowanym tak, by bez trudu przebijać tarcze i kolczugi przeciwnika.

Odszedł na bok, jeden koniec liny owinał sobie wokół nadgarstka i pozwolił linie opaść w miękkich zwojach na ziemię. Starannie zebrał wszystkie gałązki, tak by nic nie zatrzymało liny, kiedy zacznie się rozwijać. Zwój liczył co najmniej sześćdziesiąt metrów – wystarczająco, by połączyć brzegi dwa razy. Drugi koniec liny przywiązali do drzewka.

– Gotowe? – spytał Halt, nie odrywając wzroku od obranego celu i rysując w myślach trajektorię strzały.

Crowley sprawdził wszystko jeszcze raz.

– Gotowe. Tylko uważaj, żeby nie nadepnąć na linę swoimi wielkimi niezgrabnymi girami.

– Sam jesteś niezgrabny – odparował Halt. Ale stając w odpowiedniej pozycji do strzału, na wszelki wypadek spojrzał w dół. Zaczął naciągać łuk. Cięciwa i drewniane łożo głośno skrzypnęły, ale twarz Halta nie zdradzała wysiłku.

Crowley przesunął się nieco dalej, by nie znaleźć się na linii strzału.

– Przestań skakać – powiedział Halt.

Crowley uznał, że tym razem daruje sobie sarkastyczną odpowiedź i pozwolił przyjacielowi całą uwagę skupić na strzale. Nie był on może bardzo trudny, ale od tego, czy Halt wykona go poprawnie, zależało jego życie.

– Nie ruszam się – odparł. Halt prychnął, a potem wziął głęboki wdech, odetchnął, wypuścił połowę powietrza i wystrzelił.

Strzała pomknęła ponad rzeką, ciągnąc za sobą powoli rozwijającą się linę.

Trafiła w pień, trzy centymetry od punktu środkowego, żelazny grot zatopił się głęboko w twardym drewnie.

– Chybiłeś – powiedział Crowley.

Halt spojrzał na niego z całkowicie poważną miną.

– Pośrodku pnia jest pęknięcie. Specjalnie je ominąłem. – Odstawił łuk na bok i sięgnął po zwój grubszej liny, prędko związał ją z tą cieńszą, która tworzyła podwójną pętlę rozciągniętą ponad rzeką. Sprawdził porządnie węzeł.

– Ciągnij – polecił Crowleyowi.

Crowley zaczął ciągnąć. Czuł, jak lina gładko przesuwana się przez żelazny pierścień. Wkrótce grubsza lina zawisała nad rzeką. Halt trzymał ją tak wysoko, jak tylko się dało, by nie spadła do wody.

Po chwili supeł łączący obie liny dotarł do pierścienia i zaklinował się. Crowley nieco poluzował linę, spróbował jeszcze raz. Supeł gładko prześliznął się przez pierścień i po chwili grubsza lina zaczęła ponownie przesuwać się ponad rzeką.

Przywiązali jej koniec do pnia i pociągnęli, by sprawdzić, czy grot siedzi jak należy. Nie poruszył się. Crowley uważnie przyjrzał się linie wygiętej w łagodny łuk metr ponad powierzchnią rzeki.

– Chyba możesz ruszać – stwierdził.

Pomógł Haltowi włożyć uprząż, którą również zrobili z liny. Składała się z dwóch pętli, przez które przewlekało się ramiona, oraz z części otaczającej klatkę piersiową, wiązanej z przodu. Halt wziął do ręki wolny koniec, uformował pętlę wokół liny rozpiętej nad rzeką i zawiązał za pomocą kilku półszytków. Sprawdził węzły i zrobił krok w tył, zadowolony z rezultatu.

– Jesteś pewien, że to konieczne? – spytał.

– Tak. Jeśli wypuścisz linę z rąk, rzeka od razu cię porwie, zanim zdążysz złapać oddech, znajdziesz się jakieś pięćset metrów dalej. A łapanie oddechu, nawiasem mówiąc, może być w tej sytuacji osobnym problemem. W takiej kipieli nie tak łatwo utrzymać głowę na powierzchni.

– Nie zamierzam puszczać liny – odparł Halt.

Crowley znacząco uniósł brew, ale nic nie powiedział. Halt pokonał pas mokrych nierównych kamieni, ostrożnie stawiając kroki, a potem wszedł do wody, wspierając się na ramieniu Crowleya. Miał na sobie tylko spodnie i koszulę, buty zostawił na brzegu.

Kiedy woda sięgnęła kolan, głośno zaklął.

– Co jest? – spytał Crowley z troską w głosie.

– Zimna.

Crowley z ulgą potrząsnął głową.

– Oczywiście, że jest zimna. To stopiony śnieg z gór. Właśnie dlatego chciałem, żeby to zadanie przypadło tobie w udziale.

Halt spiorunował go wzrokiem i zrobił kolejny krok. Dno opadało gwałtownie, po chwili woda sięgnęła mu piersi, otoczyła go ze wszystkich stron. Stracił dech, ale zaraz zebrał się w sobie i ruszył dalej.

Nagle znalazł się pośrodku rozpędzonej lodowatej kipieli. Nie czuł gruntu pod stopami. Znów zabrakło mu powietrza. Porwał go szybki nurt, lina wysliznęła się z rąk. Znalazł się pod wodą, bezradnie wierzgając rękami i nogami, przyczepiony uprzężą do liny, pozbawiony powietrza. Nurt przewrócił go na plecy. Halt sięgnął za siebie, by chwycić linę, ale w tej pozycji okazało się to niemożliwe – dłonie natrafiły tylko na wodę. Oślepił go gwałtowny strumień napierający na oczy, miał wrażenie, że jego płuca zaraz się rozerwą. Desperacko próbował wystawić głowę na powierzchnię, by zaczerpnąć powietrza. Woda wcisnęła mu się w nozdrza. Odruchowo zakaszłał i połknął kolejną porcję wody. Wydawało mu się, że Crowley coś do niego krzyczy, ale nie rozpoznawał słów. Zresztą i tak nie mógłby odpowiedzieć. Tak bardzo chciał zaczerpnąć powietrza, pragnienie było niemal nie do

wytrzymania, chociaż wiedział, że znajduje się pod wodą i że to oznaczałoby jego koniec.

Pomyślał, że po tych wszystkich niebezpieczeństwach, którym stawiał czoło w swoim młodym życiu, śmierć w odmętach byłaby wyjątkowo głupia i bezsensowna – utopić się, wisząc na końcu sznurka jak pstrąg złapany na wędkę. Mimo woli połknął trochę wody, zakaszał, zakrztusił się i połknął jeszcze więcej. Płuca płonęły z braku powietrza. Wiedział, że długo nie wytrzyma. W końcu zdołał przekręcić się na bok, po omacku natrafił na coś lewą ręką.

To była lina! Zakręcił dłonią, robiąc pętlę wokół nadgarstka, i całym ciałem stawiał opór silnemu prądowi. Próbował otworzyć oczy, ale na próżno, wciąż napierała na nie ściana wody. Nagle jego prawa dłoń również wyczuła szorstką strukturę liny. Chwytał mocno. Zyskał lepsze oparcie, podciągnął się, w górę i jednocześnie do przodu. Nagle poczuł, że jego głowa znalazła się nad powierzchnią. Z drzeniem zaczerpnął powietrza w płuca, płonący ból powoli ustępował.

Przesunął prawą rękę dalej wzdłuż liny, lewą uwolnił z pętli oplatającej nadgarstek i zaczął przesuwać się dalej w stronę brzegu wyspy, metr po metrze. Woda wciąż zalewała mu głowę i nauczył się, że musi prędko łapać powietrze w tych krótkich momentach, kiedy znajduje się nad powierzchnią.

Parł wytrwale do przodu, zdumiony mocą, z jaką masy wody napierały na jego ciało. Wiedział, że jeśli jeszcze raz puści linę, już nie zdoła jej złapać. Nie starczy mu sił. Raz wydawało mu się, że lina lekko się poruszyła, jakby grot strzały nie trzymał już tak mocno. Serce podeszło mu do gardła na myśl, że zaraz porwą go masy rwącej lodowatej wody. Ale strzała wciąż tkwiła w miejscu. Halt parł dalej, powoli, niemal bez tchu, właściwie na oślep.

W końcu znalazł się pośrodku wiru za wielkim przybrzeżnym głazem. Prąd nagle osłabł, nogi, od pięciu minut wyciągnięte poziomo pod powierzchnią wody, powoli opadły. Po chwili poczuł pod stopami kamienisty grunt.

Podciągnął się na brzuchu i padł płasko na skalisty brzeg, wyczerpany, niezdolny do żadnego ruchu.

Po kilku minutach, kaszląc i plując wodą, obrócił się na bok, wsparł na łokciu i obejrzał za siebie. Pomachał do Crowleya, który obserwował go w napięciu, na znak, że wszystko w porządku, i zaraz opuścił rękę. Desperacko potrzebował odpoczynku, by odzyskać siły po dramatycznej przeprawie przez rzekę.

Crowley odpowiednio odczytał sygnał i pomachał w odpowiedzi. Potem wskazał na klif. Halt pokiwał głową, przesadnie, by było go widać z brzegu. Crowley pomachał jeszcze raz, a potem ruszył w górę. Zgodnie z planem miał rzucić linę ze szczytu urwiska, by Halt mógł się po niej wspiąć na mury zamkowe.

Halt, wciąż nieruchomo rozplaszczony na mokrej skale, pośród bryzgów zimnej wody, odprowadził go wzrokiem.

– Nie spiesz się – mruknął.





Ruczaj Hallera była to typowa niewielka wioska i wbrew nazwie wcale nie leżała nad wodą. Ruczaj – wąski strumyk, który nieco dalej wpływał do większego strumienia – przepływał przez położone na skraju wsi błonia, na których mieszkańcy wypasali świnie, owce i bydło. Na brzegu wznosił się żuraw zaopatrzony w wielkie drewniane wiadro. A więc czerpano stamtąd wodę, chociaż przy większości domów stały wielkie beczki na deszczówkę.

Na głównej ulicy było pusto, chociaż o tej porze dnia, w takiej zamożnej wsi, powinien panować spory ruch.

– Ludzie nie wychodzą z domów – zauważył Berwick.

Siedzieli z Farrelem ukryci w kępie drzew, jakieś dziesięć metrów od miejsca, gdzie zaczynały się zabudowania. Droga opadała tutaj dość gwałtownie w dół. Pozostali zwiadowcy kryli się pięćdziesiąt metrów dalej – Berwick i Farrel poszli przodem, by wy badać sytuację i zaplanować kolejne kroki.

– Trudno się dziwić, jeśli Tiller i jego banda nadal tu krążą – odparł Farrel.

– Wszystko na to wskazuje. – Z gospody dochodziły głośne wrzaski, docierały aż tutaj, chociaż odległość wynosiła jakieś siedemdziesiąt metrów. – Kiedy ostatnio ich widziałem, zawłaszczyli gospodę wyłącznie na swój użytek.

Farrel spojrzał na niego.

– Śpią tam?

Berwick przytaknął.

– Tiller i trzech najwyższych rangą. Pozostali w stodole przylegającej do gospody.

Farrel z namysłem potarł podbródek.

– I sądząc po tym, jak teraz świetnie się bawią, pewnie będą spali jak zabici. To może być nasza szansa. Poczekamy, aż zasną i schwytemy Tillera.

Berwick posłał mu szeroki uśmiech.

– Zdaje się, że zamierzałeś tam wpaść i walnąć go toporem.

Farrel mruknął.



– To jest plan B. Zrealizuję go, jeśli Tiller mnie zdenerwuje.

Przez kilka kolejnych godzin obserwowali gospodę ze swojej kryjówki. Ze środka wciąż dochodziły wrzaski i śpiewy, od czasu do czasu odgłosy bijatyki, ale Tiller ani razu się nie pokazał. Drzwi otworzyły się tylko raz – jeden z jego ludzi wypadł, zataczając się, i ulżył sobie pośrodku drogi.

– Urocze – skomentował Farrel, kiedy mężczyzna niezręcznie podciągnął spodnie i chwiejnym krokiem wrócił do środka.

– Ale bardzo korzystne z naszego punktu widzenia – zauważył Berwick. – Jeśli wszyscy są w podobnym stanie, będą w nocy spali jak susły.

– Miejmy nadzieję.

Kiedy minęło kolejne pół godziny, Farrel podniósł się do kucek, tak by nadal zakrywały go rosnące dokoła krzaki.

– Pójdę po resztę – rzucił. – Obserwuj, co tam się dzieje.

Berwick kiwnął głową. Farrel pomknął między drzewami, przeskakując od jednej dogodnej kryjówki do drugiej. Berwick odprowadził go wzrokiem. Pomyślał, że jak na tak potężnie zbudowanego mężczyznę Farrel porusza się ze zdumiewającą gracją i zręcznością. Ale zaraz wzruszył ramionami. W końcu to zwiadowca, takie zdolności są w tym przypadku czymś zupełnie zwyczajnym.

Owszem, Farrel umiał poruszać się cicho i zręcznie, ale bynajmniej nie zjawił się w obozie niezauważony. Właśnie przekroczył wielki zwalony pień, porośnięty roślinami i przeróżnymi pnączami, kiedy cichy głos zawołał:

– Witaj.

Obrócił się na pięcie, szukając źródła głosu. Kątem oka dostrzegł postać leżącą tuż obok pnia, ukrytą wśród gęstej roślinności. Uświadomił sobie, że zauważył zwiadowcę tylko dlatego, że uniósł on rękę na powitanie.

– Chciałem tylko dać znać, że cię widzę – powiedział Norris z uśmiechem

Farrel z podziwem pokręcił głową. Dzieliła ich odległość zaledwie pięciu metrów, a nie zauważyłby Norrisa, gdyby ten się nie odezwał.

– Teraz sobie przypomniałem. Zawsze nieźle się kamuflowałeś.

Norris podniósł się i podszedł do niego.

– Przyznaję, że sporo ćwiczyłem – powiedział. – Co słychać we wsi?

Farrel odparł, wskazując na obozowisko migające między drzewami jakieś dwadzieścia metrów dalej.

– Chodź ze mną, zdam raport przy wszystkich. Tiller tam jest, razem ze swoimi ludźmi chleje w gospodzie.

– Doskonale – stwierdził Norris.

Kiedy wkroczyli na polanę, zebrani zwrócili spojrzenia w ich stronę. Farrel opowiedział, co się dzieje we wsi, i zapoznał ich z planem nocnego ataku na gospodę.

Samdash zmarszczył brwi.

– Zamierzasz tak po prostu wpaść do środka? Przecież nie wiesz, jak wygląda gospoda – powiedział z powątpiewaniem.

Farrel odparł:

– Niekoniecznie. Wieczorem pójdziemy tam z Berwickiem spytać o nocleg. Tiller pewnie

każe nam się wynosić, ale przynajmniej obejrzymy sobie parter gospody. Później będziemy musieli improwizować. Przypuszczam, że Tiller zajął najlepszy pokój, który w takich zajazdach przeważnie ma okna od ulicy. Od tego zaczniemy. Jeśli Tillera tam nie będzie, sprawdzimy wszystkie pokoje po kolei, aż do skutku.

– Zapewne wystawiają na noc warty? – zauważył Lewin.

Farrel przytaknął.

– Niemal na pewno. Zajmiemy się nimi. Pewnie i tak będą mieli mocno w czubie. Jak już znajdziemy Tillera, ogłuszymy go i zniemiemy na dół, a tam już będziecie czekać wy.

– Zapewne, żeby zapobiec pościgowi? – spytał Lewin.

– Zgadza się – odparł Farrel. – Będziemy zachowywać się cicho, miejmy nadzieję, że nikt nie podniesie alarmu. Ale jeśli jednak się nie uda, sądzę, że kilku łuczników skutecznie ich zniechęci.

Powiódł wzrokiem po twarzach towarzyszy. Kilku pokiwało głowami. Chyba nikt nie miał innego pomysłu. Plan był prosty – ale nauczyli się, że prostota sprawdza się najlepiej.

– Zwińcie obóz – powiedział, wskazując na krąg namiotów. – Przeniesiemy się bliżej wsi, póki jest jasno. Będziecie mogli obserwować gospodę, kiedy wejdziemy z Berwickiem do środka.

Wszyscy zaczęli składać namioty i zwijać je ciasno, by potem umieścić za siodłem. Nie rozpalali ognia, więc niewiele więcej mieli do zrobienia. Ruszyli po konie, pasące się na pobliskiej większej polanie.

Farrel, zadowolony, kiwnął głową i powiedział do Norrisa:

– Przyrowadź ich, kiedy będą gotowi. – A potem znikł między drzewami.



Farrel i Berwick kroczyli środkiem ulicy, kierując się w stronę gospody. Nie zamierzali się ukrywać, ale oczywiście nie zabrali charakterystycznych cętkowanych peleryn ani łuków. Farrel zostawił również swój topór. Rękojeści noży, które również mogły zdradzić ich tożsamość, ukryli pod kaftanami. Obaj nieśli potężne drewniane pałki i mieli na sobie peleryny z gładkiej wełnianej tkaniny. Wartowników nigdzie nie było widać, ale to nie znaczyło, że nikt nie obserwuje ich z okien gospody.

Pozostali zwiadowcy podzielili się na dwie grupy i czekali w bocznych uliczkach, w odległości jakichś trzydziestu metrów od gospody, by w razie czego pospieszyć Farrelowi i Berwickowi na pomoc. Wszyscy mieli przy sobie łuki i kołczany pełne strzał.

Farrel podszedł do drzwi gospody, pchnął je i wkroczył do środka. Berwick szedł dosłownie krok za nim.

W niewielkim pomieszczeniu kłębił się tłum uzbrojonych mężczyzn. Wszyscy pili i głośno rozmawiali. Pod jedną ze ścian znajdował się typowy bar w postaci deski, umieszczonej na drewnianych beczkach. Z tyłu piętrzyły się kolejne beczki, ułożone w rzędach, bokiem. Co najmniej połowa już była odszypuntowana, w otworach tkwiły kraniki. Na podłodze dokoła, podobnie jak na barze i stołach, zbierały się kałuże wina i piwa. Karczmarz, mężczyzna o udręczonej minie i łysiejących skroniach, oraz dwie podobnie udręczone dziewczyny, uwijali się, napełniając kolejne kufle.

– A wy co za jedni? – doszedł ich schrypnięty głos od strony stolika stojącego koło

paleniska.



**P**odczas kiedy Crowley wspinał się na szczyt klifu, Halt zdołał odzyskać oddech i przygotować się do kolejnej fazy operacji. Spojrzał do góry. Crowley właśnie szedł wzdłuż stromej krawędzi. Po chwili znalazł się dokładnie naprzeciwko Halta.

Upewniwszy się, że Halt jest gotowy, umieścił w cięciwie kolejną strzałę wyposażoną w pierścienie, przeciągnął przez jeden z nich cieńszą linę, jej drugi koniec przywiązał do gałęzi i starannie ułożył linę w zwojach na ziemi.

Na zamkowym tarasie stało kilka krzeseł i ciężki drewniany stół. Crowley już kilka dni wcześniej upatrzył go sobie za cel. W sytuacji awaryjnej, gdyby stół zabrano, celowałby w ościeżnicę, wołał jednak uniknąć związanego z tym hałasu. Każdy solidny kawał drewna spełniał jego wymagania. Tym razem grot nie potrzebował aż tak mocnego oparcia jak poprzedni, który musiał utrzymać ciężar Halta.

Jeszcze raz upewnił się, że wszystko jest gotowe, potem naciągnął cięciwę, wymierzył i puścił.

Strzała pomknęła nad rzeką, ciągnąc za sobą linę niczym smugę dymu, i wbiła się w nogę od stołu. Tak jak poprzednim razem Crowley związał obie liny, cieńszą i grubszą, i zaczął ciągnąć, bacznie obserwując, jak grubsza powoli przesuwa się nad przepaścią.

Ostrożnie manewrując liną, zrobił kilka kroków w bok, aż półtorametrowa gałąź, którą przymocował pod kątem prostym kilka metrów za węzłem, łączącym cieńszą i grubszą linę, znalazła się ponad prześwitem między zębami blankowania, po czym powoli zwolnił napięcie, aż gałąź opadła w środek otworu. Wtedy lekko pociągnął i gałąź się zablokowała. Pociągnął jeszcze raz, by się upewnić, że siedzi jak należy. Z zadowoleniem kiwnął głową.

Spojrzał na drugi brzeg, u podnóża zamku, i zobaczył blady owal zwróconej w jego stronę twarzy Halta. Dał znak, że wszystko idzie zgodnie z planem. Potem obwiązał linę wokół drzewa, by odpowiednio ją napiąć i unieruchomić gałąź zaczepioną o blankowanie.

Jeszcze raz upewnił się, że Halt jest gotowy, a potem na końcu liny przywiązał spory kamień i podszedł na sam skraj klifu. Kilka razy zakręcił liną z kamieniem, by nadać mu

impetu, i rzucił go ponad kipiela.

Kamień spadł kilka metrów od miejsca, gdzie czekał Halt – ten podbiegł i złapał go, nim zdążył się ześliznąć do rzeki, naciągnął linę i dał znak Crowleyowi, który odwiązał linę od drzewka i puścił. Halt zaczął pospiesznie ją zbierać.

To był decydujący moment. Lina straciła napięcie i gałąź, tkwiąca między zębami blankowania, spadła na taras. Halt pociągnął jeszcze raz. Poczuł, że gałąź podjeżdża do góry i znów się blokuje. Pociągnął, sprawdzając, czy na pewno siedzi w miejscu jak należy. Poczuł opór, pociągnął więc jeszcze mocniej, odrywając stopy od ziemi, by sprawdzić, czy lina utrzyma ciężar jego ciała. Nie chciał, żeby się poluźniła, kiedy będzie w połowie drogi.

Ale trzymała należycie. Podszedł do muru, zawiązał pętlę wokół piersi, chwycił linę mocno obiema rękami i podciągnął się, opierając stopy o szorstki mur, tak że górna część jego ciała odchyliła się pod ostrym kątem.

Z pomocą liny bez trudu wspinał się na mur. Niedbale ociosane bloki kamienia dawały stopom dobre oparcie. Posuwał się w dość szybkim tempie, podciągając się przy każdym kroku. Gruba gałąź bez trudu wytrzymała ciężar jego ciała.

Crowley przyglądał się ze swego miejsca na klifie, jak jego przyjaciel niczym gigantyczny pająk, zręcznie pokonuje kamienną ścianę. Od czasu do czasu zerkał na drzwi prowadzące do komnat, w których przetrzymywano Duncana – na wszelki wypadek, gdyby ktoś pojawił się na tarasie, zaalarmowany niedawnym uderzeniem strzały wbijającej się w nogę od stołu czy skrzypieniem gałęzi o blankowanie. Ale na razie nic się nie działo.

Halt dotarł do miejsca, położonego trzy metry poniżej tarasu, gdzie mur lekko się wybrzuszał, tworząc punkt obserwacyjny, z którego obrońcy zamku mogli strzelać bądź obrzucać napastników kamieniami. Halt jeszcze mocniej odchylił się do tyłu, by pokonać występ. Ten odcinek okazał się trudniejszy i spowolnił tempo wspinaczki.

Crowley zagryzł wargi, niespokojnie wędrując spojrzeniem od Halta do drzwi.

– Dalej – mruknął pod nosem.

Ale Halt wciąż poruszał się bardzo powoli i ostrożnie. To nie był odpowiedni moment, żeby przyspieszać i niepotrzebnie narażać się na ryzyko. W końcu pokonał wybrzuszenie. Wykonał jeszcze kilka ostrożnych kroków, podciągnął się do prześwitu między zębami blankowania i lekko zeskoczył na taras. Opuścił linę, by zwisła wzdłuż muru.

Odwrócił się i dał znak Crowleyowi, że wszystko idzie jak należy. Otrzeptał dłonie i rozprostował obolałe ramiona. Odczekał chwilę, aż jego oddech się uspokoi, po czym, lekko stawiając kroki, ruszył w stronę drzwi, po drodze wyciągając z pochwy sakwę.

Ostrożnie nacisnął klamkę. Drzwi były zamknięte na klucz, co zbytnio go nie zdziwiło. Przyłożył ucho, przez chwilę nasłuchiwał. Ze środka dochodziły stłumione głosy.

Odwrócił się i jeszcze raz spojrzął na Crowleya, zrobił gest naśladujący pukanie do drzwi. Crowley kiwnął głową, wyciągnął strzałę z kołczanu i umieścił w cięciwie.

Halt uniósł nóż i poskrobał drzwi ręką. Głosy ucichły. Teraz poskrobał ręką klamkę, dla lepszego efektu. Rozległ się cichy metaliczny pisk. Tym razem głosy przybrały na sile, dało się rozpoznać słowa.

– Co to było? – zapytał jakiś mężczyzna.

– Co takiego? – spytał inny, dość obojętnie.

– Słyszałem jakiś hałas za drzwiami.

– To pewnie ptak.

Halt czekał, ale nic więcej nie powiedzieli. Znów potarł rękojeścią o klamkę, tym razem mocniej, by metaliczny dźwięk zabrzmiał głośniej.

– Znowu. To nie ptak! – powiedział pierwszy głos.

– To idź i sprawdź – odezwał się głos numer trzy, wyraźnie zabarwiony irytacją.

Halt zmarszczył brwi. A więc trzech. Odwrócił się i pokazał Crowleyowi trzy palce. Słyszając chrzęst klucza w zamku, odsunął się na bok i przylgnął płasko do ściany. Zamek szczęknął i drzwi zaczęły się otwierać. W otworze pokazała się głowa w hełmie i na swoje nieszczęście obróciła się w przeciwną stronę do Halta.

Ten chwycił strażnika za kark, wyciągnął na taras, obrócił się na jednej nodze i walnął jego twarzą w kamienny mur. Żołnierz wydał stłumiony jęk. Krótki miecz wypadł z jego dłoni i brzęknął o podłogę. Kilka sekund później strażnik podzielił jego los – Halt pociągnął go do tyłu, a potem puścił. Strażnik rąbnął na ziemię z takim impetem, że hełm spadł mu z głowy. Leżał bezwładnie, stękając z bólu.

Halt prędko pochylił się, by chwycić miecz. Poczłuch ruch za swoimi plecami i rzucił się w bok. Drugi strażnik machnął mieczem, długie ostrze minęło głowę Halta dosłownie o centymetr. Halt opadł na podłogę, odbił się i przetoczył na bok, nim strażnik zdążył zareagować. Jednym płynnym ruchem podniósł się na równe nogi, z mieczem w lewej dłoni i nożem w prawej, i stanął naprzeciw strażnika.

Mężczyzna zamachnął się i wykonał niezgrabny cios zza głowy. Halt zablokował go za pomocą dwóch ostrzy, po czym uniósł prawą stopę i kopnął strażnika w brzuch, aż ten poleciał do tyłu i trzasnął plecami w otwarte drzwi.

Strażnik zaklął i ruszył do kolejnego ataku, znów zamierzył się mieczem, ale w tym samym momencie Halt usłyszał przejmujący świst tuż koło ucha, a sekundę później zobaczył, jak strzała przebija pierś strażnika. Mężczyzna spojrział na nią ze zdumieniem. Wykonał kilka chwiejnych kroków w tył, ramię z mieczem zwisło bezwładnie. Uderzył o ścianę obok drzwi i padł jak długi. Broń wysunęła się z bezsilnych palców, głowa opadła na pierś.

Halt przeskoczył nieruchome ciało i wbiegł do środka, rzucając miecz i podnosząc nóż do ataku.

Trzeci strażnik leżał na wąskiej prycy pod przeciwległą ścianą. Na widok Halta próbował wyplątać się spomiędzy pledów, wstał, ale potknął się i padł na kolana. Desperacko sięgnął po miecz oparty w pochwie o posłanie. Halt zakręcił saksą i walnął mężczyznę w głowę ciężką mosięzną głowicą. Oczy strażnika zaszyły mgłą. Osunął się nieprzytomny na podłogę.

Halt prędko omiótł komnatę wzrokiem. Nikogo więcej nie było. Kolejne drzwi prowadziły do pomieszczenia obok, w zamku tkwił klucz.

– Księżciu Duncanie! Jesteś tu?! – zawołał.

– Tutaj! – odezwał się głos za drzwiami.

Halt prędko obrócił klucz w zamku, otworzył drzwi i stanął twarzą w twarz z wysokim mężczyzną, niewiele starszym od niego. Jasne włosy i broda były długie i zmierzwione. Miał na sobie czerwony kasak, pomięty i brudny, ozdobiony emblematem przedstawiającym jastrzębia. Popatrzył na Halta, który stał przed nim bosy, ociekający wodą, w samej koszuli i spodniach, z lśniącym nożem saksońskim w dłoni.

– A tyś co za jeden? – spytał książę, nieco zdezorientowany.

– Mam na imię Halt. Zamierzam cię stąd wydostać.

Halt podszedł do nieprzytomnych strażników, odpiął im pasy i związał ich, łącząc nadgarstki z kostkami u nóg. Zaciągnął pasy najmocniej, jak potrafił, i krytycznie przyjrzał się swemu dziełu.

– To powinno ich zatrzymać – mruknął. – Chodźmy – zwrócił się do księcia.

Duncan zawahał się.

– To nie są drzwi wyjściowe – odparł, ale Halt chwycił go za rękę i pociągnął za sobą.

– Szybko. Ruszaj się – rozkazał, biegnąc do wyjścia prowadzącego na taras. Duncan spojrzął na strażnika, leżącego obok pryczy, uniósł brwi na widok kolejnego, ze strzałą sterczącą z piersi. I uniósł je jeszcze wyżej, kiedy wybiegli na taras i zobaczył tego pierwszego, który wciąż leżał na ziemi, cicho pojękując.

– Ty ich załatwiłeś?

Halt potrząsnął głową.

– Tylko dwóch. Tym zajął się tamten człowiek. – Wskazał na klif po drugiej stronie rzeki, gdzie stał Crowley, machając do nich z zapalem. Duncan rozpoznał cętkowaną pelerynę i długi łuk.

– To zwiadowca – powiedział ze zdumieniem.

– Tak twierdzi – odparł Halt, nie zatrzymując się i dalej ciągnąc księcia w stronę blanków. Ale Duncan wciąż wpatrywał się w postać na drugim brzegu.

– Sądziłem, że już ich nie ma.

Halt sięgnął za mur i przyciągnął pętlę.

– Jeszcze kilku nas zostało. A teraz chwyć za linę i zacznij się opuszczać wzdłuż muru.

Duncan zrobił krok w tył.

– To spora odległość.

Halt uniósł brew.

– Zamki zwykle są wysokie. Tak już je budują. A teraz ruszaj.

Na widok otwierającej się przed nim przepaści Duncan pobladł.

– Mam lęk wysokości. Chyba nie dam rady.

Halt westchnął.

– Co z wami jest nie tak? Wszyscy w tym kraju boją się chodzić po murach? – Zaczął ciągnąć linę i jednocześnie zwijać ją na ramieniu.

– Nie w tym rzecz – odparł Duncan. – Martwi mnie raczej raptowne zakończenie.

– Trudno, innej drogi nie ma. – Halt zdążył zwinąć całą linę i teraz zawiązał pętlę na końcu. – Włóż tu stopę, trzymaj się mocno, a ja opuszczę cię na dół. – Nagle dodał: – Potrafisz pływać?

– Nie – odparł Duncan, a potem włożył stopę w pętlę i podszedł do prześwitu między zębami blankowania.

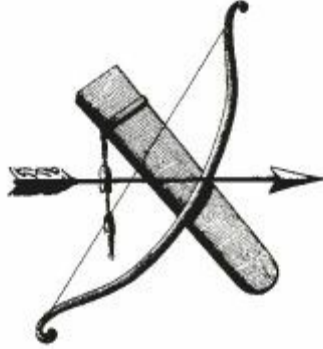
– W takim razie mam nadzieję, że potrafisz wstrzymywać oddech – powiedział Halt. Przynalął stół do muru, obwiązał koniec wokół jednej z nóg, a potem wokół własnego ramienia, chwycił za linę i odchylił się odrobinę do tyłu. – Ruszaj.

Duncan zaczął ostrożnie opuszczać się tyłem, kurczowo ściskając linę i odpychając się wolną nogą. Halt stopniowo wypuszczał linę. Jęknął, poczuwszy ciężar księcia, na szczęście

pomagała pętla zawiązana wokół stołowej nogi. Lina rozwijała się gładko i powoli.

Po kilku minutach poczuł, że straciła napięcie. Podeszedł do muru i spojrzał w dół. Duncan stał na brzegu. Pomachał do Halta. Widać było, że bardzo mu ulżyło, kiedy znów znalazł się na ziemi.

– Ciesz się, ciesz – mruknął Halt, po czym na powrót umocował gałąź między zębami blankowania i opuścił się w dół. – Zobaczymy, co powiesz, jak zanurzysz tyłek w lodowatej wodzie.







Farrel rozejrzał się dokoła, szukając wzrokiem człowieka, który przed chwilą się odezwał. Mężczyzna patrzył na niego z groźną miną. Miał na sobie czerwony kasak, poplamiony i zatłuszczony. Na piersi widniał okrągły emblemat, przedstawiający czerwonego jastrzębia na białym tle. Farrel widział księcia Duncana kilka razy i musiał przyznać, że mężczyzna jest do niego w pewnym stopniu podobny. Jak niedokładna kopia, o zamazanych i nieostrych liniach.

Tiller, który w jednym ręku trzymał dzban z piwem, a w drugim kawał pieczeni baraniej, oderwał zębami kęs mięsiwa, odłożył resztę na stół i wytarł rękę o materiał na piersi. To tłumaczyło, skąd się wzięły te wszystkie plamy. Przeżuwając twarde mięso, wpatrywał się w nowo przybyłych spod ściągniętych brwi. Nie doczekawszy się odpowiedzi, w końcu stracił cierpliwość.

– No? – zapytał. – Pytam, co z was za jedni.

Farrel skłonił głowę gestem pełnym poważania i przytknął knykię do czoła. Berwick powtórzył jego gest.

– Jesteśmy uczciwymi leśnikami, panie, szukamy roboty u miejscowego władcy. Nazywam się Farrel Molloy, a to jest Berwick z Gladstone.

Rozglądał się niespokojnie, udając zdenerwowanie, a tak naprawdę wykorzystując okazję, by przyjrzeć się pomieszczeniu i przebywającym w nim ludziom. Prócz fałszywego Duncana było tam co najmniej tuzin mężczyzn, wszyscy uzbrojeni w miecze i buzdygany, każdy nosił ciężki sztylet u pasa. Większość piła, niektórzy półleżeli z głową na stole, jeden – w kałuży rozlanego trunku. W powietrzu wisiał odór zwiędłego piwa, taniego wina i zbyt wielu niemytych ciał. Patrzyli na Farrela i Berwicka z nieskrywaną wrogością. Farrel pomyślał, że widać nie lubią obcych.

Tiller prychnął wzgardliwie.

– Chciałbym spotkać uczciwego leśnika. Tak czy inaczej, pracy dla was nie ma. Wynocha.

Farrel pochylił głowę w służalczym geście.

– Wybacz, panie, ale przybywamy z daleka i ponieśliśmy wiele trudów, by tu dotrzeć...  
– Nie mój problem – przerwał mu Tiller. Farrel jednak nie dawał za wygraną. Nie podnosząc głowy, mówił dalej:

– Mieliśmy nadzieję zatrzymać się na nocleg w tej gospodzie.

Tiller władczo machnął ręką.

– Nie ma miejsc. Ja i moi ludzie zajęliśmy wszystkie pokoje.

Farrel zerknął na karczmarza, który przyglądał się tej scenie z zaniepokojonym wyrazem twarzy, a teraz ostrzegawczo potrząsnął głową.

Był to drobny ruch, ale nie uszedł uwadze Tillera.

– Nie patrz na niego! Mówię, że nie ma miejsc.

– Tak jest, panie – odparł Farrel, nerwowo zacierając ręce. – Ale może moglibyśmy zanocować w stajni...

Tiller znów nie pozwolił mu dokończyć.

– Tam też śpią moi ludzie. Nie życzą sobie towarzystwa obcych, którzy tylko czyhają, żeby ukraść im sakiewki!

– Ależ panie, my nie jesteśmy złodziejami...

– Jesteście leśnikami – odparł Tiller ze wzgardą. – Wychodzi mniej więcej na to samo.

Farrel niepewnie rozejrzał się po zatłoczonym wnętrzu i podjął jeszcze jedną próbę:

– A może moglibyśmy zostać tutaj, przy ogniu, panie? W tych okolicach noce są bardzo zimne.

– Nie słyszałeś, co powiedziałem? – Tiller gniewnie uniósł głos, w którym pobrzmiwała nuta rozdrażnienia. Lubił rozkazywać wszystkim wokół, ale brakowało mu prawdziwego autorytetu. Jeśli budził respekt, to tylko wynikający ze strachu – oraz faktu, że towarzyszyło mu kilkunastu zbrojnych ludzi. – Nie ma miejsc. Wynocha. Jesteście z lasu, możecie spać w lesie.

Kilku mężczyzn przywitało tę uwagę radosnym rechotem, ale wódz ich zignorował. Nie odrywał od Farrela płonących gniewem oczu.

– Ale, panie – zajęczał Farrel.

– Powiedziałem, wynocha. Wiecie, kim jestem? – Fałszywy książę zerwał się z miejsca, przewracając przy tym ławę, na której siedział, i wymierzył kciukiem w emblemat na swojej piersi.

– Ja... to... nie, panie – przyznał Farrel.

– Jestem książę Duncan z Araluenu, syn króla Oswalda, następca tronu. I nie zamierzam tracić czasu na czcze dyskusje z jakimiś złodziejaskami. A teraz wynocha! – Zwrócił się do grupki siedzących opodal czterech mężczyzn. – Wywalcie ich stąd! – rozkazał.

Żołnierze zaczęli podnosić się niezdarnie, a Farrel i Berwick, nie tracąc czasu, odwrócili się na pięcie i w bardzo szybkim tempie opuścili gospodę. Zza drzwi dobiegł chóralny wybuch śmiechu.

Zwiadowcy, wciąż udając paniczny strach, pobiegli dalej główną ulicą. Kiedy wreszcie uznali, że znaleźli się w bezpiecznej odległości, Berwick obejrzał się i stwierdził, że nikt ich nie ściga.

– Czysto – powiedział cicho i obaj zwolnili.

Farrel spojrział w głąb odchodzącej w bok uliczki. Mignęło kilka postępujących za nimi zakapturzonych postaci.

– Czarujący, nieprawdaż?

Berwick wzruszył ramionami.

– Raczej nie można powiedzieć, że odznacza się dworskimi manierami. Szkoda, że nie posłał za nami kilku swoich żołdaków. Chętnie bym popatrzył, jak nasi robią z nich tarcze strzelnicze.

– Na pewno moglibyśmy przetrzebić ich szeregi, ale tym samym postawilibyśmy ich w stan gotowości i utrudnili sobie późniejsze zadanie – rzekł Farrel.

– To prawda – zgodził się Berwick. – Mam jednak nadzieję, że nasz przyjaciel Tiller, następca tronu, będzie próbował stawiać opór. Chętnie posiekam go na drobne kawałeczki.



Minęła północ. Księżyc odbył powolną wędrówkę po niebie i znikł poniżej zachodniego horyzontu.

Farrel, skulony za pniem drzewa w niewielkim zagajniku, mocniej opatulił się peleryną. Noc była chłodna, tak jak przewidział w rozmowie z Tillerem.

– Już czas – powiedział cicho. W ciemnościach nastąpił niemal niedostrzegalny ruch. Zwiadowcy podnieśli się i ruszyli w kierunku drogi, wiodącej do Ruczaju Hallera.

Dziewięć ciemnych postaci okutanych w peleryny wynurzyło się spomiędzy drzew i zaczęło schodzić w dół wzniesienia, trzymając się skraju drogi po obu stronach, brodząc wśród sięgającej do pasa trawy. Dla postronnego obserwatora wyglądałoby jak niewielka ciemna ruchliwa plama – niewyraźna i ledwo uchwytna. Nikt ich jednak nie obserwował. Tiller i jego ludzie na pewno schlali się do nieprzytomności i leżeli w łóżkach. Dwaj strażnicy, których Tiller wyznaczył do trzymania warty, siedzieli na ławce przed gospodą, oparci o ścianę. Oczy mieli zamknięte, a ich piersi unosiły spokojne oddechy.

Dotarłszy do pierwszych zabudowań, zwiadowcy rozdzielili się. Berwick i Farrel ruszyli główną ulicą, chowając się w cieniu pod okapami dachów. Pozostali natychmiast znikli w bocznych alejkach, wiodących między domami, po czym ruszyli dalej uliczkami równoległymi do głównej ulicy. Kiedy już znaleźli się niedaleko gospody, ponownie dołączyli do Farrela i Berwicka.

Wcześniej dokładnie omówili plan działania, więc mogli zachować całkowite milczenie. Farrel wykonał kilka stanowczym gestów i siedmiu zwiadowców ustawiło się obok siebie, dzierżąc w dłoniach łuki gotowe do strzału. Poły peleryny odrzucili do tyłu, by mieć łatwy dostęp do kołczanu. Przykucnęli, w każdej chwili gotowi na dalsze rozkazy. Każdy z nich w całkowitej ciszy wyjął strzałę i umieścił w cięciwie. Farrel powiódł wzrokiem po ciemnych postaciach. Pomyślał, że na miejscu ludzi Tillera raczej nie miałby ochoty wychodzić teraz z gospody i szukać kłopotów. Bo w towarzystwie siedmiu łuczników tej klasy bez wątplenia by je znaleźli.

Farrel przebiegł na drugą stronę pustej ulicy. Nie próbował się ukrywać, nie miało to sensu. Gdyby ktoś obserwował to miejsce, i tak by go zauważył. W tej sytuacji lepiej po prostu biec, ile sił w nogach. Berwick poszedł w jego ślady i po chwili obaj znikli w podcieniach domu, sąsiadującego z gospodą. Przystanęli, nasłuchując, maksymalnie wyęzając wszystkie zmysły.

Usłyszeli monotonne buczenie. Wymienili zdumione spojrzenia i po cichu zakradli się na

sam róg budynku i wyrzeli za węgiel, tak by widzieć wejście do gospody.

Buczenie wciąż nie ustawało, na jego tle rozległo się nagle sapnięcie, a potem kaszel. Farrel już wiedział, co oznacza ten dziwny monotony dźwięk. Spojrzał na Berwicka, zbliżył wargi do jego ucha i szepnął:

– Chrapią.

Berwick skinął głową. Również na to wpadł. Obaj jednocześnie sięgnęli pod peleryny i wyjęli krótkie ciężkie pałki drewniane, na końcach obwiązane tkaniną. Nie zamierzali rozwalać wartownikom czaszek – chcieli tylko pozbawić ich przytomności.

Cicho, jak duchy, okrążyli narożnik i pokonali wąską alejkę. Wartownicy leżeli rozwaleni na ławce przed wejściem, oparci o siebie, nadal głośno chrapiąc. Broń wałała się na ziemi.

Berwick zmarszczył nos.

– Wolałbym nie wachać ich z bliska – mruknął. Farrel ostrzegawczo przyłożył palec do ust. Przez chwilę stali nad nieprzytomnymi, ściskając kije w dłoniach.

Wahali się – walenie po głowie śpiących ludzi wydawało im się jakoś mało rycerskie. Berwick spojrzał na Farrela, niepewnie wzruszył ramionami.

Farrel zmarszczył brwi, po czym schylił się, położył rękę na ramieniu jednego z mężczyzn i potrząsnął nim.

– Ej! – powiedział cicho. – Pobudka!

Powieki wartownika poruszyły się i rozwarły. Zaraz potem rozwarły się również usta – ze zdumienia, kiedy zobaczył dwie tajemnicze ciemne postacie tuż nad swoją głową. Nie miał pojęcia, gdzie się znajduje ani co ma robić.

– O sso chozi... – zaczął.

Farrel, uznawszy, że teraz gra jest uczciwa, przywalił mu pałką w głowę. Rozległo się stłumione uderzenie. Mężczyzna wydał z siebie lekki okrzyk i osunął się na ławkę, przy okazji potrącając swego towarzysza, który też otworzył oczy i zaczął się rozglądać dokoła jak sowa.

Farrel wykonał zachęcający gest w stronę Berwicka.

– Częstuj się – powiedział.

– Kim jesteście? – zdążył zapytać wartownik, ale nie doczekał się odpowiedzi, bo w tym samym momencie znów rozległo się głucho uderzenie. Berwick ściągnął bezwładne ciało wartownika na ziemię i spojrzał na Farrela.

– Wiążemy ich?

– Będą nieprzytomni przez kilka godzin. Idziemy.

Nacisnął klamkę i nawet się nie zdziwił, że drzwi nie zamknięto na klucz. W końcu po co, skoro wejścia pilnowali strażnicy? Pchnięte drzwi cicho zaskrzypiały w zawiasach. Zwiadowcy wkroczyli do ciemnego wnętrza.

Berwick szedł przodem. Podczas kiedy Farrel gawędził sobie z Tillerem, on wykorzystał okazję, by obejrzeć wnętrze gospody i zapisać sobie wszystko dokładnie w pamięci. Teraz wskazał na prawo – na róg pomieszczenia za paleniskiem, na którym wciąż żarzył się ogień, oświetlając wnętrze stłumionym blaskiem.

– Tędy – wskazał ruchem głowy, po czym skierował się w kierunku schodów. Osiem stopni prowadziło na podest, z którego odchodziło na lewo kolejnych osiem stopni. Posuwali się ostrożnie, stawiając stopy na samym brzeżku każdego z nich, by deski nie trzeszczały.

Pokonawszy w ten sam sposób drugie schody, znaleźli się w nisko sklepionym korytarzu.

Berwick rozejrzał się dokoła, czekając, aż oczy przywykną do ciemności. Po prawej stronie znajdowało się niewielkie brudne okienko, przez które wpadał do środka nikły odblask z zewnątrz. Po obu stronach korytarza znajdowało się dwoje drzwi, a na końcu trzecie – ten pokój chyba zajmował całą szerokość piętra. Domyślali się, że jest to główna sala sypialna i że tam znajdą Tillera.

Korytarz wypełniał donośny dźwięk chóralnego chrapania. Od czasu do czasu któryś z żołnierzy kaszłał. W pewnym momencie ktoś puścił długiego donośnego bąka.

– Jacy mili i kulturalni ludzie – mruknął Berwick.

Przemknęli wzdłuż korytarza, zatrzymali się przed drzwiami i znów nasłuchiwali. Ze środka dochodziło pojedyncze chrapanie. Spojrzeli na siebie, kiwnęli głowami, po czym Berwick pchnął drzwi, wpuszczając Farrela do środka.

Przez niezastłonięte okno, mimo że noc była bezksiężycowa, wpadało dosyć światła, by Farrel od razu dostrzegł długą postać Tillera, rozwaloną na łóżku z rozłożonymi ramionami. Miał na sobie koszulę nocną, kasak i spodnie leżały niedbale rzucone u stóp łóżka, buty walały się na podłodze.

Chociaż zwiadowcy poruszali się bezgłośnie, coś jednak musiało dotrzeć do zamroczonego alkoholem umysłu, bo nagle Tiller otworzył oczy i usiadł na posłaniu.

– Kim jesteście? – wybełkotał, patrząc na stojące tuż nad nim dwie ciemne figury.

– Książę Duncan pozdrawia – powiedział cicho Farrel, po czym walnął uzurpatora w szczękę krótkim mocnym ciosem prawej ręki.

Tiller wywrócił oczami i padł z powrotem na łóżko, nieprzytomny.

Farrel rozwarł prawą dłoń, w której trzymał mosiężny ciężarek i wrzucił go z powrotem do wewnętrznej kieszeni. Potrząsnął obolałą ręką. Metalowe narzędzie niewiele pomogło, cios i tak okazał się bolesny – chociaż nie aż tak jak dla Tillera.

Berwick przyglądał mu się ze zdumieniem.

– Czemu nie użyłeś pałki?

Farrel posłał mu drapieżny uśmiech.

– Bo tak miałem więcej zabawy.



**F**arrel pochylił się, złapał dłoń nieprzytomnego Tillera, podciągnął go i posadził na łóżku.

– Pomóż mi go podnieść – powiedział cicho.

Berwick chwycił Tillera za ramiona, Farrel za nogi, zatrzymał się na chwilę, podparł nieprzytomne ciało własnymi nogami i ściągnął je z łóżka.

Tiller okazał się cięższy, niż Farrel przypuszczał. Zachwiał się, ale zaraz odzyskał równowagę.

– Weź jego spodnie i buty. – Kiedy Berwick spełnił polecenie, Tiller ruchem głowy wskazał drzwi. Berwick otworzył je i cofnął się, robiąc mu przejście.

Farrel ze stłumionym stęknieniem powolnym krokiem wyszedł na korytarz. Podłoga zakrzypiała pod dodatkowym ciężarem. Przystanął, ale uświadomił sobie, że przecież grzmiący odgłos chrapania dochodzący z dwóch pozostałych pomieszczeń i tak zagłuszy wszystkie inne dźwięki.

Podrzucił ciało Tillera, by ustawić je w wygodniejszej pozycji i ruszył dalej w kierunku schodów. Berwick szedł za nim, trzymając w gotowości nóż saksoński, którego ostrze połyskiwało w półmroku. Minęli drzwi do pokoi. Berwick wykonał półobrót i posuwał się bokiem, by w razie czego błyskawicznie zareagować na zagrożenie.

U szczytu schodów Farrel przystanął, by odzyskać równowagę i uspokoić oddech. Postawił ostrożny krok na pierwszym stopniu, jeszcze raz poprawił ciężar na ramieniu, przesunął drugą stopę i postawił obok pierwszej. Z takim obciążeniem nie mógł szybko pokonać stopni, musiał stawiać stopy pojedynczo, zachowując ostrożność.

Kolejny schodek. Jedna stopa, potem druga. Zachwiał się, oparł o ścianę, by nie stracić równowagi, postawił stopę na trzecim stopniu.

Ten okazał się obluzowany i lekko się zachwiał.

Idąc na górę, Farrel nie zauważył luźnej deski, ponieważ starali się stawiać kroki na samym brzegu. Teraz nie mógł tak robić, musiał umieszczać stopy pośrodku. Pospiesznie

postawił na stopniu drugą stopę, by nie stracić równowagi, ale to tylko pogorszyło sytuację. Stopień jeszcze mocniej przechylił się pod dodatkowym ciężarem i Farrel poczuł, że traci równowagę. Berwick, stojący za nim i obserwujący korytarz, niczego nie zauważył. Farrel wyrzucił w bok lewe ramię, by przytrzymać się ściany, ale przechylił się zbyt mocno i nie zdołał odzyskać równowagi.

Wszystko działo się jakby w zwolnionym tempie. Rozważał dwie opcje: spaść ze schodów razem z Tillerem czy pozbyć się ciężaru i pozwolić, by spadł sam.

Ostatecznie zdecydował się na drugą wersję. Puścił go i jednocześnie mocno odchylił się do tyłu, lekko uginając kolana.

Tiller zsuwał się po schodach, objając się o stopnie. W pewnym momencie zatrzymał się na swoim lewym ramieniu i zaczął się toczyć. A potem zrobił fikołka, stopy znalazły się nad jego głową, opadły i pociągnęły za sobą całe ciało. Tiller zjechał w dół, schodek po schodku.

– Co ty wyprawiasz? – syknął Berwick. Nie zauważył, że Farrel stracił równowagę, odniósł wrażenie, że dla własnej wygody zrzucił jeńca ze schodów.

– Zamknij się! – odparł Farrel, po czym zerwał się i popędził w dół, pokonując po dwa stopnie na raz, by dogonić Tillera.

Dziwna sprawa, lecz seria brutalnych uderzeń, które raczej powinny sprawić, że Tiller na pewno nie odzyska przytomności, zadziałała dokładnie odwrotnie. Leżał teraz w połowie schodów, w miejscu, gdzie zakręcały w prawo, z głową przy ścianie, dziwnie wykręcony, wrzeszcząc z bólu i przerażenia.

Na górze zapanowało ożywienie – hałas obudził żołnierzy Tillera. Rozległ się tupot bosych stóp na podłodze, wszyscy krzyczeli na raz. Dwóch, nadal trochę nietrzeźwych, zderzyło się z hukiem w połowie drogi i zleciało po schodach w płątanie rąk i nóg. Tymczasem Farrel zdążył dobiec do Tillera, chwycił go za kark, postawił i pociągnął za sobą. Berwick dogonił ich przy barze, chwycił ramię Tillera z drugiej strony. Wspólnymi siłami pół-nieśli, pół-ciągnęli za sobą nieprzytomnego Tillera w stronę wyjścia.

Na górze trzaskały drzwi, kroki dudniły na schodach. Ktoś próbował zadać w róg, by ostrzec żołnierzy, śpiących w stodole. Widocznie jednak zaschło mu w ustach, bo mimo kilku podejść zdołał wydobyć tylko zduszony kwik. Ale po chwili odzyskał panowanie nad instrumentem i gospodę wypełnił ogłuszający dźwięk.

– A niech to – powiedział Berwick. Pchnął drzwi ramieniem i wyciągnął Tillera na zewnątrz. Ten, coraz bardziej świadom tego, co się dzieje, próbował stawiać opór. Berwick rzucił mu groźne spojrzenie. – Moja kolej – powiedział i przywalił mu mocnym lewym sierpowym. Pod Tillerem jeszcze raz ugięły się nogi, głowa opadła na bok. Znow zrobił się ciężki i bezwładny, ale teraz łatwiej było go nieść. Farrel potknął się o jednego z nieprzytomnych strażników i zachwiał się, Berwick zatoczył się pod dodatkowym obciążeniem, ale zaraz odzyskał równowagę.

– Uważaj na swoje niezgrabne kulasy! – wysyczał.

– Nie zrobiłem tego specjalnie! – odparł Farrel, po czym zawołał: – Zwiadowcy! Alarm!

Mógł sobie darować. Rumor, dochodzący z wnętrza gospody, zbudziłby nieboszczyka. Siedmiu zwiadowców już stało w szeregu, łuki trzymali uniesione, strzały tkwiły na cięciwach.

– Odsuńcie się! – krzyknął Jurgen. Berwick i Farrel uświadomili sobie, że stoją na linii

strzału. Pospiesznie skręcili w bok, by nie przeszkadzać towarzyszom.

I zrobili to w odpowiednim momencie, bo nagle drzwi gospody otworzyły się z hukiem i wypadło z nich czterech żołnierzy Tillera. Sekundę później ze stodoły wybiegło kolejnych sześciu.

Ustawili się w nierównym szeregu. Jeden z nich wskazał mieczem na trzy postaci, oddalające się główną ulicą. Nie zauważywszy pozostałych zwiadowców, krzyknął do swoich towarzyszy:

– Tam są! Brać ich!

– Stać! – To był znowu Jurgen. Dopiero teraz żołnierze dostrzegli grupę ciemnych postaci w pelerynach, stojących po ich prawej stronie. Zawahali się, ale po krótkiej chwili rzucili się na nich z wściekłym wrzaskiem.

Nagle wszyscy padli na ziemię, przebici strzałami sterczącymi z ich ramion, łydek i ud. Zwiadowcy nie zamierzali ich zabijać, celowali tak, by jedynie powstrzymać atak. Siła uderzenia z tak niewielkiej odległości okazała się wystarczająco skuteczna. Żołnierze, znajdujący się z tyłu, przystanęli na widok towarzyszy, leżących na ziemi i krzyczących z bólu. Kolejni wybiegli ze stodoły, szybko ocenili sytuację i natychmiast się cofnęli. Z tej strony zwiadowcy nie musieli obawiać się zagrożenia.

Ranni leżeli na ziemi, jęcząc z ból. Ich trzech towarzysze, którzy przyglądali im się z przerażeniem, zaczęli wycofywać się w stronę wejścia do gospody. Nagle jeden z nich, pewnie bardziej pijany od pozostałych i wiedziony żądzą krwi, stracił nad sobą kontrolę, dobył miecza, zamierzył się i rzucił w kierunku Farrela i Berwicka.

Norris skierował w niego łuk z naciągniętą strzałą, zwolnił cięciwę.

Nie miał czasu do stracenia, nie mógł mierzyć tak, by zadać tylko niegroźną ranę. Strzała trafiła żołnierza w żebra, siła uderzenia pchnęła go w bok, aż walnął o ścianę domu sąsiadującego z gospodą i osunął się na ziemię, milczący i nieruchomy. Miecz wysunął się spomiędzy jego palców i brzęknął obok niego o twardą glebę.

Jurgen wystąpił naprzód i spojrział na rannych żołnierzy.

– Nie próbujcie iść za nami – powiedział lodowatym głosem. – Następnym razem będziemy strzelać tak, żeby zabić.

Żołnierze unieśli wykrzywione bólem twarze. Jurgen był przekonany, że żaden z nich nie będzie miał ochoty na ponowne spotkanie z siedmioma łucznikami. Swoje słowa kierował do mężczyzn w gospodzie i w stajni.

– Jesteśmy królewskimi zwiadowcami! – zawołał donośnie. Wypowiadając te słowa, poczuł przypływ dumy. – Tiller jest aresztowany, zawisnie za swoje zbrodnie. Jeśli ktoś z was ma ochotę do niego dołączyć, zapraszamy. Ale jeśli ktoś będzie próbował nas śledzić, już jest martwy. Wracajcie do nory, z której żeście wypęzli, i więcej nie wychylajcie stamtąd nosa. Może dzięki temu uda wam się wyjść cało z tej historii. Ale jeśli dalej będziecie się awanturować, wrócimy i was znajdziemy.

Dał znak pozostałym zwiadowcom. Ruszyli truchtem za Farrelem i Berwickiem, po chwili dogonili ich i uwolnili od ciężaru.

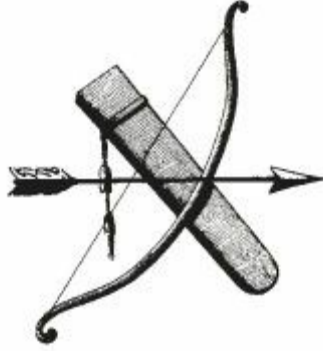
Po przebyciu trzydziestu metrów Norris, Jurgen i Samdash przystanęli i popatrzyli w stronę gospody, gotowi powstrzymać pościg.

Po kilku minutach drzwi gospody się otworzyły. Zwiadowcy ostrzegawczo unieśli łuki do



strzału. Ze środka wyszło kilku mężczyzn z uniesionymi wysoko rękami na znak, że nie są uzbrojeni. Pozbierali rannych towarzyszy i wrócili do środka. Kiedy drzwi się za nimi zamknęły, Jurgen powiedział:

– To koniec. Wyośmy się stąd.





**T**eren pod murami Zamku Gorlan, na którym miał się odbyć turniej, zmienił się w gwarną, barwną i ruchliwą mozaikę licznie zgromadzonych uczestników i obserwatorów. W powietrzu powiewały flagi i proporce. Trawa, starannie przycięta przez wieśniaków, cieszyła oczy obfitą zielenią.

Długie prostokątne pole podzielono półtorametrowym drewnianym płotem, zwanym szrankami. Na obu końcach umieszczono kolorowe namioty, w których przebywali biorący udział w walkach rycerze i szlachcice. Na kołkach przed namiotami tkwiły zatknięte tarcze, jaskrawe barwy doskonale komponowały się ze pstrokatą scenerią i podniosłą radosną atmosferą.

Każdy z baronów miał swoją kwaterę na osobnym ogrodzonym kawałku pola. Pośrodku stał główny namiot w stosownych barwach, wokół zaś mniejsze namioty, w których mieszkała świta: rycerze, adepci szkoły rycerskiej, zbrojmistrze, koniuszowie, kucharze, służący i inni pracownicy. W przypadku większego lenna, takiego jak na przykład Redmont, liczba namiotów mogła dojść nawet do tuzina. Cały teren przypominał płócienną wioskę.

Namiot Morgaratha znajdował się dość daleko od namiotu Aralda, na drugim końcu pola. Obozowisko składało się w sumie tylko z trzech namiotów – większość ludzi barona została na zamku. Czarna tarcza, ozdobiona symbolem złotej błyskawicy, wznosiła się na wysokim słupie przed głównym namiotem, również utrzymanym w barwach czerni i złota.

Wystawione na widok tarcze nie służyły jedynie ozdobie. Młodzi rycerze i szlachcice, pragnący zdobyć sławę, mogli wyzwąć na pojedynki starszych, bardziej doświadczonych rycerzy, uderzając kopią o tarczę. Właściciel mógł przyjąć wyzwanie lub je zignorować.

Nie wszyscy baronowie przybyli na turniej. Dla wielu odległość była zbyt wielka – podobnie jak koszt przedsięwzięcia. Ten, kto przegrał, tracił konia i zbroję. Niejeden drobniejszy władca nie mógł sobie pozwolić na taki wydatek, szczególnie jeśli nie przodował w sztuce władania bronią. Niektórzy woleli zostać w domu ze względu na zaawansowany wiek. I tak na turniej stawiło się w sumie tylko dwie trzecie przedstawicieli wszystkich lenn.

Szranki ustawiono na osi północ-południe. Po stronie zachodniej, gdzie późne popołudniowe słońce nie raziło publiczności w oczy, znajdowała się zadaszona trybuna z wydzieloną sekcją, przeznaczoną dla osób szlacheckiego pochodzenia. Siedzenia były bardzo wygodne, wykładane poduchami. Pośrodku znajdowała się część, przeznaczona dla Morgaratha, która w końcu słusznie mu się należała jako organizatorowi całego wydarzenia. Z tej części z kolei wydzielono miejsca dla króla i jego służby. Morgarath powiadomił jednak zebranych, że król Oswald z powodu niedyspozycji nie przybędzie na turniej.

Po obu stronach trybuny rozciągał się otwarty obszar, na którym popisywali się zonglerzy i muzycy. Tam także palono ogniska, pieczono na różnie mięsiwa, kolby kukurydzy i rzeczne ryby. W powietrzu rozchodził się apetyczny zapach pieczeni i tłuszczu, kapiącego na rozżarzone węgle. Stało tam też kilka namiotów, w których sprzedawano piwo i wino.

Handlarze mieli za zadanie zaspokoić apetyt rycerzy i giermków. Baronom służba przygotowywała osobne posiłki.

Po przeciwnej stronie znajdowały się trybuny, przeznaczone dla pospólstwa. Były to zwykłe, ustawione rzędami drewniane ławki, nieosłonięte przed niepogodą. Miejsca nie zapewniały takiego komfortu jak te przeznaczone dla wyżej postawionych gości, ale powiadano, że można się tam zabawić znacznie lepiej niż wśród dostojnej – niektórzy powiedzieliby raczej „sztywnej” – publiczności złożonej z możnych panów i rycerzy. Tutaj również stały z boku namioty, w których dostarczano jedzenia i rozrywki. Brakowało wina, za to piwa, ulubionego napoju niższych warstw społecznych, było pod dostatkiem. Kilka namiotów wypełniały ułożone bokiem beczki, na kołkach wisiały rzędy drewnianych kufli. Sprzedawcy w tych namiotach uwijali się pracownicy, chociaż główna część turnieju zaczynała się dopiero następnego dnia.

Na samym polu kilku giermków trenowało wierzchowce swych panów, podobnie jak grupa mniej zamożnych rycerzy, którzy nie mogli sobie pozwolić na służbę.

Turniejem rządziły proste zasady. Każdy z uczestników występował w kolczudze i przyłbicy, w dłoni dzierżył tarczę. Kopie używane podczas walk robiono z lekkiego drewna, zwykle sosnowego, w odróżnieniu od kopii bojowych z drewna dębowego, zakończonych żelaznym grotem. Projektowano je tak, by pękały i kruszyły się przy zderzeniu na wprost z tarczą przeciwnika. Uderzenie słabsze czy z boku nie czyniło im żadnej krzywdy. Uczestnik zdobywał punkt za każdą skruszoną kopię, w czasie jednej walki można było użyć maksymalnie pięciu kopii.

Odpowiednio wymierzony cios w tarczę mógł wysadzić przeciwnika z siodła, a w ekstremalnych przypadkach nawet rzucić na ziemię wierzchowca. Zadanie idealnego ciosu tak lekkim narzędziem wymagało sporych umiejętności i precyzyjnego oka.

W przypadku, kiedy rycerz spadł na ziemię, jego przeciwnika automatycznie uznawano za zwycięzcę – chyba że pokonany wyraził chęć kontynuowania walki na piechotę. Zwycięzca mógł wyzwanie przyjąć lub nie. Mógł dalej walczyć konno, odrzucić kopię i użyć miecza. Mógł również zsiąść z konia. Jeśli ponownie pokonał przeciwnika, dostawał podwójne punkty. Miecze, oczywiście, były tępe.

Turniej miał się rozpocząć następnego dnia. Dwa pierwsze poranki przeznaczono na potyczki eliminacyjne między drobniejszymi rycerzami i uczniami ostatniego roku szkoły rycerskiej, liczącymi na to, że dostaną się do głównych rozgrywek.

Wczesnym popołudniem młodzi, mniej doświadczeni rycerze mieli okazję wyzwać na pojedynki starszych kolegów – baronów, starszych rycerzy i mistrzów walki. Ci mogli wyzwanie przyjąć bądź odrzucić. Większość przyjmowała, traktując to jako dobrą okazję do treningu przed spotkaniem z groźniejszym przeciwnikiem. Turnieje służyły przecież głównie rozrywce.

Potyczki między starszymi rycerzami i baronami odbywały się po południu.

Trzeciego dnia, o jedenastej rano zaczynała się część zwana Grand M'lée. Mógł w niej wziąć udział każdy i była to dobra okazja do zdobycia nagrody. Uczestników dzielono na dwie drużyny, oznaczone czerwoną lub niebieską chustą, zawiązaną na ramieniu. Walka prowadzona była pieszo, za pomocą tępej turniejowej broni: mieczy, toporów i buzdyganów. Każdy wybierał sobie przeciwnika i próbował go zmusić do poddania się. Imiona przegranych zapisywano, konfiskowano im broń oraz zbroję i oddawano ją zwycięzcom. Po pewnym czasie, kiedy szeregi walczących się kurczyły, ci, którzy odnieśli sukces, wycofywali się, zabierając ze sobą zdobyte łupy i jeńców. Od czasu do czasu przetasowywano obie drużyny, by utrzymać w miarę równe szanse; zdarzało się, że jakiś rycerz walczył przez godzinę u czyjegoś boku, by w kolejnej rundzie stanąć naprzeciw niego. Zasady nakazywały walkę indywidualną, ale często tworzyły się luźne sojusze – trudno było wyrugować te praktyki, z powodu dość chaotycznej i zwariowanej natury całego przedsięwzięcia.

Mimo że walczono za pomocą tępej broni, bywało naprawdę niebezpiecznie i uczestnicy często odnosili poważne rany. Baronowie i starsi rycerze raczej nie brali udziału w tej części zawodów.

Czwartego i piątego dnia znów odbywały się indywidualne pojedynki, podczas których w wyniku kolejnych eliminacji wyłaniano mistrza turnieju.

Baron Arald z Redmontu siedział przy długim stole w jednym z namiotów, który zwykle służył jego zbrojmistrzom. Wnętrze wypełniały stojaki ze zbroją, hełmami i przeróżnym sprzętem. Tego dnia jednak zbrojmistrzów tam nie było. Namiot służył za miejsce sekretnej narady wojennej. Przy stole siedzieli również książę Duncan, Crowley, Halt, panna DuLacy ze Służby Dyplomatycznej i sir Rodney, młody mistrz sztuki wojennej z lenna Redmont.

Arald wybrał to miejsce jako mniej zwracające uwagę niż namiot główny, stojący pośrodku i wystawiony na spojrzenia wszystkich dokoła. Ten, służący zbrojmistrzom, stał za to wciśnięty między inne nieduże namioty; uczestnikom zebrania łatwiej było przemknąć niezauważenie na miejsce.

Arald niecierpliwie bębnił palcami w blat. W tym momencie do namiotu wszedł ostatni uczestnik. Odrzucił na ramiona wystrzępiony kaptur.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedział Pritchard. – Musiałem poczekać na odpowiedni moment, by wymknąć się dyskretnie z zamku.

– Znalazłeś mojego ojca? – spytał Duncan z wyraźnym napięciem w głosie.

Pritchard kiwnął głową.

– Tak, panie. W pokoju we wschodniej wieży przetrzymują więźnia wysokiej rangi. Zaprzyjaźniłem się z jedną ze służących, która nosi mu jedzenie i nie mam najmniejszych wątpliwości, że jest to król Oswald.

– Co z nim? Czy grozi mu niebezpieczeństwo? – dopytywał Duncan.

Pritchard zawahał się.

– Nie będę cię okłamywał, panie. Wszystko wskazuje na to, że jest w bardzo złej kondycji. Dziewczyna mówiła, że gorączkuje i cierpi z powodu głębokiego przygnębienia, często przez długi czas znajduje się w stanie półprzytomnym. Moim zdaniem podają mu środki odurzające.

Duncan walnął pięścią w stół.

– A więc musimy go stamtąd wydostać! – warknął. Pritchard uniósł rękę.

– Byłoby wielki błędem działać pochopnie. Morgarath nie wie, że tu jesteś, panie. Podobnie jak nie wie, że my wiemy, co się dzieje z królem. Musimy zdemaskować barona i dopiero wtedy przystąpić do działania.

– Ale...

Arald przerwał księciu:

– Pritchard ma rację, panie. Musimy działać ostrożnie, starannie wybrać odpowiedni moment. Nie mamy żadnych konkretnych dowodów przeciwko Morgarathowi.

– Jak to? Uwięził mnie na Zamku Dzika Rzeka! – odparł Duncan z oburzeniem. – I nadal więzi mojego ojca!

– Nie da się powiązać Morgaratha z twoim uwięzieniem – zauważył Arald. – Na pewno wszystkiemu by zaprzeczył. A co do twego ojca, Morgarath twierdzi, że chroni go przed tobą.

– A co z uzurpatorem, najeżdżającym pograniczne tereny? – zapytał Duncan.

Tym razem odpowiedział Crowley.

– Tu też nie ma dowodów, że Morgarath maczał w tym palce. Owszem, możemy skłonić Tillera do złożenia zeznań, ale to znów będzie słowo przeciw słowu. Skończyłoby się oskarżeniem przed Radą Baronów. A Morgarath ma tam wielu popleczników.

Arald zwrócił się do Pauline DuLacy.

– À propos, czego się dowiedziałaś?

Kobieta spojrzała na leżący przed nią plik notatek, głównie po to, by zebrać myśli. Tak naprawdę nie potrzebowała pomocy.

– Trudno powiedzieć. Większość jest po naszej stronie, prawdopodobnie trzydziestu pięciu członków Rady. Ale nie wszyscy przybyli na turniej. Za to zwolennicy Morgaratha stawili się w większości. Pewnie ich uprzedził, że planuje przejąć tron. Jeśli go oskarżymy, większość baronów raczej nie uzna go winnym. – Rzuciła księciu przepraszające spojrzenie. – Musimy mieć poparcie co najmniej dwóch trzecich członków Rady. I wszyscy muszą być obecni.

Duncan odsunął się od stołu, wyraźnie zdenerwowany.

– To co zrobimy?

– Naszym najlepszym świadkiem przeciwko niemu jest twój ojciec, panie – powiedział spokojnie Pritchard. – Ale w tym momencie nie możemy uwolnić króla. Morgarath bardzo go pilnuje, chyba tylko atak sporej armii mógłby załatwić sprawę. Ale sytuacja się zmieni wraz z rozpoczęciem turnieju.

– Dlaczego? – spytał Arald.

Pritchard spojrzał na niego.

– Morgarath będzie musiał skupić uwagę na czymś innym. Będzie próbował przetrzebić nasze szeregi. Słyszałem, jak w zamku szeptano, że podczas Grand M'lée zamierza zaatakować tyłu swoich wrogów, ilu tylko się da. Jego pomagier, imieniem Teezal, ma poprowadzić grupę wojowników i wymierzyć atak w konkretne osoby. Można się założyć, że

chodzi o tych, którzy albo już są po naszej stronie, albo się ku temu skłaniają. Większość to młodszy i niedoświadczeni rycerze, lecz ich brak bardzo nadweręży nasze siły.

– Oczywiście, Morgarath zagra wbrew zasadom – zauważył Crowley. – Ale cóż, zasadami nigdy się nie przejmował.

– Może zdołalibyśmy odwrócić sytuację na jego niekorzyść? Gdyby grupa naszych ludzi zaatakowała atakujących – zaproponował Halt. Crowley i Arald uśmiechnęli się do niego.

– Niezły pomysł – przyznał Arald.

Pritchard odchrząknął i podjął:

– Jeszcze jedna sprawa, panie – zwrócił się do Aralda. – Morgarath niemal na pewno wyzwie cię na pojedynek. I niemal na pewno będzie próbował złamać zasady i cię zabić. Bez ciebie nasza pozycja bardzo by się osłabiła. Jesteś najważniejszym elementem w kampanii przeciw Morgarathowi. Możesz przeciągnąć na naszą stronę liczbę członków Rady wystarczającą, by pokrzyżować mu szyki.

Arald wzruszył ramionami.

– Niech wyzywa. Już kiedyś go pokonałem.

– Chodzi mi o to – wyjaśnił Pritchard – że kiedy zaangażuje się w turniej, będzie nam łatwiej uwolnić króla. Mógłbym wprowadzić do zamku niewielką grupę. Znam rozkład pomieszczeń, wiem, gdzie go trzymają. Jeśli go uwolnimy, będzie mógł dowieść, że Morgarath jest zdrajcą.

– Oczywiście, Morgarath zażąda przesłuchania przed Radą Baronów – powiedział Arald. – Pedantycznie dba o procedury, o ile służy to jego celom. A zebranie wszystkich członków Rady potrwa kilka miesięcy.

– Ale król przynajmniej będzie wolny, a my powstrzymamy plan Morgaratha, mający na celu zdyskredytowanie księcia Duncana i przejęcie tronu. – Pritchard urwał, po chwili podjął: – To nasza jedyna szansa, nie możemy pozwolić, żeby się wywinął. Musimy dopilnować wszystkich szczegółów. Król Oswald jest tu kluczowym elementem.

Duncan powiódł wzrokiem po twarzach zebranych. Wciąż był zdenerwowany i najchętniej podjąłby konkretne działania, uznał jednak zasadność podanych argumentów.

– No dobrze. Zaczekamy. Crowley, czy twoi ludzie są gotowi?

Crowley odpowiedział uśmiechem.

– Krążą wśród tłumu, przebrani za zwykłych wieśniaków i prostych robotników. Ale są gotowi na twoje rozkazy, panie.

Duncan popatrzył na niego przez chwilę, potem kiwnął głową.

– Dobrze. A ty, Araldzie, zrób wszystko, żeby Morgarath cię nie zabił.

Arald również się uśmiechnął.

– Taki właśnie mam zamiar – powiedział.



**M**orgarath przechylił się ponad stołem, by ponow nie napełnić kielich barona Peller.

– Jeszcze wina, lordzie? – zapytał, posyłając baronowi ujmujący uśmiech. Pomyślał z przekąsem, że Peller raczej nie odmawia takim propozycjom. Siatka żył na nosie i policzkach wyraźnie świadczyła o miłości i oddaniu w stosunku do mocnych napojów.

– Dziękuję, lordzie Morgarath! – odparł baron, pospiesznie dopił wino i przesunął kielich w stronę Morgaratha, by ten mógł go napełnić. Z zadowoleniem popatrzył na nową porcję wina i uniósł naczynie do ust.

Morgarath zaprosił do swego namiotu trzech baronów, którzy byli mu dość przychylni, ale jeszcze nie w pełni oddani. Siedzieli przy stole, uginającym się od smakołyków. Poły namiotu uniesiono, by wpuścić do środka rzeński powiew. Uczta składała się z pieczonej świni, wspaniałej zapiekanki z dziczyzną i przeróżnych warzyw. Na talerzach zostały tylko resztki, goście rozkoszowali się wspaniałym winem, które podał Morgarath do posiłku. Świetnie sprawdzał się w roli gospodarza i słynął z tego, że potrafi odpowiednio podjąć gości, toteż baronowie Peller, Meagher i Cordell ochoczo przyjęli zaproszenie.

– Jak się czuje król? – zwrócił się do niego Meagher.

Morgarath potrząsnął głową i przybrał zasmuconą minę.

– Obawiam się, że nie najlepiej – przyznał z troską w głosie. – Z każdym dniem coraz mocniej podupada na zdrowiu i jest bardzo przygnębiony. Obawiam się, że przyczyną tego stanu są wybryki jego syna przy północnej granicy. Król przeżył wielkie rozczarowanie Duncanem, a to z kolei mocno odbiło się na jego nastroju i na zdrowiu. Próba otrucia również źle na niego wpłynęła. Trucizna osłabiła go zarówno fizycznie, jak i psychicznie.

– Całe szczęście, panie, że zdążyłeś go uratować – odezwał się baron Cordell.

Morgarath skromnie wzruszył ramionami.

– Po prostu wypełniłem swój obowiązek. Na moim miejscu każdy postąpiłby tak samo.

– Doszły mnie pogłoski – zabrał głos Peller, cedząc słowa – że król zamierza wydziedziczyć następcę tronu.

Morgarath uniósł brwi w udawanym zdziwieniu – chociaż sam owe pogłoski rozpuścił.

– To bardzo poważna decyzja, lordzie Peller.

Baron wzruszył ramionami.

– Wielu rzekłoby, że Duncan w pełni na nią zasłużył.

Cordell i Meagher zamruczeli zgodnie. Morgarath zerknął na nich z ukosa. Urządził to przyjęcie tylko po to, by sprowokować podobną reakcję. Poczł przyjemne zadowolenie. Może jego trzech goście nie reprezentowali dużych lenn i nie mieli za sobą znacznych sił zbrojnych, ale za to cieszyli się sporymi wpływami wśród innych baronów, zwłaszcza tych, którzy jeszcze nie opowiedzieli się po żadnej stronie w toczącej się walce o władzę w królestwie.

– Ale gdyby król zdecydował się na taki krok, musiałby wyznaczyć innego następcę tronu – zauważył Morgarath.

Peller znów odpowiedział, cedząc słowa w charakterystyczny dla siebie sposób – szczególnie wyraźny w chwilach, kiedy baron zdążył kilka razy opróżnić wielki kielich z winem.

– Nie przychodzi mi do głowy lepszy kandydat niż ty, panie.

Morgarath gorąco zaprotestował:

– Ja? Ależ ja nie zamierzam zostać królem. Do niczego mi to niepotrzebne. Jestem zadowolony ze swojej sytuacji.

– Sądzę, że wielu spośród nas musiałoby się z tobą nie zgodzić, panie – powiedział Cordell. – Z radością wsparlibyśmy twoją kandydaturę. W końcu jesteś najprzedniejszych rycerzem w całym królestwie. I wielu z nas darzy cię podziwem.

Morgarath znów potrząsnął głową, uśmiechnął się nieśmiało. Ale w duchu przeżywał prawdziwy triumf. Teraz, kiedy ktoś inny poruszył temat, a pozostali baronowie wyrazili swoje poparcie, mógł przystąpić do kolejnego etapu realizacji planów. Wątpił, by król Oswald publicznie wydziedziczył Duncana, lecz skoro dyskutowano o tym jako o *fait accompli*\*, pomyślał, że mógłby sporządzić pisemne oświadczenie, oznaczone królewską pieczęcią i w ten sposób osiągnąć swój cel. Oczywiście, oświadczenie musiałaby ratyfikować Rada Baronów, czuł jednak, że bez trudu zdołałby uzyskać poparcie większości.

– Miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie, panowie – rzucił lekko. – Jestem pewien, że jeśli się postaramy, z pewnością rozwiążemy ten problem pospołu z Duncanem.

Trzej baronowie nieznacznie skinęli głowami na znak zgody, lecz bynajmniej nie wyglądali na przekonanych. Morgarath uśmiechnął się w duchu. Świetnym rozwiązaniem problemu byłaby śmierć Duncana, pomyślał. Tylko najpierw musi przekonać Oswalda, by wyznaczył go na swego następcę.

Już otworzył usta, by powiedzieć coś jeszcze, lecz w tym momencie ktoś stanął u wejścia do części namiotu, pełniącej funkcję jadalni. Morgarath uniósł głowę. To był Teezal.

– O co chodzi? – warknął gniewnie do intruza. Mówił przecież wyraźnie, że mają im nie przeszkadzać!

– Panie, przynoszę ważne wieści – odparł nerwowo Teezal.

Morgarath zmarszczył brwi. Teezal nie był głupi i na pewno pamiętał o zakazie. Musiało więc chodzić o coś bardzo ważnego. Morgarath wykorzystał sytuację, by jeszcze bardziej podlizać się baronom.



– To może zaczekać – powiedział lodowatym tonem. – Jak widzisz, mam gości. – Odwrócił się z uśmiechem w stronę baronów. Morgarath był podłym mordercą, ale potrafił roztaczać wokół siebie prawdziwy urok – niczym żmija, czarująca ofiarę na chwilę przed atakiem.

Zanotowawszy pełne wdzięczności miny, odwrócił się z powrotem do Teezala.

– Zaczekaj na zewnątrz – rozkazał.

Służący posłusznie wyszedł.

Morgarath znów zwrócił się do gości, serwując im szeroki uśmiech:

– To jak, przyjaciele, jeszcze wina? A może owoców? – Wskazał na smakołyki, ale Cordell i Meagher już podnieśli się z krzeseł. Peller, rzuciwszy tęskne spojrzenie na dzban z winem, nadal pełen w jednej czwartej, niechętnie poszedł za ich przykładem.

– Zajęliśmy dosyć twego cennego czasu, panie – powiedział Cordell, a pozostali dwaj zgodnie pokiwali głowami. Morgarath zrobił zawiedzioną minę.

– Ale dopiero zaczęliśmy tak naprawdę się bawić – zaproponował, chociaż, jeśli chodziło o niego, prawdziwy cel tego przyjęcia został osiągnięty.

– Nie, nie, pójdziemy już. Masz sporo obowiązków jako gospodarz tego wspaniałego turnieju, lordzie. Jesteśmy wdzięczni za poświęcony nam czas – odparł Meagher i ruszył do wyjścia. Pozostali dwaj poszli w jego ślady. Morgarath odprowadził ich, zachowując wyraz rozczarowania na twarzy. Peller odwrócił się i postukał palcem w boczną część nosa.

– Pamiętaj, panie, o czym rozmawialiśmy – powiedział.

Morgarath kiwnął głową, robiąc minę pełną troski i powagi.

– Będę pamiętał, lordzie Peller. Ale wątpię, by coś z tego wynikło. W końcu pogłoski o zamiarach Oswalda są, cóż, tylko pogłoskami.

– Jednakże – odparł Peller – żyjemy w niespokojnych czasach, a na takie czasy potrzebny jest silny przywódca.

– Możliwe – stwierdził Morgarath. – Ale nie róbmy niczego w pośpiechu.

Peller kiwnął głową i wyszedł w ślad za towarzyszymi na słoneczny i tętniący życiem plac. Morgarath pomachał im na pożegnanie, po czym omiół wzrokiem przedsiónek namiotu. Siedziało tam kilku służących, sekretarz – i Teezal. Morgarath spojrzął na niego i wskazał kciukiem na wejście do jadalni.

– Do środka – powiedział, a służącym, którzy zerwali się z krzeseł, by posprzątać ze stołu, nakazał: – Zaczekajcie tutaj.

Weszli do jadalni. Morgarath zajął miejsce u szczytu stołu, wskazał na dzban z winem i pusty kielich. – Nalej sobie, jeśli chcesz. Inaczej się zmarnuje.

Teezal z zapalem przyjął tę niezbyt uprzejmą propozycję. Wiedział, że Morgarath kazał podać najlepsze wino ze swojej piwnicy. Teezal napełnił kielich i upił pierwszy łyk.

Morgarath odczekał kilka sekund i zapytał:

– No, co to za niezwykle ważne wieści przynosisz?

Teezal niechętnie odstawił kielich. Wiedział, że kiedy odpowie na to pytanie, już nie będzie miał czasu, by dokończyć wino.

– Panie. Wybacz, że przerwałem...

Morgarath machnął ręką.

– Nieważne. Już skończyłem z tymi nadętymi nudziarzami. Dostarczyłeś mi dobrego

pretekstu, żeby się ich pozbyć. Co masz do powiedzenia?

– Panie – zaczął niepewnie Teezal. Aż za dobrze znał porywczy temperament Morgaratha.  
– Chodzi o Tillera. On tu jest.

– Tiller? – Morgarath zrobił zdumioną minę. Imię nic mu nie mówiło.

– Tiller – powtórzył Teezal z naciskiem. Widząc gniewnie ściągnięte brwi, wyjaśnił: – Fałszywy Duncan. Oszust, który łupi tereny przy północnej granicy. Ten Tiller.

Twarz Morgaratha wygładziła się, gniew ustąpił zaciekawieniu.

– Mówisz, że on tu jest? Tutaj, w Gorlanie? Czego chce? Mówiłem mu, żeby nigdy nie pokazywał się tam, gdzie ja jestem! – Morgarath założył, że Tiller przyjechał na turniej z własnej woli.

Teezal prędko wyprowadził go z błędu.

– On nie przybył tu dobrowolnie, panie. Jest więźniem. Przetrzywiają go w namiocie Aralda.

– Aralda? Niech będzie przeklęty! Czy on zawsze musi wchodzić mi w drogę? Jak to się stało, że uwięził Tillera?

Teezal wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia, panie. Wedle twego rozkazu obserwowałem obóz Aralda i nagle się zorientowałem, że w jednym z mniejszych namiotów trzymają więźnia. Widziałem, że służący noszą tam jedzenie, ale z namiotu przez cały czas ani razu nikt nie wyszedł. Udało mi się zajrzeć do środka. Tiller jest zakuty w łańcuchy i może się poruszać w promieniu najwyżej paru metrów. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że to on.

Morgarath z namysłem pogłodził podbródek.

– Po co Arald go tu przywiózł? – zastanawiał się.

– Może zamierza unicestwić twoje plany związane z objęciem władzy, panie. Ich zasadniczym elementem jest przecież oczernienie Duncana i pozbawienie go tronu. Jeśli Arald przedstawi dowód w postaci Tillera i każe mu wyznać, że na twój rozkaz udawał Duncana, sprawy mogą się skomplikować.

– Słusznie. Tylko jak Arald dowiedział się o moich planach? – Morgarath raczej zastanawiał się, niż pytał, ale Teezal i tak udzielił odpowiedzi:

– Wszyscy tutaj opowiadają, że król zamierza wydziedziczyć Duncana. Arald pewnie bez trudu się domyślił, że ty za tym stoisz i zamierzasz sam objąć władzę.

– Słusznie – powtórzył Morgarath. – Bardzo możliwe. Tylko jak Arald zdołał go schwytać?

– Mogę się dowiedzieć, panie. Jestem pewien, że... – zaczął Teezal, ale Morgarath machnął ręką na znak, żeby zamilkł.

– Później się tym zajmiemy. Jeśli zaczniemy pytać, Arald może się zorientować, że wiemy o Tillerze. Nie. Mam dla ciebie pilniejsze zadanie, jeśli chodzi o naszego przyjaciela Tillera.

– Jakie to, mój panie? – zapytał Teezal.

Morgarath odwrócił się i popatrzył prosto na niego. Teezal nie pierwszy raz pomyślał, że te oczy przypominają oczy węża, szykującego się do ataku.

– Zabij go.



**P**ritchard zjrzał do kuchni w podziemiach Zamku Gorlan. W tym momencie ogromne różna i wielkie żelazne piece stały beczynnie, ale jedna ze służących przygotowywała posiłek – tak jak każdego dnia, mniej więcej w południe.

Pritchard obserwował ją od tygodnia i wiedział, że jedzenie trafi do samotnego pokoju na wieży – gdzie trzymano w niewoli Oswalda.

Przyglądał się, jak dziewczyna ustawia na tacy miskę z cienkim rosołem, po czym wyklada na talerz kawałki kurczaka i warzyw. Porcje nigdy nie były duże. Morgarath najwyraźniej nie chciał dopuścić do tego, by Oswald odzyskał siły. Pritchard zauważył też, że dziewczyna co dzień dosypuje do zupy białego proszku z buteleczki, którą nosi w kieszeni fartucha. Był przekonany, że to jakiś narkotyk, chociaż słyszał, jak kucharka tłumaczy dziewczynie, że jest to lecznicza mikstura. Widział, że dziewczyna jest dobrego serca i na pewno świadomie nie trułaby starszego pana, mieszkającego w wieży.

Zszedł po trzech stopniach i ruszył w jej stronę. Dziewczyna wyczuła jego obecność, podniosła głowę i uśmiechnęła się. Zdążyła polubić tego obdartego staruszka, który przychodził do kuchni po resztki i jałmużnę. Odnosił się do niej niezwykle uprzejmie i zawsze wylewnie dziękował za smaczne kąski, którymi go obdarowywała. Podobał jej się również ten błysk w jego oku.

– Dzień dobry, Belmore – powiedziała, bo takim imieniem się przedstawił.

– Dzień dobry, panienko. Jak się... – Pritchard urwał i przycisnął dłoń do czoła, potrząsając głową. Zatoczył się, uchwycił ławy i stał tak, chwiejąc się niepewnie, z przestraszoną miną.

– Wszystko w porządku? – zapytała z niepokojem. Pritchard oderwał dłoń od czoła i niedbale machnął ręką.

– Trochę zakręciło mi się w głowie – odparł drżącym głosem. – Wczoraj nic nie jadłem.

Poprzedniego dnia nie pojawił się w zamkowej kuchni. Miał spotkanie z Araldem i księciem Duncanem.

– A czemu do mnie nie przyszedłeś? – ofuknęła go. Zostawiła tacę, szybko odkroiła kromkę ze świeżego bochenka, grubo posmarowała masłem, nalała wody do kubka, postawiła wszystko na stole.

– Proszę, siadaj i jedz! – powiedziała, robiąc ręką zachęcający gest.

Pritchard niepewnym krokiem przesunął się w stronę krzesła, jedną ręką wspierając się o ławę. W końcu usiadł ciężko i zaczął łapczywie zajadać, popijając chleb zimną wodą.

– A! – powiedział. – Znacznie lepiej! Niech bogowie cię błogosławią, panienko!

Dziewczyna posłała mu uśmiech. Na jej twarzy malowała się ulga – widać ucieszyła się, że biedny Belmore jednak nie zamierza zemdleć.

– Musisz dbać o siebie, Belmore. Nie jesteś już młodzieniaszkiem. I wiesz, że tutaj zawsze coś się dla ciebie znajdzie. Jeśli znowu będziesz głodny, po prostu przyjdź.

Odpowiedział uśmiechem.

– Dziękuję, panienko. Jesteś dla mnie aż nazbyt uprzejma. – Poczul lekkie ukłucie na myśl, że ją oszukuje i wykorzystuje jej dobre serce. Kiedy stała odwrócona, przygotowując dla niego jedzenie, prędko wsunął złożony kawałek pergaminu pod miskę z rosółem.

Poklepała go po ramieniu i uśmiechnęła się.

– Muszę wracać do pracy – powiedziała. – A ty sobie posiedź, podjedz, aż się lepiej poczujesz.

– Już mi lepiej, dziękuję – odparł ciepło. Dziewczyna zabrała tacę i ruszyła do wyjścia.

– Nie spiesz się – powiedziała. – Nikt cię stąd nie wygania.

Pritchard przez chwilę słuchał jej lekkich kroków na kamiennej posadzce głównego holu, a potem na kręconych schodach, prowadzących do wschodniej wieży. Mimo jej najszczęśliwszych wysiłków rosół z pewnością wystygnie, nim doniesie go na miejsce.

Połknął resztę chleba, który, nawiasem mówiąc, był świeżo upieczony, jeszcze ciepły i przepyszny, po czym prędko wyszedł z kuchni bocznymi drzwiami i ruszył przed siebie. W ciągu ostatniego tygodnia zdążył wszystkich przyzwyczać do swojej obecności na terenie zamku, wchodził i wychodził całkowicie swobodnie. Przechodząc pod potężną zwodzoną kratą i dalej, przez most, stwierdził w myślach, że w gruncie rzeczy wartownicy chyba w ogóle go nie widzą.



Król Oswald podniósł wzrok na odgłos otwieranych drzwi. Zgrzyt klucza w zamku wyraźnie przypominał, że jest więźniem na Zamku Gorlan. Siedział przy stole w koszuli nocnej – innego ubrania mu nie przydzielono – otulony kocem, bo strażnicy nie pozwalali rozpalać ognia w pokoju na wieży.

– Jeszcze byś się poparzył, wasza wysokość – odpowiedzieli drwiąco na jego prośbę. Położony wysoko pokój w wieży, ze wszystkich stron otoczonej otwartą przestrzenią, był nieustannie wystawiony na zimne wiatry, które świstały dokoła i wdierały się do środka przez szpary w okiennicach.

Kiedy służąca weszła do środka, król zdobył się na słaby uśmiech. Przynajmniej ona była dla niego miła i zawsze pytała go z troską o zdrowie.

Kaszel wstrząsnął całym jego ciałem. Czuł się słaby i całkowicie wyczerpany z energii. Był przekonany, że dosypują mu coś do jedzenia i dlatego wciąż jest taki ospały i przygnębiony,

nie wiedział jednak, co to może być ani do czego konkretnie tej substancji dodają. I prawdę mówiąc, z każdym dniem coraz bardziej obojętniał. Czuł, jak słabnie jego wola życia, opór przeciwko żądaniom Morgaratha, który ciągle naciskał, by pozbawić Duncana tronu.

Morgarath nie ukrywał, co się dzieje z księciem. Oswald wiedział, że jest on więźniem jednego z popleczników Morgaratha. Wiedział też, że życie jego syna zależy od niego, co znaczy, że musi we wszystkim słuchać Morgaratha. Westchnął. Kiedyś ufał baronowi, ale te czasy dawno minęły i teraz rozumiał, że świadczyło to tylko o jego głupocie.

Wiedział również, że w chwili, kiedy podpisze dokument, czyniący Morgaratha następcą tronu, jednocześnie wyda wyrok na Duncana. Morgarath z pewnością nie pozostawiłby go przy życiu – na pewno nie chciałby ryzykować, że Duncan zechce kiedyś odzyskać władzę. Oswald mógł jedynie dalej stawiać opór, nic poza tym.

Chociaż czuł, jak z każdym dniem jego wola słabnie.

– Proszę, panie – powiedziała wesoło służąca. – Kawalek pysznego kurczaka i warzywa. Proszę wszystko zjeść. Posiłek dobrze ci zrobi.

Mimo całej nieszczęsnej sytuacji Oswald zdobył się na smętny uśmiech. Wesoła paplanina służącej przypominała mu jego nianię. Ona też zawsze mówiła: „Jedz, jedz. Posiłek dobrze ci zrobi”.

Wziął do ręki udko kurczaka i ugryzł. Ale służąca nie przestawała go strofować.

– Najpierw zupa. Bo całkiem wystygnie. – Dotknęła miski, by sprawdzić temperaturę. – Jeszcze trochę ciepła. Tego ci właśnie potrzeba w tej zimnicy.

Kiwnął głową i wziął do ręki niezgrabną drewnianą łyżkę. Morgarath nie pozwalał mu dawać żadnych metalowych przedmiotów, bał się, że Oswald mógłby z nich zrobić prowizoryczną broń.

Spróbował. Rosół był letni i cienki, niezbyt pożywny. Ale kiwnął głową w podzięcie. W końcu dziewczyna niczemu nie zawiniła.

– Dziękuję bardzo, panienko. Jesteś dla mnie aż nazbyt uprzejma.

Uśmiechnęła się szeroko i dygnęła.

– Chciałabym ci podać coś pożywniejszego – powiedziała. – Ale znachorzy lorda Morgaratha mówią, że musisz utrzymać dietę, by zbić gorączkę.

– Nie wątpię – rzucił sucho i włożył do ust kolejną łyżkę.

Zadowolona, że starszy pan zaczął jeść, odwróciła się i zapukała do drzwi, by ją wypuszczono. Strażnicy otworzyli i dziewczyna wyszła. Oswald usłyszał chrzęst klucza w zamku. Spojrzał na wodnisty rosół i małe kurze udko. I na co to, pomyślał.

– Żeby całkiem nie opaść z sił – odpowiedział samemu sobie. Zauważył, że od jakiegoś czasu gada do siebie. To chyba zły znak? Wzruszył ramionami. Zły czy nie, i tak w niczym nie zmieniał jego sytuacji.

Oswald jeszcze raz zanurzył łyżkę. Przypadkiem przytknął ją do ścianki naczynia i niechcący przesunął je o kilka milimetrów. Spod miski wystawał róg pergaminu. Oswald zmarszczył brwi, odłożył łyżkę i odsunął naczynie. Na skrawku pergaminu było coś napisane.

Wziął go do ręki i odwrócił tak, by padało nań słabe światło od okna zasłoniętego okiennicami. Przeczytał cztery słowa widniejące na kartce, bezgłośnie poruszając ustami. Nagle w jego serce wstąpiła nadzieja. Przeczytał je ponownie, by upewnić się, że nie padł ofiarą halucynacji – tym razem na głos.

„Duncan jest bezpieczny. Wytrzymaj”.





## Wyzwanie!

Słowo obiegło teren, na którym rozgrywał się turniej niczym nieopanowany pożar. Widzowie ruszyli w stronę szranków, by zyskać lepszy widok. Tłum kipiał ekscytacją i oczekiwaniem. To było pierwsze podczas tego turnieju wyzwanie, które miał rzucić jednemu ze starszych rycerzy i baronów młodzieniec, pragnący zdobyć sławę.

Takie walki zawsze dostarczały obserwatorom wielu emocji. Był w nich silny element niepewności. Młody zawodnik mógł się okazać przyszłym mistrzem sztuki wojennej i pokonać znacznie bardziej doświadczonego rycerza.

Mógł też się okazać zbyt optymistą, którego wiara we własne możliwości miała niewiele wspólnego z prawdą, i po kilku potyczkach paść na ziemię. Tak czy inaczej, widowisko dostarczało ekscytującej rozrywki – a także okazji do hazardu.

Wszyscy obserwowali, jak młody rycerz w zielonym hełmie i zbroi wypolerowanej tak, że aż lśniła w słońcu, z błyszczącą tarczą w ręku, robi okrążenie wokół pola zgodnie z zasadami obowiązującymi podczas turnieju. W ten sposób obserwatorzy mogli dokładnie obejrzeć zawodnika, ocenić jego szanse i zastanowić się, czy warto na niego stawiać.

– Kto to? – Pytanie było na wielu ustach, ale niewiele osób znało odpowiedź.  
– Wallace z Belconnen – powiedział ktoś. – Został pasowany na rycerza pół roku temu.  
– Dobry? – zapytał Arald, stojący u wejścia do namiotu. Błękitna tarcza wisiała obok na wysokim słupku.

Odpowiedzi udzielił sir Rodney, młody mistrz wojenny z lenna Redmont:

– W ciągu kilku ostatnich miesięcy wygrał kilka mniejszych turniejów, więc tak, jest dobry. Ale nie sądzę, by mógł ci zagrozić, panie.

Arald był świadom, że to jego może dotyczyć wyzwanie. W końcu był aktualnym mistrzem. Spojrzał na jednego ze swoich giermków.

– Sprawdź, czy moja broń jest gotowa – polecił. Mężczyzna dotknął czoła knykciami i ruszył w kierunku namiotu, w którym trzymano wyposażenie.

Sir Wallace, objechawszy całe pole, teraz skierował się do części, gdzie znajdowała się kwatera Aralda. To również należało do procedury. Ten, który wyzywał na pojedynek, musiał objechać namioty wszystkich potencjalnych przeciwników, nim wybrał tego jednego. Było to, rzecz jasna, nic więcej jak zwykle przedstawienie, jednakże bardzo efektowne.

Jego wierzchowiec, młody temperamentny kasztan, drobił nerwowo, a rycerz ściągał wodze, by powstrzymać jego dzikie zapędy. Minął kilka namiotów i zwolnił przy namiocie Aralda w niebiesko-złote pasy, przy niebieskiej tarczy, dumnie wznoszącej się na słupie. Wallace podjechał bliżej. Miał otwartą przyłbicę i spojrzał Araldowi prosto w oczy. Był przystojnym, gładko ogolonym młodzieńcem.

Arald zamarł w oczekiwaniu. Właściwie już postanowił, że podejmie wyzwanie.

Młodzieniec skinął głową, ale kiedy Arald odwzajemnił powitanie, spiął konia do galopu i skierował go na przeciwległy kraniec pola.

Tym razem wbrew obowiązującym regułom nie okrążył całego terenu, ale podjechał prosto do stojącego pośrodku czarno-złotego namiotu, uniósł kopię i uderzył nią w tarczę Morgaratha.

Wyzwanie zostało rzucone. Teraz wszyscy czekali niecierpliwie, czy zostanie przyjęte.



Sir Wallace, uderzywszy w tarczę Morgaratha, wstrzymał konia i czekał na odpowiedź od gospodarza turnieju. Jego serce waliło jak młotem, chociaż starał się sprawiać wrażenie spokojnego i obojętnego. Morgarath najprawdopodobniej był najzręczniejszym rycerzem ze wszystkich obecnych na turnieju – może za wyjątkiem młodego barona Aralda. Wallace wiedział, że wyzywając go na pojedynek, ryzykuje poważne obrażenia, był jednak zdeterminowany, by zaznaczyć swoją obecność w świecie rycerzy, a pojedynek z najlepszym wydawał się najkrótszą i najszybszą drogą do celu.

Poza tym to był tylko turniej, a nie walka serio. Przegrana mogła się wiązać z paroma porządnymi sińcami, może złamaniem jednej czy dwóch kości. Ale nie z utratą życia.

Poła namiotu odsunęła się na bok i ze środka wyszedł Morgarath. Wallace widział go wcześniej tylko z daleka i poczuł się nieco zaskoczony z powodu jego wzrostu. Władca Gorlanu mierzył niemal dwa metry i przedstawiał widok imponujący i budzący lekkie zaniepokojenie. Był szczupłej budowy, lecz umięśniony, miał długie nogi i ramiona. Dzięki takim warunkom fizycznym doskonale radził sobie w walce. Był ubrany od stóp do głów w czerń – czarne sięgające ud buty, czarne spodnie i czarny skórzany obcisły kubrak ozdobiony na piersi symbolem żółtej błyskawicy. Twarz miał bladą i pociągłą, duży nos, włosy proste i gładkie, niemal białe, ostro kontrastujące z czarnym strojem.

Popatrzył na rycerza, siedzącego na nerwowo drepczącym rumaku, dzierżącego w dłoni pionowo wniesioną kopię, opartą na skórzanym pasku przy prawym strzemieniu. Przyłbicę wciąż miał otwartą i Morgarath z krzywym uśmiechem spojrzał na świeżą twarzyczkę, jeszcze nie zaznaczoną śladami przebytych walk.

„Wkrótce się to zmieni”, powiedział w myślach.

– Czego chcesz, chłopcze? – zapytał lekceważącym znudzonym tonem.

Wallace już miał odpowiedzieć, ale ze zdenerwowania zaschło mu w gardle. Przełknął ślinę dwa razy, wreszcie wydusił przepisową formułkę:



– Wyzywam cię na pojedynek, lordzie Morgarath. Takie jest moje prawo i przywilej jako rycerza tego królestwa.

Morgarath prychnął i przesunął wzrokiem po starannie wypolerowanej zbroi młodego śmiałka. Nie było na niej ani jednego wgniecenia czy zadrapania. Nigdy nie zaznała prawdziwej walki, pomyślał baron.

Nie odpowiedział od razu, pozwolił, by cisza przeciągnęła się prawie nie do wytrzymania i przez cały czas nie spuszczał z młodego rycerza ironicznego spojrzenia.

– Czyżby? – powiedział w końcu.

Wallace poczuł się nieco zbity z tropu. Spodziewał się odmowy lub przyjęcia wyzwania. Ustalone reguły nie przewidywały odzywek tego rodzaju.

– Ee... tak – odparł.

Morgarath mruknął coś pod nosem, tak cicho, że Wallace musiał pochylić się w siodle. Niepewnie marszcząc czoło, powiedział:

– Wybacz, panie, ale...

– Powiedziałem, że przyjmuję wyzwanie, dumny młokosie! – wrzasnął Morgarath z całej siły. Wierzchowiec młodego rycerza, przestraszony niespodziewanym hałasem, cofnął się nerwowo. Wallace szybko przywołał go do porządku. Był całkowicie zdezorientowany, zupełnie nie wiedział, jak zareagować.

– A więc... – zaczął.

– Trzydzieści minut. W szrankach. Nie każ mi czekać – warknął Morgarath. A potem obrócił się na pięcie i znikł we wnętrzu namiotu, wołając zbrojmistrzów. Kiedy tylko znalazł się w środku, uśmiechnął się okrutnie. Oto skutecznie odebrał młodzieńcowi inicjatywę i zasiał w jego sercu ziarno niepewności. Takie zagrywki były częścią strategii, którą wiele osób stosowało podczas tego rodzaju zawodów. A przez te wszystkie lata Morgarath dobrze się wyćwiczył w prowadzeniu gry psychologicznej.



Morgarath siedział nieruchomo na białym rumaku, imieniem Warlock, na końcu szranków – wysokiej na półtora metrów przegrody rozdzielającej zawodników. Osłonę na oczy miał opuszczoną, wydawał się wielki i groźny w czarnej lśniącej zbroi, rozjaśnionej tylko jednym elementem w postaci żółtej błyskawicy na piersi. Ten sam symbol widniał na czarnej tarczy. Głowę okrywał gładki okrągły hełm, całkowicie pozbawiony ozdób, które mogłyby stanowić cel kopii przeciwnika.

W rękę trzymał tarczę specjalnie przeznaczoną do turniejów. Tarcze używane podczas bitew często były lekko wypukłe, tak by miecz czy kopia wroga się po nich ześlizgiwały. Tarcze używane podczas turniejów zaś – wklęsłe, dzięki czemu końcówka kopii dłużej pozostawała w kontakcie z powierzchnią tarczy, co ułatwiało pożądany efekt skruszenia kopii. Nawet jeśli końcówka nie trafiła dokładnie w środek, to przesuwiała się po wklęsłości.

Odpowiednio wymierzony cios mógł oczywiście uderzyć w tarczę z ogromną siłą i wyrzucić przeciwnika z siodła, nawet jeśli lekkie drzewce rozpadło się na kawałki.

Morgarath przyglądał się niecierpliwie przez szpary w przesłonie na oczy, jak jego przeciwnik zbliża się z odległego krańca pola, cały w zieleni. Jeden z asystentów Morgaratha podał mu kopię. Ten wziął ją do ręki, zważył. Jako jedyny spośród uczestników turnieju

umieszczał wzdłuż drzewca ołowiane opaski, by upodobnić wagę i wyważenie kopii do cięższych kopii bojowych.

– W porządku, panie? – zapytał nerwowo asystent. – Czy wolisz...

– Zamknij się, durniu! – warknął Morgarath. Jego głos zadudnił echem wewnątrz hełmu. Asystent wycofał się czym prędzej, pokornie schylając głowę i kuląc się ze strachu przed gniewem swego pana.

Morgarath oparł końcówkę kopii na skórzanym pasku przy prawym strzemieniu i czekał. Zauważył, że Wallace ma problem z koniem. Młody kasztan drobił nerwowo, na pewno wyczuwał napiętą atmosferę. A to znaczyło, że jego pan również jest zdenerwowany. Rumaki bojowe są bardzo wrażliwe na nastroje właścicieli. Jeśli jeździec jest niespokojny czy niepewny, często przenosi się to na zachowanie konia.

Warlock, weteran wielu bitew, stał spokojnie jak skała. A powyżej wznosiła się groźna czarna postać.

W końcu Wallace odzyskał kontrolę nad wierzchowcem, który jednak wciąż niespokojnie przebierał przednimi kopytami, jakby w każdej chwili znów zamierzał wymknąć się spod kontroli. Stojący obok marszałek powiedział coś do młodego rycerza, ten zaś w odpowiedzi kiwnął głową.

Marszałek, stojący obok Morgaratha, podniósł głowę i spojrzał na złowrogą sylwetkę.

– Jesteś gotów, panie? – spytał.

– Jestem. – Głos znów zadudnił w środku metalowego hełmu. Morgarath podrzucił kopię i chwycił ją tuż za żłobkowaną rękojeścią. Kończówka kopii była grubsza i cięższa od całego drzewca, by stworzyć odpowiedni balans. Morgarath wsunął końcówkę pod prawe ramię i ustawił kopię pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Marszałek uniósł flagę, kilka sekund później to samo zrobił drugi marszałek na przeciwległym krańcu pola. Obaj zawodnicy byli gotowi.

Herold stojący pośrodku trybuny, uniósł trąbkę do ust i wydobył z niej serię potrójnych dźwięków. Kiedy ostatnia nuta ucichła, obaj jeźdźcy spięli boki rumaków i ruszyli.

Konie bojowe to nie były konie wyścigowe, nie wrywały do przodu i nie osiągały maksymalnej prędkości po kilku krokach. Były to muskularne zwierzęta, stworzone, by dźwigać ogromny ciężar rycerza w zbroi i wytrzymywać zderzenia z innym zwierzęciem podczas szarży.

Warlock powoli rozwijał prędkość, po piętnastu metrach osiągnął maksimum swoich możliwości. Spod ciężko bijących kopyt strzelały wysoko w powietrze grudki ziemi i trawy. Morgarath pochylił się lekko w siodle i nieco opuścił kopię. Wallace, znajdujący się teraz w odległości czterdziestu metrów, zrobił to samo. Ale jego koń skręcał nieco w prawo, przez co wytracał prędkość, a Wallace musiał korygować ten ruch łydkami zamiast w pełni skupić się na kopii w swojej dłoni i na zbliżającym się starciu z przeciwnikiem.

Kiedy dzieliło ich zaledwie dziesięć metrów, młodzieniec wreszcie odzyskał panowanie nad wierzchowcem i odpowiednio ustawił kopię, celując prosto w czarną tarczę Morgaratha.

Zderzyli się ze sobą przy wtórze huku drewna i metalu. Kopia Morgaratha uderzyła dokładnie w środek tarczy Wallace'a. Jego z kolei trafiła nieco z boku – z mniejszą siłą. Obie kopie wygięły się, a potem skruszyły na kawałki, odłamki białego drewna poleciały w powietrze. Apotem rycerze się minęli, konie pobiegly dalej szybkim kłusem, niesione wciąż

tą samą siłą, której nie osłabiło nawet gwałtowne zderzenie sprzed chwili.

Wśród tłumu przeszło westchnienie.

Wallace pod siłą ciosu gwałtownie poleciał do tyłu. Tylko wysoki łęk powstrzymał go przed upadkiem na ziemię. Przechylił się w bok, na chwilę zawisł w powietrzu, ale zaraz potem, przy chóralnym westchnieniu ulgi, które wyrwało się z gardeł publiczności, podciągnął się, usiadł pewnie w siodle, zwolnił i wrócił na koniec szranków.

Morgarath, zdawało się, chyba w ogóle nie odczuł uderzenia. Lekko, niemal niezauważenie, przesunął się w bok – i to wszystko.

Pogalopował na koniec szranków i zawrócił konia. Warlock stał spokojnie i nieruchomo. Po obu stronach pola czekali asystenci z zapasowymi kopiami – teraz jeden z nich podbiegł do Morgaratha i podał mu nowe drzewce.

Morgarath przyglądał się przeciwnikowi, który również przyjął nową kopię. Rumak młodzieńca wyraźnie się denerwował. Przed chwilą czuł, jak jego pan traci równowagę w siodle, jak z trudem próbuje ją odzyskać. A teraz czuł strach, który zaczynał przejmować władzę nad młodym rycerzem. Wallace nigdy dotąd nie zaznał tak silnego uderzenia jak cios kopii Morgaratha w jego tarczę. Dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, jaka przepaść dzieli jego umiejętności od umiejętności starszego rycerza. Uświadomił sobie, że znajduje się na znacznie słabszej pozycji.

Morgarath z kolei czuł wściekłość. Wymierzył cios idealnie w sam środek tarczy. Czuł obezwładniającą siłę odrzutu w ramieniu i w całym ciele na sekundę przed roztrzaskaniem się kopii. Młody rycerz powinien natychmiast spaść na ziemię. A jakimś cudem się utrzymał. Niektórzy obserwatorzy nawet nagrodzili go wiwatami. Morgarath strasznie się zirytował. Przywykł, że to on jest faworytem publiczności.

Ale teraz pokaże młokosowi, kto tu rządzi.

Ustawił kopię pod kątem czterdziestu pięciu stopni i dał znak marszałkowi. Ten uniósł flagę, a po paru sekundach to samo zrobił marszałek, stojący na przeciwległym krańcu szranków. Herald przytknął trąbkę do ust i znów rozległ się sygnał, wzywający do ataku.

Warlock zaczął biec przed siebie, powoli rozwijając prędkość i głucho tłukąc kopytami o poszarpaną murawę. Kiedy rozpędził się do cwału, Morgarath nieco opuścił kopię, ponownie mierząc w tarczę Wallace'a. Na zielonym tle widniał wyraźny ślad po pierwszym uderzeniu. Wallace również opuścił kopię. Morgarath widział lekkie drżenie drzewca.

A potem, kiedy dzieliło ich tylko pięć metrów, Morgarath uniósł kopię wyżej, wyraźnie mierząc w przyłbicę.

Rozległ się ogłuszający trzask. Końcówka kopii trafiła w zasłonę. Głowa młodego rycerza poleciała do tyłu. Kopia wypadła z jego bezwładnych palców. Dosłownie na sekundę przedtem, nim stracił przytomność, zdążył wysunąć stopy ze strzemion i wyleciał z siodła. Przefrunął kilka metrów i walnął o ziemię. Legł nieruchomo na boku.

Zapadła pełna przerażenia cisza. Arald potrząsnął głową. Umiejętności Morgaratha musiały budzić respekt. To był brutalny cios, ale jak najbardziej zgodny z regułami walki i zadany w doskonałym stylu. W całym królestwie znalazłoby się niewielu rycerzy, którzy potrafiliby czegoś takiego dokonać.

Wallace poruszył się lekko i wśród tłumu przeszedł pomruk ulgi. Młodzieniec przekręcił się na brzuch, wsparł na rękach i nogach i zaczął się podnosić, chwiejąc się niepewnie i

czepiając płotu. Plamy z trawy i ziemi znaczyły jego tunikę i zbroję. Ktoś zaczął wiwatować, po sekundzie dołączył do niego cały tłum – by zaraz zamilknąć. Bo oto Morgarath wstrzymał konia, zeskoczył na ziemię i dobył ogromnego miecza z pochwy, przytroczonej do siodła.

Marszałek zrobił krok w jego stronę.

– Panie, co robisz?

Morgarath odepchnął go na bok i zdecydowanym krokiem ruszył w stronę przeciwnika.

– Nie poddał się – oznajmił. – Walka jeszcze trwa.

– Nie musi się poddawać! – krzyknął marszałek. – Wysadziłeś go z siodła!

– Musi się poddać albo walczymy dalej!

Obaj marszałkowie krzyczeli jeden przez drugiego, lecz Morgarath, ogarnięty żądzą krwi, nie słuchał. Wallace odwrócił się, jak przez mgłę zobaczył wysoką czarną postać. Zachwiał się. Nie widział zbyt wyraźnie, ale zdążył zauważyć miecz w dłoni Morgaratha. Oszołomiony i półprzytomny, sięgnął po własną broń, nie do końca świadom, co się dzieje, ale pewien, że musi się bronić.

Usłyszał ciężkie kroki. Morgarath był już blisko, zamierzył się do ciosu. Wallace wciąż próbował wyciągnąć miecz, który zaplątał mu się gdzieś za plecami.

Nagle pojawiła się jakaś ubrana na niebiesko postać i pchnęła Morgaratha z boku, nim zdążył zadać cios. Z powodu hełmu ograniczającego widzenie Morgarath niczego nie zauważył.

Arald z całej siły walnął Morgaratha ramieniem pod żebra. Morgarath odczuł uderzenie mimo metalowej kolczugi, stracił równowagę i padł na ziemię. Próbował się podnieść, ale poczuł, że Arald przydeptał jego miecz.

Walczył zaciekle – i na próżno. Tymczasem Arald dobył własnego miecza i przyłożył jego czubek do szyi Morgaratha.

– To koniec – powiedział zimno. – Zostaw chłopaka w spokoju!

Nagle otoczyła ich grupa marszałków i dostojników, wśród nich baron Naylor, Wielki Marszałek turnieju.

– Panie, cóż ty wyprawiasz? – krzyknął, oburzony bardzo nierycerskim zachowaniem Morgaratha. W końcu władca Gorlanu odzyskał panowanie nad sobą. Puścił miecz i z pomocą jednego z marszałków podniósł się do pozycji stojącej. Otworzył osłonę na oczy i potrząsnął głową w udawanym zdziwieniu.

– Wybaczcie, panowie – powiedział. – Zdawało mi się, że chłopak krzyknął: „Kontynuuj!”.

Rozległ się chór głosów pełnych zrozumienia. Naylor pokiwał głową.

– Tak to bywa w ferworze walki – przyznał. – Na szczęście, nic się nie stało. A wszystko dobre, co się dobrze kończy. – Dał znak pomocnikom felczera, by zabrali Wallace’a, po czym z uznaniem zwrócił się do Aralda: – Jak dobrze, że baron błyskawicznie zareagował. Uratował nas przed niechybną tragedią!

Arald spojrzał na Morgaratha, zacisnął wargi, a potem nimi poruszył, bezgłośnie wypowiadając tylko jedno słowo:

– Kłamca.

Morgarath pochylił się, udając, że obejmuje go w podzięcie, i wyszeptał mu do ucha:

– Już nie żyjesz.





**T**eraz Morgarath na pewno wyzwie cię na pojedynek – stwierdził Halt.

Arald wzruszył ramionami.

– Wcześniej też mogłem się tego spodziewać. Dam sobie radę.

– Ale pamiętaj, że to podstępna żmija i zrobi wszystko, by cię zabić – zauważył Duncan.

Te słowa również nie zrobiły na Araldzie wrażenia.

– Może się okazać, że jestem twardszym orzechem do zgryzienia niż młody Wallace – powiedział. – Poza tym nawet Morgarath nie jest aż tak bezczelny, by próbować tego samego i znów się tłumaczyć, że zaszła pomyłka.

– Tak czy inaczej, lepiej na niego uważaj – odparł Crowley.

Znów siedzieli w namiocie zbrojmistrzów w obozowisku Aralda. Duncan, Pritchard, Halt, Crowley i Farrel omawiali plan działania w związku z bitwą zwaną Grand M'lée, która miała się odbyć tego dnia. Arald spojrzał na Farrela, który na tę okazję zrobił drewnianą kopię swego topora bitewnego. Podczas turnieju dopuszczano jedynie broń ćwiczebną, topór, nawet o stępionym ostrzu, uznawano za zbyt niebezpieczny.

– Jesteś gotów? – spytał.

Farrel kiwnął głową.

– Nie martw się. Na pewno zdołamy pomieszać Teezalowi szyki.

– Ilu was będzie? – spytał Arald.

– Dwóch. To wystarczy, żeby wziąć ich z zaskoczenia. Większa grupa mogłaby za bardzo zwracać uwagę. Nie wiadomo, czy marszałkowie w ogóle dopuściliby nas do zawodów. Poza tym Teezal mógłby się zorientować, że coś knujemy.

Arald kiwnął głową. Domyślał się, kto będzie towarzyszył Farrelowi podczas Grand M'lée, ale wolał nic nie mówić.

W tym momencie do namiotu weszła lady Pauline.

– Teezal i jego grupa będą walczyć w barwach niebieskich – oznajmiła, kładąc na stole dwie szkarłatne opaski. – Zarejestrowałam was w czerwonych.

Farrel wziął opaski do ręki i podał jedną Duncanowi. Arald nie poczuł się zaskoczony, spytał tylko:

– Jesteś pewien, panie?

Duncan przytaknął.

– Jestem im winien parę sińców – powiedział ponuro. – I nie licząc ciebie, najlepiej radzę sobie w walce z całej naszej grupy. Musimy szybko osłabić załogę Teezala i się stąd wynosić.

– O ile cię nie zauważą i nie rozpoznają – wtrącił Crowley.

Duncan spojrzał na niego.

– Będę miał zamkniętą przyłbicę – odparł. – A dawno minęły czasy, kiedy komuś udawało się strącić mi ją z głowy.

Usłyszeli szelest płótna – ktoś odsunął połę u wejścia do namiotu. Po chwili rozsunęła się poła przy drugim wejściu. Podwójne wejście było pomysłem Crowleya – zapobiegało ciekawskim spojrzeń z zewnątrz.

Do środka wszedł Martin, sekretarz barona. Minę miał zatroskaną.

– Panowie, złe wieści – zaczął. Arald dał mu znak, by mówił dalej. Martin powiódł wzrokiem po twarzach zebranych, sprawdzając, czy wszyscy słuchają, po czym oznajmił: – Tiller nie żyje.

Rozległy się okrzyki zdumienia. Duncan uniósł rękę, nakazując ciszę.

– Nie żyje? – powtórzył. – Jak to się stało?

Martin wzruszył ramionami.

– Wygląda na to, że zażył truciznę, panie.

– Zażył, czy mu ją podano? – spytał Crowley.

– Tego, niestety, się nie dowiemy – odparł Martin z nieszczęśliwą miną. Czuł, że śmierć Tillera źle o nim świadczy. To on odpowiadał za administrację w obozie lenna Redmont. – Mógł przez cały czas trzymać truciznę przy sobie.

– Ale chyba został przeszukany? – powiedział Duncan.

Odpowiedział Crowley:

– Moi ludzie przeszukali go pod kątem broni. Ale truciznę mógł z łatwością ukryć w ciele czy w ubraniu.

– Ale to jednak ciekawy zbieg okoliczności, że zdobył truciznę akurat kiedy, miał nam posłużyć w celu zdemaskowania Morgaratha – zauważył Halt.

Pozostali zgodnie zamruczeli. Tylko lady Pauline miała inne zdanie niż wszyscy zebrani.

– Doprawdy, niewielka strata – stwierdziła. – Jego zeznania i tak byłyby pozbawione wartości. Morgarath mógłby zawsze powiedzieć, że Tillera zwerbowaaliśmy, i namówiliśmy do świadczenia przeciwko niemu. Owszem, Tiller dostarczałyby dość prawdopodobnego dowodu winy, ale nic więcej.

Pozostali popatrzyli na nią. Musieli przyznać jej rację.

Pritchard przemówił jako pierwszy.

– Najważniejszym świadkiem pozostaje król Oswald. Tak było od początku. A pojedynek między Araldem i Morgarathem to doskonała okazja, by go uwolnić.

– Jak to? – zapytał Arald.

– Wściekł się, że przeszkodziłeś mu w walce z młodym Wallace'em. Chce, żebyś mu za to zapłacił. A to znaczy, że całą uwagę skupi na tobie i zapomni o Oswaldzie. Wasz pojedynek to

idealny moment, by udać się do zamku i wyzwolić króla. Jestem przekonany, że ludzie Morgaratha również zajmują się teraz głównie turniejem. Na pewno zaniedbali kwestie bezpieczeństwa.

– Wszystko to przy założeniu, że Morgarath rzeczywiście wyzwie cię do walki – zauważyła Pauline.

Arald uśmiechnął się.

– O, bez wątpienia. A jeśli nie, to ja wyzwę jego.

Z zewnątrz dobiegł metaliczny dźwięk trąbek sygnalizujących rozpoczęcie zawodów.

– To pierwsze wezwanie – powiedział Arald. Spojrzał na Duncana i Farrela. – Wy dwaj, lepiej się szykujcie. I bądźcie ostrożni! – dodał, patrząc prosto na Duncana.

Farrel uśmiechnął się.

– A ja nie muszę?

Arald posłał mu udawanie groźne spojrzenie.

– Zwiadowcę łatwo da się zastąpić – stwierdził. – Pełno ich tutaj jak pcheł na bezdomnym kundlu. A następcę tronu mamy tylko jednego.



Przed Grand M'lée usunięto szranki. Obie drużyny, oznaczone opaskami w swoich barwach, ustawiły się w trzech rzędach po przeciwległych stronach pola.

Tłum kipiał od napięcia. Bitwa Grand M'lée cieszyła się wielką popularnością. Zapewniała pożądaną porcję akcji i przemocy. Pojedynki w parach dawały świetną okazję, by ocenić siły zawodników, a obstawianie, która z drużyn okaże się zwycięzcą na kolejnych etapach rozgrywek, również dostarczało doskonałej zabawy.

Po stronie błękitnych Teezal pouczał swoich sześciu towarzyszy:

– Pamiętajcie, kto jest naszym celem.

Wszyscy pokiwali głowami. Poznali imiona dwunastu rycerzy, których pragnął się pozbyć Morgarath i przez cały ranek uczyli się na pamięć poszczególnych insygniów. Oni sami mieli na sobie podobne kolczugi, okrągłe hełmy i byli uzbrojeni w ćwiczebne miecze, pałki i buzdygany.

Jeden z nich uniósł rękę.

– Sir David z Holder i Morris z Norgate walczą po błękitnej stronie – zauważył. – Nie są naszymi sprzymierzeńcami?

Teezal posłał mu wzgardliwe spojrzenie.

– Mamy się ich pozbyć. Jeśli noszą niebieskie opaski, to tylko ułatwi nam zadanie – odparł. – Nie będą się spodziewać ataku z naszej strony. Trzeba tylko zająć ich od tyłu i walnąć, mocno i skutecznie. W zamieszaniu nikt niczego nie zauważy.

Zagrały trąbki, dając sygnał, że do rozpoczęcia pozostała minuta. Teezal poprawił tarczę na lewym ramieniu i wyciągnął zza pasa drewniany miecz.

– Została minuta – powiedział. – Bądźcie w gotowości!

A potem rozległ się kolejny sygnał, głośny i przeciągły, i obie drużyny z ogłuszającym wrzaskiem rzuciły się do ataku.

Kiedy pierwsi wojownicy zwarli się w walce, Teezal ustawił się za plecami sir Morrisa z Norgate. Rozejrzał się prędko, czy nikt nie patrzy, ale wszyscy błękitni byli zajęci walką z



przeciwnikiem. Szybkim ruchem uderzył mieczem w hełm Morrisa. Ten zachwiał się, obejrzał, zaskoczony, że wróg jakimś sposobem zaszedł go od tyłu. Zobaczył stojącą kilka metrów dalej czarną postać, a potem drewniany miecz, wymierzony prosto w jego ramię. Sekundę później poczuł uderzenie i usłyszał trzask pękającej kości. Wrzasnął z bólu i gniewu. A potem ubrany na czarno mężczyzna uderzył głowicą miecza prosto w jego twarz. Morris osunął się na ziemię, pomiędzy nogi walczących.

– Do ataku! – zakrzyknął Teezal i cała szóstka ruszyła za nim, tworząc klin pośród masy wojowników, w poszukiwaniu kolejnej ofiary.



– Tam! – krzyknął Farrel, wskazując toporem na niewielką grupę, przedzierającą się przez tłum. Grupa Teezala dość mocno rzucała się w oczy pośród walczących w parach rycerzy. Właśnie otoczyli jednego z czerwonych. Farrel rozpoznał w nim poplecznika Aralda, zaczął przepychać się w jego kierunku.

– Zaatakujcie ich od tyłu! – krzyknął Duncan. Zwiadowcy ruszyli za szóstką nacierającą na rycerza, który bronił się rozpaczliwie, raz za razem zbierając ciosy od zbyt licznego przeciwnika.

Duncan walnął tarczą jednego z ludzi Teezala. Wojownik zatoczył się i osunął na kolana, a inny członek czerwonej drużyny skorzystał z okazji i z zapalem przyłożył mu w głowę drewnianym buzdyganem.

Duncan nie tracił czasu na sprawdzanie, co się stało z pierwszą ofiarą. Rzucił się na pozostałych pięciu ludzi Teezala, natarł na nich niczym taran, wymachując na boki ciężkim drewnianym mieczem, łamiąc szyki, wyszukując miejsca nieosłonięte tarczami i waląc z całych sił. Padali jak zboże pod ciosami sierpa. Niektórzy uciekali, ratując połamane członki, inni osuwali się na ziemię nieprzytomni. Duncan był wytrawnym wojownikiem, silnym szybkim i bezlitosnym, podczas gdy drużyna Teezala składała się głównie z niezbyt biegłych w sztuce wojennej zabijaków, których strategia sprowadzała się do atakowania od tyłu, przy znacznej przewadze liczebnej.

Teezal zbyt późno zauważył czerwonego rycerza, który wykańczał jego dzielnych pomocników, prąc do przodu niczym huragan i wymachując mieczem na wszystkie strony, tak szybko, że oko nie potrafiło wychwycić zamazanych ruchów klingi.

Obrócił się, żeby sprawdzić, czy ktoś z jego ludzi przeżył ten gwałtowny atak i nagle znalazł się twarzą w twarz z groźnym rycerzem w kolczudze i kasaku w niebiesko-żółtych barwach Aralda. Rycerz uśmiechnął się i potrząsnął ciężkim drewnianym toporem.

– Co, plan się nie powiódł?

Teezal uświadomił sobie, że przeciwnicy wykazali się większym sprytem od niego. Wybrał sobie za cel współników Aralda, lecz oto sam padł ofiarą tych dwóch wojowników. Z wrzaskiem wściekłości zamierzył się mieczem.

Drewniany topór Farrela był dokładną kopią prawdziwej broni bojowej. Ostrze wykonano w kształcie półksiężyca o mocno wygiętych rogach, dzięki czemu miało duży zasięg uderzenia, a przy tym nie ważyło tyle co zwykłe pełne ostrze. Między górną częścią a rękojeścią było puste miejsce – Farrel pochwycił weń opadający miecz i gwałtownie obrócił, by wytrącić miecz z dłoni przeciwnika.

Teezal patrzył z przerażoną miną, jak jego miecz zatacza łuk w powietrzu. W kolejnej sekundzie dostał po głowie toporem Farrela. Hełm nie potrafił zamortyzować ogromnej siły uderzenia. Oczy Teezala zaszyły mgłą, kolana się pod nim ugięły i osunął się na ziemię.

Zdążył jeszcze zobaczyć postać ubranego na czerwono rycerza, który położył dłoń na ramieniu topornika. Słowa doszły gdzieś z bardzo daleka:

– Zrobione. Znikamy stąd.

Kiedy Teezal stracił przytomność, Farrel i Duncan utorowali sobie drogę wśród czerwonej drużyny, dyskretnie ściągając opaski. Przy trybunie czekała już grupa mężczyzn w brunatno-szarych pelerynach. Szybko okryli podobnymi pelerynami swych dwóch towarzyszy, którzy nagle zniknęli – jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.





Teezal opadł na krzesło w namiocie Morgaratha. Głó wę miał w bandażach, skronie wciąż pulsowały bólem, który towarzyszył mu przez całą noc.

Władca Gorlanu chodził w tę i z powrotem, tak wściekły, że nawet na chwilę nie mógł ustać w miejscu. Stanął nad swym rannym podwładnym i wymierzył w niego palec wskazujący.

– Nie wiem, czy dokładnie to wyjaśniłem – powiedział z sarkazmem – ale cały plan polegał na tym, że ty i twoi ludzie mieliście unieszkodliwić tylu zwolenników Aralda, ilu tylko się da. Dzięki temu ci baronowie, którzy nadal się wahają, przeszliby na moją stronę. Czy twój maleńki mózdek naprawdę nie był w stanie tego pojąć?

– Ależ skądże, panie – mruknął Teezal, kurcząc się w sobie, bo przenikliwy wrzask dodatkowo wzmocnił bolesne pulsowanie w głębi czaszki.

– Zamiast tego zrobiłeś ze mnie pośmiewisko! Pozwoliłeś, by wykończyło was dwóch ludzi. Dwóch ludzi! – wrzasnął.

– Pracowali dla Aralda – odparł Teezal nieszczęśliwym tonem.

Oczywiście, te słowa bynajmniej nie udobruchały Morgaratha. Raczej odniosły odwrotny skutek.

– Ależ to jasne, że pracowali dla Aralda! – ryknął. – A dla kogo niby? Dla Wielkiego Borsuka z Jagódkowa? – Było to imię jego ulubionej postaci z popularnej bajki dla dzieci.

Teezal uznał, i słusznie, że lepiej wstrzymać się od odpowiedzi.

– Musiałem zapłacić niezłą sumkę za ciebie i twoich durnych kamratów. Sądysz, że taki był mój plan?

– Nie, panie – wyszeptał Teezal. Farrel i Duncan nie pojмали Teezala i jego pomocników, za to inni rycerze, walczący po stronie czerwonych, skwapliwie wykorzystali sytuację, zabrali nieprzytomnych rannych mężczyzn z placu boju i uczynili z nich jeńców.

Morgarath zatrzymał się, wniósł zaciśnięte pięści do nieba i potrząsnął nimi z bezsilną wściekłością. W jego planie wcale nie chodziło o to, by pojmać czy pokonać jak największą

liczbę współników Aralda. Chodziło o to, by pokazać niezdecydowanym baronom, że ręka Morgaratha jest długa i bezlitosna. Wyczuwał, że w obecnej sytuacji tych kilku baronów i rycerzy, których poparcie udało mu się zdobyć, teraz zaczyna się wahać. Przeciwnik okazał się sprytniejszy i ośmieszył go na oczach publiczności.

Co gorsza, jego siedmiu ludzi legło pod ciosami zaledwie dwóch wojowników. W jednym z nich rozpoznał Farrela, zwiadowcę z lenna Redmont, którego próbował zdyskredytować. Drugim był jakiś mężczyzna w czerwonej tunice i srebrnej kolczudze. Wydawał się znajomy, ale Morgarath na razie nie umiał go zidentyfikować.

Teraz będzie musiał uciec się do drastycznych środków, by odbudować swoją pozycję i prymat wśród baronów. Na szczęście, te drastyczne środki szły w parze z wcześniejszymi planami.

Spojrzał na żalostną postać skuloną na krześle.

– Wynoś się! – warknął. – Przyślij tu moich zbrojmistrzów. Sam muszę to załatwić. Jak zwykle zresztą.

Teezal ostrożnie zerknął do góry i zaczął się podnosić z krzesła. Skurczył się lekko. Morgarath był nieobliczalny.

– Panie, co zamierzasz? – spytał drżącym głosem.

Morgarath przeszył go bazyliżkowym wzrokiem, aż Teezal poczuł ciarki wzdłuż kręgosłupa. Jeszcze nigdy nie widział w czyichś oczach takiej nienawiści.

– Zamierzam wyzwać Aralda na pojedynek. To on za tym wszystkim stoi. To wokół niego zbierają się moi przeciwnicy. To on ich zachęca, by mnie nie słuchali. A więc wyzwę go i zabiję.

– Ale... jak? To przecież turniej. Obowiązują zasady...

– A wypadki się zdarzają. Wezwę go pod warunkiem, że walczymy *à résultat final*. Nie odmówi, bo straciłby szacunek w oczach popleczników.

– Ale nawet jeśli... – zaczął Teezal. Galijski termin *à résultat final* tłumaczono „aż do końca”. Znaczył on, że nawet jeśli któryś z zawodników spadł z konia, walka trwała, póki jeden z nich nie zyskał całkowitej przewagi. Zwykle w praktyce znaczyło to: dopóki któryś się nie poddał. A czasami: do śmierci.

Morgarath planował drugą wersję.



Arald odpoczywał w swoim namiocie. Poprzedniego dnia przyjął wyzwanie od młodego niedoświadczonego rycerza, który pragnął zdobyć sławę, walcząc z aktualnym mistrzem.

Bynajmniej nie traktował tego wyzwania jako złośliwości, czuł wręcz, że jest jego obowiązkiem – podobnie jak wszystkich starszych rycerzy obecnych na turnieju – dać młodym ludziom szansę, by próbowali swych sił i zdobywali doświadczenie w sztuce wojennej.

Potykali się pięć razy, za każdym razem krusząc kopie. Arald mógł w dowolnej chwili wysadzić przeciwnika z siodła, lecz nie o to przecież chodziło podczas turnieju. Później zaprosił młodego człowieka na pogawędkę, omówił błędy w technice i doradził, jak ją poprawić. Nowicjusz pożegnał się z wdzięcznością, świadom, że mistrz potraktował go niezwykle łagodnie.

Wejście do namiotu stało otworem, do środka wpadał przyjemny powiew. Arald

pomyślał, że Gorlan to wspaniałe ziemie, położone w części królestwa, cieszącej się najprzyjaźniejszym klimatem. Zimą nigdy nie panowały tu zbyt wielkie mrozy, a w okolicach święta Jul śnieg malowniczo zdobił korony drzew. Latem zaś nigdy nie dokuczał upał.

Aż szkoda, że tak piękne miejsce znajdowało się pod władaniem okrutnego mordercy.

Ale, dodał w myślach Arald, może już niedługo.

Głowa opadła mu na pierś i zasnął.

– Panie! – Czyjś głos wyrwał go ze snu. Arald drgnął, otworzył oczy i ujrzał jednego z uczniów Szkoły Rycerskiej. Chłopak wyciągał rękę w stronę odległego krańca pola, na którym rozgrywał się turniej.

– Hm, co my tu mamy? – mruknął Arald. W jego stronę jechał Morgarath, jak zwykle ubrany na czarno, dosiadający swego potężnego wierzchowca, imieniem Warlock.

Arald podniósł się niespiesznie. Wiedział, kogo Morgarath zamierza wyzwać na pojedynek. Czarny rycerz dojechał na kraniec pola, ściągnął wodze, aż Warlock przeszedł z galopu do stępa.

Sposób, w jaki poruszał się koń, robił dziwnie złowrogie wrażenie. Żadnych podskoków. Zero nerwowego drobienia. Żadnego ciągnięcia za wodze. Wielki siwek kroczył całkowicie spokojnie i nieubłaganie. Morgarath skrywał twarz pod zamkniętą przesłoną – czym naruszał obowiązujące reguły. Zawodnicy mieli obowiązek stawać przed potencjalnymi oponentami z odkrytą twarzą.

Dojechawszy do słupa, na którym wisiała tarcza Aralda, Warlock się zatrzymał. Morgarath nie wykonał przy tym żadnego ruchu ani nie wydał polecenia – zapewne wstrzymał konia niedostrzegalnym uciskiem łydek.

Uderzył kopią w zawieszoną wysoko tarczę. I znów złamał protokół – zasady wyraźnie mówiły, że należy jej tylko lekko dotknąć. A Morgarath walnął z całej siły, aż rozległ się głośny brzęk, gdy grot kopii zderzył się mocno z metalową powierzchnią.

Arald miał świadomość, że tej scenie przygląda się spory tłum. Niektórzy specjalnie przyszli tutaj w ślad za Morgarathem, inni powychodzili przed stojące w pobliżu namioty.

Kilka osób stłumionym głosem komentowało uderzenie w tarczę, ale szybko zamilkły, w oczekiwaniu na dalszy ciąg wydarzeń.

– Araldzie z Redmont, wyzywam cię na pojedynek – zagrzmiął głos Morgaratha we wnętrzu hełmu.

Arald wzruszył ramionami i oparł się o słup, podtrzymujący namiot w przedniej części.

– A kimże jesteś, o czarny złowieszczy ptasiorze? – rzucił swobodnie. Kilka osób zachichotało, ale zaraz umilkło, kiedy czarny hełm obrócił się ku nim, zapewne by zapamiętać ich twarze.

– Dobrze wiesz, kim jestem! – warknął czarny rycerz. – Jestem Morgarath, władca Gorlanu, rycerz tego królestwa, lojalny poddany króla Oswalda z Araluenu.

– W takim razie przyjmuję wyzwanie – odparł Arald.

Publiczność milczała. Niektórzy spodziewali się, że Arald nie zgodzi się na walkę. Miał do tego prawo jako obecny mistrz. Mógł odrzucać propozycje aż do ostatniego dnia turnieju, kiedy to miał obowiązek bronić tytułu i stanąć do walki z każdym, kto posiadał odpowiednie kwalifikacje.

– Pojedynek odbędzie się *à résultat final* – dodał Morgarath. Wśród zebranych przeszedł

szmer. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że w przypadku tego człowieka *le résultat final* rzeczywiście oznacza „do końca”.

– Niczego innego bym sobie nie życzył – odparł Arald i posłał przeciwnikowi ponury uśmiech.



**D**o rozpoczęcia walki między Araldem i Morgara them brakowało jeszcze kilku godzin, ale na miejsce już napływał tłum, wszyscy szukali jak najlepszych miejsc na trybunach. Walka między obecnym mistrzem a rycerzem, który w przeszłości zdobył ów tytuł aż pięć razy, zapowiadała się bardzo ekscytująco i nikt, czy to pochodzenia szlacheckiego czy pospolitego, nie chciał jej przegapić. Smaczku całej rywalizacji dodawał fakt, że od kilku dni obaj baronowie mieli zdecydowanych zwolenników i przeciwników.

Morgarath cieszył się mocnym poparciem wśród baronów. Popularnością wśród zwykłych ludzi nie mógł się jednak pochwalić. Uchodził za okrutnego i pysznego władcę, który nie dba o służbę ani o chłopów pańszczyźnianych i pracowników, uprawiających jego ziemie. Słynał jednak z wielkich umiejętności w sztuce władania kopią i mieczem, toteż wielu było skłonnych wybaczyć mu wady charakteru w zamian za przyjemność oglądania go podczas walki. Zawsze warto popatrzeć na wyczyny mistrza, nieważne, jaki jest prywatnie.

Arald, przeciwnie, był człowiekiem wesołym i przystępnym. Dbał o potrzeby swoich ludzi i pilnował, by niczego im nie brakowało. W dodatku słynał z żywiołowego poczucia humoru, a na jego twarzy często gościł uśmiech. Cieszył się sympatią, a jeśli chodzi o umiejętności, właściwie nie ustępował Morgarathowi. Wielu obserwatorów uważało, że są świadkami zmiany gwardii i że młodszy Arald zastąpi Morgaratha w roli najprzedniejszego rycerza w całym królestwie.

W dół wzniesienia, od Zamku Gorlan w stronę pola, na którym odbywał się turniej, wciąż splotła ludzka fala, z każdą chwilą coraz gęstsza i gęstsza. Wszyscy nieśli poduszki i kosze piknikowe, a niektórzy nawet dźwigali na ramionach beczułki z piwem.

Tak jak Pritchard przewidział, w zamku nie było prawie nikogo, każdy, kto nie miał pilnej pracy do wykonania, spieszył oglądać turniej. Pritchard podejrzewał, że chociaż większość mieszkańców zamku popiera Morgaratha, znalazłoby się również sporo takich, którzy w duchu marzą, by zobaczyć, jak wysoki czarny rycerz pada pokonany na ziemię.

Szedł pod górę, pod prąd płynącej ludzkiej fali, z pochyloną głową, starając się nie

zwracać na siebie uwagi. Przemknął przez most zwodzony i pod opuszczaną kratą, prędkim krokiem przeciął wewnętrzny dziedziniec i wszedł do głównej wieży – ale nie wejściem, za którym mieścił się westybul, tylko bocznymi schodkami, prowadzącymi do części, w której znajdowały się pomieszczenia robocze i całe zaplecze: kuchnie, spiżarnie i magazyny, komórki, pralnia. W ciągu poprzedniego tygodnia dobrze się z nimi zaznajomił i teraz bez wahania, pochylając głowę i zasłaniając twarz, ruszył do ogromnej pralni, gdzie czyszczono ubrania wszystkich pracowników.

Tego dnia wielkie kadzie stały puste, paleniska, przy których suszono ubrania, były zimne i wypełnione szarym popiołem. Służba zatrudniona w pralni, podobnie jak wielu innych pracowników, uznała turniej za dobry pretekst do odpoczynku. W koszach leżały kłęby brudnych ubrań i bielizny, na długich stołach sosnowych, biegnących wzdłuż ścian, piętrzyły się stosy świeżo wypranych rzeczy.

Pritchard podszedł do stosu lnianych tunik, ozdobionych szachownicą w barwach Morgaratha – złota i czerni. Były to codzienne uniformy pracujących na zamku służących, ochmistrzów i urzędników. Chwycił trzy takie komplety, zwinął, wsadził pod poszarpany płaszcz włóczędzy i prędko opuścił pomieszczenie.

Szybko pokonał drogę w dół wzgórza, teraz niesiony falą tłumu. Na dole przebił się na sam skraj, odłączył od reszty i skierował w stronę szopy, stojącej w pewnym oddaleniu od pola, na którym rozgrywał się turniej.

Rozejrzał się dokoła, sprawdzając, czy nikt nie patrzy, łokciem pchnął drzwi – rano otworzył je z klucza – i wszedł do środka. Halt i Crowley już na niego czekali. Rzucił im dwie tuniki, a trzecią sam włożył, ściągnąwszy żebracze łachmany.

– Przynieśliście kosz? – zapytał.

Crowley wyciągnął rękę, wskazując kosz na jedzenie, w którym leżał pognieciony obrus, kilka lnianych serwetek oraz stos drewnianych talerzy i kielichów. Prócz tego był tam ten duży półmisek ze specjalną kopulastą przykrywką, których się używa, żeby jedzenie nie stygło. Całości dopełniała pusta beczułka po winie. Gdyby ktoś ich zaczepił podczas wyprawy do zamku, mieli powiedzieć, że szambelan Morgaratha wysłał ich po świeże zapasy. Było mało prawdopodobne, że ktoś okaże się tak dociekliwy, ale w podobnych sytuacjach zawsze lepiej mieć wiarygodne wytłumaczenie. I zawsze dobrze się powołać na jakąś ważną osobę.

Pritchard przyjrzał się towarzyszom, po czym poprawił wywinięty kołnierz przy tunice Halta.

– Elegancki jak zawsze – powiedział. Halt zignorował uwagę.

Pritchard, zadowolony z wyników oględzin, wskazał kciukiem na drzwi.

– Ruszamy – zarządził.

Tłum, zmierzający w dół wzgórza, przerzedził się, więc dość szybko dotarli na miejsce. Wartownicy przy moście obojętnie spojrzeli na pusty kosz i beczułkę, którą Halt niósł na ramieniu, i wrócili do dysputy na temat zbliżającego się pojedynku. Mieli kwaśne miny, że muszą zostać w pracy, ale przynajmniej zdążyli postawić pieniądze na Morgaratha. Widzieli go podczas walki i nie mieli najmniejszych wątpliwości, że to on zwycięży.

Tak jak poprzednio, kiedy tylko minęli dziedziniec, Pritchard poprowadził Halta i Crowleya do bocznego wejścia. Tym razem skierował się do kuchni. Zajrzał do środka zza uchylonych drzwi i stwierdził, że nikogo tam nie ma. Tego dnia posiłki dla Morgaratha i jego



przybocznych gotowano w kuchni polowej. A jeśli ktoś jeszcze zgłodniał, musiał poczekać do końca pojedynku.

Pritchard wyłożył zawartość kosza na szeroki sosnowy stół. Na samym dnie leżała drewniana taca. Postawił na niej półmisek z przykrywką, talerz, kielich i niedużą butelkę wina, obok położył serwetkę. Rozejrzał się, na sąsiednim stole zobaczył drewnianą łyżkę, również położył ją na tacy.

– Weź to – zwrócił się do Halta.

Halt posłusznie podniósł tacę z pustymi naczyniami i wyszedł za Pritchardem z kuchni. Przecięli westybul i ruszyli schodami, prowadzącymi do wschodniej wieży. Crowley zamykał pochód, od czasu do czasu obracał się i sprawdzał, czy nikt ich nie obserwuje.

Szybkim krokiem pokonywali schody, bezgłośnie stąpając w swoich miękkich butach. W pewnym momencie Halt spytał szeptem:

– A nie zdziwią się, że to nie służąca przyniosła jedzenie?

Crowley kiwnął głową.

– Dlatego zaplanowaliśmy naszą drobną akcję na wieży – odparł. – W ten sposób odwrócimy ich uwagę.

– Miejmy nadzieję – powiedział posępnie Halt.

– Na pewno się uda – stwierdził Pritchard.

Crowley położył dłoń na rękojęści saksy pod czarno-żółtą tuniką.

Halt pomyślał, że z zamkami zawsze jest ten sam problem – pełno w nich schodów. Gdyby tak ktoś wreszcie zaprojektował zamek parterowy, to by im oszczędziło wiele wysiłku. Ale dalej wspinał się dzielnie, biorąc po dwa stopnie naraz.

– Jeszcze jedno piętro – szepnął Pritchard za jego plecami.

Halt przystanął na podeście, by uspokoić oddech i zebrać myśli. Pritchard podszedł blisko do niego i powiedział cicho:

– My zaczekamy u wylotu korytarza. Ty podejdziesz z tacą do drzwi. Znajdują się po prawej stronie, dziesięć metrów dalej. Pilnuje ich dwóch strażników.

Halt kiwnął głową. Miał ochotę zapytać: „A jeśli będzie ich więcej?”, czuł jednak, że Pritchard poradziłby tylko: „Improvizuj”. Ruszył pod górę, w nieco spokojniejszym tempie. Słyszał za sobą ciche kroki przyjaciół. W końcu dotarł do szczytu schodów, znalazł się w korytarzu i skręcił w prawo. Rzeczywiście, zgodnie ze słowami Pritcharda komnaty pilnowało dwóch ludzi. Siedzieli na krzesłach po obu stronach solidnych drewnianych drzwi, wzmocnionych żelaznymi okuciami, pod czarno-żółtą tuniką każdy z nich nosił kolczugę, a u pasa krótki miecz. Nie mieli hełmów, a czepce od kolczugi opadały luźno wokół szyi. Dwie halabardy stały oparte o ścianę.

Mężczyzna, siedzący bliżej schodów, zaczął się podnosić. Zmarszczył brwi i położył dłoń na rękojęści miecza, lecz na razie go nie wyciągał.

– Hej, coś ty za jeden? – spytał. – Gdzie jest Nelly?

Halt domyślił się, że chodzi o dziewczynę, która zwykle przynosiła Oswaldowi posiłki. Skrzywił się i odparł:

– Powiedziała, że jest chora. Moim zdaniem poleciała na turniej popatrzeć, jak lord Morgarath daje popalić temu tłuściochowi, Araldowi z Redmont.

Drugi strażnik również wstał. Wiedział, że każdą zmianę w codziennej rutynie należy

traktować podejrzliwie. Służył Morgarathowi od piętnastu lat i sporo zapłacił za tę lekcję.

– Nikt nam nie mówił... – zaczął, ale w tym momencie coś odwróciło jego uwagę. Oto u szczytu schodów pokazał się wściekły Pritchard. Ciężko dyszał, zmęczony wspinaczką na wieżę, i oskarżycielsko mierzył palcem w Halt. Strażnik zauważył, że nieznajomy ma na szyi łańcuch i medalion przypisany wyższej rangą służbie – Pritchard wykonał go poprzedniego wieczoru.

– Ty tam! – wrzasnął Pritchard. – Co ty wyprawiasz? Wracaj tu natychmiast!

Halt odwrócił się w stronę wściekłego mężczyzny z przestraszoną miną.

– Przyniosłem jedzenie więźniowi, nic poza tym.

Pritchard zamachał rękami i ruszył w jego kierunku. W tym momencie u szczytu schodów pojawił się Crowley.

– Mówiłem ci przecież! – darł się Pritchard. – Lord Morgarath nakazał, by dzisiaj nie dawać więźniowi jedzenia!

– Człowiek musi coś jeść – odparł Halt.

Pritchard przywołał Crowleya pstryknięciem palców i wskazał na tacę.

– Ridley! Zabierz to!

– Tak jest, mistrzu Wildom – powiedział Crowley i podszedł bliżej do Halta. I przy okazji, rzecz jasna, do strażników.

Ci, szczerząc się od ucha do ucha, z radością obserwowali kłótnię służących. Żołnierze Morgaratha traktowali służbę z lekką pogardą. Uważali ich za ludzi, którzy wiodą łatwe i wygodne życie, tuczą się kąskami z kuchni i nigdy nie narażają się na niebezpieczeństwo. Tak, żołnierze i służący stanowczo za sobą nie przepadali.

– Toś mu powiedział, dziadku – rzucił jeden z nich.

Crowley wyciągnął ręce po tacę, ale Halt odwrócił się w drugą stronę.

– Oddaj! – zażądał Crowley, robiąc groźną minę.

– Przestań się wygłupiać, Massey! – krzyknął Pritchard. – Oddaj mu tacę!

Halt popatrzył na nich spođe łba.

– Jak tak bardzo chcesz, to łap – powiedział do Crowleya i cisnął tacą o podłogę. Talerze i pokrywka uderzyły o kamienną posadzkę, poleciały do góry i opadły z ogłuszającym brzękiem. Strażnicy wybuchnęli śmiechem, widocznie rozbawieni kapryсами Halta. Nagle jeden z nich zauważył, że naczynia są puste.

– Hej – powiedział – tu nie ma jedzenia...

Nic więcej nie zdążył dodać, bo w tym momencie Halt przyłożył mu w szczękę mocnym lewym sierpowym. Strażnik padł jak długi. Jego kolega, oszołomiony i przerażony, sięgnął do rękojeści miecza, lecz nie zdążył go dobyć, bo Crowley obrócił się na pięcie i wsadził mu łokieć w splot słoneczny, a kiedy strażnik zgiął się w pół, głośno wypuszczając powietrze, przywalił mu splecionymi dłońmi w odsłonięty kark. Strażnik dołączył do swego towarzysza, twarzą w dół.

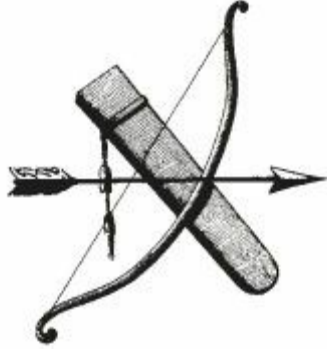
Halt nie czekał na Crowleya. Przyskoczył do drzwi. Wielki klucz tkwił w zamku. Właściwie nic dziwnego. Po co go chować, skoro wejścia pilnuje dwóch strażników? Przekręcił go bez trudu – zamek był dobrze naoliwiony – a potem pchnął drzwi i wszedł do środka, Crowley i Pritchard tuż za nim.

Znaleźli się w obszernym ciemnym pomieszczeniu. Okna zasłonięto okiennicami i do

wnętrza wpadały jedynie skąpe promienie słońca, przesiane przez szpary w drewnie. Pośrodku stały sosnowy stół i krzesło, a w głębi pod ścianą wąskie łóżko. Siedział na nim starszy mężczyzna, o długich potarganych włosach i brodzie. Patrzył na nich z przerażeniem w oczach. Hält pomyślał, że wygląda na ciut nieprzytomnego.

Crowley podszedł do łóżka, przyklęknął na jedno kolano, wziął w swoje dłonie chude pomarszczone dłonie więźnia i przemówił miękkim uspokajającym tonem:

– Proszę z nami, wasza wysokość. Jesteśmy królewskimi zwiadowcami, przyszliśmy cię uwolnić.





**D**waj zawodnicy czekali na przeciwległych krańcach szranków. Mieli zamknięte przyłbice i siedzieli na koniach całkowicie nieruchomo. Przypominali metalowe posągi: Morgarath cały w czerni, nie licząc dwóch złotych błyskawic, na piersi i tarczy, Arald w oślepiającym błękicie, z emblematem w kształcie złotej głowy dzika na tarczy.

Wśród zebranych zapadła całkowita cisza. Baron Naylor z Taftu stanął pośrodku, zwrócony twarzą w kierunku trybuny dla arystokracji.

Kiwnął głową, dając znak heroldowi. Jaskrawo odziany mężczyzna uniósł długą trąbkę do ust i wydobył z niej przejmujący dźwięk – sygnał nakazujący ciszę, chociaż w tym przypadku był on całkowicie zbędny, wszyscy i tak milczeli. Ale stanowił część ceremoniału.

Naylor, obdarzony donośnym głosem – i między innymi z tego powodu wybrany na Wielkiego Marszałka – ryknął z całych sił:

– Panie, panowie, szlachetni rycerze i wszyscy mieszkańcy królestwa Araluenu! Przed nami pojedynek między Morgarathem, baronem Ienna Gorlan i Araldem, baronem Ienna Redmont. – Urwał, wziął głęboki wdech i podjął: – Wyzwanie rzucił lord Morgarath, lord Arald je przyjął. Uzgodnili, że będą się potykać *à résultat final*.

Wśród tłumu przeszedł szmer podekscytowania – szczególnie wyraźny na trybunie po wschodniej stronie. Wiele osób słyszało pogłoski na ten temat, ale dopiero teraz potwierdzono je oficjalnie.

Naylor zmarszczył brwi. Był nieco nadęty i nie lubił, by mu przeszkadzano. Odwrócił się i spojrzał na hałaśliwą publiczność. „Jak stado szpaków o zachodzie słońca”, pomyślał. Szum rozmów nie ustał, mimo jego groźnych spojrzeń. Niecierpliwie machnął buławą marszałkowską, dając znak stojącemu obok heroldowi. Znow rozległ się ogłuszający dźwięk trąbki i wreszcie zapadła cisza.

Naylor przeniósł wzrok na Morgaratha. Warlock jak zwykle czekał, spokojny i nieporuszony.

– Lordzie Morgarath, czy jesteś gotowy?

Twarz barona całkowicie zakrywał hełm. Wiedząc, że jego głos będzie zduszony, w odpowiedzi wysoko uniósł kopię, po czym umieścił ją z powrotem w prawym strzemieniu.

Następnie Naylor zwrócił się do Aralda:

– Lordzie Arald, czy jesteś gotowy?

Arald powtórzył gest Morgaratha. Barnaby, jego wierzchowiec, machnął ogonem, by przegonić natrętne muchy. Mięsień na jego lewej łopatce zadrżał. Poza tym koń stał nieruchomo, tak jak wierzchowiec Morgaratha.

Naylor kiwnął głową i ruszył w stronę zachodniej trybuny, oddając pole zawodnikom. Odwrócił się, spojrzął na nich i uniósł buławę, przekazując sygnał heroldom.

Ci unieśli trąbki do ust i rozległ się potrojony dźwięk, wzywający do rozpoczęcia walki. Kiedy ucichła ostatnia nuta, Arald i Morgarath spięli konie i ruszyli do ataku. W tej samej sekundzie tłum zaczął wiwatować. Tu i tam dało się rozpoznać okrzyki, zachęcające Aralda bądź Morgaratha, lecz większość zebranych po prostu dawała wyraz radości i podekscytowaniu.

Potężne zwierzęta parły przed siebie, prężąc muskuły, by wydobyć z nich maksymalną prędkość i moc, tętent kopyt stopniowo przybierał na sile, w powietrze leciały kawałki wyrwanej murawy.

Kiedy zawodnicy opuścili kopie, tłum zaczął krzyczeć jeszcze głośniej. Niektórzy zakładali się, że już podczas pierwszego starcia jeden z jeźdźców – albo i obu – wyleci z siodła. Wszyscy siedzieli wychyleni do przodu, niecierpliwie czekając na rozwój wydarzeń.

Wreszcie rozległ się ogłuszający trzask drewna i metalu – konie prawie otarły się o drewniane szranki. W pierwszym starciu każdy z zawodników jedynie uderzył kopią w tarczę przeciwnika. W ten sposób oceniali wzajemnie swoją siłę, precyzję i balans. Kopie utkwiły w zagłębieniach tarcz, wygięły się niczym drzewce łuku, by zaraz, w tym samym momencie, roztrzaskać się na drzazgi, których deszcz spadł na obu jeźdźców.

Rozległy się gromkie niezadowolone okrzyki tych, którzy mieli nadzieję, że pierwsze starcie okaże się decydujące – ale zaraz zagłuszył je chór głosów, tych szlachetnych i tych pospolitych, razem zagrzewających zawodników do walki.

Przy pierwszym starciu Arald poczuł ogromną siłę uderzenia, która o mało nie wysadziła go z siodła. Rzucił się do przodu, by ją przeciwważyć, mocno ścisnął konia nogami. Tę samą siłę czuł w drzewcu własnej kopii: wbitej w tarczę Morgaratha.

Od poprzedniego pojedynku z czarnym baronem minął rok. Arald zdążył zapomnieć, czym to smakuje. Przez chwilę był niemal pewny, że zaraz wyląduje na ziemi. Ale potem obie kopie rozpadły się na kawałki i napięcie puściło. Potrząsnął głową. Mało brakowało, pomyślał. Czuł jednak, że cios jego kopii niemal dorównywał siłą kopii przeciwnika.

Morgarath zaklął. Arald uderzył naprawdę mocno – czegoś takiego Morgarath się nie spodziewał. W ciągu kilku ostatnich lat pojedynkował się od czasu do czasu, ale żaden z jego przeciwników nie wykazał się podobnymi umiejętnościami ani determinacją. Po raz pierwszy poczuł lekkie ukłucie niepokoju. Jeszcze nie lęku – ale uświadomił sobie, że nie powinien lekceważyć Aralda. Że popełnił błąd.

Wiedział, że trafił niemal idealnie w środek tarczy. Większość rycerzy po takim ciosie wyleciałaby z siodła. A w tym przypadku przeciwnik nawet się nie zachwiał. Morgarath pomyślał, że może powinien zmienić taktykę. Odrzucił kikut strzaskanej kopii. Arald zrobił to

samo. Potem obaj zawrócili konie.

Kary rumak Aralda stanął dęba, lecz jeździec bez trudu go uspokoił. Zaczekał, aż asystent poda mu nową kopię. Marszałek podszedł bliżej i zawołał do Aralda:

– Jesteś gotowy?

– Jestem – odparł Arald, dziwnie zduszonym i głuchym głosem, jakby należącym do kogoś innego. Zapatrzył się przez zamazaną kratkę w przyłbicy na przeciwległy kraniec pola. Morgarath właśnie udzielił tej samej odpowiedzi. Obaj marszałkowie unieśli buławy, a heroldowie zadęli w trąbki.

Znów okrzyki wiwatujących zmieszały się z tętentem kopyt. Obaj rycerze popędzali zwierzęta, by uzyskać jak największą siłę uderzenia. Nie odrywał wzroku od czubka kopii Morgaratha, opuszczonej do pozycji poziomej. Nagle dostrzegł nieznaczny ruch. Podejrzewał, że Morgarath będzie próbował zakończyć pojedynek jak najszybciej, że wykorzysta całe swoje umiejętności i precyzję, by zadać decydujący cios. Ale teraz czubek kopii nagle się uniósł i wymierzył w przyłbicę Aralda. Dzielilo ich zaledwie kilka metrów.

W dziewięciu przypadkach na dziesięć Morgarathowi by się udało. Ale Arald w porę zauważył podstępny ruch, błyskawiczny refleks uratował go przed porażką. Wciąż mierząc kopią w środek tarczy Morgaratha, przechylił się lekko w prawo, tak że kopia czarnego rycerza ześliznęła się po jego lewym ramieniu. Ułamek sekundy później kopia Aralda uderzyła w tarczę i skruszyła się z ogłuszającym traskiem.

Morgarath, gdy jego cios nie napotkał oporu, zachwiał się mocno w siodle, ale zaraz odzyskał równowagę i pocwałował dalej.

Widownia szalała. W zwykłej potyczce to, co się stało przed chwilą, oznaczałoby zwycięstwo Aralda. Udało mu się skruszyć kopię, jego przeciwnikowi – nie. Jednakże tym razem walka miała się toczyć *à résultat final*, więc nie miało to większego znaczenia. Owszem, Arald mógł sobie pogratulować sukcesu, ale to wszystko.

Kazał zwolnić Barnaby'emu, który ciężko dyszał z wysiłku, i skierował go na kraniec szranków, rzucił kikut kopii na ziemię i przyjął nową z rąk pomocnika. Nagle zauważył, że Morgarath również odrzucił kopię. Zmarszczył brwi, nieco zdumiony. Kopia w żadnym stopniu nie ucierpiała. Po co ją zmienił? Czarny rycerz sprawdził czubek nowej kopii, zważył ją w rękach, po czym i tę odrzucił.

Może go zdenerwowałem, pomyślał Arald. Rozważał, czy tym razem również nie spróbować uderzenia w hełm, ale zaraz odrzucił ten pomysł. Morgarath był chytry i z pewnością przewidziałby taki ruch. Lepiej trzymać się tego, co dotychczas, powiedział sobie Arald w myślach. Dwa mocne ciosy w tarczę osłabiły Morgaratha. Trzeci być może załatwi sprawę ostatecznie.

– Baronie Araldzie! Jesteś gotów? – zapytał marszałek. Arald uświadomił sobie, że to pytanie już padło, a on nie dał na nie odpowiedzi. Przestań bujać w obłokach, upomniał się w duchu.

– Tak jest – odparł.

Morgarath zaś chyba wreszcie znalazł odpowiednią kopię. Potrząsnął nią kilka razy, sprawdzając ciężar i balans. Na pytanie marszałka również odpowiedział, że jest gotów. Warlock zaczął zarzucać łbem i niecierpliwie drobić w miejscu, podniecony walką i chętny do kolejnej szarży. Morgarath ściągnął wodze, próbował go uspokoić.

Znów uniosły się marszałkowskie buławy. Znów zagrały trąbki. I znów dwaj rycerze ruszyli do walki, dźgając boki wierzchowców, popędzając je do jeszcze większego wysiłku.

Ziemia po obu stronach szranków była teraz rozdeptana i nierówna. Podkute kopyta koni zostawiły wyraźny szlak, bardziej brązowy niż zielony. Wokół leżały kępy wyrwanej trawy. Ale nierówne podłoże w żadnym stopniu nie zmniejszyło energii i entuzjazmu rumaków. Parły przed siebie, nie potrzebowały nawet ręki jeźdźca, by zmierzać do celu. Były stworzone i trenowane do walki i pragnęły tylko jednego: zniszczyć przeciwnika, rozwalić na kawałki, zostawić na ziemi, krzyczącego z bólu i frustracji.

Arald znów wyraźnie słyszał swój chrapliwy oddech – i przyspieszone bicie serca pod kolczugą. Pochylił się do przodu, mocno ścisnął udami boki Barnaby'ego.

Tętent kopyt. Wrzask tłumu. Morgarath za rozmazaną kratką przyłbicy, coraz bliżej i bliżej, koniec kopii opuszczony. Tym razem całkowicie nieruchomy. Arald wiedział, że teraz celem jest jego tarcza, przygotował się na zderzenie, gotów na nie odpowiedzieć.

Tym razem go załatwię, pomyślał.

Starli się, przy wtórze jakże znanego trzasku drewna o metal. Arald poczuł, jak jego kopia wygina się i rozpada. Usłyszał deszcz odłamków sypiących się na przyłbicę.

Ułamek sekundy później kopia Morgaratha trafiła w jego tarczę i Arald uświadomił sobie, że dzieje się coś złego. Coś bardzo złego.



**A**rald odbył setki pojedynków – podczas treningów, przyjacielskich potyczek i podczas bitew na śmierć i życie. Potrafił bezbłędnie odróżnić cios kopią używaną podczas turniejów, zaprojektowaną tak, by rozbiła się przy uderzeniu o tarczę, i zakończoną okrągłą drewnianą główką, od ciosu kopią bitewną, przeznaczoną do tego, by przebijać tarcze i zabijać.

Morgarath posłużył się tą ostatnią.

W powietrze uniosła się chmura pyłu – to rozpadła się gliniana końcówka skrywająca żelazny grot, który wbił się głęboko w tarczę, wyrywając głęboką dziurę w warstwie metalu okrywającej drewno. Ciężkie dębowe drzewce nie ugięło się i nie roztrzaskało na kawałki, trzymało mocno i wpychało grot coraz dalej w powierzchnię tarczy. Arald poleciał do tyłu, potężne uderzenie sprawiło, że jego wierzchowiec aż przysiadł, a Morgarath uniósł się w strzemiączkach, wzmacniając nacisk całym ciężarem swego ciała, tak że grot wchodził coraz głębiej i głębiej.

Arald próbował wysunąć stopy ze strzemiączek. Barnaby zarżał z bólu i złości, a potem padł na bok, unieruchamiając prawą nogę Aralda pod swym potężnym cielskiem. Próbował się podnieść, ale upadek osłabił jego siły, a ciężar jeźdźcy i siodła utrudniał ruchy. W dodatku przy upadku mocno uderzył się w łopatkę. Leżał bezradnie na boku, kopiąc w powietrzu, na próżno próbując się podnieść.

Arald próbował wysunąć się spod wierzchowca, lecz przygniatający go ciężar okazał się zbyt wielki. Lewym ramieniem wciąż przytrzymywał rozbitą tarczę, w dłoni ściskając wodze. Doskonale wiedział, że jeśli Barnaby zdoła się podnieść, dla niego może to oznaczać śmierć pod kopytami. Chwycił wodze obiema dłońmi i, przytrzymując konia tak, żeby nie wstał, próbował wysunąć się spod ciężkiego cielska.

Odwrócił się i zobaczył, jak Morgarath zakręca na końcu szranków i rusza z powrotem w jego stronę. Pomyślał, że jeszcze zdąży, jeszcze ma trochę czasu. Lewą nogą desperacko napierał na siodło, by uwolnić prawą.

Morgarath przechylił się i wyciągnął z pochwy potężny miecz, stal z sykiem otarła się o



skórę. Zsunął czarno-żółtą tarczę z ramienia, cisnął ją w trawę. A potem odwrócił się w stronę zachodniej trybuny.

– *A résultat final* – zakrzyknął, przypominając ustalone warunki. Następnie ruszył w stronę wciąż leżącego na ziemi przeciwnika, wielki miecz uniósł w obu rękach nad głową.

Arald uświadomił sobie, że się przeliczył. Wypuścił wodze z ręki. Ale Barnaby nie mógł się ruszyć, do cna wyczerpany, leżał tylko, jęcząc i prychnając, już nawet nie próbował się podnieść.

Wielka klinga z sykiem przecięła powietrze. Arald leżał bezradnie na ziemi, nie mógł dobyć miecza, ponieważ przygniatał go własnym ciałem, do obrony została mu tylko lekka tarcza. W desperackim odruchu zablokował nią miecz Morgaratha, poczuł, jak ostrze przecina metal i rozbija drewnianą ramę na kawałki. Siła uderzenia ściągnęła tarczę w dół. Morgarath przez chwilę siłował się, by wyciągnąć miecz spomiędzy roztrzaskanego drewna i metalu. Szarpnął mocno, uwalniając ostrze, przy okazji rozciął skórzane pasy i tarcza potoczyła się na ziemię.

Arald był zdany na jego łaskę. Morgarath znów się zamierzył i zakręcił mieczem pod kątem czterdziestu pięciu stopni, mierząc w punkt, gdzie ramię Aralda łączyło się z szyją. Arald zamknął oczy, czekając na rychły koniec.

Ale cios nie nastąpił.

Morgarath poczuł wibrujący ból w ramieniu i usłyszał uderzenie stali o stal – coś zablokowało jego miecz. Oderwał wzrok od bezradnego przeciwnika unieruchomionego pod ciężarem wierzchowca i zobaczył, że do walki włączył się ktoś jeszcze – wysoki mężczyzna w czerwonej tunice i lśniącej kolczudze. Na głowie miał płaski walcowaty hełm z wydłużoną płytką, która osłaniała nos i część twarzy – i nie pozwalała rozpoznać rysów.

Ciężki miecz kawaleryjski zablokował morderczy cios Morgaratha. Mocna dłoń rycerza wstrzymała długie śmiertelne ostrze w połowie drogi – mimo całej siły Morgaratha, stojącej za uderzeniem.

Morgarath wrzasnął z wściekłości i zrobił krok w tył, wymierzył w rycerza oskarżycielski palec.

– Nie masz prawa! To jest honorowy pojedynek, nikt nie ma prawa się weń mieszać!

– Z całą pewnością nie honorowy – odparł tamten. – Złamałeś reguły, obowiązujące podczas turnieju. Posłużyłeś się kopią zakończoną grotem.

Jego głos docierał bez trudu do trybun po obu stronach. Tłum, początkowo milczący, po tych słowach zaczął huczeć. Wszyscy widzieli, że kopia Morgaratha się nie rozbiła, że weszła w tarczę Aralda jak nóż w masło i spowodowała upadek jego konia. Teraz zrozumieli, jak do tego doszło.

Ale Morgarath nie zamierzał tak łatwo się poddać. Odwrócił się i krzyknął w stronę swego namiotu:

– Kusznicy!

Zasady rządzące turniejem głosiły, że w pobliżu zawsze mają czuwać kusznicy na wypadek, gdyby któryś z walczących złamał reguły: uderzył konia przeciwnika, zadał cios od tyłu po zakończonym starciu. Takie czyny karano strzałem. Kolejna zasada zakazywała udziału osób trzecich. A ponieważ Morgarath występował w roli gospodarza turnieju, kusznicy byli jego żołnierzami. Wystąpili do przodu i skierowali kusze w stronę odzianego w czerwień

rycerza.

– Zwiadowcy!

Morgarath obrócił się, zdezorientowany. Zobaczył, jak grupa mężczyzn ubranych w charakterystyczne cętkowane peleryny Korpusu Zwiadowców, zbrojnych w długie łuki, wychodzi zza trybuny na pole turniejowe.

– Rzucić kusze! – zakrzyknął ten sam głos co przed chwilą. Żołnierze zawahali się. Przed chwilą usłyszeli groźne hasło: „Zwiadowcy!”, a teraz mieli przed oczami tych ośmiu mężczyzn w zielono-szarych strojach, z łukami gotowymi do strzału.

Uświadomili sobie, że są to prawdziwi zwiadowcy, nie mający nic wspólnego z uzurpatorami, których od kilku miesięcy mianował ich władca.

– Natychmiast! – dodał głos. Kuszniicy rzucili broń na ziemię i cofnęli się, unosząc ręce nad głową.

– Tchórze! – wrzasnął Morgarath. – Zastrzelcie go! To rozkaz!

Żołnierze spojrzeli na siebie, po czym odwrócili się na pięcie i dali drapaka.

– On złamał zasady gry! Zasłużył na śmierć! – darł się Morgarath. Czerwony rycerz odezwał się donośnym głosem:

– Nie możesz wyrzucać komuś, że łamie zasady, skoro pierwszy to uczyniłeś.

Głos wydał się dziwnie znajomy. Morgarath zmrużył oczy.

– Kim jesteś? – zapytał.

Rycerz uśmiechnął się – ponuro i bez cienia radości. Opuścił miecz i sięgnął prawą dłonią do tarczy. Morgarath dopiero teraz zauważył, że osłania ją płócienny pokrowiec. Rycerz rozwiązał troki i tkanina opadła. Ukazała się czerwona tarcza. Pośrodku, w białym kręgu, widniał symbol czerwonego jastrzębia.

Znak księcia Duncana.

Wśród zebranych rozległy się okrzyki zdumienia.

– Duncan!

– Ściśle rzecz ujmując, dla ciebie książę Duncan – poprawił go czerwony rycerz.

Morgarath na chwilę stracił rezon. Ale przebiegła natura zaraz podszeptała mu rozwiązanie, jak odwrócić sytuację na własną korzyść. Wymierzył w księcia oskarżycielskim palcem.

– A więc ogłaszam, że jesteś zdrajcą! Najeżdżasz tereny pod północną granicą, wypuszczasz się na terytorium Picty, grabisz i zabijasz, naruszasz traktat pokojowy z naszymi sąsiadami! Odłóż miecz i poddaj się, zdrajco!

Duncan powoli pokręcił głową. Chwycił miecz wetknięty w ziemię.

– Na to nie licz, Morgaracie – powiedział.

Baron rzucił się na niego, zakręcił mieczem, mierząc w żebra. Klinga z głośnym brzęknięciem walnęła w tarczę.

A była to tarcza bojowa, nie zaś lekka tarcza używana podczas turniejów, solidna drewniana konstrukcja pokryta metalem, o lekko wypukłym kształcie idealnym do odpierania ciosów. Ostrze miecza zazgrzytało o jej powierzchnię i ześliznęło się, zostawiając po sobie lekką rysę w warstwie farby i niewielką szczerbę w metalu.

I nagle Morgarath uświadomił sobie, że walczy o życie.

Duncan zadawał jeden cios za drugim, w długiej nieprzerwanej sekwencji. Morgarath nie

miał tarczy, a jego miecz był ciężki i nieporęczny. Z wielkim wysiłkiem parował kolejne uderzenia i nie miał możliwości, by samemu wyprowadzić pchnięcie. Powoli ustępował, cofał się pod nieustającym gradem uderzeń. Ruchliwy miecz Duncana zmienił się w krąg światła, opadał błyskawicznie raz z jednej strony, raz z drugiej. Morgarath ciężko dyszał, strach ścisnął mu serce. Dotarło do niego, że przegrywa. Po raz pierwszy w życiu miał do czynienia z przeciwnikiem, który dorównywał mu siłą, a znacznie przewyższał szybkością i umiejętnościami.

Poruszali się tak po całym polu, księżę, napierając na Morgaratha, Morgarath, wciąż się przed nim cofając, przy nieprzerwanym wtórze szczękających ostrzy. I wreszcie, kiedy Morgarath znalazł się prawie przy swoim namiocie, Duncan wykorzystał moment, kiedy ten na sekundę opuścił miecz i przywalił w klingę. Broń wysunęła się z ręki Morgaratha i z brzękiem upadła na ziemię.

Czarny rycerz uniósł ramiona w geście poddania.

– Zaczekaj! – krzyknął, sądząc, że Duncan zakończy walkę za pomocą *coup de grâce*. Ale księżę znieruchomiał, dotykając czubkiem miecza szyi Morgaratha.

– O co chodzi? – zapytał.

Morgarath wydał westchnienie ulgi. Spojrzał na trybuny. Wszyscy baronowie stali, niektórzy nawet ruszyli w kierunku walczących. Kolejne słowa Morgarath skierował do publiczności:

– Nadal uważam cię za zdrajcę. Pragnę przemówić w obliczu zebranych tu baronów. – Teraz zwrócił się do możnych: – Panowie! Dołączcie do nas, proszę! Musimy przedyskutować kilka ważnych spraw.

Kiedy kolejni baronowie zaczęli schodzić z trybuny, Duncan zrozumiał, że jest za późno. Sekundę wcześniej mógł zabić Morgaratha i stwierdzić, że uczynił to w ferworze walki. Ale teraz, po wezwaniu Morgaratha skierowanym do publiczności, taki akt uznano by za morderstwo z zimną krwią.

Morgarath powiódł wzrokiem dokoła, dostrzegł stojącego opodal Teezala. Przywołał go i szepnął:

– Przygotuj obwieszczenie. – Zamierzał wyjawić je po walce z Araldem, a teraz uświadomił sobie, że nadal może ono odegrać decydującą rolę. Teezal kiwnął głową i już miał odejść, ale Morgarath jeszcze go zatrzymał, kładąc mu rękę na ramieniu. Pochylił się i dodał, zniżając głos: – I zbierz naszych ludzi.

Kiedy Teezal pobiegł wypełnić polecenie, Morgarath odwrócił się w stronę baronów. Za nimi zmierzali teraz na pole ludzie niższego pochodzenia, kłębili się dokoła, przepychali, by lepiej widzieć. Morgarathowi bardzo to odpowiadało. Wiedział, jak skutecznie wywołać zamieszanie. Wyczyny fałszywego Duncana podkopały dobre imię księcia i zaufanie zwykłych mieszkańców.

Duncan spojrział na zebranych wokół baronów. Uznał, że nie ma co czekać na kolejny krok Morgaratha. Czuł, że ta zmija coś knuje.

– Morgaracie, oskarżam cię o złamanie reguł obowiązujących na turnieju oraz próbę morderstwa na baronie Araldzie z Redmont – oznajmił pewnym głosem.

– A ja oskarżam ciebie, księżę, o próbę morderstwa na własnym ojcu, królu Oswaldzie, oraz o najazdy i grabieże u północnych granic królestwa. Oskarżam cię o złamanie traktatu z

mieszkańcami Picty i doprowadzenie do ryzyka wojny. Oskarżam cię o zdradę korony i żądam dla ciebie kary śmierci.



**W**śród tłumu przeszedł szmer zdumienia i nie dowierzania. Oto ktoś oskarżył następcę tronu o zdradę stanu i żądał dla niego kary śmierci.

Duncan zignorował pomruki. Niedbale machnął ręką i powiedział:

– Wszystkie te oskarżenia są fałszywe. Awantury na północy wywoływał człowiek, podszywający się pode mnie, którego ty sam posłałeś, by zniszczyć moje dobre imię. A mnie uwięziłeś na Zamku Dzika Rzeka.

– Ja ciebie uwięziłem, Duncanie? – powtórzył Morgarath z krzywym uśmiechem.

– Kazałeś mnie uwięzić.

– Masz jakiś dowód? – spytał prędko Morgarath.

Duncan wiedział, że stąpa po niepewnym gruncie.

– Na zamku tym panuje sir Eammon. Twój znany poplecznik.

– Czy sir Eammon tu jest, czy może to potwierdzić? – Morgarath ostentacyjnie powiódł wzrokiem dokoła, potem znów spojrzał na Duncana, szeroko rozkładając ręce.

Duncan zacisnął zęby, nic nie powiedział.

– A może – ciągnął Morgarath tym samym drwiącym tonem – przedstawisz nam owego uzurpatora, którego wynająłem, by się za ciebie podawał? Czy jest między nami?

– Był – odparł Duncan. – Ale go zamordowano.

– Och, jak nierozwaznie z jego strony. – Kilka osób zachichotało. Duncan poczerwieniał z gniewu. – I jak niekorzystnie dla ciebie, książę.

Duncan uznał, że musi dokonać kontrataku i nadrobić straty – przedstawiając tę jedną jedyną sprawę, w której miał niepodważalne dowody.

– Faktem pozostaje – powiedział – że Morgarath złamał reguły obowiązujące na turnieju, zasady honoru. Posłużył się kopią bojową i próbował zabić barona Aralda.

Sir Rodney, zbrojmistrz barona Aralda, wystąpił naprzód. W dłoni trzymał rzeczoną kopię, którą wcześniej zabrał z pola turniejowego. Podał ją Duncanowi, który przyjrzał się jej uważnie i stwierdził:

– Widzicie? To drzewce dębowe, nie sosnowe. A na końcu tkwi żelazny grot. Można takim zabić. – Spojrzał na Morgaratha. – Przypuszczam, że ukryłeś go pod gliną czy gipsem, pomalowanym, żeby wyglądał jak drewno.

Morgarath wyduł wargi i wzruszył ramionami.

– Ależ nie miałem o tym pojęcia, przysięgam. Widocznie jeden z moich popleczników postanowił wziąć sprawy w swoje ręce. Ale jeśli tak się stało, to bez mojej zgody. Dowiem się, kto to zrobił, i surowo go ukarzę, macie moje słowo. – Skierował te słowa nie do Duncana, lecz do zebranych wokół baronów. Zauważył z zadowoleniem, że kilku z nich pokiwało głowami. Inni wyglądali na mniej przekonanych, ale przynajmniej zdołał obudzić w nich niepewność, a to było kluczowe dla jego obrony.

Duncan potrząsnął kopią.

– Chcesz nam wmówić, że nie zauważyłeś różnicy w ciężarze?

Morgarath ponownie rozłożył ręce niewinnym gestem.

– Wszystkie kopie, których używam podczas turniejów, obciążam ołowiem, by nie różniły się ciężarem od kopii bojowych. Sami rozumiecie, praktyka, przyzwyczajenie.

Rozległ się zgodny pomruk. Rzeczywiście, wszyscy znali zwyczaj Morgaratha obciążania kopii obręczami z ołowiu.

Morgarath dojrzał w tłumie Teezala, niosącego zwój pergaminu. Przywołał go bliżej do siebie.

Czuł, że zdobywa przewagę w potyczce na słowa. Nic dziwnego. Duncan był młody i niedoświadczony w tego rodzaju sprawach. I jak wiedział Morgarath, nie miał żadnych konkretnych dowodów na poparcie swoich zarzutów. Miał tylko puste pogroźki, oburzenie i bezpodstawne oskarżenia. Oczywiście, gdyby czas mu na to pozwolił, potrafiłby udowodnić, że go więziono. Ale w tym momencie, tu i teraz, jego sprawa wyglądała bardzo słabo. Nadszedł moment, by Morgarath przedstawił swój najważniejszy argument.

Widział, jak z tyłu, za zgromadzonym wokół tłumem, jego żołnierze zajmują pozycje, gotowi na jego rozkaz ruszyć do ataku. Oceniał, że Teezal zdołał zebrać jakichś pięćdziesięciu ludzi, nawet więcej, niż konieczne w obecnej sytuacji.

Teezal wystąpił naprzód i podał mu zwój pergaminu. Morgarath wziął go do ręki, pochylił się i powiedział asystentowi do ucha:

– Wracaj do zamku. Zabij Oswalda i pozbądź się ciała.

Teezal pochylił głowę w krótkim ukłonie.

– Tak jest, panie. – Po czym obrócił się i znów zaczął torować sobie drogę w tłumie.

Duncan odprowadził go wzrokiem. Zastanawiał się, co kombinuje Morgarath. Kolejne słowa barona kazały mu zapomnieć o Teezalu.

– Panowie, ludu Araluenu, oto jestem zmuszony spełnić bardzo nieprzyjemny obowiązek. Wzdragam się przed nim, ale wobec fałszywego oskarżenia, które na mnie rzucono, bez poparcia konkretnymi dowodami, nie pozostaje mi nic innego.

Uniósł zwój nad głowę. Zapadła cisza. Wszyscy patrzyli na pergamin, zastanawiając się, co to może być.

– Co ty znowu knujesz? – spytał gniewnie Duncan. Ale ludzie zaczęli protestować.

– Niech mówi dalej!

– Chcemy posłuchać!

– Już powiedziałaś swoje, Duncan. Teraz kolej na Morgaratha!

Morgarath czekał, przedłużał napięcie. Z tłumu dochodziły coraz częstsze okrzyki. Duncan zauważył, że odzywają się głównie baronowie, popierający Morgaratha. Pomyślał, że można się było tego spodziewać. Ale wśród pozostałych, do tej pory niezdecydowanych, również sporo osób zgodnie kiwało głowami. Zrobił krok do tyłu i ruchem ręki dał Morgarathowi znak, by mówił dalej.

Baron, wciąż trzymając pergamin wysoko w powietrzu, pozwolił mu się rozwinąć. Zebrani zobaczyli ozdobne pismo i wielką czerwoną pieczęć u dołu.

– Oto obwieszczenie króla Oswalda! – zakrzyknął. – Tym pismem król pozbawia swego syna Duncana prawa do dziedziczenia tronu, z powodu jego nielojalności i bandyckich postępów, których dopuszczał się u północnych granic królestwa. Jednocześnie wyznacza mnie na swego następcę.

Tłum wybuchł. Niektórzy protestowali, że obwieszczenie jest fałszywe. Inni wiwatowali na cześć Morgaratha. Duncan zmarszczył brwi. Liczba osób po obu stronach była mniej więcej wyrównana.

Morgarath wręczył pismo baronowi Naylorowi i powiedział, przekrzykując tłum:

– Niech baron Naylor przeczyta i potwierdzi moje słowa.

Okrzyki, gwizdy, protesty i wiwaty ucichły. Wszyscy czekali, aż baron odczyta pismo. Niestety, okazał się niezbyt biegły w sztuce czytania. Powoli przesuwając wzrokiem po pergaminie, bezgłośnie poruszając wargami. Napięcie rosło. W końcu baron podniósł wzrok.

– Zgadza się – oznajmił. – Król Oswald pozbawił Duncana tronu i wyznaczył Morgaratha na swego następcę. – W jego głosie wyraźnie brzmiała nuta zadowolenia. Nie było wątpliwości, po której stronie leży jego sympatia.

Wybuchło pandemonium, wszyscy mówili i krzyczeli naraz. Morgarath rzucił Duncanowi triumfalne spojrzenie, a potem uniósł ręce, by uciszyć tłum. Trochę trwało, nim wszyscy się uspokoili. Morgarath wziął pismo z rąk Naylor, znów uniósł je wysoko i wskazał na pieczęć.

– Oto pieczęć króla Oswalda! – zawołał, obracając się na boki, żeby wszyscy mogli zobaczyć.

Nagle rozległ się słaby głos:

– Ale podpis nie jest mój.

Gdzieś na obrzeżach nastąpiło małe zamieszanie, a potem przez tłum zaczęła się przedzierać grupa złożona z trzech osób. Halt i Crowley prowadzili między sobą starszego mężczyznę w kapturze i zniszczonej pelerynie. Nagle odrzucił on kaptur na ramiona, ukazując twarz.

W tłumie rozległy się okrzyki:

– Król! Król!

Oswald wymierzył w Morgaratha drżący palec.

– To pismo jest sfalszowane. Ukradłeś moją pieczęć i sam ją przyłożyłeś. Nigdy nie wyznaczyłbym ciebie na swego zastępcę.

– Pismo jest autentyczne! – zaprotestował gniewnie Morgarath. – A teraz temu zaprzeczasz, bo wrócił twój syn z jakąś bzdurną bajeczką, że niby ktoś się pod niego podszywał, a jego w tym czasie trzymano go w więzieniu.

– Tak jak ty trzymałeś mnie w więzieniu, Morgaracie – powiedział Oswald.

Baron gwałtownie potrząsnął głową.

– Chciałem ci zapewnić bezpieczeństwo! – odparł, po czym dodał, wskazując na Duncana: – Ten człowiek, twój syn – to słowo drwiąco zaakcentował – próbował cię zabić, zapomniałeś? Wtedy moja opieka bardzo ci odpowiadała.

Oswald potrząsnął głową.

– Pomyliłem się.

– A teraz się nie mylisz? – zapytał Morgarath z przekąsem. – Wygląda na to, że rządzący nami członkowie rodziny królewskiej nieustannie zmieniają zdanie, w zależności od sytuacji. Raz Duncan jest zdrajcą i bandytą, a w następnej chwili więźniem trzymanym w niewoli na moje rozkazy. Raz nasz dobry król szuka u mnie ochrony, by wkrótce stwierdzić, że jego również trzymałem w niewoli.

Kilka osób głośno wyraziło swe poparcie. Wysiłki Morgaratha, który od dawna próbował wkraść się w łaski baronów, okazały się skuteczne.

Duncan wystąpił naprzód. Ta słowna potyczka trwała już stanowczo zbyt długo. Był zaskoczony, że Morgarath tak łatwo zdołał przeciągnąć ludzi na swoją stronę.

– Aresztujcie go – powiedział do Crowleya. Ten dał znak i z tłumu wystąpiło jedenastu zwiadowców, z łukami gotowymi do strzału.

W tym samym momencie Morgarath zakrzyknął:

– Gorlan! Do mnie!

Pięćdziesięciu żołnierzy, których zgromadził Teezal, precyzyjnie się wśród zebranych i podeszło do swego pana. Dobywając mieczy, ustawili się naprzeciw zwiadowców.

– Jedno twoje słowo, Duncanie, i zaczynamy strzelać – powiedział Crowley.

Ale król uniósł dłoń.

– Nie. Zginą niewinni ludzie.

Morgarath uśmiechnął się ponuro. Wiedział, że wygrał tę rundę i zyskał na cennym czasie. Zwrócił się do króla, głośno, by wszyscy go słyszeli:

– Odpowiem na twoje oskarżenia. I wniosę własne przeciwko Duncanowi. Ale zrobię to przed Radą Baronów, zgodnie z przysługującym mi prawem.

– Oskarżył cię sam król! – krzyknął gniewnie Duncan. – To przed nim odpowiadasz!

Morgarath zmierzył wzrokiem swego przeciwnika i wysyczał wzgardliwie:

– Dawno minęły czasy, kiedy król był sędzią, ławą przysięgłych i katem. Araluen jest państwem prawa. To prawo głosi, że mogę zeznawać przed Radą.

– Zebranie wszystkich baronów potrwa kilka miesięcy – zaprotestował Crowley.

Morgarath posłał mu gorzki uśmieszek.

– I zaczekam na nich we własnym zamku. Nie w lochu pod Zamkiem Araluen, gdzie Duncan i jego podstępny tatuś pewnie zaraz zaaranżowałiby moją przypadkową śmierć.

– Masz natychmiast mi się poddać! – powiedział król, poblady z wściekłości.

Ale Morgarath pokręcił głową.

– Jak już wspomniałem, zaczekam na Zamku Gorlan. – Zwrócił się do dowódcy swych wojsk: – Kapitanie! Wracamy.

– Tak jest! – zakrzyknął kapitan, salutując. Następnie rozkazał swoim ludziom: – Uformujecie falangę wokół barona. Bądźcie gotowi użyć siły.

Żołnierze Morgaratha byli dobrze wyszkoleni. Prędko utworzyli ochronny krąg wokół



barona, zwracając się twarzami na zewnątrz, dzierżąc w dłoniach miecze, by w razie konieczności odpowiedzieć na atak. Powoli zaczęli przesuwać się w kierunku zamku, spychając z drogi wszystkich, którzy ruszali się zbyt opieszale, utrzymując tempo dostosowane do najwolniejszych, czyli tych, którzy poruszali się tyłem.

Duncan patrzył na to z bezsilną rozpaczą.

– Nie możemy ich zatrzymać?

Pozostali potrząsnęli głowami. Morgarath znajdował się na swojej ziemi, miał do dyspozycji żołnierzy i rycerstwo, w sumie ponad setkę ludzi, dobrze zorganizowane i wytrenowane siły. Żaden z baronów nie zabrał ze sobą na turniej pełnej świty. Najliczniejsza, należąca do Aralda, liczyła mniej niż dwudziestu ludzi. Gdyby mieli więcej czasu, zapewne zdołaliby zebrać armię, dorównującą liczebnie siłom Morgaratha, lecz w tym momencie tego czasu nie mieli. Morgarath w pełni kontrolował sytuację.

W dodatku było bardzo prawdopodobne, że spora część baronów, sympatyzujących z Morgarathem, odmówiłaby pomocy.

– Nie możemy – stwierdził Pritchard. – Moglibyśmy zebrać wystarczającą liczbę ludzi, by ich zatrzymać, ale nie aż tylu, by przypuścić atak na zamek. Morgarath z kolei nie dysponuje tyloma żołnierzami, by siłą wydostać się z zamku.

– A więc sytuacja patowa? – powiedział Crowley.

Pritchard kiwnął głową.

– Tak, do czasu, aż zbierze się Rada. My nie możemy wejść. On nie może wyjść.

Halt patrzył na przesuającą się formację żołnierzy, najeżoną uniesionymi mieczami. Pośrodku górowała wysoka postać Morgaratha. Pod wpływem impulsu zdjął łuk z ramienia i ruszył przed siebie.

Duncan dogonił go i zatrzymał, kładąc rękę na ramieniu.

– Dokąd idziesz? – zapytał.

Hibernijczyk zwrócił w jego stronę ponurą twarz.

– Zamierzam przebić strzałą tego czarnego wieprza i będzie po sprawie.

Ale Duncan pokręcił głową.

– To by było morderstwo. Nie chciałbym odpowiadać za taki czyn. Ani mój ojciec. Zostawmy Morgaratha Radzie Baronów.

Halt spuścił wzrok. Wiedział, że Duncan ma rację.

– Tak czy inaczej – odparł – nie mogę pozbyć się myśli, że popełniamy wielki błąd.





Miesiąc później Halt znów przyjechał na Zamek Gorlan, by obserwować sytuację i złożyć raport Duncanowi i Oswaldowi, którzy wrócili do swojej siedziby w Araluenie.

Wjechał na teren obozowiska i stwierdził z zadowoleniem, że wcześniejsza niedbała prowizorka ustąpiła miejsca równym rzędom namiotów, w których spali żołnierze, i grupie większych namiotów służących za kwaterę dowództwa. Pośrodku wznosił się niebiesko-złoty namiot Aralda. Baron Redmontu podjął się dowodzenia wojskiem, pilnującym Morgaratha i jego ludzi. Początkowo była to naprędce sklecona grupa rycerzy i zbrojnych mężów, pozbieranych ze świt baronów obecnych na turnieju. Zgodnie z obawami Duncana, kilku nie zgodziło się użyć swych ludzi.

Teraz armia przybrała zorganizowaną formę, ze wszystkich zakątków królestwa co dzień nadciągały nowe posiłki. Halt przez chwilę bacznie przyglądał się rzędom namiotów. Oceniał, że Zamku Gorlan pilnuje ponad setka ludzi.

Pole, na którym odbywał się turniej, było teraz gołe, pozbawione wszelkich dekoracji. Flagi i proporce dawno znikły, szranki rozmontowano. Trybuny świeciły pustkami. Znikły płócienne markizy, wygodne siedzenia i barwne poduszki. Tam, gdzie kiedyś potykali się Arald z Morgarathem, teraz pod rozkazami sierżanta ćwiczył oddział włóczników.

Ponad płóciennym lasem namiotów wznosił się Zamek Gorlan. Jego idealne symetryczne piękno zdawało się tchnąć czymś groźnym i ponurym. Halt potrząsnął głową. Pomyślał, że chyba ma zbyt bogatą wyobraźnię.

Baron Arald wyszedł przed namiot i ruszył w stronę Halta, który zeskoczył z konia.

– Witaj, Halcie – powiedział. – Jesteś jak miód na moje serce. Jakie przynosisz wieści z Zamku Araluen?

Halt zmarszczył brwi.

– Niedobre, obawiam się. Król Oswald bardzo podupadł na zdrowiu, z każdym dniem słabnie. Chyba niedługo zostanie między nami.

Arlad potrząsnął głową.

– Rzeczywiście smutne wieści. Jak Duncan to przyjmuje?

– Bardzo martwi się o ojca, rzecz jasna. Oswald uczynił go regentem, więc Duncan przejął sporą część obowiązków, spoczywających na jego barkach. Miejmy nadzieję, że choć trochę to pomoże. Ale wyrzuca sobie, że dopuścił do tego, by Morgarath zagadał go podczas turnieju i przekręcił jego słowa na własną korzyść. Nie był przygotowany na taki potok zarzutów i oskarżeń.

Arald wzruszył ramionami.

– To przecież nie jego wina. Jest młody, a Morgarath ma za sobą lata doświadczenia w knuciu intryg i prowokowaniu tego rodzaju sytuacji. Duncan z czasem się nauczy. Tak czy inaczej, z chwilą kiedy pojawił się król i rzucił oskarżenie w stosunku do Morgaratha, ten wiedział, że gra jest skończona. Musiał działać szybko, zabarykadować się w zamku, gdzie nie możemy go dorwać. Ta reakcja właściwie równała się przyznaniu do winy.

– Duncan już się uczy. Zwołał Radę Baronów, jak wiesz, i sam przedstawi im sprawę. Przywrócił też Korpus Zwiadowców w dawnej postaci. Na komendanta wyznaczono Crowleya. Będzie miał pod swymi rozkazami wszystkich zwiadowców, nie tylko naszą dwunastkę. Teraz czeka go rekrutacja nowych uczniów i zebranie byłych zwiadowców, ilu tylko się da. Przeniósł się do kwatery na Zamku Araluen.

– Wygląda na to, że ma pełne ręce roboty – stwierdził Arald, po czym kiwnął głową w stronę Halta. – A ty?

– Duncan oficjalnie przyjął mnie do grona zwiadowców. Chociaż Crowley próbował go przekonać, że powinienem jeszcze trochę potrenować.

Arald zaśmiał się. Cały Crowley, przy każdej okazji robił sobie żarty z Halta.

– A więc chciał, żebyś wrócił do brązowego liścia?

Halt przytaknął.

– Na szczęście zmienił zdanie.

Uśmiech Aralda zrobił się jeszcze szerszy.

– Pod czym wpływem? – spytał niewinnym tonem.

– Głównie moim – odparł Halt z kamienną twarzą. – Przedstawiłem niezwykle elokwentną mowę przeciwko degradacji. Zagroziłem, że wsadzę mu ten brązowy liść do lewej dziurki od nosa.

– Rzeczywiście, elokwencja najwyższej próby.

Halt odwrócił się i popatrzył na zamek. Nawet z tej odległości widział głowy i ramiona stojących na murach strażników. Jeden opierał się o ścianę niewielkiej wieżyczki sterczącej ponad blankowaniem.

– Dzieje się coś ciekawego? – spytał.

Arald potrząsnął głową.

– Nic. Oni obserwują nas. My obserwujemy ich. Od tygodnia nie miałem żadnych wieści na temat Morgaratha. Ale czuję, że wkrótce wykona jakiś ruch. Z każdym dniem jego pozycja słabnie. Co tydzień do naszego obozu zjeżdżają kolejne posiłki. W końcu zdobędziemy przewagę liczebną, zaatakujemy zamek i pojmiemy Morgaratha.

– Hmm – powiedział Halt z namysłem. – Pritchard też mówił coś podobnego. Widziałeś go ostatnio? Wybierał się tutaj, żeby sprawdzić jakieś pogłoski, które do niego dotarły. Ale nie powiedział, o co chodzi. Znasz Pritcharda.

– Owszem, przyjechał cztery dni temu. Został na noc, powęszył i musiał jechać dalej. Więcej go nie widziałem.

Halt z roztargnieniem kiwnął głową.

– Pewnie wkrótce znów się pojawi.

– Znasz go lepiej niż ja – stwierdził Arald wesołym tonem. – Zostaniesz na noc? Ucieszyłbym się z towarzystwa przy kolacji. Znajdzie się też pusty namiot.

Halt spojrział w niebo. Słońce wisiało nisko nad horyzontem za kotarą ciężkich chmur. Przez kilka ostatnich nocy padał ulewny deszcz i wyglądało na to, że tej nocy będzie podobnie.

– Bardzo chętnie – odparł.

– W takim razie do zobaczenia na kolacji – powiedział Arald. – Teraz muszę się zająć wydaniem rozkazów nowo przybyłym oddziałom.

W chwili, kiedy wszedł do namiotu, o płótno zaczęły tłuc ciężkie krople deszczu.

Halt naciągnął kaptur na głowę i jeszcze raz spojrział na zamek. W oknach wież zapalały się światła, na murach zaś piecyki, osłonięte przed deszczem drewnianymi daszkami. Halt dojrzał postać mężczyzny, który chodził wzdłuż murów i zapalał po kolei, trzymaną w ręku pochodnię. Nasączone olejem drewno szybko zajmowało się płomieniem.

Nagle poczuł czyjąś dłoń na ramieniu, a kiedy się odwrócił, zobaczył młodego paza w barwach Aralda. Chłopak patrzył na niego z podziwem i szacunkiem.

– Wybacz, mistrzu Halcie – powiedział, wyraźnie zdenerwowany. – Baron polecił, bym wskazał ci drogę do namiotu.

– A więc prowadź, młody człowieku – odparł Halt z uśmiechem. – Najpierw jednak pokaż mi, gdzie są stajnie, bym mógł oporządzić konia.



Tej nocy spał niespokojnie. Długo nie mógł w ogóle usnąć z powodu deszczu bębniącego o płótno. Koło trzeciej nad ranem deszcz ustał. Halt wreszcie zapadł w sen, ale znów się obudził około piątej trzydzieści. Przez chwilę słuchał piania koguta gdzieś w oddali.

Po jakimś czasie stwierdził, że już raczej nie zaśnie. Wstał, umył się w skórzanej misie i ubrał.

Krocząc pośród wysokiej mokrej trawy, skierował się w stronę namiotu kucharzy, który tętnił życiem od samego rana. Chwycił małą kromkę chleba, obłożył gorącym bekonem i zaczął łapczywie pożerać. Nalał sobie świeżo zaparzonej kawy i z kubkiem w ręku, rozkoszując się bogatym smakiem gorącego napoju w ten chłodny poranek, wyszedł przed namiot, by ponownie popatrzeć na zamkowe mury.

Zmarszczył brwi. Coś mu nie pasowało. Coś stanowczo było nie tak. Niby nic się nie zmieniło. Strażnicy nadal stali na murach, w tych samych miejscach. Również mężczyzna oparty o wieżyczkę, na którego zwrócił uwagę poprzedniego wieczoru.

I wtedy doznał olśnienia. No właśnie. Nic się nie zmieniło! Przez jedenaście godzin żaden ze strażników nie ruszył się z miejsca. Właśnie to było podejrzane.

Zdjął łuk z ramienia i ruszył w stronę zamku. W pewnym momencie zobaczył rząd pomalowanych na biało palików. Obok stał jeden z ludzi Aralda.

– Ostrożnie! – zawołał ostrzegawczo. – Te paliki wyznaczają maksymalny zasięg bełtów wystrzelonych z murów zamkowych. Tydzień temu młody Billy Creek zginął przez jednego z

tych wieprzy!

Halt jednak ruszył dalej. Uważnie wodził wzrokiem wzdłuż blankowania, wypatrując ruchu, wymierzonej w niego kuszy. Zatrzymał się w odległości stu kroków od fosy, spojrzął na ciemną postać opartą o wieżyczkę. Wartownik w ogóle nie reagował.

Halt wyciągnął strzałę, wsadził w cięciwę i wymierzył.

Nadal zero reakcji – a przecież wartownik na pewno go widział.

Halt wypuścił strzałę. Świsnęła w powietrzu i pomknęła w stronę murów. Nadal zero reakcji. Strzała trafiła do celu, wartownikiem rzuciło do tyłu. Rozległ się trzask ciała upadającego na kamienie.

Ale nie towarzyszył mu okrzyk bólu.

Halt podbiegł do strażnika, który przyglądał się tej scenie z głupią miną.

– Przynieś długą linę – polecił Halt. – Muszę sprawdzić, co tam się dzieje.



W środku było pusto – nie licząc garstki służących, którym przykazano co wieczór zapalać lampy. Murów pilnowały manekiny ubrane w hełmy i płaszcze. W ten sposób chciano stworzyć pozory, że na zamku nadal przebywają ludzie.

W jednym z korytarzy Halt i Arald napotkali mężczyznę, pochlipującego z przerażenia i przekonanego, że to jego ostatnie chwile.

Halt nie zamierzał wyprowadzać go z błędu.

– Gdzie jest Morgarath? – warknął, zbliżając twarz do twarzy służącego. Ten próbował odwrócić wzrok, ale Halt chwycił go za podbródek i zmusił do spojrzenia prosto w ciemne płonące oczy.

– On... od-odszedł – wyjąkał mężczyzna.

– Kiedy? Jak? – zapytał gniewnie Halt.

– Cztery, może pięć dni temu. Wszyscy opuścili zamek. Pod ziemią jest tunel.

– Gdzie? – wrzasnął Arald. Służący spojrzął na niego z przerażeniem. Zwykle miły i łagodny, baron Redmont kipiał z wściekłości. Czuł się haniebnie oszukany i nie zamierzał się cackać ze służącym Morgaratha. Mężczyzna przełknął ślinę.

– Pod ziemią jest tunel – powtórzył ze zdenerwowania. – W piwnicach, pod kuchnią. W ten sposób się wydostali...

Halt i Arald wymienili spojrzenia.

– Ruszamy! – powiedział Halt i skierował się w stronę kuchni.

Znaleźli tunel po pięciu minutach. Ludzie Morgaratha nie zamknęli za sobą wejścia. Ziało w południowej ścianie, czarne i posępne.

– Znajdźcie jakieś pochodnie – rozkazał Arald. Kiedy żołnierz wrócił ze światłem, weszli do środka.

– To nie jest nowy tunel – stwierdził Halt, kiedy migotliwe płomienie rozproszyły ciemności. Tunel był szeroki, mogło się w nim zmieścić dwóch idących obok siebie mężczyzn. Ściany wzmocniono cegłami i kamieniami.

– Budował go zapewne przez wiele lat – powiedział Arald. – Pewnie warto mieć taką drogę ewakuacyjną. Sam powinienem o tym pomyśleć.

– Zamierzasz się ewakuować? – spytał Halt.

Arlad odparł po namyśle:

– Nie zamierzam. Ale nigdy nie wiadomo.

Kiedy weszli głębiej, Arlad zwrócił uwagę na strumyki wody, ściekające po ścianach i zbierające się w kałuże na podłodze.

– Jesteśmy pod dnem fosy – stwierdził.

Halt poczuł w pewnym momencie, że tunel zaczyna się wznosić.

– Chyba zbliżamy się do wyjścia. – Z jakiegoś powodu ściszył głos, chociaż prawdopodobieństwo, że u wylotu czekają na nich Morgarath czy jego ludzie, było właściwie równe zeru. Nagle pojawił się błysk światła, który szybko zmienił się w jasny prostokąt.

Znaleźli się na zewnątrz. Wyjście z tunelu umieszczono na skraju lasu, pośród splątanych krzaków i pnączy. Halt przyjrzał im się z bliska, badając miejsca, w których wyrąbano przejście kilka dni wcześniej. Na błotnistej ziemi widniały ślady niezliczonych stóp. Ale szybko znikły pośród gęstej trawy, mokrej od deszczu, który padał w ciągu czterech ostatnich dni.

– Deszcz zmył ślady – mruknął Halt. – Ale bez wątpienia tędy wyszli.

– Pytanie, dokąd się skierowali – zauważył Arlad.

Halt wzruszył ramionami.

– Trudno powiedzieć. Mogli pójść w każdym kierunku.

– Może na północ? Skoro Tiller najeżdżał tamtejsze tereny, może mają tam jakąś bazę.

– Może – odparł Halt, ale bez przekonania. – Jak już...

Nagle urwał. Jego uwagę przyciągnął jakiś ruch między drzewami, dwadzieścia metrów dalej. Gdyby akurat nie zawiął wiatr i nie poruszył tkaninę, Halt niczego by nie zauważył. Szaro-zielone cętki doskonale zlewały się z poszyciem.

– O... nie... – powiedział cicho, zdławionym głosem. A potem rzucił się biegiem.

Pritchard leżał na plecach, oczy miał szeroko rozwarte. W jego ciele ziało pół tuzina wielkich ran. Musiało go zaatakować co najmniej trzech-czterech ludzi. Obok leżał łuk, złamany na pół. Pewnie wzięli go z zaskoczenia, nie zauważył, kiedy wychynęli z tunelu. Zabili go i tak zostawili. Ten ruch, który przyciągnął uwagę Halta, to była poła peleryny.

Opadł na kolano obok ciała dawnego mistrza, człowieka, który wiele lat temu zastąpił mu ojca. Czuł, jak łzy niepowstrzymanym strumieniem ciekną mu po policzkach.

Świadom obecności Aralda, który stał opodal, niepewny, jak zareagować, pochylił głowę i powiedział łamiącym się głosem:

– Dopiero co go odnalazłem. A teraz odszedł na zawsze.

Przez kilka długich minut trwał tak na klęczkach, pochylony nad ciałem przyjaciela i mentora, myśląc o czasie spędzonym wspólnie w Dun Kilty i niedawnym radosnym spotkaniu po latach. W końcu otarł łzy wierzchem dłoni, rozmazując brud na twarzy. Wstał i podniósł suche już oczy ku porannemu niebu.

– Zapłacisz za to, Morgarath. Przysięgam na grób Pritcharda.



### *Góry Deszczu i Nocy*

W jaskini kłębił się dym i dokuczały przeciągi, ale przynajmniej było sucho. Na zewnątrz deszcz zacinał niemal poziomo nad kamienistym płaskowyżem.

Morgarath siedział przy ognisku naprzeciw przerażającej bestii, którą udało mu się zwabić do środka. Szukał wargala przez kilka miesięcy. A teraz wreszcie zaczynał zdobywać jego zaufanie. Wargal przewodził plemieniu podobnych do siebie potworów. Morgarath wkradł się w jego łaski za pomocą darów ze świeżego mięsa – bardzo cenionego i rzadkiego w tych zimnych, wiecznie mokrych górach.

Potem minęło wiele dni, nim Morgarath wytworzył odpowiedni wzór w prymitywnym mózgu stworzenia. Był to bardzo powolny proces. Morgarath zaczął od opróżnienia swego umysłu ze wszelkich świadomych myśli, by zrobić miejsce na sygnały z zewnątrz. I nagle pewnego niezapomnianego dnia zobaczył, jak formuje się w nim obraz – chociaż oczy miał zamknięte.

Początkowo niewyraźny i zamazany, nikł, kiedy Morgarath próbował się na nim skoncentrować. Doszedł do wniosku, że nie powinien posługiwać się przy tym świadomą częścią mózgu. Kiedy oczyścił umysł, obraz powrócił – tym razem wyraźniejszy i ostrzejszy.

I nagle stwierdził z zaskoczeniem, że ten obraz to on sam. Widział to, co widział przywódca wargalów.

Zaczął kształtować ten obraz – co nie było łatwe, biorąc pod uwagę, że wciąż starał się nie dopuszczać do siebie świadomości. Wyobraził sobie samego siebie siedzącego na tronie. Wargal stał przed nim pochylony, głowę trzymał pod jego ręką, na znak poddaństwa.

Potem Morgarath wytworzył kolejny obraz: Duncan, przerażający w swym czerwonym kasaku i lśniącej zbroi, tnie i rąbie mieczem dokoła, raniąc i zabijając wargalów.

Pracował nad tym już od tygodnia, za każdym razem przywoływał tę samą wizję. Ale dzisiaj poczuł dziwne ukłucie – wrażenie, coś jak gwałtowną niechęć.

Wargal widział wyprodukowany przez niego obraz i odczuwał strach i niepokój.

Morgarath rozwarł powieki. Potwór rozciągnął wargi, pokazując potężne kły.

Morgarath znów zamknął oczy i dodał obraz wargala do wcześniej wytworzonych obrazów. Postać w czerni, o długich jasnych włosach, wkroczyła na pole bitwy i stanęła między Duncanem a wargalami, by ich obronić. Długi obosieczny miecz zatoczył łuk w powietrzu i zablokował klingę Duncana, który właśnie zamierzał się na kolejnego bezbronno wargala.

Jeden szybki ruch – głowa Duncana spadła z ramion i potoczyła się po kamieniach. Bezgłowy tors trwał jeszcze chwilę w bezruchu, a potem powoli osunął się na ziemię.

Ocalali wargalowie otoczyli czarnego rycerza, kłaniając mu się z oddaniem i wdzięcznością. Morgarath zatrzymał ten obraz na kilka minut.

Nagle poczuł szorstki dotyk na swojej dłoni. Z wolna otworzył oczy.

Oto przywódca wargalów klęczał przed nim. Wziął rękę Morgaratha w swe zakończone szponami łapy i położył ją sobie na głowie, kłaniając się nisko.

Były władca Gorlanu uśmiechnął się ponuro. Nie zabrał ręki.

– O tak, mój paskudny przyjacielu. Sądzę, że się dogadamy.





---

\* fait accompli (franc.) – fakt dokonany, coś, co się dokonało i czego nie można już zmienić.

# W SERII ZWIADOWCY ukazały się:

KSIĘGA 1: RUINY GORLANU  
KSIĘGA 2: PŁONĄCY MOST  
KSIĘGA 3: ZIEMIA SKUTA LODEM  
KSIĘGA 4: BITWA O SKANDIĘ  
KSIĘGA 5: CZARNOKSIĘŻNIK Z PÓŁNOCY  
KSIĘGA 6: OBLĘŻENIE MACINDAW  
KSIĘGA 7: OKUP ZA ERAKA  
KSIĘGA 8: KRÓLOWIE CLONMELU  
KSIĘGA 9: HALT W NIEBEZPIECZEŃSTWIE  
KSIĘGA 10: CESARZ NIHON-JA  
KSIĘGA 11: ZAGINIONE HISTORIE  
KSIĘGA 12: KRÓLEWSKI ZWIADOWCA  
WCZESNE LATA: TURNIEJ W GORLANIE

Kolejny tom serii w 2016!